



„FINDER RAZ JESZCZE
POKAZUJE SWÓJ TALENT DO
KREOWANIA ANGAŻUJĄCEJ
POWIEŚCI SENSACYJNEJ”.

— *KIRKUS REVIEWS*

ZAMIANA
Joseph
FINDER

„MISTRZ WSPÓŁCZESNEGO THRILLERA”. — *BOSTON GLOBE*



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Joseph
FINDER
ZAMIANA

Z języka angielskiego przełożył
Przemysław Hejmej



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: *The Switch*
Copyright © 2017 by Joseph Finder

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogusława Wójcikowska
Korekta: Izabela Sieranc, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8110-892-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

<u>1</u>
<u>2</u>
<u>3</u>
<u>4</u>
<u>5</u>
<u>6</u>
<u>7</u>
<u>8</u>
<u>9</u>
<u>10</u>
<u>11</u>
<u>12</u>
<u>13</u>
<u>14</u>
<u>15</u>
<u>16</u>
<u>17</u>
<u>18</u>
<u>19</u>
<u>20</u>
<u>21</u>
<u>22</u>
<u>23</u>
<u>24</u>

25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Pamięci mojej mamy, Natalie Finder
1921–2017

Książka ta nie jest oparta na faktach. Wszystkie zawarte w niej nazwiska, postacie i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora, a jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żywych bądź martwych, do przedsiębiorstw i zdarzeń jest czysto przypadkowe.

1

Kolejka do kontroli bezpieczeństwa wiła się bez końca, tworząc zygzaki wzięte w ramy rozciągliwych barierek lotniskowych i ich słupków. Labirynt dla szczurów.

Michael Tanner bardzo się spieszył, ale port lotniczy LAX nie chciał w tym względzie współpracować. Biznesmen korzystał zwykle z usługi zwanej „kontrolą przedwstępną agencji TSA”, a także z programu Global Entry, umożliwiającego zdecydowanie szybszą odprawę, oraz z wszelkich innych tego typu ułatwień, byle tylko ominąć dokuczliwe kolejki na lotnisku. Ale nie wiedzieć czemu, jego karta pokładowa wydrukowała się bez słowa „kontrola przedwstępna”. Wyglądało to złowieszczo.

Może był to zwykły przypadek, a może tylko brak personelu – w sumie nigdy tego nie wyjaśniono. Za chwilę pasażerowie mieli wchodzić na pokład samolotu Tannera, a on wciąż tkwił na samym końcu pełzającej wolno kolejki znękanych podróżnych, którzy ciągnęli za sobą torby na kółkach albo nieśli plecaki.

– Zdejmować buty, paski, marynarki, kurtki, proszę wyjmować laptopy z toreb – skandowała agentka lotniskowej służby bezpieczeństwa TSA, duża czarna kobieta, stojąca na przedzie kolejki. – Żadnych płynów. Zdejmować buty, paski...

Tanner nieustannie podróżował w sprawach służbowych i radził sobie z tym całkiem nieźle. Zwykle omijał kolejki niczym wędrowny ninja. A tym razem? Zdejmować buty! I pasek! Zdał sobie sprawę, że dawno tego nie robił; po prostu wyszedł z wprawy. Kiedy ostatnio doświadczył tej niedogodności? Wyszarpnął pasek ze spodni, zzuł mokasyny, włożył je do szarego plastikowego pojemnika, a potem przesunął go po taśmie. Dalej podreptał boso. Z torby na ramię wyjął laptopa, umieścił go w osobnym szarym pojemniku i obserwował, jak znika w paszczy aparatu rentgenowskiego. Jeszcze marynarka, przypomniał sobie nagle. Zdjął ją i upchnął w następnym pojemniku. Starał się żadną miarą nie opóźnić kolejki.

Zerknął na zegarek. Bez wątplenia zaczęło się już wpuszczanie pasażerów do jego samolotu do Bostonu. Jeśli zdoła szybko włożyć buty, pasek i pozbierać swoje rzeczy, a następnie od razu popędzi na miejsce, być może zdąży przed zamknięciem bramki.

Tanner poklepał się po kieszeniach, znalazł w nich kilka zapomnianych monet, wyjął je, a następnie włożył do plastikowego pojemnika na pasie transmisyjnym – wszystko ku wyraźnej irytacji dobrze ubranej kobiety w średnim wieku, która stała tuż za nim.

Bez problemu przeszedł przez wykrywacz metalu. Drogę miał teraz wolną.

A właściwie miałyby, gdyby jeden z pracowników obsługujących aparat rentgenowski nie podniósł nagle należącej do Tannera torby na ramię.

– To pański bagaż? – zapytał mężczyzna.

– Tak – potwierdził Tanner. – Mój. Coś nie tak?

– Proszę wziąć swoje rzeczy i podejść do mnie, o tam.

Cholera. Jakiś przedmiot znajdujący się w torbie musiał wydać się rentgenowi podejrzany. Tannera nie było już stać na kolejne dwie–trzy minuty straty, nie mógł jednak zakwestionować polecenia. Zebrał swoje rzeczy – pasek, laptop, buty, monety, marynarkę i torbę na ramię – i podszedł do agenta TSA, czekającego przy metalowym stole. Ten przesunął wzdłuż krawędzi podejrzanego bagażu jakiś podłużnym przedmiotem podobnym do czarodziejskiej różdżki. Różdżka była połączona z maszyną, na której widniał napis SMITHS DETECTION. Niewątpliwie miała wykrywać śladowe ilości materiałów wybuchowych. Tanner czekał cierpliwie kolejną minutę, tłumiąc w sobie chęć uczynienia jakiejś kąśliwej uwagi. Wreszcie agent powiedział: „W porządku” – i oddał torbę właścicielowi.

Michael rozpiął ją, wsunął do środka swój laptop MacBook Air, zapiął z powrotem, a następnie wsunął pasek w szlufki spodni, jednocześnie wkładając stopy w buty. Z trudem powstrzymywał się od ciągłego patrzenia na zegarek.

Gdy dotarł do właściwej bramki, nikogo z pasażerów już nie było. Zobaczył jedynie dwie osoby z personelu, mężczyznę i kobietę, którzy czekali za kontuarem.

– Lot numer trzysta sześćdziesiąt dziewięć? – zapytała kobieta.

– Zgadza się.

– W porządku, proszę pana, zdążył pan w ostatniej chwili – oświadczyła z taką naganą, jakby przyłapała Tannera na paleniu w ubikacji.

Wreszcie mógł zająć swoje miejsce w samolocie, oprzeć się wygodnie i wypuścić z płuc powietrze.

Udało się, wszystko będzie dobrze. Do Bostonu dotrze około dziewiętej trzydzieści wieczorem, a nazajutrz wróci do pracy.

Ogarnęły go wątpliwości, czy podróż do Los Angeles była warta zachodu. Odbił ważne spotkanie handlowe z kucharzem celebrytą Alessandrem Battaglią, gwiazdą Food Network, zwycięzcą Kuchennych Potyczek i współwłaścicielem sześciu restauracji. Mistrz Battaglia oświadczył, że przywiązuje ogromną wagę do jakości kawy serwowanej w jego zakładach gastronomicznych. W większości restauracji mają to gdzieś, ponieważ najbardziej liczą się dla nich koszty, marże i zyski, nie wyłączając nawet najelegantszych lokali. Tam parzy się zwykłą lurę z najtańszych mieszanek, głównie brazylijskich i kostarykańskich, a klienci owych przybytków, obżarci kolacją, nie zwracają uwagi na smak naparu i nie są świadomi różnicy. Natomiast mistrz Battaglia świetnie wie, jak powinna smakować wyborna kawa.

Tanner przywiózł ze sobą kilka próbek ziaren, tak zwaną kawę jednorodną: kenijską,

etiopską i gwatemalską, które poddano osobnemu prażeniu trzy dni wcześniej. Wszystkie świeżo zmielono w młynku marki Baratza, na oczach mistrza kucharskiego, a następnie zaparzone je i podano. Każda smakowała wyraźnie inaczej i każda była znakomita. Tanner – założyciel i prezes firmy Tanner Roast – przybył do Los Angeles osobiście. Postanowił nie wysyłać Karen, swojej dyrektorki do spraw handlowych. Battaglia wydawał się zbyt ważnym klientem.

Alessandro, w zielonych crocsach, stał i czekał, aż kawa ostygnie, wiedząc, że należy jej kosztować dopiero, gdy osiągnie temperaturę pokojową. Jako profesjonalista każdą próbkę przyjmował z głośnym siorbnięciem. Najbardziej odpowiadała mu odmiana kenijska. Tanner zgodził się, że odznacza się ona najwyższym smakiem, najlepszą strukturą i optymalnym wyważeniem.

Największe zainteresowanie Battaglii wywołał jednak koncentrat kawowy o nazwie Tanner Cold Brew, przedmiot dumy Michaela, który sam go wymyślił. Można go było stosować do robienia kawy z lodem, kawy z kija, tej z dodatkiem azotu, a także normalnego napoju na gorąco, tyle że bez typowej goryczki. Produkt ów sprzedawano w beczułkach.

Wiele osób „parzyło” sobie kawę na zimno, ale niewiele umiało to robić właściwie. Dolewanie gorącej wody do mieszanki zupełnie jej nie służyło. I dopiero Tanner zmienił tę procedurę. Opracował od początku do końca nowy, oryginalny proces, w wyniku którego otrzymano czysty, mocny smak kawy, lekko owocowy, czekoladowy, a nawet kwiatowy. W dodatku pozbawiony ciężkości i zapachu palonych ziaren, jak u wszystkich pozostałych „naparów” na zimno. Receptura była o wiele lepsza niż ta od Stumptowna – bez porównania lepsza, szczerze mówiąc.

Battaglia też był nią zainteresowany. Wszystko przebiegało dobrze. Zawarcie umowy wydawało się w zasięgu ręki.

Tylko że kucharz chciał jeszcze trochę porozmawiać ze swoimi współnikami, a to w istocie rzeczy oznaczało dalsze wyklócanie się o cenę. W gruncie rzeczy facet nie różnił się od pierwszego lepszego menedżera dowolnej restauracji sieci Applebee’s. Kawy z gatunku Tanner Roast kosztują więcej niż te zwykłe, pijane przez ogół konsumentów, co jest normalne w wypadku artykułów z górnej półki. Mistrz Battaglia zdawał sobie sprawę, że będzie płacić za selekcjonowane indywidualnie, wyprodukowane bez najmniejszej wady i bardzo starannie transportowane ziarna, które następnie wypraży się w małych partiach... i tyle. Kubek kawy z Big Green Chain smakował zwykle spalenizną. Jeśli Tanner Roast można porównać do filmu w technicolorze, tamten płyn wypadał przy nim jak czarno-biała fotografia. Warto więc było wydać trochę więcej na barwny obraz.

Oczywiście łatwo się mówi.

Tanner przespał wcześniej tylko kilka godzin, które musiały wystarczyć mu do funkcjonowania. Czuł się tak wyczerpany i zmęczony, że aby zasnąć, wcale nie potrzebował zażywać zolpidemu.

Kiedy dotarł do swojego domu na South End, oczy miał czerwone, bolała go głowa, był skołowany.

Dom – pięć kondygnacji włącznie z piwnicą – po odejściu Sarah zdawał się rozbrzmiewać tylko echem. Tanner włączył światło w kuchni i stojąc przy wyspie, otworzył laptopa. Wcześniej porobił w nim parę notatek, które teraz zamierzał wysłać do siebie mejlem. Komputer był wyłączony, co go zdziwiło, ponieważ rzadko rezygnował z zasilania. Czyżby zgasił urządzenie w taksówce, jadąc na lotnisko? Możliwe. Pewnie laptop sam się zawiesił, nic strasznego. Tanner wcisnął przycisk startu i po chwili zobaczył zupełnie nieznaną sobie tapetę ekranu: kulę ziemską, nazwisko „S. Robbins” oraz pusty pasek do wpisania hasła.

Przez mniej więcej minutę gapił się w monitor, nim wreszcie zdał sobie sprawę z oczywistości: to nie był jego laptop. Podczas przechodzenia przez kontrolę bezpieczeństwa musiał w pośpiechu złapać identyczny macbook air, tyle że należący do kogoś innego. Do niejakiego S. Robbinsa.

A ów S. Robbins pewnie ma teraz komputera Tannera.

Cudowne, wręcz idealne zakończenie pełnego frustracji dnia.

Laptop otaczał ulotny zapach kobiecych perfum, przyjemna, znajoma woń białych kwiatów; Tanner czuł ją kiedyś. S. Robbins musiała być kobietą.

Zamknął komputer nieco zbyt gwałtownie, wstał i podszedł do barku w salonie, aby nalać sobie szkockiej. Potem, zerkając na zegarek, coś sobie przypomniał. To czwartek, czyli wieczór przy piwku w Albionie z paroma przyjaciółmi. Wcześniej Tanner zamierzał się z tego wymigać, przypuszczając, że po powrocie będzie zbyt zmęczony na imprezowanie.

Czuł się padnięty, owszem, ale jeszcze bardziej pragnął drinka. Wyjął iPhone’a i wcisnął klawisz szybkiego wybierania, pod którym miał zapisanego Lanny’ego Rotha.

Gdy Lanny odebrał, z tła buchnęła głośna muzyka.

– Tanner! Nadal jesteś w Los Angeles? – Z jakiegoś powodu najbliżsi przyjaciele biznesmena, nie wyłączając jego żony, zwracali się doń po nazwisku i jedynie ludzie obcy bądź pracownicy mówili „Michael” albo „Mike”.

– Właśnie wróciłem – odparł. – Domyślam się, że jesteś w Albionie.

– Wpadniesz? Niedawno przyszedłem. Brian już się nawalił, jak próbował poderwać jakąś studentkę, ale noc jeszcze młoda.

– Zajmij mi miejsce – poprosił Tanner.

Nagle coś mu się skojarzyło. Poszedł po macbooka air, aby to sprawdzić. Istotnie, nie mylił się: w obudowę wciśnięty był mały różowy kwadrat, karteczka samoprzylepna. Wcześniej Michael zauważył ją, ale dopiero teraz wyłuskał kartkę z metalowego obramowania i ujrzał na niej mieszaninę liter i cyfr: 342Hart342.

Ciekawe, czy...

Ponownie otworzył laptopa, po czym wpisał wszystkie znaki w pasek hasła. No jasne. Ekran zajaśniał standardową tapetą Apple’a, przedstawiającą górski szczyt.

– Mam cię – powiedział Tanner głośno.
Zamknął komputer i chwycił kluczyki od samochodu.

Dziecko właśnie zasnęło, przytulone do sutka matki.

Will Abbott powoli oderwał małego Travisa od piersi Jen i ostrożnie, delikatnie – jakby transportował odbezpieczony ręczny granat – zaniósł go przez ciemny pokój do łóżeczka. Mógł wybuchnąć w każdej chwili.

Sześciotygodniowy Travis prawie nie sypiał. Może czasami po kilka godzin, nigdy dłużej. A kiedy nie spał, jego rodzice również nie mogli paść w objęcia Morfeusza.

Dziecko zostało właśnie nakarmione, po raz ostatni tego dnia, a przynajmniej do chwili, gdy o drugiej w nocy obudzi się głodne, desperacko domagając się jedzenia. Jednak w tej chwili wyglądało niczym mały aniołek unoszący się na obłokach; tylko od czasu do czasu cicho pojękiwało przez sen. Obudzi się o drugiej albo trzeciej nad ranem, żarłoczne, ryczące i niedające się ukoić.

To zawsze Jen wstawiała, aby nakarmić synka, ponieważ chciał tylko ją, nie Willa. A poza tym Will musiał iść rano do pracy. W takich momentach przewracał się więc na drugi bok, chował głowę pod poduszkę i ponownie zasypiał, podczas gdy Jen uspokajała malca. Potworna niesprawiedliwość. Will, który był zatrudniony na Kapitolu jako szef personelu pani senator, miał o wiele łatwiejsze zadanie. Ale to właśnie dzięki jego pracy stać ich było na czynsz za mieszkanie w Stanton Park.

Od czasu przyjścia na świat dziecka Abbott był nieustannie zmęczony i złakniony snu. Wykorzystał miesięczny urlop tacierzyński – chociaż większość szefów personelu nie decydowała się na to – podczas którego starał się zajmować małym możliwie najintensywniej, aby Jen zdołała co nieco odespać. Ale Travis zawsze wolał mamę. Will próbował sadzać go w foteliku samochodowym i wozić, niestety, bez rezultatów. Dziecko ciągle płakało.

Matka Jen podejrzewała u Travisa kolkę, ale pediatra poinformował ich, że jest to stare pojęcie, używane wobec dzieci niespokojnych, którym nie dolega nic widocznego gołym okiem. Małego zapewne bolał brzusek, choć i co do tego nie można było mieć pewności. Po prostu zwykłe, marudne niemowlę, często bardzo głodne, a przy tym nietolerujące butelki, dlatego rodzice nie mogli mu zapewnić więcej pokarmu.

Dziecięcy pokój wypełniał biały szum z generatora umiejscowionego w rogu, tuż obok łóżeczka. To Jen wpadła na ten pomysł. Uznała, że maszyna zagłuszy hałas dobiegający z ulicy.

Wszystko, byle tylko mały spał trochę więcej.

Will wrócił do łóżka, unikając skrzypiących klepek parkietu. Już miał się położyć, gdy nagle zadzwonił jego blackberry. Telefon służbowy. Trzymał go na nocnym stoliku, zawsze w ładowarce, ponieważ po dwudziestej pierwszej odzywał się bardzo rzadko. A jeśli już, to dzwoniła tylko szefowa, co znaczyło, że sprawa jest naprawdę ważna.

Już po pierwszym sygnale – Will zapomniał przełączyć komórkę na wibracje – Travis się obudził i zaczął głośno płakać. Na wyświetlaczu ukazał się numer pani senator. Rzecz musiała nie cierpieć zwłoki. W przeciwnym razie przyszedłby tylko esemes.

– Witam, Susan – powiedział Abbott.

– Will, słuchaj, dałam ciąa.

Zły znak. Szefowa nigdy nie pozwalała sobie na samokrytykę, nie była skora do obwiniania samej siebie. Miała ogromne ego i wykazywała denerwującą, niezmaconą pewność siebie.

– Tak? – odezwał się tonem znamionującym przejście w tryb „Ja to wszystko potrafię naprawić”.

– Pomyliłam laptopy.

– Chyba nie...

– Na lotnisku. Wzięłam komputer kogoś innego. Podczas kontroli bezpieczeństwa. A ten ktoś ma mój.

– Okej. Leciała pani liniami American, tak? Zadzwonię do działu rzeczy zgubionych i znalezionych na lotnisku National. Pewnie zamiana została już zgłoszona i ta osoba odniosła...

– To się stało w Los Angeles.

Dziecko już wyło na dobre, więc Will wyszedł do przedpokoju, zasłaniając ręką wolne ucho.

– Nie ma problemu, w takim razie zadzwonię...

– Czy ty śpisz? Masz chyba zaćmienie umysłu. Kontrola bezpieczeństwa na lotnisku w Los Angeles, Will. To znaczy, że mój komputer mogła wziąć jedna z miliona osób lecących jednym z tysięcy samolotów. Tysięcy. Poza tym – westchnęła ciężko – poza tym cholernie dobrze wiesz, że nie możemy zgłosić tego na policję.

Przez krótką chwilę Abbott nie bardzo rozumiał, o czym szefowa mówi, aż wreszcie do niego dotarło.

– Rany.– Poczul lodowate macki zaciskające się na żołądku. – O Boże. Ale... ale jest chyba chroniony hasłem, prawda? To znaczy, że nikt nieuprawniony się tam nie dostanie. Tak?

Nastąpiła długa cisza. Gdzieś w tle Will słyszał odległy pogłos komunikatu wydobywającego się z lotniskowych głośników. Już miał powtórzyć pytanie, ale kobieta odpowiedziała ponuro:

– Tak, jest zabezpieczony hasłem.

– Świetnie. Czyli nie musimy się tym martwić. – Lodowate macki zaczęły ustępować. W telefonie dał się słyszeć głośniejszy szum, jakby rozmowy, która zbliżała się do szefowej.

– Owszem, musimy – zaprzeczyła Susan. – Trzeba zakładać najgorsze. Dopóki ten komputer gdzieś tam jest.

– Cóż, być może ten, kto go wziął, zdał sobie już sprawę, że nie należy do niego, i dostarczył go do działu rzeczy zgubionych/znalezionych na lotnisku w Los Angeles.

– Może – rzuciła szefowa bez przekonania. – Jak szybko przyjdiesz jutro do pracy?

– A jak szybko mam być?

Mały Travis wydał z siebie rozziewający wrzask, od którego przewracało się w żołądku i pękały bębenki. Will spojrzął na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Uspokojenie dziecka zajmie jakieś trzydzieści minut, a wiedział, że to jego obowiązek, nie Jen. Jeśli będzie mieć szczęście, zdoła przespać trzy i pół godziny, nim nadejdzie nieuniknione: pobudka o drugiej nad ranem, a potem następne dwie–trzy niespokojne godziny. Pięć, może sześć godzin przerywanego snu, obliczał, nim nastanie długi i prawdopodobnie wyczerpujący dzień.

– Will, skończyłeś gadać przez telefon? – zawołała Jen. W jej głosie słychać było napięcie i irytację. Czyli należało zmienić pieluchę.

– Do jutra – rzucił do słuchawki, a potem wcisnął czerwoną ikonkę, przerywając połączenie. – Tak, już lecę.

Albion był to usytuowany w podziemiach pub przy Beacon Street, na samym skraju kampusu Uniwersytetu Bostońskiego. Słabo oświetlony, jeśli nie liczyć stroboskopowego migotania telewizorów, które zamontowano na jego ścianach. Wszystkie pokazywały na tym samym kanale mecz drużyny Red Soksów. Lokal miał przypominać typowy angielski pub, lecz jego wystrój – kilka wiszących szyldów i mosiężnych wieszaków – dość wątpliwie do niego nawiązywał. Bar sprawiał raczej wrażenie spelunki dla studentów, którą w istocie był.

Kumple siedzieli w tym samym boksie co zwykle, czyli pierwszym po lewej. Carl Unsworth i Landon Roth, z którymi Tanner studiował kiedyś na Uniwersytecie Bostońskim, i Brian Orsolino, kierownik sprzedaży w firmie informatycznej, dziesięć lat od nich młodszy, grywający niegdyś z Carlem w lidze bejsbolowej. Czwartkowe wieczorne spotkania w Albionie, trwające od wielu lat, stały się ich rytuałem. Tanner przyłączał się od czasu do czasu, właściwie dość sporadycznie, chociaż ostatnio robił to częściej. To znaczy od czasu, kiedy odeszła Sarah.

– Cieszę się, że wpadłeś – powiedział Carl. – Skróciłeś swój wyjazd służbowy? – Carl był instruktorem mieszanych sztuk walki i prowadził w Newton małe studio, gdzie uczył krav magi. Wysoki i oczywiście wysportowany, zaczynał łysieć, a pozostałe jeszcze włosy farbował na nieszczęsny pomarańczowobrazowy kolor. Ponadto biedak przechodził przez niekończący się proces rozwodowy, batański marsz śmierci w kategorii rozplątywania węzłów małżeńskich.

Tanner pokręcił głową.

– Przyleciałem punktualnie i tak sobie pomyślałem, że czemu by nie wpaść.

– I nie masz żony, która by ci zabroniła chwili dobrej zabawy – skomentował Carl.

Tanner tylko westchnął ciężko. Kumple wiedzieli o Sarah, znali ją i lubili. Nawet on nie potrafił jej znienawidzić.

Mimo to, kiedy jego żona się wyprowadziła, zareagowali w sposób przewidywalny. Carl pogratulował mu, zadowolony z nowego kolegi w towarzystwie samotnych facetów. Teraz wszyscy byli singlami, cała czwórka. Natomiast Lanny złożył Michaelowi szczere kondolencje. Był reporterem działu miejskiego gazety „Boston Globe”, człowiekiem zgorzkniałym od samotności, przedwcześnie pomarszczonym na twarzy, który umawiał się na randki bez żadnego ładu i składu, jak popadło. Zwykle kobiety orientowały się dość szybko, że gość jest towarem wybrakowanym. Z bycia singlem uczynił profesję, czego

prawdopodobnie nic już nie mogło zmienić. Z kolei Brian usiłował Tannera pocieszać, opowiadając o różnych niesamowitych aplikacjach randkowych oraz o setkach kobiet dostępnych po jednym przesunięciu palca po wyświetlaczu iPhone'a.

– Chyba zerwę dziś z tradycją i zamówię kieliszek pinot noir – obwieścił Brian.

– Ale to noc piwna – zaprotestował Carl.

– Podobno po winie sperma jest zdrowsza – zareplikował Brian.

– Ha, nie ma co wierzyć we wszystko, co mówią... – wtrącił się Lanny. Bardzo często używał tego zdania. Wystarczyło na przykład wspomnieć, że powinno się jadać jak najwięcej jarmużu, a Lanny natychmiast reagował: „Nie ma co wierzyć we wszystko, co gadają”. Była to replika, którą posługiwał się niemal odruchowo, idealnie pasująca do anturazu zblazowanego, cynicznego dziennikarza. Facet prezentował się jako nieuleczalny sceptyk, nie ufał nikomu, niczego nie brał za dobrą monetę. – Sprzedałeś trochę kawy?

– Tak mi się wydaje.

– Mówię ci, trzeba było odstąpić firmę Starbucksowi. Byłbyś dzisiaj bogatym człowiekiem i nie musiałbyś latać w jakieś dziwne miejsca w pogoni za forszą.

Tanner wzruszył ramionami.

– To samo powtarzała mi Sarah.

– Widziałem produkty marki Tanner Roast w supermarkecie Whole Foods – powiedział Brian. – Obok Fresh Pond.

– Tak, to mój klient.

– W alejce przeznaczony na kawę. Ale na dolnej półce. Dlaczego?

– Hej, zamawiają cztery skrzynie tygodniowo. Nic więcej na ten temat nie wiem – odrzekł Michael.

– No cóż, i tak twoja kawa jest najlepsza, stary – ustąpił Brian.

– Dzięki.

– I to mówi facet, który połowę życia spędza w lokalach Dunkin' Donuts – odezwał się Carl.

– Lubię je – powiedział Brian. – Po prostu.

– Czemu tu jeszcze siedzisz? – Carl nie ustępował. – Nie powinienes teraz rznąć jakiejś laski?

– Facet musi czasem zrobić sobie przerwę. Doładować akumulator. Uzupełnić poziom płynów w organizmie. – Brian chwalił się im kiedyś, że przez kilka tygodni co wieczór umawiał się z inną kobietą. Ten napakowany blondyn nie był szczególnie przystojny, ale niewiele mu brakowało. Z babkami radził sobie lepiej niż ze sprzedażą oprogramowania baz danych.

– Powinienes wypróbować Tindera, stary – rzucił Brian w kierunku Michaela.

– No. Na razie nie. Minął dopiero miesiąc.

– Więc na co czekasz? – Brian nie ustępował.

Tanner potrząsnął głową i westchnął. Dziwne, pomyślał. Opowiedział kumplom wszystko o odejściu Sarah, ale słowem nie wspomniał o kłopotach w firmie, o tym, jak bardzo jego interes jest zagrożony. Problemy biznesowe wolał zachowywać dla siebie. To on jako jedyny w tej grupie był zawsze człowiekiem sukcesu, facetem, który założył przedsiębiorstwo handlujące kawą, atrakcyjne nawet dla Starbucksa. Kiedyś Starbucks chciał kupić jego firmę. Tanner pragnął utrzymać ten wizerunek w oczach kolegów.

Należało zatem zmienić temat, który stał się niezbyt wygodny. Michael opowiedział o swojej przygodzie z laptopem.

– Masz jakiś pomysł, gdzie może być twój komp? – spytał Carl. – Nikt do ciebie nie dzwonił?

– Nie da się go uruchomić bez hasła.

– A ty nie zostawiłeś go na karteczce samoprzylepnej jak jakiś idiota – rzucił Brian.

– Cholera, i co teraz zrobisz? – znów odezwał się Carl.

– Właściwie nic takiego się nie stało – odparł Tanner. – Spoko. Mam kopie zapasowe. I tak rzadko używam laptopa, chyba że jestem w podróży. W pracy korzystam głównie z iPada, telefonu i komputera stacjonarnego.

– Jest coś takiego jak program Find My iPhone. Słyszałeś o nim? – zapytał Lanny. – Wydaje mi się, że ma zastosowanie również do laptopów. Find My Mac czy jakoś tak.

Tanner pokręcił głową.

– Działa tylko wtedy, kiedy komputer jest zalogowany do sieci, a przecież mój ma hasło. Więc nie połączy się z netem.

– Zacznij grzebać w laptopie tego kogoś. Zorientujesz się, kto zacz.

– Jasne – odrzekł Michael bez entuzjazmu. – Jak znajdę chwilę czasu.

Słabiutki zapach perfum L'Air du Temps w sekretariacie biura podpowiedział Willowi, że szefowa już dotarła na miejsce.

Bardzo wcześnie.

Normalnie przychodziła do pracy dopiero o dziewiątej albo o wpół do dziesiątej, umożliwiając mu godzinę spokojnej, niczym niezakłóconej pracy za biurkiem i przygotowanie się na resztę dnia. A każdy dzień stanowił batalię, kolejną bitwę w długotrwałej wojennej kampanii. Will zaczynał się do niej sposobić natychmiast po obudzeniu, z kubkiem mocnej, czarnej kawy w ręku. Jak generał w sztabie armijnym.

Wcześniej w swym małym domowym gabinecie przejrzał informacje prasowe i zajawki, które przysły mejlem z różnych serwisów, pobieżnie zlustrował wiadomości pocztowe (codziennie było ich ponad trzysta, nie licząc spamu – wiedział, bo kiedyś je policzył), zajrzał do „Washington Post”, „The Hill”, do „RealClearPolitics”, „Politico” oraz „Drudge’a”. Zapoznał się też z projektami ustaw, które wkrótce miały być głosowane. Potem rozesłał notki do członków swojego personelu, aby stawili się w jego biurze. Do pracy pojechał o ósmej trzydzieści, gotowy do walki. *Dowódca musi zdecydować o przebiegu bitwy, zanim do niej dojdzie. Przeczytał kiedyś to zdanie i zapamiętał je dokładnie. Jeśli nie zdołasz się odpowiednio przygotować, to przygotowujesz się do porażki.*

W ciągu dnia działo się zawsze bardzo dużo, co Will potrafił docenić. Lubił swoją pracę, lubił tam być, w tym dorosłym świecie, z dala od wrzasków małego Travisa. Dzisiaj jednak kalendarz zdawał się znacznie bardziej zapchany niż zwykle. Dyrektor do spraw legislacyjnych chciał zwolnić jedną z asystentek, która stale się spóźniała. Ale przecież nie można ot tak sobie wyrzucić pracownika. Politycy nie życzą sobie niezadowolonych byłych członków personelu, którzy – wywaleni na bruk – psioczą na nich, grożą i obmawiają. Dlatego Will musiał się najpierw spotkać w cztery oczy z asystentką, wyjaśnić sytuację, pomóc jej znaleźć nową pracę. Potrzebna była również jego reakcja na niektóre doniesienia prasowe. O godzinie dziesiątej miała się odbyć wideokonferencja z dyrektorem stanowym i jego personelem. Potem lunch połączony ze zbieraniem środków pieniężnych w Bistro Bis.

No i do tego jeszcze zamieszanie z laptopem szefowej, które mogło okazać się sprawą całkiem banalną.

Albo absolutnym koszmarem.

W pewnym sensie to, że Will był szefem personelu prominentnej pani senator, należałoby uznać za dziwne. Oprócz tej najważniejszej relacji służbowej łączącej go z szefową Abbott nie miał już nad sobą nikogo, pod sobą zaś – czterdziestu pięciu ludzi, licząc także osoby w biurze terenowym w Chicago. Wszyscy mu podlegali. Musiał sobie radzić z całą gamą zróżnicowanych osobowości, chociaż sam zawsze należał do mężczyzn, którzy nie pasowali do żadnego środowiska.

Kiedyś był po prostu nieprzystosowanym kujonem, nerdem z hipsterskiego college'u. Studiował na Uniwersytecie Miami w Ohio – nie w tym Miami na Florydzie. Miał już serdecznie dość tłumaczenia wszystkim wokół, że poszedł tam ze względu na świetny poziom nauk politycznych. W sobotnie wieczory, kiedy inni lecieli na lodowisko Goggin Ice Center, aby obejrzeć mecz hokejowej drużyny RedHawks, albo popijali z puszek piwo Natty Light podczas jakiejś studenckiej imprezy na przedmieściach, on uczył się w bibliotece King Library. Lunche i kolacje jadał w Harris Dining Hall, najczęściej samotnie, natomiast wszyscy pozostali tłoczyli się przy stolikach i hałaśliwie rozmawiali, śmiejąc się, wygłupiając i świetnie bawiąc. Tak naprawdę Will był dla nich zwykłym kujonem.

Gdy Will skończył czternaście lat, zmarł mu ojciec, a matka – recepcjonistka w gabinecie stomatologicznym – nie zarabiała zbyt wiele. Po śmierci męża sprzedała dom, co jednak nie wystarczyło na pokrycie potrzeb finansowych. Dlatego podczas studiów Will miał się wszelkich robót: pracował w uczelnianym dziale rekrutacji, za pieniądze pisywał kolegom prace semestralne.

Będąc jeszcze na pierwszym roku, w przypływie szaleństwa wystartował w wyborach na skarbnika, lecz został zdecydowanie pokonany przez jakiegoś tępego palanta, uczelnianego sportowca. Przykre, publiczne upokorzenie. Po ogłoszeniu wyników głosowania Will poszedł do swojego jednoosobowego pokoju w akademiku i zamknął się na cztery spusty, ignorując dobijających się do drzwi kolegów z roku.

Upokorzenie było bardzo bolesne, jednak z czasem doszedł do wniosku, że przyniosło mu pewną korzyść. Kochał politykę, lecz tamtego wieczoru zrozumiał, że niektórzy ludzie zupełnie nie nadają się do kandydowania. Jedni ustawiają się do zdjęć w świetle reflektorów, a inni stoją z boku, niewidoczni. Tacy jak on. Żył polityką, był od niej uzależniony, aczkolwiek jego rola polegała na doradzaniu komuś mniej skomplikowanemu, głupszemu i bardziej popularnemu niż on, aby wystartował i wygrał wybory. I ci charyzmatyczni, lubiani i atrakcyjni, obdarzeni darem okazywania wylewnej serdeczności i towarzyskim usposobieniem, którego Willowi tak bardzo brakowało, zaczęli zdawać sobie sprawę, że mogłby być dla nich użyteczny.

W college'u Will otrzymał od kolegów ksywkę, lecz nie taką, jaką wybrałby sobie sam. Jeden ze studentów pierwszego roku, typowy nienawistnik, zauważywszy lekko kołyszący się krok Abbotta, zaczął wołać na niego Pingwin. Na przykład: „Gdzie jest Pingwin?” albo „Dajmy to Pingwinowi do załatwienia”. Will przede wszystkim chciał, by go lubiano,

a jedyne, co mógł osiągnąć, to pozycja człowieka, wobec którego należało być miłym.

Nigdy nikogo nie namawiał do udziału w polityce; dobrze wiedział, że byłby to błąd. Na trzecim roku studiów, jesienią, jeden z popularnych facetów mieszkających na tym samym piętrze akademika w Dorsey co Will postanowił wystartować w wyborach na przewodniczącego samorządu studentów. Miał stanąć w szranki z innym lubianym młodzieńcem. Wówczas Will podszedł do niego i zaproponował swoje usługi „poprowadzenia” kampanii. Ów chłopak, niejaki Peter Green, w pierwszej chwili uznał, że Will sobie żartuje, ale potem sprawę przemyślał i wyraził zgodę. Peter wybory wygrał, a przemawiając jako zwycięzca – w istocie był to chaotyczny, improwizowany bełkot na haju – oświadczył: „Hej, Pingwin, jestem twoim wielkim dłużnikiem. Znaczący – Will”. Peter po prostu się przejęczył, tłumaczył sobie Abbott, udając, że śmieje się wraz z resztą audytorium.

Na ostatnim roku studiów Will został przewodniczącym klubu dyskusyjnego pod nazwą Towarzystwo Technik Śledczych, ponieważ nikt inny nie chciał się podjąć tej ciężkiej pracy, właściwie harówki. Fakt ten umieścił w swoim CV, aplikując o staż na Kapitolu. Dołączył również listę dziekańską, czyli oceny z wszystkich ośmiu semestrów.

Abbott delikatnie zapukał w otwarte drzwi gabinetu szefowej. Senator Susan Robbins siedziała za drewnianym biurkiem ze szklanym blatem, rozmawiając przez telefon. Podniosła palec wskazujący, obrzuciła Willa pustym wzrokiem i powiedziała:

– Tak, Chuck. Da się zrobić. Załatwione.

Will czekał w progu. Robbins była imponującą kobietą o kasztanowych włosach i kobaltowoniebieskich oczach. Jako dwudziesto-, trzydziestolatka musiała zwalać z nóg. Nawet w wieku sześćdziesięciu dwóch lat wciąż wyglądała pięknie.

Miała na sobie modry żakiet, który wkładała, będąc w nastroju bojowym. Z reguły nosiła kostiumy bądź spódnice barwy perłowej. Turkus oznaczał, że senator wybrała postawę koncyliacyjną, natomiast kolor szmaragdowy przeznaczony był na posiedzenia o dużej oglądalności, przed kamerami telewizyjnymi. Na zajęcia wieczorne i zbiórki pieniędzy rezerwowała barwy rubinowe. Will był prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która wiedziała, co oznacza dany kolor ubioru Susan Robbins. I chyba jedyną, którą to obchodziło.

Senator bawiła się zwiniętym przewodem telefonicznym, owijając go wokół palca niczym małe lasso.

– Rozumiem – powiedziała. – Hm, hm. Pa.

Odłożyła słuchawkę.

– Wejź – poleciła.

Abbott wszedł do gabinetu i usiadł na krześle obok biurka. Szefową i jego dzieliła różnica dwudziestu pięciu lat, dlatego czasami czuł się jak jeden z jej synów: dobry syn. Ze starszym potomkiem miała napięte relacje, natomiast z młodszym – praktycznie żadne. Will

zastanawiał się, jak to jest mieć taką matkę jak Susan Robbins. Z pewnością niełatwo. Jako szefowa potrafiła, no cóż, dać się we znaki, ale mimo to odczuwał gorące pragnienie jej chronienia, niezachwianą lojalność, gęstą i lepka niczym żywica epoksydowa.

– Jest jakiś sprytny sposób, żeby odnaleźć mojego laptopa? – spytała. – To znaczy przez internet?

Abbott przypuszczał, że szefowa miała na myśli oprogramowanie w rodzaju Find My Mac, instalowane w niektórych komputerach tej marki, które pozwalało skorzystać z usług iCloud w celu zlokalizowania zgubionego bądź ukradzionego sprzętu, także iPhone'a. Z umiarkowanym zdziwieniem przyjął, że senator słyszała o czymś takim. Niestety, ich informatyk dezaktywował program na macbooku należącym do Susan, zresztą na jej usilne żądanie, ze względów bezpieczeństwa.

– Teoretycznie tak, ale przecież laptop jest wyłączony.

– Więc nie ma możliwości namierzyć go w sieci?

– Nie ma. Jedyne, co możemy zrobić, to skontaktować się z osobą, która wzięła pani komputer, i doprowadzić do wymiany.

– Ale ja nie mam pojęcia, do kogo ten sprzęt należy. – Wskazała na płaski, połyskujący, srebrny prostokąt, który leżał przed nią na biurku. – Jest zabezpieczony hasłem. Jak się dowiemy, kto jest jego właścicielem?

Will wyciągnął rękę po laptopa. Szefowa podniosła komputer i mu go podała.

– Zajmę się tym – powiedział.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. – I spokojniejszym głosem dodała: – Jeśli ktoś się dowie... To może zostać uznane za poważne przestępstwo. Właściwie żadne tam „uznane”. To jest poważne przestępstwo.

Will poczuł mdłości.

– Przecież nikt nie postawi pani zarzutów.

– Nie bądź taki pewny. W dzisiejszych czasach, w tej atmosferze, to byłby z pewnością koniec mojej kariery. Musi być jakiś sposób, żeby się do niego włamać i ustalić, do kogo należy, prawda?

Will uniósł rękę jak policjant drogówki.

– Proszę się o to nie martwić – powiedział. – Sprawa już jest załatwiona.

Firma Tanner Roast zajmowała duży magazyn przy bocznej uliczce w Brighton, przedmieściu Bostonu zamieszkanym przez przedstawicieli klasy robotniczej. Na jednym krańcu budynku znajdowały się rampy załadunkowe, na drugim – drzwi z suchym napisem TANNER. Zaraz po wejściu do środka czuło się zapach prażonej kawy.

A zapach ten jest całkiem odmienny od woni napoju parzonego w domu. Powietrze w palarni kawy zalatuje niekiedy wilgotną słomą. Nie zawsze przyjemnie, za to bardzo ekologicznie. Michael uwielbiał tę woń.

Niestety, wystarczy jedno złe ziarnko, aby zaszkodzić jakości całej partii towaru, co okazuje się dopiero podczas degustacji. Tego ranka Tanner i jego załoga – w tym Sal Persico, główny technolog – zajmowali się właśnie tą czynnością. Sal, pokryty tatuażami olbrzym, delikatnie wyjmował małe szklaneczki ze zmywarki do naczyń. Mężczyznę zdobiły liczne kolczyki oraz dziary, obejmujące całe ramiona i ręce, wielkie i z pozoru niezgrabne niczym rękawice bejsbolowe, które jednak potrafiły operować jak najczulsze instrumenty. Facet był ekswieżniem i na takiego wyglądał.

Ubiegając się o tę pracę, Sal wręczył Michaelowi swoje podanie, obrzucając go jednocześnie spojrzeniem winowajcy. Tanner szybko zrozumiał dlaczego: Sal postawił ptaszek w kwadraciku przy pytaniu o przeszłość kryminalną. Zapytał więc kandydata, co takiego się stało, że spędził za kratkami trzy lata. Sal opowiedział mu wówczas o napadzie z bronią w rękę, w który dał się wciągnąć jako nastolatek; w jego głosie pobrzmiwała nie tylko skrucha, lecz także zawstydzienie własną głupotą.

– No cóż, w takim razie przekonasz się, że nasza kawa jest o wiele lepsza od tej lury, którą serwują w Cedar Junction – rzekł Michael. I dodał, że przestępcza przeszłość Sala nic go nie obchodzi, o ile rzeczywiście jest tak dobry w paleniu kawy, jak się o nim mówi.

Nigdy więcej nie rozmawiali o owym napadzie z użyciem broni palnej. Sal czuł wobec Michaela głęboką wdzięczność. Natomiast sam Michael wcale nie kierował się wielkodusznością, po prostu przeszłość Sala zupełnie nie miała dlań znaczenia. Ufał swoim zdolnościom właściwego oceniania ludzi, a Sal był dobrym człowiekiem. A także, jak się okazało, Mozartem wśród fachowców od prażenia kawy, prawdziwym geniuszem w tej dziedzinie.

– Dzisiaj tylko sześć – zwrócił się do Tannera, ustawiając kieliszki w szeregu tuż obok młynka marki Mahlkönig EK 43. – Wszystkie z Gwatemali.

– Muszę coś jeszcze sprawdzić – powiedział Michael. – Będziesz gotowy na dziesiątą? – Sal kiwnął głową.

Gabinet Tannera, w sąsiednim pomieszczeniu, zdobił jedynie plakat w tanich ramkach, przedstawiający czerwone pestkowce kawy podobne do jagód, oraz mapa świata z wbitymi pineskami na całej niemal powierzchni. Na drugiej ścianie wisiało zabytkowe lustro, reklamujące kawę marki Maxwell House. Michael czasami korzystał z niego, aby się ogolić lub żeby zerknąć na osobę, która siedzi na fotelu dla gości. Jako handlowiec zawsze uważnie przyglądał się swoim klientom.

Wcześniej Michael pracował na stanowisku specjalisty do spraw sprzedaży w dużej firmie EMC (był jednym z najlepszych) w Hopkinton w stanie Massachusetts, zajmującej się magazynowaniem danych. Zdecydowali się jednak z Sarah na skok do głębokiej wody, inwestując wszystkie pieniądze, nawet te na czarną godzinę, w nowe przedsięwzięcie pod nazwą Tanner Roast. Michael kochał kawę, uwielbiał swoich współpracowników i uważał się za szczęśliwca, mogąc zajmować się tak fajną dziedziną biznesu.

Na jego biurku wznosiła się sarta papierów, a na jej szczycie spoczywał laptop, ten niewłaściwy laptop, należący do jakiejś S. Robbins. I dręczył Michaela swoim widokiem. Michael poczuł ochotę poszperania w komputerowych plikach, znalezienia pełnego imienia, adresu, a może numeru telefonu właścicielki. Albo właściciela. Chciał zadzwonić i umówić się na wymianę.

Otworzył macbooka air i w tym momencie usłyszał chrząknięcie. Podniósł wzrok i ujrzał Karen Wynant, dyrektorke działu sprzedaży, filigranową, ciemnowłosą kobietę pod czterdziestkę, o stale zmartwionym wyglądzie. Karen zrezygnowała ze szkieł kontaktowych, ponieważ akurat nie miała spotkania z klientem, i założyła nadmiernie duże, niemodne okulary w czerwonych, plastikowych oprawkach.

– Michael, masz minutkę?

– A o co chodzi? – Tanner zamknął laptopa.

Karen wykazywała kosmiczną skłonność do zgryzoty, jak żadna inna osoba, poza tym martwiła się o rzeczy, o które zupełnie nie trzeba było się martwić. Potrafiła być irytująca, ale Michaelowi jej poważne podejście do pracy, jej zaangażowanie i oddanie dodawało otuchy, a nawet go wzruszało. Dla Karen kariera nie sprowadzała się po prostu do codziennej harówki.

– Jak ci poszło w Los Angeles?

– Facet chce jeszcze pogadać ze swoimi wspólnikami, pisałem ci.

– Myślałam, że cena została uzgodniona.

– No wiesz...

– Zamierzają dalej negocjować?

– On wie, że zależy nam na sprzedaży. Logo Battaglia Restaurant Group dobrze wyglądałoby na naszej stronie internetowej. Facet nie musiał tego głośno mówić.

Zabrzączał interkom, ale Michael go zignorował.

– Który gatunek wybrał?

– Kenijską.

– Naprawdę? Jestem zaskoczona.

– Dlaczego? To przecież nasza najlepsza. Najwyraźniej facet ma wyrafinowane podniebienie.

– A nie jest troszkę za kwaśna?

– Może nie nadaje się do śniadania, ale po kolacji jest po prostu świetna. No i inna w smaku. Jasno palona.

– A mówił, że lubi ciemną, dlatego przesłałam mu French Roast z Kolumbii.

– Może nigdy dotąd nie próbował jasno palonej kawy.

– Alessandro Battaglia?

– Nie wiadomo.

– Mam dalej poprowadzić tę sprawę czy ty się nią zajmiesz? – Interkom na biurku Tannera znowu zabrzączał.

– Najpierw ja, a kiedy Battaglia odeśle mnie do swojego działu napojów, ty przejmiesz pałeczkę. Napisałem ci o tym w mejlu. Wszystko u ciebie w porządku?

Karen ponownie chrząknęła. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć i zbiera siły.

– Umowa z Four Seasons chyba jeszcze nie dotarła, bo jej nie widziałam. A ty?

– Dotrze. Nie przejmuj się. – Tanner starał się, aby w jego głosie nie zabrzmiała irytacja. Przecież zadawała mu to pytanie codziennie. Jeśli ktoś powinien się denerwować w kwestii umowy z Four Seasons, to chyba raczej on. Trzykrotnie latali z Karen do Toronto, gdzie mieściła się centrala firmy Four Seasons Hotels & Resorts, aby wziąć udział w konkursie dla dostawców kawy do sześciu hoteli Four Seasons w Ameryce Północnej. Szczęśliwie przechodzili kolejne etapy, aż wreszcie na placu boju pozostał tylko Tanner Roast.

A wszystko to dzięki koncentratowi Tanner Cold Brew. Ludzie z firmy Four Seasons zgodnie przyznali, że jest on najlepszy w smaku. Pogratulowali Michaelowi pomysłu, aby dodawać do kawy zimny ekstrakt, czego nie zaoferował żaden z jego rywali.

W ten sposób Tanner Roast odniósł zwycięstwo w kulinarnym konkursie. Umowę zawarto na uścisk dłoni, jej wersja na piśmie miała powstać w ciągu najbliższych kilku tygodni, ale jednak była to umowa. I tylko sam właściciel oraz jego główna księgowa wiedzieli, że ów sukces uratował firmę Tanner Roast od katastrofy. Sytuacja finansowa była bowiem bardzo zła.

Michael wstał, aby skłonić Karen do wyjścia z gabinetu, a kiedy się odwrócił, ujrzał stojącą w drzwiach Lucy Turton, kierowniczkę administracyjną. Lucy była wysoka i ogorzała, miała krótkie jasne włosy i zdrowe rumieńce, które nigdy nie znikwały z jej policzków.

– Masz chwilkę? – spytała.

Karen przeprosiła i wyszła.

– Jasne.

Lucy weszła, zamknęła drzwi i przycupnęła na skraju fotela dla gości.

– Znowu chodzi o Connie.

Tanner przewrócił oczami. Connie Hunt pracowała jako księgowka i bardzo często wychodziła z biura. Zawsze znajdowała jakiś powód, byle tylko wymigać się od pracy. W zeszłym roku niespodziewanie zniknęła na cały tydzień, a kiedy wróciła, Lucy spytała, czy coś się stało. Connie odparła, że jej suka właśnie się oszczeniła – czyli w istocie rzeczy był to urlop macierzyński. Od paru lat Lucy błagała Tannera, aby Connie zwolnił, on jednak niezmiennie chciał dać kobiecie kolejną szansę.

– Co tym razem?

– W tamtym miesiącu nie było jej prawie tydzień, rzekomo z powodu bólu prawego nadgarstka. Tylko że jak wróciła, mówiła o kontuzji w lewym nadgarstku. Kilka dni temu też przepadła, powołując się na śmierć członka rodziny. Mówiła, że ciotki. Natomiast dzisiaj stwierdziła, że zmarł jej wujek. Na co ja: „No to kto właściwie umarł? Zdecyduj się”. Michael, musisz wywalić tę babę.

Tanner pokręcił głową i westchnął ciężko.

– Wydaje mi się, że jej życie nie jest usłane różami. Zanim przyszła do nas, miała naprawdę dobrą pracę.

– A może tylko tak nam mówi – zachnęła się Lucy.

– Musimy dać jej szansę.

– Daliśmy jej już co najmniej pięć szans i żadnej nie wykorzystała. Poza tym zawsze się spóźnia z miesięcznym raportem. Większość czasu spędza na Facebooku albo sprzedaje coś na eBayu. Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby kontrolować to, co ona robi na firmowym komputerze?

– Wtedy zmienilibyśmy się w Wielkiego Brata. Nie piszę się na to. Sorry.

Gdy Lucy wyszła, Tanner otworzył laptopa i ponownie wpisał hasło z różowej karteczki samoprzylepnej, którą znalazł pod obudową. S. Robbins. Dwukrotnie kliknął w ikonę „Dokumenty”, po czym ukazała się kolumna folderów o nazwach:

1. Projekt książki
2. Dom w Chicago
3. Mieszkanie w Waszyngtonie
4. Korespondencja
5. Podziękowania dla darczyńców
6. Streszczenia dokumentów
7. Komunikaty prasowe
8. Komentarze

9. Przemówienia

10. SSCI¹

11. Personel

Tanner spojrzął na zegarek; do rozpoczęcia degustacji kawy zostały mu tylko trzy minuty. Wszedł do folderu „Projekt książka”, a następnie otworzył pierwszy dokument z brzegu, oznaczony jako „Propozycja 3.4”. Zaczynał się od słów:

Senator Susan J. Robbins

MORALNE ZOBOWIĄZANIE:

Życie na oczach wszystkich

W ciągu dwudziestu czterech lat zasiadania w Senacie Stanów Zjednoczonych odebrałam kilka bolesnych lekcji. Jedzenie w stołówce ulokowanej w podziemiach senackiego budynku im. Philipa Harta jest...

Michael podniósł wzrok.

Zatem „S. Robbins” to senator Susan J. Robbins. Michael coś o niej słyszał. Wieloletnia parlamentarzystka ze stanu Illinois.

A teraz jej komputer, komputer senatora Stanów Zjednoczonych, spoczywał na jego biurku.

Hm.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

– Szefie – powiedział Sal. – Jesteśmy gotowi.

6

Dwanaście niewielkich szklanek stało w dwóch rzędach. Po dwa naczynka przeznaczono na jeden z sześciu gatunków gwatemalskiej kawy, które – po selekcji – firma zamierzała kupić. Był to cały skomplikowany rytuał zwany „degustowaniem w dłoniach”. Z naukową precyzją. Tanner zanurzył łyżeczkę w gęstym osadzie powstałym ze zmielonych ziaren, do których dodano wody, przyłożył nos na dwa centymetry od jego powierzchni i wciągnął powietrze. Poczul przelotny aromat kwiatów niesiony przez lekkie, lotne cząsteczki. Czynność tę powtórzył przy sześciu pozostałych kieliszkach. W tym czasie Sal wachał drugi kieliszek z każdej pary. Ktoś niemający pojęcia o sprawdzaniu jakości kawy uznałby tę scenę za zabawną. A jednak nie wolno jej było opuścić, stanowiła pierwszy etap rytualnej degustacji.

Michael skinął Salowi głową, a ten zaczął usuwać z naczynek zmielony miąż za pomocą dwóch łyżek. Nagle rozdzwoniła się komórka. Michael wyjął ją z kieszeni. Sarah.

– Przepraszam na chwilę – powiedział do Sala.

– I tak musimy poczekać, aż ostygnie o kilka stopni – odparł Sal zajęty operowaniem dwiema łyżkami.

Tanner odebrał, oddalając się od długiego stołu. Skierował się w stronę swojego gabinetu.

– Sarah. – Stał na samym końcu magazynu, pośród pudełek z młynkami i zaparzacami, sprzętem, który pożyczali nowym klientom dla zachęty.

– Słuchaj, Tanner. Wybacz, że przeszkadzam ci w pracy.

– Nie szkodzi. Fajnie, że się odzywasz. Gdzie jesteś?

– Pokazuję klientom dom na sprzedaż. – Sarah pracowała w agencji nieruchomości, oferowała domy i mieszkania. Zdecydowała się na tę branżę w czasach, gdy klepali biedę, to znaczy zaraz po rozpoczęciu działalności firmy Tanner Roast, pozbawieni jakichkolwiek dochodów i obciążeni zobowiązaniami finansowymi. I tak już zostało. Sarah lubiła tę pracę.

– Nie mogę zbyt długo rozmawiać.

– Nadal mieszkasz u Margaret?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. – Siostra Sarah, Margaret, miała małe, dwupokojowe mieszkanie przy Central Square w Cambridge. Sarah musiała sypiać na kanapie, co z pewnością drażniło jej siostrę. Nawet w najlepszych okresach ich relacje bywały napięte. – Dzisiaj zadzwoni do ciebie pewna firma, agencja handlu nieruchomościami. Poproszą cię, żebyś przesłał im parę moich ostatnich zeznań podatkowych. Chodzi o udokumentowanie

dochodów. – Sarah była jedną z dwójki założycieli ich firmy, a jednocześnie jej pracownikiem. Otrzymywała pensję, aczkolwiek dość skromną.

– Dlaczego?

– Nie mogę już mieszkać u Margaret. Doprowadzamy się do szaleństwa.

– Więc wróć do domu, kochanie.

Michael obejrzał się na Sala, który zgięty nad kieliszkami usuwał z nich osad. Ciekawe, jak daleko niesie się mój głos, pomyślał. Nikomu ze współpracowników nie powiedział, że Sarah się wyprowadziła. To nie była ich sprawa; Michael nie chciał łączyć pracy z życiem prywatnym.

– Zamierzam wynająć mieszkanie w Cambridge.

– Daj spokój, Sarah, przecież to śmieszne. Przyjedź do domu, porozmawiajmy. Możemy sypiać w osobnych pokojach, jeśli zechcesz.

– Już podpisałam umowę. Wpłaciłam kaucję.

– Anuluj czek. Przecież jesteś agentką od nieruchomości. Wiesz, jak się to załatwia.

– Muszę kończyć, Tanner – powiedziała Sarah i już jej nie było.

Pewnego wieczoru, mniej więcej przed miesiącem, Michael otworzył frontowe drzwi swojego domu. Pociągnąwszy nosem, nie poczuł nic szczególnego z wyjątkiem słabej woni cytrynowego olejku do pielęgnacji mebli i preparatu Murphy's Oil, którego Sarah używała do mycia parkietów. Zwykły, nieco stęchły zapach starego domu. Dziwne było tylko to, czego w nim nie czuł. Jedzenia. Aromatu kolacji. We wnętrzu panowały cisza i spokój. Światło w kuchni było zgaszone. Może żona zamówiła coś na mieście, a dostawca jeszcze się nie pojawił.

– Sarah? – zawołał.

Brak odpowiedzi.

– Sarah, jesteś w domu?

Nic. Nie było jej w domu. Dziwne. Rozejrzył się ponownie, tym razem nieco uważniej, skonsternowany, i nabrał pewności, że Sarah istotnie zniknęła.

Wiedział dlaczego.

Poprzedniego wieczoru chyba się pokłócili. „Chyba”, ponieważ tak naprawdę Michael nigdy nie wdawał się w spory; nie był do tego zdolny. Jego rodziców łączył burzliwy związek, walczyli ze sobą nieustannie i głośno. Jako dziecko Michael uciekał do swojego pokoju na piętrze i chował głowę pod poduszkę, żeby nic nie słyszeć. Przysiągł sobie w duchu, że nigdy nie będzie taki jak oni. Nie kłócił się z ludźmi, nie wdawał w konflikty – nigdy. Zwyczajnie nie wiedział, jak to się robi. Upust nagromadzonej agresji umożliwiał mu sport, który całkowicie do tego wystarczał. Michael unikał waśni za wszelką cenę.

Natomiast Sarah często miewała dość zmienne nastroje, potrafiła zmienić się w substancję wysoce łatwopalną. Nieustannie kłóciła się ze swoją siostrą, od czasu do czasu usiłowała też

wciągnąć Michaela w jakiś spór, lecz równało się to próbie zapalenia wilgotnej zapałki. Nie iskrzyło, Michael nie chciał się zająć płomieniem. Zawsze miał na podorzędziu kilkanaście gotowych odpowiedzi, których celem było rozładowanie napięcia: *No cóż, w takim razie po prostu się ze sobą nie zgadzamy. Ale możliwe, że to ty masz rację. I rozumiem, dlaczego tak się czujesz. Jest mi naprawdę przykro.*

Zatem minionego wieczoru wdali się w coś w rodzaju sporu, jakby półkłótnię. Ona chciała mieć dzieci, on nie był na to gotowy. Tego rodzaju dysputy odbywały się zapewne w dziesięciu milionach innych domów na całym świecie w tej samej chwili. Sarah lubiła używać pewnego kodu, eufemizmu oznaczającego posiadanie dziecka. „Powiększenie rodziny”. Na przykład: „Kiedy porozmawiamy o powiększeniu rodziny?”. Tanner tłumaczył, że najpierw musi ustabilizować sytuację rynkową Tanner Roast, a następnie wprowadzić przedsiębiorstwo na spokojną ścieżkę rozwoju – dopiero wtedy będzie mógł zaangażować się w pełni w zakładanie rodziny.

Jednak zegar biologiczny Sarah tykał. Miała już trzydzieści trzy lata, pragnęła urodzić kilkoro dzieci i jeśli nie stanie się to w miarę szybko, nie stanie się chyba nigdy. Michael nieustannie argumentował, że najpierw firma powinna stać się w pełni wypłacalna, ponieważ on nie chce żadnych zwolnień personelu. Sarah odpowiadała, że w ten sposób robi tylko uniki przed całkowitym wzięciem odpowiedzialności za ich małżeństwo, za nią. I tak dalej.

Położyła się spać pełna złości.

Tej nocy, gdy nie wróciła do domu, zatelefonował do żony.

– Michael... – powiedziała, odebrawszy. Owa degradacja z „Tannera” do „Michaela” sama w sobie była czymś niepokojącym.

– Co się dzieje? – zapytał. – Nic nie rozumiem.

– Zostaję u Margaret.

– Dlaczego?

Długie westchnienie.

– Kim ty się stałeś? Czy ta firma to twoje dziecko? O to chodzi? I dlatego nie chcesz mieć dzieci ze mną?

– Nigdy nie mówiłem, że nie chcę. Sarah...

– Nie, mówiłeś, że nie jesteś gotowy. Nigdy nie będziesz gotowy.

– Po prostu chcę postawić firmę na nogi. Wyciągnąć z długów. Bo teraz wszystko wali się na głowę. – Dlaczego ona tego nie rozumiała? – Pragnę mieć dzieci. Wróc, spróbujemy.

Czy ta firma to twoje dziecko? Rzeczywiście, Tanner Roast była dla Michaela niczym córka. A on był jej rodzicem.

Podszedł z powrotem do długiego stołu i szklaneczek z kawą.

– Wszystko w porządku? – zapytał Sal.

– W absolutnym – odrzekł Michael. – No więc, co my tu mamy?

Dopiero po zakończeniu porannej wideokonferencji Will mógł powrócić do sprawy zaginionego laptopa. Musiał jeszcze odpowiedzieć na całe mnóstwo telefonów, z których najważniejszy dotyczył głównego sponsora pragnącego porozmawiać na temat ustawy o lotnictwie. Był to ktoś, do kogo należało zadzwonić jak najszybciej.

Wstał i zamknął drzwi gabinetu. Na blacie biurka, w rogu, tkwił laptop MacBook Air – błyszczący i oczekujący, przynaglający do działania. Will przysunął go do siebie i otworzył pokrywę. Pośrodku ekranu znajdował się niewielki owal ze zdjęciem głowy jakiegoś faceta, zapewne właściciela maszyny, oraz imieniem i nazwiskiem: „Michael Tanner.” Poniżej pusty pasek zapraszał „Wprowadź hasło”.

Wpisał więc wyraz „hasło” i wcisnął enter – niektórzy, nie chcąc zadawać sobie trudu zapamiętywania jakichś kodów, uważając, że są sprytni, jako hasło traktowali samo to słowo. W reakcji ikonka podskoczyła przecząco. Hm.

Will wpisał „1234”, po czym znów stuknął w enter; ekran raz jeszcze zamigotał odmownie. „12345678” – wciąż nic.

Następnie „99999”. Niechętne migotanie.

Spróbował jeszcze dwóch najpowszechniej używanych difoltowych haseł – „987654” oraz „1111111” – i za każdym razem spotkał się z odmową.

Musiał istnieć jakiś sposób, żeby włamać się do laptopa bez hasła, tylko że Will go nie znał. Niewykluczone, że okaże się zbyteczny. Komputer należał do niejakiego Michaela Tannera. Ciekawe, ilu Michaelów Tannerów mieszka w Stanach Zjednoczonych?

Obrócił się z fotelem w kierunku wysuwanego podajnika z klawiaturą swojego peceta i otworzył okno wyszukiwarki. Na stronie WhitePages.com wpisał „Michael Tanner”, po czym stuknął w enter. Na terenie całego kraju pojawiło się siedemset dziesięć odnośników.

To tyle, jeśli chodzi o wykonanie paru telefonów, aby odnaleźć właściciela laptopa. Niewykonalne w najmniejszym stopniu.

Nie było więc wyboru: ktoś musiał się włamać do tego macbooka. Należało ustalić, do kogo należy, a następnie poprosić o zwrot komputera Susan. Sytuacja wymagała specjalisty, którego wiedza informatyczna znacznie przekraczała wiedzę Willa. Razem z biurami kilku innych senatorów korzystali z usług jednego specjalisty od IT. Facet był całkiem dobry, o ile Will mógł stwierdzić, ale nie zamierzał prosić go o włamanie się do czyjegoś laptopa. W końcu ten sprzęt nie należał ani do senator, ani do jej pracowników. A gdyby w jakiś

sposób gość dostał się zdalnie do zawartości komputera Susan, oznaczałoby to katastrofę. Ci faceci nie byli przecież księżmi czy psychiatrami: nie obowiązywała ich tajemnica spowiedzi ani przysięga o dochowaniu poufności.

Nie, Will potrzebował komputerowca, któremu mógł zaufać, czyli kogoś – kogokolwiek – kto nie miał pojęcia o kontekście całej sytuacji, którego ignorancja byłaby atutem. Z drugiej strony, jeśli powie temu komuś, co się stało, w jaki sposób laptop trafił w ręce pani senator, facet może poczuć się zaintrygowany i zacząć paplać.

Ale gdyby Will Abbott po prostu dostarczył informatykowi tego macbooka air i z zakłopotaniem oświadczył, że zapomniał hasła... No cóż, wydawało się to całkiem niegroźne. Samodzielne zresetowanie komputera może okazać się potwornie skomplikowane. Wygooglował w sieci punkty naprawy sprzętu informatycznego i znalazł jedno miejsce, które wydawało się solidne: zakład mieścił się przy C Street na Wzgórzu Kapitołińskim. Will wybrał numer, wysłuchał wszystkich komunikatów i instrukcji, a następnie wcisnął „pięć”: rozmowa ze „specjalistą”.

– Więc tak – powiedział, gdy telefon odebrał facet o młodym, nosowym głose. – Mam macbooka air i zapomniałem hasła. Możecie się do niego dostać?

– Hm... Czy to nowy sprzęt?

Z całą pewnością wyglądał na nowy, ale może był po prostu zadbany. Will nie mógł się przyznać, że nie zna odpowiedzi na to pytanie.

– No, dość nowy. To ma jakieś znaczenie?

– Jaki posiada system operacyjny?

– Chyba najnowszy.

– Jeśli to nowy system operacyjny Apple’a, to nie można się do niego włamać. Tak jak do iPhone’a. Niewykonalne. Kiedyś tak. Wystarczyło zrobić reset hasła, ale w nowym systemie to nie przejdzie.

– Och. – Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi, a po chwili je otworzył. Szefowa. Nikt inny nie wparowałby do środka ot tak. Senator weszła, zamknęła za sobą drzwi i stanęła ze skrzyżowanymi rękami. Zebranie komisji parlamentarnej do spraw wydatków rządowych musiało się już skończyć.

– Robił pan kopie? Backup? – zapytał specjalista w telefonie. – Możemy wyczyścić całego kompa i wrócić do ustawień fabrycznych.

– Nie, nie mam żadnych kopii.

– W takim razie nie umiem panu pomóc. Niewykonalne. Przykro mi.

– Dzięki – powiedział Will i się rozłączył.

– Laptop? – rzuciła pytająco Susan.

Will kiwnął głową.

– Myślałem, że złamanie hasła będzie łatwe, ale tak nie jest.

– Chyba nie rozmawiałeś z Carlosem, czy jak mu tam na imię, tym naszym

informatykiem? Co?

- Nie, to zewnętrzny punkt naprawy komputerów. Mieści się na Wzgórzu.
- Dobrze. Nie chcę korzystać z usług faceta zatrudnianego przez nas. Ludzie lubią gadać.
- Jakbym o tym nie wiedział.
- Ta firemka potrafi to zrobić?

Will pokręcił głową.

– Musi być jakiś sposób. Tylko że ja go nie znam. Może powinniśmy poinformować senackie biuro bezpieczeństwa o tym, co się stało?

- Żartujesz sobie, Will? Żeby uruchomić całe dochodzenie? Nie, dziękuję.
- Ma pani rację.

– Morty zna jednego faceta, o którym mówi, że jest naprawdę dobry. To jakiś Rosjanin czy ktoś taki. Niby geniusz. Wydaje mi się, że mieszka w Dystrykcie Kolumbii.

Morton Nathanson był potentatem rynku nieruchomości, miliarderem i największym sponsorem Susan.

– No nie wiem, czy powinniśmy wciągać w to kogoś jeszcze. Jeśli się wyda, że...

– Morty to największy konspirator, jakiego znam. Jeśli on korzysta z usług tamtego gościa, to znaczy, że dyskrecja gwarantowana.

Will się wahał. Odnosił wrażenie, że cały ten pomysł jest po prostu zły.

- Cóż, oczywiście, możemy pójść tą drogą. Absolutnie tak. Ale...
- I pójdziemy – zgasiła go Susan. – Masz z tym jakiś problem?

– Przecież chcemy utrzymywać tę sprawę w jak największej tajemnicy, a...

Susan rzuciła Willowi swoje słynne przeszywające i śmiertelnie groźne spojrzenie znad okularów.

- Masz z tym jakiś problem?
- Już działałam – odrzekł Will.

Robert Runkel, dyrektor finansowy firmy Tanner Roast, był masywnym mężczyzną o gołębim sercu. Miał gruszkowate ciało i rumiane policzki, liczył koło czterdziestki i nosił okulary komputerowego nerda w czarnych oprawkach, choć nie po to, by się nimi popisywać. Takie bryle wyglądały hipstersko u Elvisa Costella czy Gregory'ego Pecka w roli Atticusa Fincha, lecz u Runkela tylko przesadnie podkreślały jego nerdowską naturę. Był jedynym pracownikiem Tanner Roast, który nosił garnitur i krawat. Większość ludzi oceniała go na podstawie wyglądu, widząc w nim zwykłego nudziarza, jednak Tanner cenił spokojne, oschłe poczucie humoru Roberta, a nawet lubił, kiedy ten bez żenady entuzjazmował się *Star Trekiem*. Było w tym coś uroczego, jakby Runkel wkładał w to swoje serce. A poza tym facet był niesamowicie kompetentnym księgowym.

– Nie miałbyś ochoty na spacer? – zapytał Runkel.

– Mówisz poważnie?

Runkel kiwnął głową.

– Bardzo chętnie się przejdę.

Było to małe biuro, wszyscy wszystko słyszeli.

Gdy znaleźli się na ulicy, Runkel powiedział:

– Przykro mi, że muszę być posłańcem złych wieści.

– Na tym polega twoja praca, stary.

– W przyszłym miesiącu nie będziemy mieć na wypłaty.

– A zatem weźmiemy kolejny kredyt. – Mijali przysadzistego faceta w średnim wieku, z wąsami, który wymieniał rozbitą szybę w oknie narożnego ceglanego budynku. – *Como vai?* – rzucił Tanner w kierunku mężczyzny. – *Tudo bem?*

– Hej, co tam słyhać, panie Tanner? – odrzekł mężczyzna po angielsku z ciężkim obcym akcentem, rozpromieniając się.

Runkel ciągnął:

– Na tym polega problem. Wyczerpaliśmy już naszą zdolność kredytową. A teraz usłyszysz najgorsze.

– To nie było jeszcze najgorsze?

– W umowie o limit kredytowy zawarte są tak zwane klauzule. Naruszyliśmy je. W ogóle naruszyliśmy warunki umowy kredytowej. To oznacza, że bank zażąda całkowitego zwrotu pieniędzy przed końcem tego roku.

– Niemożliwe, przecież wiesz. A co z tymi facetami od prywatnych funduszy inwestycyjnych, którzy nachodzili nas w zeszłym roku i chcieli inwestować?

– Oczywiście zadzwonię do nich i na pewno chętnie wyłożą środki, ale to będzie oznaczało przekazanie firmy w ich ręce. Nie będzie już twoja. No i są jeszcze nasi znajomi z Kijowa.

– Ci Ukraińcy?

– Tak. Ci przerażający ukraińscy „prywatni inwestorzy” mogą nam pożyczyć pieniądze na piętnaście procent w zamian za dwa miejsca w zarządzie oraz wysoką pensję menedżerską, mniej więcej pół miliona dolarów. Będą chcieli kontrolować większość podejmowanych przez nas decyzji.

– Czyli nas przejmą.

– Absolutnie tak. W każdym przypadku. Jeśli weźmiesz od nich forszę, nie skończy się to dobrze.

– Okej.

– Lepiej z nimi nie zadzierać, tego jestem pewny. Jeden z tych gości, facet ze sporymi udziałami w rynku cukierniczym, jak sądzę, opowiadał mi o sporze, który mieli z jednym ze swoich konkurentów. Ten człowiek im groził słowami: „Zabijecie mi psa, to ja zabiję wam kota”. Przynajmniej tak ujął to tłumacz. Z nimi nie ma żartów.

– A może ja nie wezmę wypłaty w przyszłym miesiącu?

– To w najmniejszym stopniu nie pokryje zobowiązań płacowych. Musimy zredukować, hm, stan zatrudnienia.

– „Stan zatrudnienia”, tak? – powtórzył Tanner. Nie był gotowy na zwalnianie ludzi z pracy, wyrzucanie ich na bruk czy jak to nazwać. Jeszcze nie. Pokręcił przecząco głową.

– Wiem, wiem, że to nie jest żaden „stan zatrudnienia”, tylko ludzie. Ja widzę cyferki, ty osoby. Rozumiem to. To znaczy, twoja postawa jest super. Wspaniała. Piękna rzecz. Za to interes idzie do bani.

Doszli do końca przecznicy i przez chwilę stali na rogu nieopodal zakładu ślusarskiego.

– Nie zrozum mnie źle – kontynuował Runkel. – Żywię do ciebie sporo szacunku. Bo na przykład... przed chwilą pozdrowiłeś tamtego faceta. Ja mijałem go pewnie z tysiąc razy, wydaje mi się nawet znajomy, ale chcesz znać prawdę? Ja go nie widzę. Prawie nie zauważam jego istnienia.

Zaskoczony Michael spytał:

– Chodzi ci o Joaquina?

– O rany, ty nawet wiesz, jak gościu ma na imię!

Michael wzruszył ramionami.

– To facet złota rączka, pracuje w sąsiednim budynku. Świetny gość. W każdym razie, kiedy umowa z Four Seasons zostanie podpisana, wszystko będzie dobrze.

– A kiedy to ma się stać?

– Lada dzień.

– To jeszcze nie będzie oznaczać pieniędzy w banku.

– Ale już jakieś działanie w tym kierunku. A tymczasem założę hipotekę na dom.

– Co? Cóż to znowu za pomysł? Nie wolno ci tego robić!

– To przecież mój dom.

– Nie, nie pozwalam. Nie posuniesz się do tego. To chore. To znaczy wspaniałe, oczywiście, ale przecież w spółce z o.o. chodzi o ograniczoną odpowiedzialność. Na tym to polega. Więc kiedy firma nie daje rady, niekoniecznie spycha właściciela w przepaść.

– Dobra, a jednak kapitan powinien zatonać razem ze swoim statkiem.

Runkel pokręcił głową zbulwersowany i wytrzeszczył oczy.

– Odebrało... odebrało mi mowę.

Tanner się uśmiechnął.

– Możesz w tym wytrwać przez pewien czas?

Za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu Will redagował oświadczenie dla mediów. Nagle zabzyczał interkom.

– Niech wejdzie – polecił.

Rosjanin zjawił się szybciej, niż Will się spodziewał. Przez szklany panel drzwi widział jego postać. Abbott wstał, otworzył je i wyciągnął rękę.

Mężczyzna miał wiotki uścisk dłoni i zupełnie nie wyglądał na hakera. Był na to zbyt dobrze ubrany: nosił czarny jak węgiel garnitur oraz krawat, który sprawiał wrażenie drogiego. Proste kruczoczarne włosy zaczesał do góry. Wyglądał na człowieka tuż po trzydziestce. Całości dopełniała spiczasta, szczurza twarz, wąskie brązowe oczy oraz cofnięty podbródek z wyraźną wadą zgryzu.

Will zaprosił gościa do środka i zamknął drzwi gabinetu. Nie chciał, aby któryś z pracowników biura dowiedział się o sytuacji.

– Gdzie komputer? – zapytał mężczyzna zamiast powitania.

Will wskazał na laptopa, który ładował się na jego biurku.

– Jak ma pan na imię?

– Jewgienij. Ale możesz mi mówić Gene.

– Ile czasu to twoim zdaniem potrwa, Jewgienij?

– Tyle, ile trzeba. – Jewgienij wzruszył ramionami. – Interesujące buty jak na taką pogodę. – Rosjanin wpatrywał się w nowiutkie zamszowe półbuty Willa z dziurkowanymi czubkami.

Will zalał się rumieńcem, którego nie umiał powstrzymać. Zaledwie dziś rano wyjął buty z pudełka – roztaczały jeszcze ów szczególny piżmowy zapach świeżo wyprawionej skóry – a wcześniej czekał na odpowiedni dzień, by je założyć. Dzisiaj uznał, że akurat ten będzie również dobry jak każdy inny. Nie zadał sobie trudu sprawdzenia prognozy pogody, po prostu wyjrzał przez okno; zaczynał się słoneczny ranek. Który w jakiś sposób zakończył się deszczem. A deszcz niechybnie zniszczyłby buty.

– Mowa o godzinach czy tygodniach?

– Potrwa, ile potrwa. Potrzebne mi biuro.

– Zamierzasz pracować tutaj?

– Mogę wyjść i wrócić za kilka dni, jeśli wolisz. Ale powiedziano mi, że sprawa jest pilna.

– Znajdę ci jakieś miejsce. – Dyrektor do spraw legislacyjnych poleciała na parę dni do

Springfield, jej gabinet stał pusty.

Rosjanin podniósł macbooka air z biurka Willa, okręcił go wokół osi i otworzył.

– Michael Tanner – powiedział.

– Myślisz, że uda ci się obejść hasło?

– Słuchaj, po prostu zaprowadź mnie do tego biura i pozwól zająć się moją robotą. Jeśli jedna metoda nie zadziała, zawsze istnieje inny sposób.

– To znaczy?

– Nie wiem, co ci powiedziano, ale jestem konsultantem do spraw zabezpieczeń. Tak się składa, że posiadam umiejętności hakerskie, jednak moja firma zajmuje się czymś znacznie więcej. Gdyby z jakiegoś powodu okazało się to konieczne.

– Na przykład?

Rosjanin wzruszył niechętnie ramionami.

– Pani senator zamieniła się z kimś na laptopy. Może będzie wam potrzebny inny rodzaj pomocy, żeby odzyskać ten właściwy.

Abbott znieruchomiał na chwilę. Szefowa musiała się wygadać, dlaczego tak naprawdę chcą się włamać do komputera. Poważny błąd. Nie żeby Will ośmielił się udzielić jej za to reprimendy. Rzecz w tym, że im więcej ludzi wiedziało o sprawie, tym większe było ryzyko.

Spróbował pierwotnej wersji.

– No cóż, oczywiście, że to nie jest komputer pani senator, ale jeśli ustalimy tożsamość faceta, do którego należy, będziemy mogli dokonać wymiany.

Jewgienij uśmiechnął się i pokiwał głową. Jakby nie wierzył w ani jedno wypowiedziane przez Willa słowo. Jakby znał całą prawdę.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział. – A jeśli chodzi o te zamszaki, to najlepiej spryskać je silikonem.

10

– Masz chwilę? – zapytała Karen Wynant. Tanner usłyszał w jej głosie niepokój.

– Wejdz, proszę.

Westchnienie.

– Znasz ten lokal ze śmieszną nazwą, w którym serwują śniadania?

– Jajogłowy?

– Tak. Myślałam, że jesteśmy dogadani. A teraz nie odpowiadają na moje mejle, telefony, w ogóle na nic.

– Pisali o nich w „Globe”. – Niedawno gazeta „Boston Globe” opublikowała artykuł o nowym supermodnym lokalu o nazwie Jajogłowy, gdzie podawano wyłącznie śniadania. Jego właściciele zaczęli od food trucka w Portland w stanie Oregon, a teraz dysponowali restauracjami w murowanych budynkach w Los Angeles, Nowym Jorku i w Bostonie. Mieli ambicję stać się odpowiednikiem sieci Shake Shack, tyle że w zakresie „śniadaniowym”. Podawali gościom jajeczne kanapki na bazie słodkich bułeczek z dodatkiem tajskiego sosu sriracha i wołowiny Wagyu, zawsze z dodatkiem szarej soli morskiej. Założyciel i współwłaściciel restauracji wspominał w artykule, że będą serwować również kawę firmy Tanner Roast.

– Tak? Mam złe przeczucia.

Złe przeczucia towarzyszyły Karen względem większości potencjalnych transakcji handlowych, przynajmniej do czasu, aż umowa nie została przypieczętowana; potem zaś dręczyły ją przeczucia, że interes jednak nie wypali. Niekiedy miała rację. Zdarzało się.

– Chcesz, abym z kimś o tym porozmawiał?

– A mógłbyś? Myślę, że to zrobiłoby wrażenie na ich dyrektorze, tym Rynanie jakimś tam. On bardzo cię lubi.

– Prześlij mi jego numer esemesem. Zajmę się tym.

– Ci z Four Seasons nadal się nie kontaktowali?

– Skontaktują się.

– Słyszałam, że Blake Gifford jest w Toronto.

– I spotyka się z Four Seasons? – Blake Gifford był błaznem, ale także założycielem firmy City Roast, również specjalizującej się w obrocie kawą, jednej z konkurentek Michaela. Blake znalazł Tannerowi za skórę w sposób szczególny programem telewizyjnym, który emitowano na kanale National Geographic, a także włosami związanymi w koczek oraz

kolczykiem w jednym uchu. Program nosił tytuł *Roasted*, a jego główną gwiazdą był właśnie Gifford, który w każdym odcinku podróżował do innego kraju, udając, że chce kupić większą ilość kawy. Musiał się tam borykać z różnymi zagrożeniami: a to przedzierał się przez dziką dżunglę, a to prowadził niebezpieczne negocjacje cenowe z prawdziwymi bandziorami. Wędrował po Serengeti, pojawiał się w Ugandzie, na Haiti czy w Jemenie, dźwigając jutowe worki z kawą. Wszystko to było jedną totalną bzdurą. W rzeczywistości Blake kupował niemal całe swoje zapasy poprzez zwykłych brokerów; w głównej mierze była to średniej jakości kawa z Brazylii bądź z Sumatry, niewiele lepsza od puszkowanej Maxwell House.

Karen wzruszyła ramionami.

– Nic nie poradzę, że ciągle o tym myślę.

– Ten kontrakt jest nasz. Odpręż się. Dzięki metodzie parzenia „na zimno”.

– Uwierzę, gdy będę trzymał w ręku podpisaną umowę.

Tanner zdawał sobie sprawę, że prowadząc firmę, będzie niekiedy musiał zderzyć się z brutalną rzeczywistością. Ale już od dziecka marzył, by mieć własny biznes i pracować u siebie.

Od chwili, gdy znalazł Pudełko.

Żywo pamiętał dzień, w którym w ślad za przegowanym kotem o imieniu Tiger udał się na strych rodzinnego domu. Michael – miał wtedy tylko osiem lat i nazywano go Mickey – znów poczuł panującą na poddaszu wysoką temperaturę, widział obłoki kurzu tańczące w promieniach światła, przypominał sobie schludnie posegregowane pudła z różnymi rzeczami, liczące kilkadziesiąt lat. Nikt nigdy tu nie wchodził. Było to miejsce zakazane, rodzice nie pozwalali mu się tam bawić nawet w chowanego. Po prostu nikt o nim nie wspominał, o strychu milczano. Lecz kiedy Michael, prowadzony przez Tigera, już się tam znalazł, potknął się o stos kartonów, który upadł na podłogę. Gdy przestraszony zaczął ustawiać je ponownie jedno na drugim, w pewnej chwili zauważył stare pudło z napisem TANNER Q. Zaklejono je brązową papierową taśmą, która zdążyła się wypaczyć i większa jej część zwisała luźno. Zerwania jej resztek nie uważał za poważne przestępstwo: poszło łatwo i Michael mógł otworzyć pudełko.

Podekscytowany znalazł w środku duże, kolorowe menu z jakiejś restauracji, która nosiła nazwę Tanner Q. Jadłospis obejmował dania z grilla, żeberka wieprzowe i wołowe, szarpaną wieprzowinę oraz dodatki, takie jak sałatka coleslaw czy chleb kukurydziany. Menu było piękne, mocno barwione na czerwono i zielono, z cudownymi ilustracjami specjałów szefa kuchni wykonanymi metodą drzeworytu. Pod kartą dań leżała kupa ulotek, w których pisano coś o „biznesplanie dla restauracji grillowych Tanner Q”.

Mickey nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszał; zaczął się zastanawiać, dlaczego rodzice o tym nie wspominali. Może sprawa była zadawniona, a może restauracje już dawno

wypadły z rynku. Zabrał menu ze sobą na dół; Tigera wziął pod pachę. Wszedł do kuchni, gdzie matka gotowała kolację, a ojciec siedział za stołem i z nią rozmawiał.

– Co tam chowasz, Mickey? – zapytał ojciec. Jego twarz nagle poczerwieniała. Wymienili z matką Tannera czujne spojrzenia.

– Och, to jakaś starość – rzuciła mama, odbierając chłopcu menu. – Nie ma na co patrzeć, lepiej wyrzucić. – Położyła kartę dań na kontuarze. – To było bardzo dawno temu.

– Mieliście kiedyś własną restaurację? – Michael zwrócił się do ojca z pytaniem.

– Nie – odrzekła matka. – Mieliśmy tylko pomysł, ale przed wieloma laty.

– Pomysł na restaurację?

– Gdyby każda myśl zmieniała się w złoto, to... – wtrącił się tata.

– Super! – wykrzyknął Mickey.

– Wyrzuc to dziadostwo – polecił ojciec. Wyglądał na zakłopotanego, wręcz zażenowanego, co zaskoczyło Mickeya. Jakby przyniósł z tego strychu czasopismo z gołymi paniami. Najwyraźniej żadne z rodziców nie ucieszyło się z jego znaleziska.

Gdy po pewnym czasie chłopiec zapytał mamę o Tanner Q, ta tylko pokręciła głową.

– Nie zawracaj ojcu głowy tą sprawą – powiedziała. – Nie lubi o niej rozmawiać.

– Ale co się wydarzyło?

– To był po prostu niemądry pomysł, na który tata wpadł, ale potem uznał go za nierealny.

– Wcale nie był niemądry – sprzeciwił się Mickey, chcąc bronić ojca.

– Zresztą to są stare dzieje, sprawa skończona – skwitowała matka.

– Jakież postępy?

Will potrzebował chwili, żeby zrozumieć pytanie szefowej. Czyżby chodziło o tę poprawkę, którą współfirmowała, a która wiązała się z wykręceniem rąk wielu demokratom?

Potem nagle do niego dotarło.

– Ten Rosjanin właśnie nad tym pracuje. W gabinecie Samantha.

Siedzieli na tylnej kaptanie senatorskiej limuzyny, w czarnym suburbanie, który sunął wolno po First Street. Prowadził Jerry, długoletni szofer w służbie pani senator.

– Facet od Morty’ego? – upewniła się po krótkim milczeniu.

– Tak.

Deszcz dziergał nierówny tatuaż na masce pojazdu, rozmazywał się na szybach. Lało tak mocno, że musiało wkrótce przestać. Susan oderwała wzrok od przyciemnianej szyby i zerknęła na telefon BlackBerry, który trzymała w prawej ręce. To była jej prywatna komórka, ta, na którą dostawała informacje o zbiórkach pieniędzy. Nie można uprawiać prawdziwej polityki na sprzęcie należącym do rządu albo przy użyciu służbowego telefonu, dlatego senatorowie krążyli po ulicach miasta swoimi wozami, jak najdalej od biura, wydzwanając i wysyłając mejle, których nie mogli wysłać czy wykonać w swoich oficjalnych siedzibach.

– Ile to potrwa?

– Facet nie wiedział.

– Ale da radę?

– Tak twierdzi. – Ponieważ zabrzmiało to bardzo niepewnie, Abbott dodał po chwili: – Nie ma się czym martwić.

Senator znowu wpatrzyła się w swojego smartfona i nieobecna duchem przeglądała wiadomości. Kiedy Will był pewny, że szefowa nie zauważy, skierował na nią wzrok i przyglądał się jej przez moment. Zbieranie funduszy to zawsze ciężka harówka, jednak pieniądze na reelekcję przychodziły jej zadziwiająco łatwo. Dzwonienie po sponsorach nie przysparzało senator trudności. Wielu z nich uważało, że na kampanię Susan Robbins powinni wyłożyć forszę z góry, inwestując w kogoś, kto miał spore szanse zostać kiedyś prezydentem. Will niejednokrotnie żartował na ten temat z szefową, ale nigdy nie brał takiej możliwości poważnie. Natomiast inni ludzie – tak. Wiedział, że senator bywa na zebraniach w Krajowym Komitecie Partii Demokratycznej, gdzie opracowywano strategię na najbliższy

cykl wyborczy.

A jeśli szefowa rzeczywiście postanowi wystartować na urząd prezydenta? Will wyobraził sobie, jak siedzi z nią w samolocie i analizuje jakieś przemówienie, decydując, czy pani senator powinna się spotkać z gubernatorem danego stanu, w którym akurat prowadzili kampanię, czy może lepiej nie. Wszystkie nieprzyjemności, związane choćby z utratą laptopa, będą mieć wtedy dawno za sobą. On załatwi tę sprawę zgrabnie i fachowo, a ona będzie mu dozgonnie wdzięczna. „Washington Post” zamieści na pierwszej stronie artykuł PRAWA RĘKA SUSAN ROBBINS. Nazwą go w nim człowiekiem „enigmatycznym” i „nieuchwytnym”, ponieważ stale unika rozmów z dziennikarzami, a przynajmniej z większością z nich. Nie prowadzi gierki. Ale szefowa doskonale wie, że Willowi można ufać bezwzględnie. Jego biuro mieścić się będzie tuż obok Gabinetu Ovalnego. Do Susan zwracać się będzie per „pani prezydent” lub – jak za dawnych czasów – „szefowo”. Ona mianuje go na stanowisko szefa personelu Białego Domu jako człowieka sprawdzonego, zwłaszcza podczas kryzysu związanego z laptopem, człowieka, który potrafi poradzić sobie z każdym możliwym nieszczęściem, wreszcie człowieka dyskretnego i absolutnie lojalnego. Gdy podczas wywiadu telefonicznego dla „New York Timesa” padnie pytanie o prezydenckiego szefa personelu – oczywiście Will będzie wtedy siedział w Gabinetcie Ovalnym i milcząc, uczestniczył w wywiadzie, w razie gdyby pani prezydent potrzebowała jego pomocy – szefowa odpowie z dumnym uśmiechem: „Will Abbott? Czego się nie tknie, zmienia w złoto. Absolutnie nieszablonowa postać”.

No, postać nieszablonowa – tak bardzo wykraczająca poza wszelkie normy, że trzeba ją wycofać z rynku, pomyślał nagle Will.

– Ojej, Will.

Wyrwany gwałtownie z marzeń, odwrócił głowę i spojrzał na szefową. Nie podobał mu się ton jej głosu. A także bezpośrednie użycie jego imienia. Kiedy tak robiła, zwłaszcza z tą szczególną intonacją, niechybnie oznaczało to coś złego.

– Jeśli ten facet... ten cały Tanner... dobierze się do mojego laptopa i powie na przykład w CNN, co w nim znalazł... To bomba z opóźnionym zapłonem. – Zagapiła się na swój blackberry. Will zastanawiał się, w co szefowa wpatruje się aż tak intensywnie. – Wynoszenie tajnych materiałów z siedziby SCIF to poważne przestępstwo. – Skrót nazwy Zakładu Ochrony Informacji Wrażliwych wymówiła: „skif”.

Znowu. Najwyraźniej ten problem nie przestawał dręczyć szefowej.

– Teoretycznie być może tak, ale przecież pani jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Nikt nie będzie za to pani ścigać. – Ani mnie, dodał w myślach.

Spojrzała mu teraz prosto w oczy.

– Chyba zapomniałeś o Hillary?

– FBI nigdy nie postawiło jej zarzutów.

– A Petraeus? – Szefowa miała na myśli Davida Petraeusa, emerytowanego

czterogwiazdkowego generała i byłego dyrektora CIA, który przekazywał poufne informacje swojemu biografowi i zarazem kochankowi.

– Petraeusowi zarzucono złe prowadzenie się.

– FBI chciało oskarżyć go o przestępstwo federalne. Ale facet miał szczęście, prokurator generalny zmienił mu zarzuty na łżejsze. Słuchaj, tak naprawdę to bez znaczenia, o co mnie ktoś mógłby oskarżyć, bo i tak będzie się to za mną wlekło przez resztę życia. Jak trup w szafie.

– Nikt nie wie, że wyniosła pani te dokumenty.

– Z wyjątkiem niejakiego Tannera.

– Niemożliwe. W jego ręku znalazł się komputer chroniony hasłem, podobnie zresztą jak ten, który my mamy. Facet nie wie, do kogo laptop należy.

– A jeżeli jakimś cudem złamie hasło?

– Niby jak? Stanie przed ścianą jak my. A jestem pewien, że gość nie ma takich możliwości, jakimi my dysponujemy. On nie... – Telefon Willa zabuczał nagle. Zerknął na wyświetlacz, żeby zobaczyć, kto dzwoni. – Mogę odebrać?

Szefowa wzruszyła ramionami.

Kliknął w zieloną słuchawkę, po czym powiedział „halo”.

– Skończyłem – oznajmił Rosjanin.

– Już jedziemy. – Will się rozłączył i dodał: – Dobre wieści.

Kwadrans później Abbott wkroczył do gabinetu senator Robbins.

– Właściciel komputera nazywa się Michael Evan Tanner – oświadczył. – Mieszka w Bostonie i jest prezesem firmy Tanner Roast handlującej kawą.

– Więc nie powinieneś mieć żadnych trudności z ustaleniem jego numeru telefonu – odparła senator.

– Już tam dzwoniłem i pytałem o Tannera.

– Może ja powinnam była to zrobić?

– Nie. Lepiej nie. Facet wciąż nie ma pojęcia, do kogo należy ten laptop, ponieważ jest zabezpieczony hasłem. Ale jeśli otrzyma telefon od senatora Stanów Zjednoczonych, kto wie, co zrobi.

– No tak.

– Może wynajmie jakiegoś hakera, żeby włamał się do kompa, a potem wygada wszystko prasie. Albo zamieści zabawną historyjkę na Facebooku, typu: *Nie zgadniecie, co mi się przydarzyło! W moje ręce trafił laptop pewnej pani senator. A wtedy stracimy komputer z oczu na dobre. Nie...* Lepiej zachować zimną krew i udawać obojętność. Niech to wygląda tak, jakby ten laptop należał do jakiegoś nudnego kretyna.

– W porządku. Sam zdecyduj. Mnie wszystko jedno. Chcę tylko jak najszybciej go odzyskać.

Telefon zaśpiewał, wstrząsając Michaeliem i budząc go raptownie z niespokojnego snu.

– Michael, tu Karen.

Nie musiała tego mówić, rozpoznał jej zdenerwowany, ściśnięty głos.

– Coś się... stało?

– Przegraliśmy.

– Co przegraliśmy? Która jest godzina?

– Trochę po piątej. Wczoraj wieczorem dostałam mejla od Kenta, mojego znajomego w Four Seasons.

Michael rozmasował jedną ręką powieki.

– Mejla.

– Wcześniej pytałam go po raz kolejny, gdzie są wszystkie dokumenty, a on odpisał, cytując: „Myślę, że sprawa nie będzie sfinalizowana”.

– Jaka sprawa nie będzie sfinalizowana?

– Kontrakt z Four Seasons.

– Przecież mieliśmy wszystko dogadane. Twierdzisz, że straciliśmy umowę z Four Seasons?

– Właśnie tak. Mówiłam ci, że mam złe przeczucia.

Michael usiadł na łóżku. Oczy miał zaropiałe, wzrok rozmazany.

– Wcale nie straciliśmy Four Seasons. To absolutnie niemożliwe.

– Niestety, stało się. Naprawdę. Kent powiedział, że kontrakt zdobył inny oferent.

– Czy podał jego...

– City Roast.

– Blake Gifford?

– Tak.

Tanner wyrzucił z siebie przekleństwo.

– Zadzwońę do Liama. – Wypuścił z płuc powietrze. – Potrzebuję kawy. – A potem przypomniał sobie, że niedawno skończył mu się jej zapas; był niczym szewc chodzący bez butów.

Dopiero po przyjsciu do biura i odpaleniu ekspresu marki Bonavita – podwędziwszy trochę ziaren kawy z paczki z francuską prażoną – Michael zaczął myśleć na tyle jasno, by

zatelefonować do Liama, swojego znajomego w firmie Four Seasons z Toronto.

– Cześć, Michael – powiedział Liam, odebrawszy. Tanner od razu usłyszał to w jego głosie: złe wieści, strach. – Bardzo mi przykro.

– Ale co się stało?

– Wyruchali mnie.

– Nie rozumiem.

Liam westchnął ciężko.

– Powinienem być do ciebie zadzwonić, ale byłem zbyt wkurzony. Miałem już wszystkie dokumenty gotowe do podpisu, kiedy nagle ten gnojek Blake Gifford dopadł mojego szefa i capnął kontrakt.

– Ale... a co z koncentratem „na zimno”...?

– Wiem. On... Gifford dowiedział się o twoim osiągnięciu i oznajmił, że potrafi zrobić to samo, tylko za odrobinę mniejsze pieniądze.

– Ale przecież... przecież to mój pomysł!

– Wiem. Wiem. Potem Gifford dorzucił, że będzie w swoich programach reklamować nasze hotele.

– Tych programów nikt nie ogląda.

– Mimo wszystko to telewizja, National Geographic, rozumiesz, tak zwany czynnik blichtru. Chodzi o rozpoznawalność firmy czy z Blakiem Giffordem, czy bez.

– Nikt poza nami nie produkuje tego koncentratu. Nawet City Roast.

– Przypuszczam, że jednak już produkują. Bardzo mi przykro, Mike. To znaczy, wasz produkt jest świetny, a ty jesteś naprawdę równy gość. Ale sprawa wykracza poza moje kompetencje. Bardzo mi przykro.

Tanner wskoczył na lunch do japońskiej restauracyjki przy tej samej ulicy, której właściciel, Kenji, pozdrawiał go zawsze wesołym *Tanner-san!* Musiał na chwilę wyjść z biura, zastanowić się nad tym, co powinien zrobić po odstąpieniu przez Four Seasons od obiecanej umowy.

Zjadł przy kontuarze, przeglądając nowy pakiet projektów artysty freelancera, którego wynajęli. Resztę popołudnia spędził w swoim gabinecie na telefonicznej rozmowie z plantatorem kawy z Kostaryki (przeszkadzała im fatalna jakość połączenia komórkowego, które zrywało się dziesięciokrotnie), a potem na spotkaniu z właścicielem kafejki przy Harvard Square, który chciał, aby Michael wyszkolił jego nowych baristów – jak się jednak okazało, nie zamierzał za to płacić. Po powrocie do biura Michael wezwał swojego dyrektora finansowego, Roberta Runkela, aby zakomunikować mu złe wieści dotyczące Four Seasons. Runkel nalegał na przeanalizowanie słupków z liczbami i rozmowę o przyszłości, przez co Michael prawie zwymiotował swój lunch.

Telefon zasygnalizował nadejście esemesa; Michael podniósł aparat. Wiadomość od

Sarah. *Masz dziś czas, żeby się spotkać?*

Odpisał: *Oczywiście, ale po pracy.* O co chodziło? Przecież niedawno Sarah oznajmiła, że zamierza wynająć mieszkanie, co było najpewniejszym znakiem, iż nie wróci do domu. I oto nagle prosi o spotkanie. Po co? Żeby omówić coś jeszcze poważniejszego?

Zadał sobie pytanie, co to właściwie znaczy „po pracy”. Po godzinie szesnastej trzydzieści nie miał już umówionych żadnych spotkań ani rozmów telefonicznych. Normalnie przesiadywał w biurze do osiemnastej, dziewiętnastej, potem – najczęściej – szedł do siłowni poćwiczyć i wracał do domu dopiero na późną kolację. Napisał: *17 będzie OK?* Odpowiedź brzmiała: *O 17 w T Room na Newbury St.*

OK, wystukał Michael. Nie umknęło jego uwadze, że na spotkanie ze swoim mężem kawiarzem Sarah wybrała herbaciarnię.

Gdy Runkel wstał, gotów do wyjścia z biura, w drzwiach zamajaczyła Lucy Turton.

– Przepraszam, Michael, ale nie odbierasz telefonu. Ktoś dzwoni w sprawie prywatnej. Mówi, że to ważne.

– Która linia? – zapytał Michael.

– Trójka.

– Skąd wiesz, że w sprawie prywatnej?

– Facet sam tak powiedział.

Michael zmarszczył brwi.

– Okej.

Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego.

– Michael Tanner, słucham.

– Och, panie Tanner, tak się cieszę, że się do pana dodzwoniłem. Nazywam się Sam Robbins i myślę, że ma pan mój komputer. Bo ja z całą pewnością mam u siebie pański.

– Sam? – rzucił pytająco Tanner, zaskoczony. Sam, nie Susan? Wcześniej sprawdził w Google’u i wiedział, że senator Susan Robbins jest stanu wolnego. Z mężem, Jeffreyem Schwarzem, rozwiodła się pięć lat temu, nigdy nie przyjęła jego nazwiska.

Kim więc był Sam Robbins?

– Sam Robbins – powtórzył mężczyzna. – To musiało się stać na lotnisku w Los Angeles. Sądzę, że przez pomyłkę wziął pan mojego macbooka air, a pański laptop wylądował u mnie.

– Przepraszam, ale czy może pan jeszcze raz się przedstawić?

– Sam Robbins. Na ekranie pojawia się chyba „S. Robbins”, ale to właśnie ja. Jestem prawnikiem z Dystryktu Kolumbii. Jak pan sobie zapewne wyobraża, trochę się zaniepokoiłem. Na tym sprzęcie jest cała moja praca.

– Chwileczkę. – Tanner otworzył laptopa i wpisał do pustego paska zadań długie hasło. Wskazywało na użytkownika „S. Robbins”. Kiedy wcisnął enter, ukazała się strona główna.

Nic mu się nie przywidziało: dysk komputera zapełniały przemówienia, poprawki ustaw, oficjalne pisma, memoranda oraz korespondencja senator Susan Robbins. „S. Robbins”, do której należał ten komputer, była senatorem Stanów Zjednoczonych.

Kim więc, do cholery, jest Sam Robbins?

Tanner uważał się za przenikliwego obserwatora ludzi i ich zachowań i był z tego dumny. Dzięki tej umiejętności, między innymi, stał się dobrym handlowcem. I najwyraźniej lepiej mu szło z ocenianiem poszczególnych osób niż bieżących szans biznesowych.

Poza tym w głosie „Sama Robbinsa” było coś, co mocno Tannera zaalarmowało. Rozmówca usiłował brzmieć na luzie, a jednocześnie wyczuwało się w nim napięcie. Wyraźną tremę aktorską. Subtelną, lecz obecną.

Będąc w liceum, Michael przeżył okropny atak takiej scenicznej tremy, gdy odgrywał rolę Petera Quinta w przedstawieniu zatytułowanym *W kleszczach lęku*, na podstawie książki Henry’ego Jamesa pod tym samym tytułem. To była prawdziwa katastrofa. Ledwie zdołał wychrypieć swój tekst. Od tamtego dnia udawanie szło mu znacznie lepiej, jednak do dziś pamiętał rezonowanie owego strachu.

– Pan to „Sam Robbins”?

– Zgadza się.

– Sam T. Robbins? – zapytał Michael, wymyśliwszy inicjał drugiego imienia.

– Właśnie tak.

Serce Michaela gwałtownie przyspieszyło.

Facet kłamie.

– Nie mam pańskiego laptopa, panie Robbins. Przykro mi. Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi.

Tanner odłożył słuchawkę.

Potem usadowił się w fotelu i zagapił w sufit. W tej części magazynu rury i przewody zostały schowane pod podwieszanym sufitem, odbarwionym i brudnym. Co tu się dzieje, do cholery? Kto chciałby zachowywać się w ten sposób? Czyżby jakiś facet dowiedział się o zamianie laptopa, a teraz – z nieznanых powodów – usiłował go przejąć? Wykraść komputer należący do amerykańskiej senator?

Po kilku sekundach Michael usiadł prosto i spojrzał na ciekłokrystaliczny wyświetlacz swojego telefonu. Dzwoniono z kierunkowego dwieście dwa. Waszyngton, Dystrykt Kolumbii.

Przysunął klawiaturę swojego komputera i wygooglował hasło „senator Susan Robbins”. Jako pierwszy wynik ukazała się oficjalna strona internetowa Senatu z odnośnikiem do witryny poszukiwanej. Literki były fioletowe, nie niebieskie, ponieważ Tanner wcześniej klikał już w ten link. Zrobił to ponownie; zobaczył duże zdjęcie Susan Robbins oraz niewielki zielony trójkąt w rogu ekranu, z napisem „Kontakt”. Gdy w niego kliknął, otworzyła się lista z adresami biur senatorskich: jednym w Springfield w stanie Illinois, drugim w Chicago i trzecim w Waszyngtonie.

Sprawdził widniejący na stronie internetowej waszyngtoński numer telefonu. Zupełnie nie przypominał tego, z którego dzwonił tajemniczy facet podający się za „Sama Robbinsa” i z pewnością nie należał on do żadnej instytucji senackiej.

Czyżby zatem ktoś próbował wykręcić Michaelowi przykry numer? A może to pani senator, nie wiedząc czemu, poleciła któremuś ze swoich przydupasów, aby zadzwonił i kłamał na temat laptopa?

Poza tym, skąd w ogóle mieli jego namiary? Owszem, na ekranie macbooka air widniało imię i nazwisko „Michael Tanner”, ale przecież w kraju musi mieszkać z tysiąc Michaelów Tannerów. W samym Bostonie i okolicach było ich czterech lub pięciu. Skąd wiedzieli, do którego zadzwonić? Nie mogli zajrzeć do laptopa, bo był zabezpieczony hasłem. Może zatem telefonowali do każdego Michaela Tannera w Stanach, licząc, że w końcu trafią na właściwego?

Czyżby jednak udało im się włamać do mojego komputera? – pomyślał Mike. Działo się tu coś bardzo dziwnego, coś, czego Tanner nie rozumiał. Czuł, jak ogarnia go rozdrażnienie, a nawet złość, i to większa niż zwykle. Dzień przedstawiał się wręcz fatalnie, jakby stanowił otwarcie sezonu polowań na Michaela Tannera.

Prawda była taka, że odzyskanie laptopa niewiele Mike’a obchodziło. Nie przechowywał

tam niczego, czego by naprawdę potrzebował.

Jeśli pani senator chce dostać swój komputer z powrotem, musi się bardziej postarać.

Serce waliło Willowi jak młotem, czuł, że po karku spływają mu krople potu. Totalna, kompletna katastrofa.

Na kilka sekund ukrył twarz w dłoniach.

Nie mam pańskiego laptopa, panie Robbins. Przykro mi. Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi.

Czyżby w sposobie wysławiania się, w tonie głosu Willa było coś, co go zdradziło?

To musiał być ten właściwy Michael Tanner. Z całą pewnością, bo inaczej zapytałby po prostu: *Laptop? Jaki laptop? Nie wiem, o czym pan mówi.* Tymczasem facet z miejsca skłamał, z jakiegoś powodu zapał się wszystkiego.

Co za fuszerka.

Pytanie: co robić dalej?

Oczywiście Will nie mógł teraz nakłonić szefowej, aby zadzwoniła do Tannera. Bo jak by wyjaśniła, że wcześniej kazała to zrobić komuś innemu, podającym się za „Sama Robbinsa”? Tamtej rozmowy nie da się przecież cofnąć.

Rosyjski konsultant do spraw bezpieczeństwa odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak?

– Mówi Will Abbott z biura senator Robbins.

Tamten rzucił ostro:

– Jakiś problem?

– Nie. A właściwie tak.

Rosjanin nadal przebywał na Wzgórzu Kapitolijnskim, potrzebował więc niecałych dwudziestu minut, aby zjawić się w biurze senatorskim.

– Powiedziałeś, że zawsze istnieją inne sposoby.

Jewgienij przechylił głowę na bok i uniósł pytająco brwi. Milczał.

– Mówiłeś: „Jeśli jedna metoda nie zadziała, zawsze istnieje inny sposób. Inna droga”. –

I Will opowiedział mu o swoim katastrofalnym telefonie do Michaela Tannera.

– A więc człowiek, który ma laptopa pani senator, odmawia jego zwrotu.

– Na to wygląda.

– Dlaczego nie podejmiemy do sprawy spokojnie i po prostu nie odzyskamy tego przedmiotu? Przecież wiemy, gdzie gość mieszka.

Will zamrugał kilka razy. Nie bardzo wiedział, co dokładnie Rosjanin miał na myśli;

a może jednak wiedział, ale nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą. Samo myślenie o takiej możliwości, omawianie tego, oznaczało przekroczenie pewnej granicy. Poza tym nie miał pojęcia, jak prosi się o zrobienie czegoś takiego. Wreszcie spytał:

– Jakie środki trzeba zaangażować?

– Znamy pewnych ludzi w okolicach Bostonu. Zwrócimy się do nich z prośbą i odzyskają sprzęt.

– Ale bez... Bez przemocy, prawda?

– Oczywiście. Facet się nawet nie dowie.

– Muszę się zastanowić.

Rosjanin obojętnie wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz, chociaż wydawało mi się, że sprawa jest bardzo pilna.

– To tylko przykra niedogodność – odpowiedział Will. – Nic wielkiego.

Jewgienij odwrócił się na pięcie; był człowiekiem, który ma o wiele ważniejsze rzeczy do załatwienia.

Muzycznym trytonem komórka Willa obwieściła nadejście esemesa. Wyjął ją z kieszeni. Szefowa.

Na ekranie widniały tylko dwa słowa: *No i?*

Niepokojąca rozmowa telefoniczna zajmowała myśli Tannera przez większą część popołudnia. Dziwny, niezrozumiały telefon od człowieka, który podawał się za Sama Robbinsa.

Ponieważ Michael dysponował jego numerem, natychmiast wpisał go w Google'a, ale dowiedział się tylko tyle, że komórkę zarejestrowano w sieci Sprint. Oczywiście od razu natrafił na mnóstwo szemranych stron internetowych, które po pytaniach w rodzaju *Dzwoniono lub esemesowano do ciebie z numeru (202)...?* za odpowiednią opłatą oferowały znalezienie abonenta.

Kliknął w jeden z takich linków i wpisał numer faceta. Pasek ukazujący postęp poszukiwań zdawał się rosnąć bez końca; wreszcie ukazała się informacja z ofertą, że za dziewięćdziesiąt pięć centów (w ramach próbnego członkostwa w klubie) Michael otrzyma „pełen raport na temat danego numeru”.

Była to czarna dziura, jedna z wielu w internecie – „oferty”, z których skorzystanie mogło się skończyć wyłudzeniem wszystkich poufnych danych i zaszkodzić komputerowi.

Co dalej? Czy to naprawdę takie ważne, kim jest „Sam Robbins”?

Kwestią rzeczywiście istotną było jedynie to, że ów „Sam Robbins” bardzo pragnął zdobyć laptopa pani senator – tak bardzo, iż posunął się do nieudolnej próby zastosowania fortelu. I kłamstwa. Do próby oszukania Michaela. To ostatnie najbardziej go wkurzało.

Zrobił na blacie biurka trochę wolnego miejsca i ponownie otworzył komputer należący do pani senator. Wpisawszy hasło na ekranie powitalnym, obserwował, jak na ciemnym tle ukazuje się pulpit. Otworzył folder zatytułowany „Dokumenty”, a następnie przebiegł wzrokiem znajdującą się w nim listę. Zobaczył katalogi o nazwach „Zdjęcia znad Tahoe” czy „Wydarzenia w Dystrykcie Kolumbii”, a także kilka folderów oznaczonych jako „SSCI”, cokolwiek to znaczyło.

Michael kliknął w jeden z owych folderów: ukazała się kolumna dokumentów. Niektóre z nich wyglądały jak zestawy slajdów w PowerPoincie. Inne jak pliki w formacie PDF.

Na chybił trafił wybrał jeden, ze środka kolumny, i dwukrotnie kliknął.

Na górze strony, sporządzony białymi literami na czerwonym pasku biegnącym wzdłuż całej jej długości, widniał napis: ŚCIŚLE TAJNE//SI/TK//NOFORN.

Jasny gwint.

Ściśle tajne dokumenty? Przebiegł tekst wzrokiem, ale potrafił wydedukować jedynie to,

że został on sporządzony przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego i roił się od terminów urzędniczych. Nie dało się go normalnie czytać. Równie dobrze mógłby być napisany po serbsko-chorwacku. Tanner podniósł komórkę i zadzwonił do Lanny'ego Rotha z „Boston Globe”.

Umówili się na kolację.

Michael pamiętał, że gdzieś ma zapisany numer telefonu komórkowego Blake'a Gifforda. Dziwne, ale podczas niemal każdej podróży handlowej czy jakiegoś zjazdu miał do czynienia z tym człowiekiem. Gifford znalazł się na okładce magazynu „Barista”, kręcił się też po salonach wystawowych Global Specialty Coffee Association Expo, ciągnąc za sobą ekipę z kamerą. Kilka razy wypili razem po parę drinków. Przyjaciółmi nie byli, ale zachowywali się wobec siebie życzliwie. Serdecznie. Blake cieszył się pewną (ograniczoną) sławą, o której nie pozwalał nikomu zapomnieć: podkreślał, z kim to nie żegłował po Morzu Śródziemnym, z kim to nie szusował na nartach w Aspen. Jediną rzeczą, którą nie chwalił się Michaelowi, były owe fałszywe „wyprawy po zakupy”, przedstawiane w formie programów telewizyjnych. Ponieważ dobrze wiedział, że Michael nie da się na to nabrać.

W końcu Tanner znalazł w szufladzie biurka zmiętą wizytówkę, na której Gifford nabazgrał numer swojej komórki. Sygnał w słuchawce dźwięczał zapamiętałe aż do uruchomienia się poczty głosowej. Michael się rozłączył, a po mniej więcej minucie wcisnął przycisk ponownego wybierania. Tym razem Gifford odebrał po pięciu dzwonekach.

– Tak? – warknął ochryple.

– Z tej strony Michael Tanner.

Nastąpiła nagła zmiana tonu. Raptem Gifford zaczął przemawiać kordialnie, wręcz wylewnie.

– Och, cześć stary, co słyhać?

– W tej chwili niezbyt dobrze, Blake. Dotarły do mnie wieści o kontrakcie z Four Seasons.

– Hej...

– Niezbyt to fajne, kolego. Zupełnie niefajne. Pomyśl z prażeniem na „zimno” był mój. A ty po prostu go sobie zagarnąłeś.

– Oj tam, oj tam, jesteś już dużym chłopakiem. To nie ty wymyśliłeś tę technologię. Powstała w Kioto mniej więcej tysiąc lat temu.

– Umowa, którą miałem z Four Seasons...

– Myśmy weszli ze znacznie niższą ceną, stary. To bardzo proste.

– Wykiwałeś mnie. Kontrakt był mój. Miałem z nimi umowę.

– Ustną. Naprawdę chcesz, żebym ci wytłumaczył, ile jest warta ustna umowa? Przecież świetnie o tym wiesz, równie dobrze jak ja. Daj spokój, stary.

Tanner wpadł w taką złość, że zabrakło mu słów.

– To nie... to nie jest w porządku – wykrztusił wreszcie.

– Słuchaj. Bardzo mi przykro, ale na tym polega ta gra, przyjacielu. Nic osobistego. Tylko biznes.

Tanner nie zamierzał przyznawać, że Gifford ma rację. To był tylko biznes. Nie powinien brać całej sprawy aż tak bardzo do siebie.

Ponieważ nie odpowiadał, Gifford podjął:

– Słyszałem, że niesamowicie dobrze grasz w squasha. W przyszłym miesiącu będę w Bostonie. Przywiozę swoją rakietę, powinniśmy zagrać. Dobra?

Tanner milczał dłuższą chwilę. Wreszcie rzucił:

– Wiesz co, Gifford? Nie mogę się tego doczekać.

Za chwilę szefowa miała wziąć udział w głosowaniu w siedzibie Senatu przy pełnym jego składzie, więc Will mógł przeciwżyć szybki marsz w jej towarzystwie, odprowadzając ją tunelem długości blisko kilometra. Senator Robbins miała na nogach sportowe obuwie.

– Udało się? – spytała.

– Hm, nie, nie udało się, nie za bardzo. Ale mamy jeszcze inne opcje.

– Nie rozumiem.

– Im mniej pani wie, tym lepiej.

Posłała mu długie, twarde spojrzenie.

– Co ty kombinujesz?

– Zachowajmy odrębność naszych działań – powiedział Will.

– No cóż, im dłużej mój laptop jest u tego całego Tannera, tym więcej ma on czasu na spenetrowanie dokumentów. Dlatego trzeba zrobić wszystko, aby go odzyskać.

– Ale przecież nie dostanie się do plików. Są chronione hasłem.

Przez dłuższy czas senator milczała, jakby się nad tym zastanawiając.

– Za każdym razem, włączając komputer, wpisywała pani hasło, prawda? – zapytał Will. Był prawie pewny, że tak ustawili tego laptopa. Szefowa nie знаła się na sprzęcie na tyle, by wiedzieć, jak zmienić ustawienia.

– Och... no tak. Ale mogłam też, hm... – Pomachała i uśmiechnęła się do senatora ze stanu Oregon, który mijali ich na elektrycznym meleksie. – Możliwe, że zostawiłam hasło na karteczce samoprzylepnej.

– Gdzie była ta karteczka?

– Przy laptopie.

– W torbie? Myślałem, że nie nosi pani torby.

– Nie, na obudowie.

– Zostawiła pani hasło do komputera naklejone na laptopa? Na samym wierzchu?

– Nie, pod spodem.

A zatem szefowa umieściła karteczkę samoprzylepną z hasłem dostępu na dolnej części obudowy macbooka air. Jak to było możliwe? Trudno o większą niefrasobliwość, jeśli chodzi o zabezpieczenie hasła.

Abbott uświadomił sobie, że było to do niej bardzo podobne. Susan czuła awersję do wszelkich urządzeń technicznych, co stanowiło pewien ironiczny komentarz do jej

stanowiska w senackiej komisji wywiadu. Komputery były dla niej tajemniczymi, trochę niebezpiecznymi gadżetami, z których korzystali głównie ludzie młodzi, a oni celowo uniemożliwiali starszym osobom zrozumienie pewnych rzeczy. Podobnie rzecz się miała ze stosunkiem szefowej do samochodów. Chętnie nimi jeździła, ale gdy na tablicy rozdzielczej zapalała się czerwona dioda, od razu leciała do serwisu. I nigdy nie odpaliłaby wozu z kabla, gdyby padł jej akumulator.

Will nieomal jęknął, ale zdołał ugryźć się w język. Ostatnią rzeczą, na którą mógł sobie pozwolić, było krytykowanie szefowej, senator Susan Robbins ze stanu Illinois. Nie w ten sposób człowiek wspina się po szczeblach kariery.

– Możliwe, że je pani zostawiła, ale nie jest pani tego do końca pewna, tak? – zapytał. Czuł lekkie mdłości. Cała ta sytuacja zdawała się nierealna.

– Zwykle zostawiam sobie tę karteczkę. Czasem ginie mi gdzieś w aktówce i muszę grzebać w poszukiwaniu hasła. To taka różowa naklejka samoprzylepna.

– Mogłaby pani sprawdzić w aktówce? Może tam nadal jest. Bo jeśli, to...

Senator gwałtownie wcisnęła teczkę Abbottowi.

Ale dopiero gdy dojechali do Kapitolu, Will miał czas na przeszukanie aktówki. Usiadł na ławce w jednej z poczekalni przed Izbą Senacką, położył torbę na kolanach, otworzył ją i zaczął szperać. Zaginiona, różowa, samoprzylepna, kwadratowa nalepka musiała gdzieś tu tkwić.

Poddał się po kilkukrotnym drobiazgowym przeszukaniu. Niczego nie znalazł. Mdłości narastały. Było mu teraz naprawdę niedobrze.

Jeśli Michael Tanner zdał sobie sprawę z zamiany laptopów, jeżeli znalazł hasło przyklejone do spodu komputera, nie było najmniejszych wątpliwości, że wpisze je i będzie miał dostęp do zawartości laptopa. Wtedy dowie się, z kim się w tej sprawie skontaktować.

Jezu Chryste. Nic dziwnego, że facet skłamał, twierdząc, że nie ma laptopa. Musiał wcześniej uzyskać dostęp do niego i dowiedzieć się, że należy do pewnej pani senator. Na pewno dokładnie sprawdził zawartość.

A to oznaczało, że prawdopodobnie poznał ściśle tajne dokumenty. Przecież ich foldery widniały na pulpicie, na ekranie powitalnym.

Pewnie dlatego nie chciał oddać komputera. Może nie podoba mu się linia polityczna reprezentowana przez Susan i opublikuje jakąś wzmiankę na Twitterze bądź Facebooku? A jeśli skontaktuje się z „Wall Street Journal” albo z „New York Timesem”?

Will czuł, że twarz pali go i szczypie. Wstał, wyszedł z pomieszczenia i wcisnął przycisk ponownego wybierania w telefonie.

Rosjanin odebrał:

– Tak, Williamie?

– Pamiętasz, o czym wcześniej rozmawialiśmy...? O, hm, odzyskaniu przedmiotu?

– Tak?

- Zdecydowałem się. Chciałbym skorzystać z tej możliwości.
- Załatwione.
- Chwileczkę. Nie będzie śladów prowadzących do nas, prawda?
- Robimy takie rzeczy cały czas. Rutynowo. Mamy dobrych fachowców. Nie, ustalenie powiązań nie jest możliwe.
- Muszę mieć co do tego absolutną gwarancję.
- Udzielam ci jej. Nie ma mowy, aby ktoś was z tym połączył.
- Okej – powiedział Will ponuro. Chciał zabrzmieć zdecydowanie, ale zaschło mu w gardle. – Zrobmy to.

Tanner potrzebował wysiłku fizycznego, aby pozbyć się buzującego napięcia. Zadzwoił do jednego z kolegów, Scotta, który pracował w centrum miasta jako instalator kina domowego i chodził na tę samą siłownię co on: SportsClub Boston, średniej klasy klub fitnessu, sieciówka działająca na północnym wschodzie kraju oraz na wybrzeżu Atlantyku. Scott znakomicie grał w squasha, dlatego Tannerowi nie przeszkadzało, gdy z nim przegrywał; bardzo lubił ten sport. W siłowni nie sprzedawano wody butelkowanej, a ta płynąca z kranu w szatni miała metaliczny posmak, więc za każdym razem, jadąc na miejsce, zatrzymywał się przy stoisku z owocami, prowadzonym przez sympatycznego, pulchnego Nepalczyka. Lubił się trochę z niego pośmiać.

– Dzień dobry, panie Tanner – powiedział sprzedawca owoców.

– Dzień dobry, Ganesh.

Michael i Scott rozegrali trzy mecze: Michael raz wygrał, dwa razy przegrał.

Potem wziął szybki prysznic i poszedł na spotkanie z żoną.

Nie miał nic przeciwko herbacie, uważał ją za całkiem przyjemny napój, ale też nie wariował na jej punkcie. Tysiące gatunków, to całe wyczuwanie subtelnych różnic między nimi, nazywanie herbaty ziołowej naparem, kupowanie suszu luzem, bla, bla, bla. Dla niego nawet najlepsza herbata stała zaledwie dwa oczka wyżej od aromatyzowanego wrzątku.

Miejsce, które Sarah wybrała na ich spotkanie, czyli T Room, składało się z dwóch pomalowanych na biało pomieszczeń na pierwszym piętrze budynku przy Newbury Street. Minimalistyczny wystrój ograniczał się do mat tatami na podłodze, zasuwanych ekranów *shōji* oraz zwisających ze ścian zwojów. Przed wejściem do środka należało zdjąć buty, a wewnątrz nie słyszało się odgłosów ruchu ulicznego; okna miały podwójne szyby.

Panowały tu cisza i spokój. Niezbyt odpowiednie miejsce na kłótnię – być może żona chciała wchłonąć nieco z atmosfery, którą zapewniała japońska ceremonia parzenia herbaty.

Sarah miała na sobie prostą białą sukienkę bez rękawów, na którą narzuciła cienką zamszową kurtkę. Jasnobrązowe włosy spływały jej na ramiona. Makijażu chyba nie zrobiła, nie licząc błyszczyku do ust. Ale wyglądała cudownie, lepiej niż kiedykolwiek, co nie stanowiło dobrego omenu. Powinna sprawiać wrażenie zrozpaczonej, smutnej, przeraźliwie stęsknionej za mężem.

– Domyślam się, że w tym lokalu szanse na podwójne espresso są równe zeru? – powiedział Michael, kiedy Sarah usiadła na macie naprzeciwko niego. Nie pocałowała go na

powitanie, ale nie miało to chyba znaczenia.

– Tanner, tu nawet w sąsiednich pomieszczeniach nie wolno parzyć kawy. Zapach by wszystko zniszczył.

– Wspaniały zapach.

– To tak, jakbyś jedząc obiad w supereleganckiej restauracji, miał obok siebie faceta z dymiącym cygarem.

– Niezbyt właściwe porównanie. Od kiedy stałaś się taką wielbicielką herbaty i przeszłaś na ciemną stronę mocy?

Kelnerzy i kelnerki byli ubrani w kimona. Skomplikowany rytuał parzenia herbaty rozpoczynał się od zagotowania czystej wody źródlanej, a następnie wrzucenia do wrzątku liści za pomocą szufelki i zamieszania wywaru bambusową trzepaczką. Herbatę serwowano w dużych, wyglądających dość prymitywnie czarach, które należało trzymać obiema rękami. Miała uroczy zielony kolor, lecz była gorzka i załatywała wodorostami. Za deserowy dodatek robiły ciasteczka *mochi*, rodzaj kleistych ryżowych kluseczek, nadziewanych czymś ciemnym i słodkawym. Słodysz i gorzki. Może starannie wyreżyserowane rytuały japońskiej ceremonii picia herbaty nie różniły się aż tak bardzo od rytuałów pozostających w separacji małżonków? W końcu spotykali się w strefie bez kawy, na terytorium neutralnym.

– Te formularze, o które prosiłaś... Wysłałem ci je na skrzynkę mejlową – zagaił Tanner.

– Dziękuję ci.

– Nie ma sprawy. Ale wolałbym, żebyś tego nie robiła.

– Nie wynajmowała mieszkania? To umowa krótkoterminowa.

– To ma mnie pocieszyć?

– A chciałbyś?

– Czy chciałbym, żebyś wróciła do domu? Oczywiście, że tak.

Westchnęła.

– Nie mam już pieniędzy, Tanner. Mówię to niechętnie, ale taka jest prawda.

– Powiedz, czego ci potrzeba, a ci to dam.

– Chcę swoją działkę.

Michael nie bardzo wiedział, co Sarah ma na myśli, i zaczął się zastanawiać, czy w ten nieco sarkastyczny sposób nie mówi przypadkiem o rozwodzie. Powiedział:

– Zaczekaj, czy tobie chodzi o... – Nie zamierzał wypowiadać na głos wyrazu „rozwód”, ponieważ wtedy rzecz ta stałaby się realna, namacalna. Pokłócili się, ona się wyprowadziła, nie chciała z nim rozmawiać, znaleźli się w tymczasowej separacji... To wszystko było jeszcze do zniesienia. O ile uda się sprawy posklejać, a Sarah wróci do domu.

– Mówię o moich udziałach w Tanner Roast. Muszę je odzyskać. Od dwóch miesięcy ledwo wiązę koniec z końcem, brakuje mi gotówki.

Oboje włożyli po sto tysięcy dolarów w Tanner Roast, kiedy firma zaczynała działalność,

to znaczy osiem lat temu. Każde z nich było więc właścicielem połowy akcji.

– Sarah, może po prostu pożyczę ci kwotę, której potrzebujesz? Chyba nie chcesz, abym teraz wykupywał twoje udziały? No, naprawdę... Przecież wiesz, w jakiej jesteśmy kondycji, prawda? Wątpliwe nawet, żebyś odzyskała te sto tysięcy, które wyłożyłaś na początku.

Sytuacja była jeszcze gorsza, ale Tanner nie miał ochoty mówić o tym żonie: jej sto tysięcy już praktycznie nie istniało.

– A co z tym kontraktem z Four Seasons? Tylko nie wciskaj mi kitu. – Jeszcze kiedy mieszkali razem, Michael wielokrotnie opowiadał o tej umowie, powodowany nerwową ekscytacją.

– To nie... nie wypaliło.

– Z Four Seasons?

– Tak. Nie dojdzie do skutku.

– Nie rozumiem. Przecież kontrakt miałeś zaklepany.

– Najwyraźniej nie.

– O rany. Niedobrze. Słuchaj, po prostu rozdzielmy kapitał, Tanner. Nie jestem ci potrzebna jako współniczka. Już nie.

Rozdzielmy kapitał.

– Sarah. A może byś normalnie wróciła do domu?

– Mam prawo zażądać wypłaty gotówki w dowolnym momencie. Jak dobrze wiesz.

Michael westchnął.

– No cóż, w takim razie rób, jak chcesz. Ale najpierw trzeba dokonać wyceny wartości. Rozumiesz, jesteśmy na minusie.

– Jeszcze się przekonamy. – Powiedziała to zupełnie rzeczowo, bez groźby w głosie. – Jutro wyślę ci formalny wniosek mejlem.

Tak, mogła go zmusić do wykupu akcji. Wymóc dostarczenie stu tysięcy dolarów bądź innej kwoty stanowiącej równowartość jej udziałów w firmie. Być może Tannerowi udałoby się zdobyć te pieniądze, ale byłoby to bardzo nieprzyjemne. Musiałby zacząć wyprzedawać sprzęt.

– Sarah, mogę cię przeprosić?

– Za co?

Pomyślał: Za cokolwiek zechcesz. Daj mi po prostu listę przewin. Powiedział:

– Za tę wielką kłótnię między nami. Zachowałem się jak palant.

– Przecież nawet się nie kłóciłeś.

– O czym ty mówisz?

– Ty się nie kłócisz. Wszystko u ciebie przebiega... – wyciągnęła rękę z dłonią skierowaną w dół, na płask, i narysowała idealnie równą linię – spokojnie. Nigdy się nie unosisz. Nie wkurzasz.

– Bardzo często się wkurzam i dobrze o tym wiesz.

– Tylko o tym mówisz, że się wkurzyłeś. Inaczej tego nie widać.

– Bo nie rzucam ciężkimi przedmiotami ani nie krzyczę wniebogłosy jak jakiś wariat? Wierz mi, jestem na przykład wściekły na... na tę sprawę z Four Seasons.

– Wiesz, jaki jesteś, Tanner? Jak te gigantyczne kamienne głowy, te posągi na Wyspie Wielkanocnej. A może to Wyspa Bożego Narodzenia? Pamiętasz, ogromne, pozbawione wyrazu, beznamienne głowy z kamienia. To ty.

Uśmiechnął się. *Pozwól, niech kule śmigają i przelatują obok. Nie próbuj ich łapać rękami.*

Gdzieś w pamięci Tannera zachował się obraz kłótni rodziców, jednej z wielu, która zbudziła go w środku nocy, sprawiając, że miał chęć zwymiotować. Kucnął wtedy na schodach, na stopniu, z którego widać było kuchnię, a sam pozostawał niezauważony. Ojciec wrzeszczał: „Niech cię szlag! Niech cię jasny szlag trafi!”. Właśnie ten krzyk go obudził.

Ojciec potrafił budzić grozę, zwłaszcza gdy jego twarz stawała się ciemnoczerwona. Tanner zobaczył, jak podnosi ceramiczną dynię, którą Michael wykonał na zajęciach plastycznych w szkole, i ciska nią w matkę, która krzyknęła, robiąc unik. Dynia chybiła o cal i rozbiła się o ścianę, eksplodując na sto poszarpanych kawałków. Oczywiście na widok zniszczonej dyni chłopca ogarnęła złość, a jednocześnie czuł, że w jego wnętrzu także coś pękło i się rozpadło, coś znacznie większego i ważniejszego: ufność, którą dziecko żywi do rodziców i dorosłych, osób racjonalnych. Tanner nigdy nie zapomniał wyrazu twarzy swojej matki. To nie był gniew ani żal. To był strach.

– Posłuchaj – powiedział spokojnie. – Wspominałaś wcześniej o wizycie w poradni małżeńskiej... Myślę, że to dobry pomysł. Dajmy mu szansę.

– Kto twierdzi, że jestem tym nadal zainteresowana?

– Och.

– Żartowałam, Tanner. Przecież cię nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi.

Sarah upiła łyk herbaty.

– Założę się, że twoi kumple biorą nasze spotkanie za dobrą monetę. Zwłaszcza Lanny i Carl.

– Nieszczęścia chodzą parami, jak mi się wydaje.

– Robicie sobie z tego jaja, żartujecie, jaką to masz żonę megierę, co?

– Absolutnie nie – zaprzeczył Tanner. – Oni wszyscy cię uwielbiają.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się żałośnie.

– Sarah, kotku, tęsknię za tobą. Dom bez ciebie jest pusty, a ja samotny.

– Ty? Samotny? Nie stosuj tej metody na mnie. Boże, ty masz więcej przyjaciół niż... Pamiętam, jak szłam z tobą przez uczelniany dziedziniec, kiedy byliśmy studentami na licencjacie. Jakbym kroczyła po wodzie. Co dziesięć kroków ktoś cię zaczepiał, zagadywał, chciał się przywitać. I tak non stop. Ty znałeś wszystkich. Nie wiem, jakim cudem

docierałeś na zajęcia punktualnie. Byłeś niczym chodzący Facebook.

– Kiedy ty się uczyłaś, ja imprezowałem – odrzekł Tanner z uśmiechem. – Przyznaję się.

– A nasz ślub... Pamiętasz, że twoja pierwotna lista gości liczyła jakieś pięćset nazwisk? Kazałam ci zredukować ją do tylu osób, ile było na mojej liście, i miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Bo ostatecznie zaprosiłeś co dziesiątego człowieka, którego chciałeś zaprosić. Jesteś, że tak powiem, najmniej samotną osobą na świecie.

Tanner wzruszył ramionami.

– Uważam, że większość ludzi jest interesująca, kiedy się już ich pozna.

– Tak łatwo się z tobą przyjaźnić – stwierdziła Sarah. – Może powinniśmy na tym poprzestać.

– Na czym?

– Na przyjaźni. Jeszcze herbaty?

Tanner nie potrafił się powstrzymać od myślenia o Pudełku. Tym, które zawierało menu nieistniejącej restauracji Tanner Q.

Wróciwszy z pracy, ojciec zawsze wypijał kilka szklaneczek whisky; po trzeciej był już nieźle wstawiony. Michael wiedział, że wtedy lepiej było trzymać się od niego z daleka. Nie dlatego, że stawał się agresywny – zwykle nie – ale cała ta sytuacja zawstydziała chłopca. Takiego oblicza swojego ojca wolałby nigdy nie oglądać. Któres dnia zawędrował do salonu, gdzie tata siedział przed telewizorem na rozkładanym fotelu ze szklaneczką szkockiej w specjalnym uchwycie, oglądając mecz Soksów. Michael zapytał go o Pudełko.

– To nic takiego – odparł ojciec. – To był tylko pomysł.

– Ale dlaczego nic z niego nie wyszło?

Fred Tanner rzucił synowi rozmyte, nieuważne spojrzenie znad krawędzi szklaneczki z lodem.

– Bo co?

– No po prostu dlaczego?

Ojciec wykrzywił usta w dziwnym, gorzkim uśmiechu.

– Przez ciebie.

– To znaczy? – zapytał Mike zaniepokojony i zbity z tropu.

Twarz ojca zachmurzyła się nagle, stała nieprzenikniona.

– Żartowałem – powiedział wreszcie, lecz zupełnie nie sprawiał takiego wrażenia. W każdym razie rozmowa była skończona. Ojciec odwrócił się do telewizora, powracając do meczu Red Soksów.

– Co ja takiego zrobiłem? – zapytał chłopiec. Nie usłyszał odpowiedzi.

Will Abbott spierał się właśnie przez telefon z szefową personelu senatora ze stanu Indiana, kiedy zauważył nadejście kolejnego połączenia. Numer kierunkowy osoby dzwoniącej zaczynał się od 619. To znaczy San Diego. A jedynym człowiekiem, którego znał z tamtych okolic, był...

Zakończył rozmowę z Caitlin, ową szefową personelu, i przełączył się na linię numer dwa.

– Halo?

– Tu Mort Nathanson – oznajmił szorstki głos.

– Och, Morty, miło cię słyszeć. Susan jest na głosowaniu, ale powiem jej, żeby do ciebie oddzwoniła natychmiast, jak wróci.

– Nie, właściwie to mam sprawę do ciebie.

– Ach tak. Czym mogę służyć, Morty?

– Pogadajmy jak facet z facetem. Mów, czy powinienem się martwić.

– Martwić...?

– Tylko gadaj szczerze. Czy w nią jeszcze warto inwestować?

– To znaczy w Susan? Oczywiście, że tak. Dlaczego miałbyś...?

– Jewgienij przekazał mi coś interesującego.

Will przełknął ślinę.

– Taak?

– W jej przypadku najmniejsze potknięcie w sprawach zawodowych może okazać się fatalne w skutkach.

– Chyba nie rozumiem... – Will czuł, jak jego twarz robi się gorąca. Czy Jewgienij powiedział swojemu szefowi, Morty’emu Nathansonowi, o zaginionym laptopie? Czyżby Morty wiedział o czymś jeszcze, domyślał się, co się tak naprawdę stało? *Jezu Chryste.*

– Rozumiesz, kiedy jakaś firma ma kłopoty, nie rozmawiam tylko z jej prezesem. Sięgam głębiej. Dzwonię do dyrektora finansowego, do dyrektora operacyjnego, i to bezpośrednio. Wiesz czemu? Bo oni nie umieją aż tak dobrze kłamać.

– Nic takiego się nie dzieje, wedle mojej najlepszej wiedzy...

– Posłuchaj mnie – warknął Nathanson. – W Susan Robbins włożyłem kupę forsy i chcę wiedzieć, czy moja inwestycja znalazła się w tarapatkach. Dochodzą do mnie niepokojące wieści. Dlatego nie pozwól, żebym został zaskoczony naprawdę złą wiadomością,

rozumiemy się?

Tanner spotkał się z Lannym Rothem w restauracji na South End, niedaleko miejsca zamieszkania Lanny'ego. W lokalu panował hałas większy, niż Tanner pamiętał z czasu ostatniej wizyty. Ledwie słyszeli się nawzajem. Kelnerka podeszła i wyrecytowała całe menu bez zająknięcia. Była tuż po dwudziestce, ładna, choć jednocześnie chuda i z małymi piersiami. Miała czarne włosy, szare oczy, gotycki makijaż i sporo płynnej konturówki na oczach, co sprawiało, że wydawały się przewrotnie kocie.

– Może pani powtórzyć listę przekąsek? – poprosił Lanny.

– Ostrygi *en brochette* – powiedziała kelnerka.

Lanny pochylił się i wsparłszy brodę na dłoniach, przyglądał się jej taksująco.

– Chciałem tylko, żeby pani wymówiła to jeszcze raz.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze skrępowaniem.

– Uczyła się pani francuskiego, prawda? Ma pani znakomity akcent.

Kiwnęła głową, tym razem posyłając mu fałszywie uśmiech.

– Za chwilę wrócę. – I pośpiesznie odeszła.

– Naprawdę chciałeś, żeby jeszcze raz to wymówiła? – zapytał Tanner.

– Chętnie bym ją przeleciał – oznajmił Lanny.

– Jasne, pytanie tylko, czy ona przeleciałaby ciebie.

– Otóż to.

– Mógłbyś być jej ojcem.

– Piękno nie zna ograniczeń wiekowych.

– Myślę, że ją trochę wystraszyłeś.

Lanny wzruszył ramionami.

– Może jest studentką dziennikarstwa na Emerson College i chce się dostać na staż do „Globe”?

– Napluje ci do gazpacho.

– W takim razie nie będę zamawiał gazpacho.

Tanner odsunął na bok talerz w kształcie półmiska oraz sztucce, wyjął z torby laptopa i położywszy na stoliku, otworzył pokrywę. Wpisał hasło – znał je już na pamięć – a potem obrócił komputer i podał Lanny'emu. Podczas tej operacji stuknął krawędzią laptopa o szklankę z wodą, która się zachwiała i omal nie przewróciła.

– To ten należący do pani senator?

Tanner potwierdził skinieniem głowy. Wcześniej podzielił się z kolegą opowieścią o dziwnym telefonie od „Sama Robbinsa”.

Lanny wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

– Niesamowite.

– Folder z prawej strony, u góry. Pod nazwą „SSCI docs”.

Roth kliknął dwukrotnie i zapatrzył się w ekran zmrużonymi oczami. Z kieszeni marynarki wyjął tanie okulary do czytania.

– Hm.

– Widzisz to? Te wszystkie PDF-y i slajdy w PowerPoincie?

– Hm.

Tanner czekał. Wziął ze stołu serwetkę i złożył ją w kwadrat na kolanach. Tyczkowaty, ciemnowłosy młodzieniec przyniósł im koszyk z pieczywem, nakryty czerwoną ściereczką, a następnie położył na blacie biały talerzyk i polał go zielonkawą oliwą z oliwek.

Lanny odczekał, aż kelner sobie pójdzie, a potem spytał:

– Zdajesz sobie sprawę, cholera, co tutaj masz? – Jego rozszerzone oczy nie odrywały się od ekranu.

– Co takiego?

– Ściśle tajne dokumenty. Naprawdę poważne świństwo. Dane wywiadowcze przeznaczone dla rządu, tajne przez poufne. Niesamowite! O ile się nie mylę, wszystkie dotyczą czegoś o kryptonimie CHRYSALIS. To jakiś tajny projekt, program czy coś.

– Okej...

– Zostały sporządzone przez NSA. Tyle chyba zrozumiałeś, tak?

Tanner kiwnął głową.

– Są ściśle, ale to ściśle, kurwa, tajne. Top Secret/SCI. Zapomniałem, co to właściwie znaczy, chyba „informacje klasyfikowane dotyczące bezpieczeństwa” albo jakoś tak. Ta sygnatura to jeden z podzbiorów kategorii Top Secret.

Michael czuł, jak w żołądku splata mu się ciasny węzeł. Nagle stracił apetyt. Lanny nie powiedział niczego, czego by Michael sam wcześniej nie wiedział – jedynie potwierdził, zweryfikował jego podejrzenia. Uczynił je bardziej realnymi.

– Co mam z tym zrobić?

– Pozwól mi je skopiować.

– Po co?

– Pogrzebię tu i tam. Dowiem się, o co w tym chodzi.

Do ich stolika podeszła kociooka kelnerka.

– Podjęli panowie decyzję? – spytała.

– Cześć – rzucił Lanny.

– Proszę dać nam jeszcze dwie minutki, dobrze? – poprosił Michael. Na nic się jeszcze nie zdecydował. Coraz częściej odnosił wrażenie, że decyzje zapadały same, bez jego udziału.

– Mam taki fajny... wihajsterek – oznajmił Lanny. Wyjął z kieszeni spodni pendrive'a, uniósł go i pomachał.

– Okej – powiedział Michael. – Ale... wszystko pozostaje wyłącznie między nami.

– Dowiem się tylko, co w trawie piszczy – uspokoił go Lanny. – Nie martw się. Nikomu nie pisnę słówka.

Jadąc do domu, Michael czuł narastającą presję problemów finansowych, z którymi borykała się jego firma Tanner Roast, skutków utraty Four Seasons jako klienta, a także żądań Sarah – wszystkie ciążyły mu jak ołów. Przez chwilę miał wrażenie, jakby znalazł się w pułapce, unieruchomiony przez lawinę: napierały nań tony błota i gładów, grzebiąc go i miażdżąc.

Gdy dotarł do domu, otworzył frontowe drzwi i wkroczył do chłodnego, ciemnego przedpokoju.

Od razu wiedział, że coś jest nie tak.

Zdał sobie z tego sprawę instynktownie, gadzią częścią mózgu, zanim myśl dotarła do jego świadomości. W polu sensorycznym powstała jakaś zmiana; wystarczyła sekunda, by Tanner uzmysłowił sobie obecność nieznanego zapachu. Nikłej woni resztek żywności gnijących w koszu na śmieci, silniejszej niż normalne zapachy domu, na przykład cytrynowych środków do czyszczenia, starego drewna, stęchlizny z odrobiną pleśni.

Czy ze śmieciami w kuchni coś się stało? Ale to przecież niemożliwe: nie miał w koszu żadnych resztek żywności. Wszystkie niepotrzebne artykuły spożywcze lądowały w młynku do rozdrabniania odpadów.

Nagle poczuł delikatny ruch powietrza, który kazał mu ruszyć w głąb domu, do salonu z przeszklonymi drzwiami balkonowymi wychodzącymi na niewielki ogródek. Drzwi te zawsze były zamknięte na klucz, bo w końcu mieszkał w Bostonie, nie na wsi. Zbliżywszy się, Tanner zobaczył, że brakuje w nich jednej szybki. Czyżby jakimś cudem sama wypadła, czy raczej... Podeszedł bliżej. Ogarnął go podmuch zimniejszego powietrza z zewnątrz, niosący ów paskudny zapach gnijących odpadków. Pewnie sąsiad wcześniej rano wystawił swój kubeł na śmieci. Woń była lekko irytująca, ale normalnie Michael nie poczułby jej w domu.

Tylko że teraz w oszklonych drzwiach brakowało jednej szybki.

Nie została stłuczona. Wyglądało to tak, jakby ktoś ją usunął, precyzyjnie wyciął, zapewne nożem do szkła.

Michael zaczął się zastanawiać...

Nacisnął klamkę, a drzwi tarasowe natychmiast się otworzyły. *Przecież zamknąłem je na klucz, jestem tego absolutnie pewien.*

Serce Michaela przyspieszyło gwałtownie. Już rozumiał, co tu się stało. To oczywiste:

ktoś wyciął szybkę w drzwiach balkonowych, wsunął do środka rękę i przekreślił zamek.

Michael powoli rozejrzał się po salonie w poszukiwaniu dowodów włamania, do którego musiało dojść dzisiaj. W pierwszej chwili niczego takiego nie zauważył. Gigantyczny, płaski telewizor marki Samsung, który kosztował kupę forsy, nadal znajdował się tam gdzie poprzednio, nie brakowało też żadnego elementu składowego wieży stereo. Tanner nie miał w domu żadnej biżuterii, nie licząc spinek do mankietów, nie przechowywał tu również grubszej gotówki. Większość kosztowności wzięła Sarah, kiedy postanowiła się wyprowadzić. Cóż Michael mógł mieć tak cennego, że byłoby warte kradzieży?

Czyżby to miał być...?

Wyszedł z salonu i po stromych schodach wspiął się na pierwsze piętro. Dom, czterokondygnacyjna szeregówka, stał w bostońskiej dzielnicy South End. Żył się tu w pionie, co nie zawsze oznaczało wygodę. Jeśli komuś zachciało się pić w środku nocy, musiał albo pójść do łazienki, albo zejść dwa piętra do kuchni.

Na pierwszym mieściło się domowe biuro Tannera. *Na pewno zaczęli szukać najpierw tutaj.* Ale nie zauważył w pokoju zmian, niczego nie brakowało. Laptopa nie było, ponieważ tkwił bezpiecznie w firmowym sejfie. Komputer Power Mac znajdował się na miejscu, wieża obudowy stała na podłodze tuż obok biurka, na nim duży monitor i klawiatura bezprzewodowa. Wszystko nietknięte.

Tanner stuknął w klawisz spacji, żeby obudzić urządzenie i uwolnić ekran od psychodelicznego wygaszacza. Ten komputer nie był zabezpieczony hasłem jak laptop, dlatego ożył natychmiast.

Gdy Michael złapał za myszkę, stwierdził, że kursor nie porusza się zgodnie z jego wolą. Coś tu było schrzanione. Poszurał urządzeniem po podkładce, a wówczas kursor wykonał na całym ekranie dziwaczny taniec w sposób całkowicie niezwiązany z ruchami myszki.

Ach.

Mysz została przestawiona. Bładoszare logo z jabłkiem znajdowało się u góry, nie na dole. Ktoś się nią posługiwał, a potem podpiął odwrotnie.

Co oznaczało, że ktoś poszukiwał czegoś w komputerze Tannera.

Szybko zlustrował pozostałą część domu, ale nie znalazł innych śladów włamywacza. Być może gdzieś tam były, jednak żadnego z przedmiotów nie brakowało.

Sprawcy musieli ustalić, że najłatwiej wejść do środka od tyłu, przez tarasowe drzwi. Do ogródka dostali się zapewne boczną furtką, która nie miała zamka, a potem wycięli szybkę w przeszklonych drzwiach – doszli chyba do wniosku, że jest to szybsza i łatwiejsza metoda niż próba otwarcia zamka. A zatem nie dbali o to, że pozostawią ślady swojej obecności.

Jednak nic nie zostało zniszczone, nie pozostawiono też Tannerowi żadnych przerażających „wiadomości”, na przykład końskiego łba w łóżku. Intruzi przeczesali dom, skupiając się na biurze i komputerze.

Szukali laptopa.

Biuro Michaela w siedzibie firmy miało solidny system zabezpieczeń, obejmujący także alarm. Włamanie się tam nie wydawało się łatwe, a żeby dostać się do sejfu, trzeba go chyba wysadzić w powietrze. Natomiast w domu zainstalowano jedynie podstawowy system antywłamaniowy, który Michael aktywował przed każdym wyjściem do miasta. Dlatego oni, kimkolwiek byli, mieli ułatwione zadanie.

Nagle przypomniał sobie, że przecież w skład systemu wchodziły dwie ukryte kamery, udające wykrywacze dymu, umieszczone w przedniej i tylnej części parteru. Włączały się o ósmej rano i wyłączały o dziewiętnastej. Nagrywanie można było oczywiście przestawić na inne godziny, tyle że Michael zgubił gdzieś tę głupią instrukcję, którą dołączono do kamer. Sarah nalegała na ich zainstalowanie po serii włamań, do których doszło w ich dzielnicy. System był starej daty, wykorzystywał cyfrową nagrywarę wideo, nie przekazując danych chmurze, jak robiły to najnowocześniejsze kamery typu Nest. Tanner zazwyczaj nie pamiętał, że są włączone. Nigdy nie mieli włamania do domu, nawet nie brał pod uwagę takiej ewentualności.

Zbiegł truchtem po schodach do znajdującej się obok kuchni garderoby, którą przerobili na spizarkę. Na najwyższej półce tkwiły elementy składowe systemu alarmowego. Michael rozstawił drabinkę i wspiął się po niej do nagrywarki. Wcisnąwszy kilka guzików na chybił trafił, zorientował się w końcu, jak cofnąć zapis. Dziwne, ale najwyraźniej nagrania z dzisiejszą datą nie było. Czy to znaczyło, że maszyna nie działała? Znalazł natomiast zapis z wczoraj, a także z przedwczoraj.

Włamywacze usunęli dzisiejsze nagranie.

Koszula ciasno opinała mu kark. Kiedy Will spróbował zapiąć guzik przy kołnierzyku, poczuł przykre szczypanie na skórze szyi i ledwie mógł złapać oddech. Czy to możliwe, aby od ostatniej oficjalnej imprezy jego gabaryty zwiększyły się o pół koszulowego rozmiaru? Bzdura. A jednak, jak się nad tym zastanowić, przez ostatnich parę miesięcy przytył chyba z siedem kilogramów. Od dziesięciu do dwunastu w ciągu trzech lat, to jest od czasu, gdy rozpoczął pracę jako szef personelu Susan Robbins. Być może więcej – Abbott przestał wchodzić na wagę już dawno. Brzuch wylewał mu się znad paska. Z każdym dniem coraz bardziej przypominał wyglądem swojego ojca. Przeróżające.

Jen leżała w łóżku, obserwując, jak Will się ubiera. Rozmawiali cicho. Travis spał w kołysce w sypialni i oboje chcieli, by trwało to jak najdłużej.

Chwilowo poddawszy się w walce z zapięciem kołnierzyka, Will zaczął wsuwać spinki ze sztucznego onyksu w dziurki mankietów – a przynajmniej próbował. Szło mu fatalnie; odnosił wrażenie, że palce ma zbyt grube. Nie cierpiał ubierać się w tak oficjalne garnitury, przy czym smokingi – *oj, przepraszam, garnitury wieczorowe* – były już zupełnie śmiesznym reliktem, jakby rodem z serialu *Downton Abbey*, zagrażającym dzisiejszej imprezie, Balowi Korespondentów Zagranicznych przy Białym Domu, mającej się odbyć w waszyngtońskim hotelu Hilton. Abbott wybierał się tam wyłącznie ze względu na swoją szefową, której musiał towarzyszyć. A to oznaczało konieczność prowadzenia głupich gadek i uśmiechania się do senatorów i senackich urzędników. Jeśli chodzi o gadki szmatki, Will był beznadziejnym przypadkiem.

I jeszcze ten cholerny laptop, ta nadciągająca katastrofa, która całkowicie zajmowała jego myśli. Kilka godzin temu zadzwonił Rosjanin z informacją, że włamanie niczego nie dało. Gdy Will usłyszał te słowa, aż skręciło go w żołądku. Ale jednocześnie – i to było właśnie dziwne – odczuł ciche zadowolenie z tej wiadomości. Ponieważ ów arogancki Rosjanin (mimo że posługiwał się imieniem Jewgienij, Will na własny użytek nazywał go Igorem) bardzo schrzanił sprawę.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedziała Jen, wstając.

– Dzięki.

– A to ci bolec – rzuciła, sprawnie wciskając spinkę w dziurkę. Z jakiegoś powodu Will pomyślał nagle o seksie. Czuł na piersi gorący oddech żony, co go niespodziewanie podnieciło. Już nie pamiętał, kiedy się ostatnio kochali, ale było to na pewno jeszcze

podczas ciąży. Teraz Jen nie interesowała się seksem. Większość dnia spędzała w piżamie; jej włosy wyglądały tak, że kojarzyła się z wariatką trzymaną gdzieś na strychu i związaną łańcuchami – Will wiedział jednak, że lepiej nie mówić o tym głośno. Jen miała o wiele trudniejsze zadanie, gdyż to ona całymi dniami przebywała z Travisem.

Jen słyszała o zaginionym laptopie – była w domu w chwili, gdy Susan dzwoniła w tej sprawie – ale Will nie mówił żonie o podjętych wysiłkach, by go odzyskać. Im mniej osób o wszystkim wiedziało, tym lepiej. A jego działania przekroczyły już granicę, która dzieliła czynności zgodne z prawem od tych niezgodnych.

– Hej, może kiedyś weźmiesz mnie ze sobą?

– Na ten bal zarozumiałców? – Tak właśnie ludzie z wewnątrz nazywali Bal Korespondentów.

– No.

– Pewnie – odrzekł Abbott, choć wcale nie zamierzał. Bilety kosztowały po trzysta dolarów i piekielnie trudno je było zdobyć.

– Kiedy ty będziesz szpanował w tym smokingu jak jakiś James Bond, ja obejrzę powtórki *Prawa i porządku*.

– Wierz mi, że wolałbym zostać w domu i zobaczyć ten serial. Albo *House of Cards*.

– Och, wyluzuj, Will. Będzie fajnie. Gdzie twój pas smokingowy?

– Był na wieszaku. Nie, jest tam, na dnie szafy.

– Ciiii.

– Przepraszam – powiedział Abbott znacznie ciszej.

Postawił kołnierzyk pionowo i jeszcze raz spróbował zapiąć guzik pod szyją. Jen tymczasem podniosła z podłogi pas smokingowy, a następnie położyła go na łóżku.

– Daj, ja to zrobię.

Właśnie wtedy Travis zaczął pojękiwać, a po chwili wrzeszczał już na całe gardło. Jen natychmiast podeszła do kołyski i wyjęła z niej synka.

– Ktoś tu ma skupaną pieluszkę – powiedziała. – Moje biedactwo.

Płynnym ruchem umieściła sobie niemowlę na ramieniu. Will poczuł przykrą woń, kiedy żona i dziecko go mijali.

– Dzięki – rzucił. Znaczyło to: *Dziękuję, że robisz to, co ja powinienem zrobić*.

Jeszcze przez chwilę walczył z guzikiem od koszuli i w końcu mu się udało. Poczul ukłucie na szyi, a potem napływ krwi do twarzy. Złapał pas smokingowy leżący na łóżku.

– Te fałdy mają być u góry czy na dole? Ciągle zapominam.

– Myślisz, że wiem? – zawołała Jen znad przewijaka w sąsiednim pokoju, który miał stać się sypialnią Trávisa, gdy trochę podrośnie.

– Mój tata raczej nie nosił czarnych muszek ani nic podobnego. – Ojciec Jen przeszedł niedawno na emeryturę po czterdziestu pięciu latach pracy jako mechanik samochodowy.

– Wydaje mi się, że powinny być u góry, aby wyłapywać okruchy – uznał Will. Owinął

się pasem i zapiął go z tyłu. Potem odwrócił się i spojrzął na siebie w lustrze. Strój nieco ukrył wystający brzuch.

- Wyglądasz dobrze – stwierdziła Jen.
- W czarnym smokingu każdy wygląda dobrze.
- Zrobię ci zdjęcie.

Abbott zerknął na zegarek.

– Jerry będzie tu lada chwila. – Jerry, kierowca Susan, zawsze był punktualny. – Musimy jeszcze skoczyć po szefową i dopiero potem pojedziemy do Hiltona.

- Och, daj spokój, Will. Tylko jedna fotka.

Abbott nie cierpiał, gdy robiono mu zdjęcia. Zawsze starał się od tego wymigać.

Jechali w milczeniu. Will nie mógł wymyślić żadnego tematu rozmowy z Jerryem. Zdawał sobie sprawę, że istnieją faceci wprawni w prowadzeniu zdawkowych konwersacji zarówno z senatorami, jak i kierowcami limuzyn. Gaduły. On jednak do nich nie należał, nie był dobry w takich gadkach. Prawdopodobnie Jerry uważał go za aroganta, kolejnego zadzierającego nosa urzędnika z Kapitolu, typowego egoistę.

Zatrzymali się przed domem Susan Robbins w Georgetown, kamienicą z czerwonej cegły w stylu georgiańskim przy M Street. Czekali.

Szefowa wyłoniła się po dziesięciu minutach. Kiedy wsiadła do suburbana, wniosła ze sobą obłok perfum L'Air du Temps. Była ubrana w rubinową suknię, na szyi miała tahitańskie perły, wielkie, szaro-kremowe kulki – naszyjnik, w którym często się fotografowała.

Zapytała Jerry'ego o confirmację córki i kilka minut z nim gawędziła. Następnie zwróciła się do Willa.

- Morty poinformował, że nie będzie go na wieczornym przyjęciu.
- Jeden pierścień mniej do pocałowania.

Uśmiechnęła się.

Abbott miał przez chwilę zamiar powiedzieć szefowej, że wygląda świetnie, bo rzeczywiście tak było, ale w końcu uznał, że byłoby to zbyt poufałe.

– Pamiętaj, aby uścisnąć rękę Timowi O'Connorowi. – O'Connor był początkującym senatorem ze stanu Nowy Jork. – To mój nowy najlepszy kolega. – Przyciszonym głosem Robbins spytała: – Mamy go?

Will spojrzął zezem na Jerry'ego.

– Jerry, mógłbyś podnieść to... coś? – poprosiła szefowa. Szklana bariera natychmiast rozdzieliła tylną kanapę od przedniej części wozu. Will słyszał kiedyś, że prezydencka limuzyna, zwana Bestią, ma taki sam ekran rozdzielający, ale wyposażony w monitor do prowadzenia wideokonferencji.

- Załatwione?

– Proces jeszcze trwa.
– Co to znaczy?
– Plan ruskiego nie wypalił, ale proszę nie...
– Nie wypalił? Co masz na myśli? Nie, lepiej mi nie mów.
– Nie ma się czym martwić. Z nim już skończyliśmy. – Will wypowiedział to zdanie z przyjemnością. Napuścił Igora, czyli Jewgienija, na tamtego gościa, ale Rosjanin całkowicie schrzanił sprawę.

– Im dłużej ten komputer jest gdzieś tam, nie wiadomo gdzie...
– Osobiście... kieruję tą... sprawą i wszystko zostanie załatwione jak należy. Tak długo, jak długo będę mieć pełną kontrolę operacyjną. – Abbott urwał, a senator kiwnęła głową. – Załatwimy to.

– Nikt nie może mnie z tym powiązać.

– Nie powiąże. Proszę mi zaufać.

Robbins ponownie skinęła głową.

– Ufam – powiedziała. – Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Will zagryzł wewnątrz policzka, żeby nie uśmiechnąć się z radości. Piłka była po jego stronie i wiedział, co z nią zrobić.

Suburban zatrzymał się przed hotelem Hilton. Kamery sieci C-SPAN czekały już na gości przed „czerwonym dywanem”. Susan należała do celebrytów, przynajmniej w kręgach waszyngtońskich, jednak w balu miał wziąć udział tabun prawdziwych hollywoodzkich gwiazd. Harrison Ford, Morgan Freeman, Kardashianie, a także wspaniała wokalistka Judy Collins, którą Will miał nadzieję poznać osobiście. Imprezę moderowała jakaś kobieta z kanału Comedy Central.

Ale najważniejszą rzeczą dla Abbotta było skłonienie pewnego starszego senatora ze stanu Massachusetts do chwili rozmowy w cztery oczy. Zamierzał poprosić tego człowieka o poufną przysługę.

Kilka minut po dwudziestej zaczęło zmierzchać. Tanner planował nalać sobie szklaneczkę whisky i pooglądać telewizję lub poczytać jakiś dobry thriller. A potem pójść wcześniej spać.

Tymczasem wyjął iPhone'a i wybrał numer Lanny'ego Rotha.

Nikt nie odbierał telefonu stacjonarnego, więc Tanner spróbował dodzwonić się na komórkę; po kilku sygnałach kolega odebrał.

– Hej. – Lanny sprawiał wrażenie, jakby się gdzieś spieszył i brakowało mu tchu.

– Zbyt późno na telefon?

– Więc dostałeś moją wiadomość?

– Wiadomość?

– Nie? Jezus, okej... Mów.

– Mogę cię zaprosić na drinka?

– Właśnie jadę do Manchesteru.

– Tego w Massachusetts?

– Tego w New Hampshire. Tylko na jedną noc. Piszę cholerny artykuł o tamtejszych wyborach. A co się dzieje?

– Ktoś się włamał do mojego domu.

– Chryste Panie. Mówiłem ci, że przyjdą po ten komputer.

– Niczego nie zabrali, o ile potrafię stwierdzić.

Lanny wziął głęboki oddech.

– W jaki sposób weszli?

– Wygląda na to, że usunęli jedną szybkę w drzwiach tarasowych i sięgnęli do zamka. Nie włączyłem alarmu antywłamaniowego, a oni o tym musieli wiedzieć.

– Nie jestem zaskoczony.

– A wyobraź sobie, że na parterze domu mam stary system z kamerami monitoringu, który jest stale włączony. Jakimś cudem znaleźli go i usunęli nagranie.

– No, ci ludzie mają swoje sposoby. Czy oni...?

Lanny musiał mieć na myśli laptopa.

– Nie było go w moim domu. Jest...

– Nie mów mi. Hm... słuchaj, a ten...?

– Tak?

– Rozmawiałem z jednym facetem, moim dawnym źródłem, jeszcze z czasów, kiedy

pracowałem w Waszyngtonie.

– I...?

– To, co masz, mamy, to poważna sprawa. Naprawdę bardzo poważna. Przerazająco. Porównywalna z aferą Snowdena.

– Serio?

– Śmiertelnie serio. Chodzi o to... Dostanę Pulitzera, czuję to. Takiego kalibru jest ta historia, Tanner. Zajmie mi to trochę czasu, może z tydzień lub dwa albo jeszcze dłużej. Ale się dowiem.

– O czym ty mówisz?

Lanny chyba nie usłyszał pytania.

– Obawiam się tylko, że... Pamiętasz, jak ten reporter z „New York Timesa” opublikował sensacyjny materiał na temat podsłuchiwanie przez NSA obywateli amerykańskich bez zgody sądu?

– Pamiętam. To było jakieś dziesięć, dwanaście lat temu.

– Zgadza się. Ten dziennikarz, nazwiskiem Risen, który, nawiasem mówiąc, dostał za artykuł Pulitzera, dotarł do niesamowitych materiałów, ale kiedy dowiedział się o tym szef NSA, zadzwonił do wydawców Risen. Sądzę, że skontaktował się z samą wierchuszką „New York Timesa” i przekonał ich, żeby tego nie publikowali. Oświadczył, że sprawa może zaszkodzić bezpieczeństwu narodowemu. Dlatego gazeta czekała z wydrukowaniem materiału ponad rok. Ja nie mogę do tego dopuścić. Jeśli „Globe” zachowa się wobec mnie tak samo, będę musiał stamtąd odejść i przekazać artykuł, powiedzmy, „Guardianowi” w Wielkiej Brytanii. Tak jak w przypadku Snowdena. Ta historia najpierw opuściła Stany, a potem do nich wróciła.

– Ale o co właściwie chodzi?

– O ten budzący grozę program pod kryptonimem CHRYSALIS, który... Cholera jasna, Tanner, wiesz co? Już powiedziałem za dużo. To nie jest rozmowa na telefon. Oni wszystko podsłuchują. To niepodważalny fakt.

– Podsłuchują kogo?

– Każdego, człowieka, przecież wiesz.

– Moje rozmowy telefoniczne nikogo nie obchodzą. Twoje być może tak.

– Myślę, że stale wyszukuje się pewne kluczowe słowa i zwroty. Słuchaj, teraz muszę przygotować jakąś notatkę na temat tych pieprzonych wyborów, ale jutro rano wracam do miasta. O dziesiątej mamy zebranie redakcyjne. Do tego czasu powinienem wiedzieć coś więcej. Wyświadczyć mi przysługę i nie rozmawiaj o tej sprawie przez telefon. Z nikim, okej?

– Okej – zgodził się Tanner. – Nie będę.

– Mówię serio. Ani pary z ust.

Tanner zamilkł.

– Wiesz co? – rzekł wreszcie z nagłą determinacją. – Ta sprawa mnie uwiera.

– To znaczy?

– Oddam im laptopa. Zadzwoń do biura tej senator i odeślę jej komputer. Tak będzie dla mnie bezpieczniej.

– Nie, człowieku, ty nic nie rozumiesz. Jeśli go oddasz, właśnie wtedy narazisz się na niebezpieczeństwo!

– Co takiego?

– Ten laptop to jedyny powód, dla którego jeszcze żyjesz.

– O Jezu. – Tanner się roześmiał. – Daj spokój, stary.

– Mówię śmiertelnie poważnie. Ci ludzie przed chwilą włamali się do twojego domu. Nie zawahają się przed niczym, żeby zdobyć laptopa. Ale tak długo, jak nie wiedzą, gdzie jest, będziesz im potrzebny żywy.

– Ty tak serio?

– Jeśli go oddasz, staniesz się po prostu facetem, który widział mnóstwo supertajnych materiałów dotyczących supertajnego programu. Człowiekiem, który wie za dużo. A zdajesz sobie sprawę, co spotyka w tym kraju tych, którzy odkryli głęboko skrywane tajemnice wywiadu? Popełniają samobójstwo. Albo giną w niekłopotliwych wypadkach samochodowych.

– Och, daj już spokój. – Lanny wykazywał skłonność do paranoi, wierzył we wszelkiego typu szalone teorie spiskowe: że księżną Dianę zamordowano, że Bush wiedział o planowaniu zamachu z 11 września, a w Strefie 51 ukrywa się statek kosmitów. Uważał, że wewnątrz rządu działa inna, tajemna grupa i tak dalej. Wszystkie te szurnięte pomysły były mu bliskie. Ale Tanner nigdy nie brał tego poważnie. Słyszał, że dziennikarze, zwłaszcza śledczy, często doświadczali podobnego skrzywienia zawodowego.

Pewnego razu, kiedy Lanny pisał reportaż o kombinacie chemicznym W.R. Grace, eksplodowała opona w jego samochodzie. Jechał wtedy po autostradzie stanowej Massachusetts i wpadł w poślizg, ale miał na tyle szczęścia, że wyszedł z tego cało. Michael zwrócił wówczas uwagę, że przecież opony w tym aucie były kompletnie łyse, ponieważ Lanny nie wymieniał ich od dziesięciu lat. Wielokrotnie też go ostrzegał, że prędzej czy później to się zdarzy. Nie było w tym nic dziwnego ani podejrzanego. Roth wzruszył wówczas ramionami. „Może i tak” – powiedział. „A może nie”.

Teraz Lanny ciągnął niezrażony:

– Jeden dziennikarz śledczy z „San Jose Mercury News” pisał na temat zaangażowania się CIA w przemyt narkotyków, w biznes kokainowy. Wiesz, co się z nim stało? Znalezione go martwego z dwiema kulkami w głowie. Uznano to za samobójstwo. Słyszałeś kiedyś, żeby samobójca postrzelił się w głowę dwukrotnie?

– Lanny...

– No, a ten facet, który robił materiał dla „Rolling Stone”, ten reporter. Zaczął prześwietlać dyrektora CIA, a potem zginął w podejrzanym wypadku samochodowym. To

prawdziwa historia, Tanner. Rząd ma ludzi, którzy specjalizują się w załatwianiu takich spraw. Potrafią upozorować wszystko tak, żeby wyglądało na zawał serca. Albo zdalnie pokierować twoim samochodem i doprowadzić do kraksy.

– Okej, okej. Tylko mi coś wyjaśnij: po co w takim razie ryzykować i publikować taki poważny artykuł? Nie pojmuję.

– Kiedy już zostanie opublikowany, gdy się ukáže, będę bezpieczny. Ty też. Opinia publiczna poświęci sprawie zbyt dużo uwagi, by mogli nam coś zrobić. Powiedzmy, że tamci są w stanie zdmuchnąć świeczkę, ale ugasić pożar już nie. Ryzyko wiąże się z etapem przed opublikowaniem materiałów. A laptopa, jeśli go masz, traktuj jak swoją polisę ubezpieczeniową. Posłuchaj mnie uważnie, Tanner. Nie dopuść, żeby wpadł w czyjekolwiek ręce. Pilnuj go jak oka w głowie. Dobra?

Po długiej pauzie Tanner odpowiedział, z trudem przełykając ślinę:

– Dobra.

Gwar rozmów i zgiełk tłumu były nieomal ogłuszające; wszyscy gadali jednocześnie, głośno, w podnieceniu. Goście ściskali w dłoniach wysokie lampki z letnim szampanem, upijali się i stopniowo rozluźniali. Było o wiele za ciepło, prawie gorąco; w już i tak dusznej sali tłoczyły się rozpalone ciała. No i te zapachy: konkurujące ze sobą nutki drogich perfum zmieszanych z morską wonią krewetek piętrzących się na topniejącym lodzie.

Do uszu Willa dobiegały strzępy konwersacji. Jakaś kobieta obok mówiła: „Więc ja mu powiadam: Ten twój gniot nigdy nie zostanie zaakceptowany przez komisję. Dopóki ja w niej zasiadam”.

Nieznany mężczyzna tokował: „Na co ja walę tak: Przecież nie masz odpowiedniej liczby głosów, po co w ogóle rozmawiamy?”.

Inna kobieta perorowała: „Jaka jest różnica między Bogiem a senatorem USA? Bóg nie uważa się za senatora”.

Kołnierzyk koszuli nadal szczypał Abbotta w szyję, nie opuszczało go też owo przykre wrażenie, że cała krew gromadzi mu się w głowie. Po czole spływał mu pot, prosto ku oczom. Na szczęście Will nie zapomniał wziąć chusteczki. Osuszył zroszone czoło, skórę wokół oczu i kark, a potem zbliżył się cichaczem do starszego senatora ze stanu Massachusetts, Owena Sullivana.

– Dzień dobry, panie senatorze.

Senator Sullivan miał sześćdziesiąt kilka lat, ciężki bostoński akcent, zęby, które nie zaznały prostowania ortodontycznego, a także dziobatą twarz jako dowód długiej i przegranej bitwy z młodzieńczym trądzikiem. Jego smoking zdawał się nieco sfatygowany, jakby noszono go zbyt wiele razy. Człowiek ten wyglądał na tego, kim rzeczywiście był: faceta z klasy robotniczej, mieszkającego w Charlestown tuż obok Bostonu. Jediną niezgodną z tym obrazem rzecz stanowiły okulary w rogowych oprawkach, sprawiające wrażenie przesadnie eleganckich, jak u jakiegoś profesjonalisty.

Will zauważył, że wyraz twarzy senatora zmienia się szybko z udawanej życzliwości, spod której przebijała ostrożna rezerwa – *A cóż to za wariat się teraz przyczepił?* – w oblicze zrelaksowane i szczere – *Znam tego gościa, należy do mojej codzienności, mogę mu zaufać.* Senator Sullivan miał do czynienia z Willem wielokrotnie. Abbott wierzył, że starszy pan darzy go szacunkiem.

– Witaj, Will.

– Mogę prosić o minutkę? Przyrzekam, nie więcej.

– To nie jest najlepszy moment. Nie dałoby się poczekać do jutra?

– Chciałbym, ale... – Ku swemu zdziwieniu Will poczuł, jak serce zaczyna mu walić. Zdał sobie sprawę, że za chwilę przekroczy kolejną granicę, a polowanie na laptopa może skrócić w potencjalnie niebezpiecznym kierunku.

Senator wzruszył ramionami.

– No dobrze – powiedział z niechęcią.

– Susan jest zaintrygowana pańskim projektem ustawy zachęcającej do oszczędzania energii.

– Doprawdy? – Senator Sullivan sprawiał teraz wrażenie mile połączanego. Upił łyk ze swego kieliszka koktajlowego, który trzymał przez papierową serwetkę.

Will kiwnął głową. Było to jawne, prymitywne pochlebstwo, ale w tym świecie stanowiło obowiązującą walutę.

– Chętnie porozmawiam o tym później. Na razie potrzebne mi jest... potrzebuję pewnego nazwiska. Pan zna kogoś, kto, hm, pomógł panu w zeszłym roku, kiedy miał pan problemy z tym natrętem.

Oczy senatora się zwęziły.

– Chyba nie bardzo wiem, o czym mówisz.

– O tym facecie z Charlestown. – Sullivan tylko mrugał powiekami, jakby nie rozumiejąc.

– O kociętach. Chodzi o, hm, Likwidatora Problemów.

Dwa lata wcześniej Sullivan miał kłopoty z pewnym natrętem. Ktoś zostawiał martwe kocięta pod drzwiami jego domu w Charlestown. Senator załatwił sądowy zakaz zbliżania się, co jednak nie powstrzymało dręczyciela, który nie przejmował się takimi legalistycznymi drobiazgami. Rodzina Sullivanów była przerażona i sterroryzowana. Co więcej, natręt włamał się do ich domu i oszpecił należącą do córki senatora lalkę American Girl. Nic nie mogło psychologa powstrzymać; na progu domu senatora ciągle pojawiały się martwe koty.

Wreszcie udało się rozwiązać problem. Większość personelu Senatu znała tę historię, powtarzaną zawsze szeptem, z dreszczykiem emocji, jaki towarzyszy miejskim legendom, aczkolwiek zarzekano się, że jest prawdziwa. Sullivan zadzwonił do jakiegoś swojego znajomego z Charlestown, byłego żołnierza piechoty morskiej, który siedział kiedyś w więzieniu, a wcześniej należał do lokalnej mafii. Facet znany był jako Likwidator Problemów. Człowiek ten musiał obserwować dom, bo złapał natręta i połamał mu wszystkie kości. Problem zniknął.

Senator Sullivan obrócił się gwałtownie na pięcie; Will zrozumiał, pełen niesmaku, że facet chce mu się wymknąć, zapewne wściekły z powodu takich pytań w miejscu publicznym. Boże, znowu spieszyłem sprawę! – pomyślał Abbott. Należało wykazać więcej cierpliwości, odczekać do jutra, nie podnosić tak drażliwych kwestii w otoczeniu

tłumu dziennikarzy, w miejscu, gdzie każdy senator jest pilnie obserwowany. Co za idiota ze mnie!

Nagle Sullivan obejrzał się przez ramię i ruchem podbródka kazał Willowi pójść za sobą. Czyli źle zinterpretowałem jego zachowanie, skonstatował. Senator jest po prostu ostrożny. Poprowadził Willa do ustronnej niszy w pustej obecnie sali, w której urządzano większe uroczystości, z dala od tłumu.

– Nie chcę znać żadnych szczegółów, ale po co ci to?

– To dla Susan. Ma bardzo poważny problem. Na tym skończę.

– Jasne. No dobrze, słuchaj. – Senator odłożył koktajlowy kieliszek na pobliski stół, wyjął długopis i na zmiętej serwetce napisał jakiś numer. Potem wręczył ją Willowi, który gładko, jednym płynnym ruchem chciał ją schować w butonierce swojego smokingu. Niestety, okazała się zaszyta. Szybko zmieniawszy zamiar, umieścił serwetkę w tylnej kieszeni spodni.

– Nie chcę więcej słyszeć o tej sprawie – oznajmił Sullivan. – Ani w formie mejlowej, ani esemesowej, ani telefonicznej. Żadnej. Ten facet... Ujmę to w ten sposób: to, co ci właśnie dałem, to nie jest pistolecik na wodę, tylko cholerny M16, rozumiesz? Do tego człowieka można się zwrócić tylko i wyłącznie wtedy, gdy wszystkie możliwości zostaną wyczerpane. Dlatego musisz mieć absolutną pewność, że wiesz, w co się pakujesz.

Will z trudem przełknął ślinę. Zaschło mu w ustach. Kiwnął głową.

– Rozumiem. – Unosząc wysoko brwi, powiedział wolno i rozmysłem: – Dziękuję. Nigdy o tym nie zapomnę. – I natychmiast pożałował tych słów. W ten sposób rozmawiali ze sobą ludzie władzy, a nie ktoś, kto tylko dla nich pracował. W ustach Willa, który zwracał się przecież do senatora, zabrzmiało to arogancko i głupio, może nawet obraźliwie. Dodał szybko: – To znaczy, Susan o tym nie zapomni.

Lanny Roth nie chciał rozmawiać przez telefon, dlatego poprosił Tannera o spotkanie nazajutrz w knajpie w południowym Bostonie, niedaleko budynku gazety „Globe”. Bar ów, de facto nędzna garkuchnia (ale przynajmniej autentyczna w swej nędzy), mieścił się przy ulicy West Broadway. Tanner bywał tam wcześniej i lubił to miejsce. Zalaatywało bekonem i kawą, dwoma jego ulubionymi zapachami. Serwowana tu lura niczym się nie wyróżniała, była typowa dla tanich jadłodajni, czyli zaledwie w porządku, lecz przecież nawet słabej jakości kawa pachnie wspaniale.

Tanner rozejrzał się po lokalu w poszukiwaniu Lanny’ego, a potem przeszedł go wzdłuż i w szerz, zaglądając we wszystkie boksy. Dziennikarza nie zobaczył. Większość przepierzeń była pusta, godziny obiadowego szczytu minęły.

Usiadł w jednym z boksów, a kiedy mijała go kelnerka z dzbankiem kawy, poprosił ją o wodę. Czekał, od czasu do czasu sprawdzając mejle w iPhonie. Kelnerka wróciła, proponując kawę, lecz Tanner pokręcił przecząco głową i powiedział, że czeka na znajomego.

Po dwudziestu minutach zadzwonił na komórkę Lanny’ego. Zgłosiła się poczta głosowa. Usłyszawszy sygnał, Michael rzucił do słuchawki:

– Lanny, zapomniałeś o naszym spotkaniu? W knajpie?

Gdy kelnerka przechodziła po raz kolejny, zamówił kanapkę z grillowanym serem tylko po to, by jakoś uzasadnić swoją obecność w boksie. Następnie spróbował dodzwonić się na telefon stacjonarny Lanny’ego w gazecie „Globe” i pozostawił mu podobną wiadomość. Odczekał kolejne dziesięć minut, a potem wysłał dziennikarzowi mejl i jeszcze raz wybrał numer jego komórki.

Znów brak odpowiedzi. Czyżby Lanny wyjechał? Miał wrócić do Bostonu z New Hampshire. Przebycie drogi z miasta Manchester nie powinno zająć mu więcej niż godzinę. Może zaspał i wyruszył później, niż planował? Albo zgubił telefon komórkowy i pędził teraz samochodem bez kontaktu ze światem? Możliwe też, że ustawił komórkę na tryb „nie przeszkadzać”. Wydawało się to całkiem prawdopodobne. Zabawne, jak stajemy się nerwowi, kiedy ktoś nagle znika nam z oczu choćby na chwilę. Wszyscy powinniśmy być osiągalni o każdej porze dnia i nocy. Oto, co uczyniła z nami ta cała technika.

Niewykluczone, że Lanny miał też inne sprawy na głowie – zdarzało mu się czasem tracić kontakt z rzeczywistością wskutek presji związanej z wykonywaną pracą – że był zajęty

i normalnie zapomniał o spotkaniu, które sam proponował poprzedniego wieczoru. Kto wie, czy w związku z tym artykułem na temat wyborów w New Hampshire nie musiał pozostać tam na trochę dłużej. Rozmawiał z ludźmi, zdawał relacje i nie odbierał komórki, ponieważ podczas tych czynności byłoby to uznane za niegrzeczne.

Ot i cała zagadka.

Grillowany ser zjawił się szybko na dużym białym talerzu. Prezentował się wspaniale. Podobnie jak chleb spieczony na złoto-brązowo i połyskujący stopionym masłem. Idealnie maziowaty ser był dość mdły w smaku, miał barwę jasnopomarańczową, jak zwykle tak zwane sery amerykańskie; ten należałoby chyba zaliczyć do gatunku Velveeta. Ale Tannerowi smakował. Podziękował kelnerce i raz jeszcze zerknął na telefon. Potem odłożył go i ochoczo zajął się swym późnym lunchem.

Trochę bezwiednie wdał się w rozmowę z kelnerką. Trudno to sobie wyobrazić, ale kobieta pracowała w tym lokalu już czternaście lat. Gdy pewnego razu właściciel baru, Stenopoulos, uszczypnął ją w tyłek, odwróciła się i natychmiast mu oddała, ukrócając w ten sposób wszelkie „niewinne” karesy. Tanner musiał się roześmiać.

Jadł bez pośpiechu, od czasu do czasu sprawdzając pocztę i rozmyślając o pracy, o tej cholernej umowie z Four Seasons, a także o tym, jak Blake Gifford sprzątnął mu ją sprzed nosa. Układał w głowie list do Gifforda, który postanowił zachować chwilowo tam, gdzie powstał. Co takiego powiedział Blake? *To nic osobistego, tylko interes*. Michael zdawał sobie sprawę, że Gifford miał rację. Mimo to był naprawdę wściekły.

Rozmyślał dalej o przychodach i rozchodach oraz o tym, jak bardzo nierentowna jest obecnie działalność firmy Tanner Roast; jeśli nic się nie zmieni w ciągu trzech najbliższych miesięcy, trzeba będzie pomyśleć o likwidacji przedsiębiorstwa. Może po prostu Michael wcale nie ma żyłki do interesów? Był świetnym handlowcem, to na pewno, poza tym uwielbiał kawę zdecydowanie bardziej niż większość ludzi i sporo o niej wiedział. Ale nie posiadał... czego? Owej bezwzględnej agresywności, zdolności do działania z zimną krwią, której wymagał chyba każdy kwitnący biznes. Tanner był na to zbyt bezkompromisowy, ogarnięty obsesją sprzedawania tego, co najlepsze, a nie tego, co pozwoli zarobić najwięcej.

Lecz jeśli zamknie firmę, jeśli się podda, to co dalej? Powrót do sprzedawania systemów informatycznych? Miałby się przyznać do klęski i żyć z podkulonym ogonem?

Bardzo mu teraz brakowało kogoś, komu mógłby się zwierzyć, porozmawiać, kogoś, z kim mógłby się pospierać. A mówiąc precyzyjniej, brakowało mu Sarah. Jej obecności obok siebie w łóżku. Ciekawe, czy na to spotkanie w herbaciarni ubrała się specjalnie dla niego? Może w głębi ducha chciała powrócić do domu, skończyć z tą separacją? Znów stać się częścią jego życia.

Zerknął na swojego iPhone'a. Minęła cała godzina oczekiwania. Dla pewności zadzwonił ponownie na komórkę Lanny'ego, potem na telefon stacjonarny w jego domu i w pracy – za każdym razem zgłaszała się poczta głosowa.

Siedziba dziennika „Boston Globe” znajdowała się całkiem blisko. Michael doszedł do wniosku, że wpadnie tam i popyta.

Zapłacił, podziękował kelnerce, pozostawiając jej spory napiwek, i ruszył do samochodu. Przypomniawszy sobie to, o czym wczorajszego wieczoru opowiadał mu Lanny. Jakieś paranoiczne bzdury, że niby wszystkie komórki w kraju są na podsłuchu.

Wyświadczyć mi przysługę i nie rozmawiaj o tej sprawie przez telefon, dobrze?

Lanny twierdził, że kontaktował się ze swoim źródłem w strukturach wywiadu, człowiekiem z Dystryktu Kolumbii; że to, czym „dysponują”, to przerażająco poważne dane. Porównywalne z aferą Snowdena, istne rewelacje dotyczące masowego szpiegowania przez NSA obywateli amerykańskich. Materiał tak doniosły, że zapewni mu otrzymanie Nagrody Pulitzera. I tak wybuchowy, potencjalnie zagrażający bezpieczeństwu kraju, że niektóre redakcje amerykańskich mediów będą się bały go opublikować, i kto wie, czy nie stanie się konieczne upowszechnienie tego z zagranicy.

Czy Lanny mógł wpakować się w coś niezgodnego z prawem? Może samo posiadanie tych pieprzonych tajnych dokumentów stanowiło już jego złamanie.

Jedyną osobą, o której Tanner wiedział, że utrzymuje regularne kontakty z Lannym, był Carl Unsworth, instruktor sztuk walki i regularny bywalec ich cotygodniowych spotkań przy piwie. Odszukał nazwisko Unswortha w swojej komórce i wcisnął guzik wybierania.

Gdy Michael czekał na połączenie, przyszła mu nagle do głowy mroczna myśl. Przypomniawszy sobie wszystkie te nieprawdopodobne historie, jakie Lanny opowiadał o innych dziennikarzach zmarłych w podejrzanych okolicznościach: w dziwnych wypadkach albo w wyniku sfingowanego samobójstwa. Czyżby i jemu przytrafiło się coś podobnego?

Telefon dzwonił i dzwonił, w tym czasie Michael zdołał wziąć się w garść. To całe szaleństwo ze spiskowymi teoriami musi być chyba zaraźliwe. Zbyt długie przebywanie z Lannym i człowiek kończy z cynfaliowym hełmem izolacyjnym na głowie.

Sygnal w słuchawce rozbrzmiewał tak długo, że Michael spodziewał się poczty głosowej, lecz nagle usłyszał głos Carla.

– Tanner?

– Cześć, Carl. Umówiłem się z Lannym na spotkanie, ale nie przyszedł. Byłem...

– Tanner – przerwał mu Carl. – Ja... Stoję właśnie przed domem Lanny’ego. To... On... Jezu, Tanner, właśnie wytaczają go na noszach.

– Co się stało...?

– Człowieku – jęknął Carl głosem wysokim i zdławionym. – Lanny nie żyje.

Michael poczuł, że robi mu się zimno i cały drętwieje. Z trudem szukał słów.

– Ale co... Carl, nic nie rozumiem...

– Tanner, on... – Carl zamilkł, dźwięk w słuchawce stał się przytłumiony. Wyglądało na to, że mężczyzna płacze. – On się zabił.

Will dotarł do domu kilka minut po dwudziestej pierwszej. Pocałował Jen i zaraz wziął od niej Trávisa, wrzeszczącego i wierzgającego. Nie musiała go o to prosić. Nawet nie zdążył zmienić wyjściowego ubrania. Jen sprawiała wrażenie wykończonej, chyba na granicy wytrzymałości.

– Zachowuje się tak cały wieczór – powiedziała, opadając na krzesło w kuchni.

– Napij się trochę wina.

– Nie mogę, Will, przecież karmię piersią!

– Doktor Blum powiedział, że jeden kieliszek nie zaszkodzi.

– Doktor Blum? Doktor Blum twierdzi, że wystarczy położyć dziecko do łóżeczka, zamknąć drzwi na klucz i wsadzić sobie zatyczki do uszu. – Doktor Alain Blum, pediatra, był Francuzem. Zdradził młodym rodzicom sekret, zgodnie z którym, aby niemowlę od razu zasnęło, należy je nakarmić, umieścić w kołysce, następnie wypić kieliszek wina i przyjść po malca dopiero nad ranem. Jeśli będzie płakać, niech płacze, aż się zmęczy. Oboje byli tym przerażeni. Ostatnio jednak Will zastanawiał się, czy nie powinni dać metodzie Francuza jakąś szansę.

Jen otworzyła drzwi lodówki, przesunęła karton mleka bez laktozy i wyjęła butelkę wina Yellow Tail.

– A co mi tam – powiedziała.

– No dobra, wielkoludzie – odezwał się Will swoim najbardziej kojącym tonem, rytmicznie podrzucając chłopca, a potem klepiąc go po plecach. Na malcu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia, nadal darł się wniebogłoso. – Biedaczek. Czemu jesteś tak nieszczęśliwy, Trávisku? Co możemy zrobić, żebyś poczuł się lepiej?

Jen wlała z bulgotem chardonnay do kieliszka aż po sam brzeg. Will szybko podszedł, trzymając dziecko na prawym ramieniu, lewą ręką zabrał żonie szkło, po czym połowę zawartości wylał do zlewu. Z uśmiechem oddał Jen naczynie i mrugnął okiem.

– Ale nie przesadzajmy – rzucił wesoło.

Jen wzięła kieliszek z wyraźną irytacją, przewracając oczami.

– Dlaczego mam ciągle wrażenie, że się mną steruje? – spytała. Upiwszy spory łyk wina, dodała: – Zbiórka funduszy poszła dobrze?

Will kiwnął głową, niczego nie prostując. Żona od dawna już nie interesowała się szczegółami jego rozlicznych kwest; to było zbyt nudne. Spojrzał na zegarek. Chyba zbyt

późno na telefon do Likwidatora Problemów. A może jednak nie? Może wcale nie jest jeszcze za późno. Przyszło mu na myśl, że ktoś parający się takim zajęciem raczej nie kładzie się wcześniej spać.

– Mogę się trochę zrelaksować? Zobaczę, co jest w telewizji.

– Jasne, śmiało.

Po dziesięciu minutach podrzucania i poklepywania Travis wreszcie odpłynął w sen i spoczywał teraz jak grudka ciepła na lewym ramieniu Willa, który czuł wilgotną buzię dziecka na szyi. Niosąc je do ciemnej sypialni, zastanawiał się, ile jeszcze upłynie czasu, nim jego syn stanie się nie do udźwignięcia. Bo chyba prędzej czy później ten dzień nadejdzie. Mały nie będzie już chciał, aby go brano na ręce i przytulano. Ojciec Willa nie uznawał okazywania dzieciom uczuć rodzicielskich. Podawał synowi rękę, tak jakby nie był on jego potomkiem, ale na przykład giełdowym maklerem.

Will delikatnie położył Travisa w łóżeczku; szczęśliwie mały granat nie detonował. Na palcach wyszedł z sypialni i stwierdził, że Jen ogląda jakiś reality show, chyba o walce pomiędzy dwoma konkurującymi food truckami.

– Jesteś magikiem – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Idę trochę popracować.

– Spoko – zgodziła się, już nieobecna duchem.

„Domowe biuro” Willa znajdowało się w małym pokoju gościnnym, z którego korzystali oboje z Jen – ona opłacała w nim rachunki i tym podobne, Will parkował tu laptopa oraz obsługiwał pocztę elektroniczną. W pokoju unosił się lekki zapach lawendy wydzielany przez potpourri, które jego żona zostawiła w misce na pustej komodzie. Ostatnim gościem zakwaterowanym w tym pomieszczeniu była siostra Jen, która odwiedziła ich ponad rok temu.

Abbott wyciągnął z kieszeni spodni wymiętą serwetkę, a potem wyprostował ją ostrożnie, jakby stanowiła fragment rękopisów z Qumran. Senator nabazgrał numer małymi, mocno przylegającymi do siebie cyferkami, naciskając długopisem tak silnie, że papier rozerwał się w kilku miejscach. Kierunkowego 339 Will nie kojarzył. Postanowił zadzwonić ze swojego Phone’a, nie z linii stacjonarnej.

Przez kilka sekund wpatrywał się w telefon, naciskając przycisk Home, żeby zobaczyć główny ekran tła – a może to się nazywało „tapetą”? – czyli zdjęcie Travisa, który akurat nie płacze (ponieważ śpi). Myślał o tym, co za chwilę zamierza zrobić. Był to krok poważny, owszem, ale cała sytuacja taka była. Musieli w jakiś sposób odzyskać macbooka Susan, odebrać go facetowi, który, nie wiedząc czemu, odmawiał jego wydania, a nawet nie chciał się przyznać, że go ma. Pewnie gdzieś schował tego laptopa, być może w miejscu swojej pracy. Albo przekazał komuś innemu, dla bezpieczeństwa. Wszystko zależało od tego, czego ten cały Michael Tanner w ogóle chce, o co mu chodzi. I czy gość zobaczył tajne

dokumenty. Bo jeśli tak... to kłopoty szefowej dopiero się zaczynały.

Za chwilę Will wybierze numer, czyli przekroczy linię demarkacyjną oddzielającą jego dotychczasowe życie od zupełnie nowego etapu. Już wcześniej zatrudnił kogoś do działań niezgodnych z prawem, teraz jednak miał wejść na znacznie wyższy poziom. Wycelować w Tannera broń, zagrozić mu, może nawet pobić, co nieco sponiewierać.

Cokolwiek by się nie stało, Will był zdeterminowany i postanowił skorzystać z usług nieznanego sobie człowieka i wykonać zadanie. Im mniej będzie myślał o tym, co się wydarzy za kulisami, i im mniej będzie wiedział, tym lepiej.

Chciał tylko odzyskać ten przeklęty komputer.

Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze z płuc, a potem wybrał numer Likwidatora Problemów.

Po jednym sygnale usłyszał pytanie:

– Tak?

Abbott się przedstawił, lecz zanim zdążył cokolwiek dodać, tamten rzucił:

– Skąd masz ten numer?

– Od twojego kuzyna z Charlestown. – Senator Owen Sullivan zażyczył sobie, by tak o nim mówić. Will nie miał pojęcia, czy Likwidator Problemów naprawdę jest kuzynem senatora. Wydawało się to mało prawdopodobne.

– Rozłącz się i zadzwoń do mnie z telefonu na kartę.

Potem nastąpiło kliknięcie.

Telefon na kartę.

Abbott wszedł do salonu, który powinien nosić nazwę pokoju telewizyjnego.

– Za chwilę wrócę, muszę po coś wyskoczyć.

Jen się odwróciła.

– O tej porze? Czego ci potrzeba?

– To długa historia. Chodzi o pracę. Wracam góra za dwadzieścia minut.

Westchnęła.

– Nie będę czekać.

Dziesięciominutowy spacer dzielił Abbotta od najbliższego punktu CVS, gdzie na obrotowym regale znalazł rozmaite komórki do jednorazowego użytku, karty telefoniczne i tak dalej. Było ich całe mnóstwo, wszystkie w kolorowych obwolutach z plastiku – TracFone, GoPhone, Boost Mobile – co mogło przyprawić o zawrót głowy. Zdezorientowany, gapił się na nie przez dobre pięć minut, nim wybrał jeden aparat. Gdy już zapłacił, wyjął go z opakowania, a następnie zerwał szczelną folię. W połowie drogi do domu stwierdził, że telefon nadaje się do użytku.

Zmięta serwetka spoczywała w tylnej kieszeni spodni. Abbott wyjął ją ostrożnie i stanąwszy w stożku światła pod uliczną latarnią, raz jeszcze wybrał numer Likwidatora

Problemów.

Tamten odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak?

– Ponownie Will Abbott.

– Telefon jednorazowy?

– Tak.

– Podaj mi swój adres mejlowy, prywatny adres.

Will podał namiary na Gmail.com.

– Twój numer społecznego?

– Mój... co?

– Ubezpieczenia społecznego.

Abbott wyrecytował dziewięć cyfr, zastanawiając się, do czego są temu facetowi potrzebne.

– Za dziesięć minut sprawdź swoją skrzynkę. – Rozległo się kliknięcie i zapadła martwa cisza. Mężczyzna się rozłączył.

Kiedy Will wrócił do domu, Jen nadal oglądała telewizję. Poszedł więc od razu do pokoju gościnnego i zalogował się do swojej skrzynki na Gmailu: jedna nowa wiadomość, przysłana przez nadawcę bez imienia i nazwiska, za to z długim rzędem cyfr. Otworzył ją.

Wiadomość zawierała link: <https://onetimesecret.com/secret/pnoughfhrllhsrjpc02il5b...> Adres zdawał się nie mieć końca. Gdy Abbott w niego kliknął, ukazała się strona z czerwonym prostokątem i napisem *Zobacz tajemnicę*. Poniżej biegło ostrzeżenie: *(Uwaga: pokazemy ci to tylko raz)*. Will kliknął ponownie, a wtedy zobaczył wiadomość napisaną w całości dużymi literami, jakby ten człowiek do niego krzyczał.

NIGDY WIĘCEJ NIE DZWOŃ NA MÓJ NUMER. ODTĄD MASZ SIĘ ZE MNĄ KONTAKTOWAĆ WYŁĄCZNIE W SPOSÓB OPISANY NIŻEJ.

Następowała długa lista instrukcji, zaczynająca się od jakiegoś „protokołu tunelowania na poziomie drugim”, „bezpiecznego VPN” oraz polecenia **ŚCIĄGNIJ TO OPROGRAMOWANIE**.

Abbott kliknął w hiperłącze i znalazł się na stronie, z której mógł zrzucić na dysk tak zwaną przeglądarkę Tor. Jak przez mgłę pamiętał, że słyszał albo czytał gdzieś o ludziach, którzy korzystają z niej, jeśli chcą ukryć swoją tożsamość, zwłaszcza przed czujnym okiem władz.

Środki bezpieczeństwa podjęte przez Likwidatora Problemów zaskoczyły Willa. Wyobrażał sobie wcześniej, że facet jest zwykłym rzezimieszkiem, mafijnym mętem w stylu chłopców z ferajny albo członków rodziny Soprano, chodzącym w wiatrówce i z sygnetem na małym palcu. A tymczasem najwyraźniej miał do czynienia z komputerowym ekspertem, który wiedzą znacznie przerastał Willa – to było akurat pewne. Naprawdę znacznie.

Na ekranie pojawiło się polecenie utworzenia i wprowadzenia hasła (co najmniej osiem

znaków, w tym cyfra i jedna duża litera), a gdy to zrobił, otrzymał wiadomość z adresem na ProtonMail.com, składającym się z samych liczb. Tu również pisano coś o VPN, PGP oraz Torenabled VoIP. O „zabijaniu Javy” i unikaniu „przecieków”. Wszystko to skojarzyło się Abbottowi z jakąś grą komputerową.

Serce Willa zaczęło bić gwałtownie. Uświadomił sobie, że chyba znalazł się w tak zwanym szarym internecie. Przez dłuższą chwilę – prawie pięć minut – na ekran wyskakiwały dziwne wiadomości. *Finishing handshake with first hop... Bootstrapped 85% ... Establishing a Tor circuit...*

Will, czekając, od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Było już późno, ale czuł się tak nabuzowany adrenaliną, że o zmęczeniu nie mogło być mowy.

Pół godziny później miał nowo utworzony adres mejlowy: na jego laptopie zainstalowało się coś o nazwie Mumble.com VoIP i zapewniło sobie dostęp do wbudowanego mikrofonu. Konfiguracja programu trwała kilka minut, aplikacja sama sprawdziła poziom głośności. Abbott kliknął w link, by po chwili usłyszeć głos. Ale nie głos człowieka, lecz generowany przez komputer. Brzmiał, jakby wychodził od osoby mającej usta pełne ziemniaczanych chipsów.

– W czym problem? – zapytał głos, niczym Darth Vader z procesora dźwiękowego autotune.

Will opowiedział mu o Tannerze: kim jest, gdzie mieszka i pracuje. Wyjaśnił, że ten bostoński biznesmen jest w posiadaniu czegoś, co do niego nie należy.

– Trzeba ustalić, gdzie to jest, i odzyskać. Podkreślam: facet nie jest chętny do współpracy.

– Kiedy zadaję ludziom pytania, ci z reguły odpowiadają – powiedział głos robota. Potem mówił coś jeszcze, Will również. Opóźnienie między wypowiedziami było spore, mniej więcej pięciosekundowe, jakby dźwięk podróżował na księżyc i z powrotem. W pewnej chwili mężczyzna poinformował Abbotta o kosztach swoich usług. Płatność ma zostać zrealizowana w bitcoinach, kryptowalucie nie do namierzenia. Will otrzyma instrukcje, w jaki sposób kupić bitcoiny, a potem „adres portfela BTC” zleceniobiorcy, składający się z długiego szeregu cyfr.

O odzyskaniu laptopa, ciągnął głos, Abbott zostanie poinformowany mejlem, który przyjdzie na jego nowy adres w ProtonMailu. Kiedy Will dokona zapłaty, laptopa dostarczy mu firma przewozowa FedEx.

Najwyraźniej Likwidator Problemów miał wszystko pod kontrolą. Nagle Willa uderzyła pewna myśl:

– Czy są jakieś... granice?

Pauza, która teraz nastąpiła, trwała dłużej niż pięć sekund.

– O co ci chodzi?

– To znaczy... – Abbott nie bardzo wiedział, jak to właściwie ująć. – Jak daleko, twoim

zdaniem, trzeba się będzie posunąć?

– Posłuchaj mnie uważnie. Działam samodzielnie. Wykonuję swoją robotę. Ty mówisz, czego chcesz, ale nie dyktujesz mi, jak mam się do tego zabrać. Zrobię to, co uznam za niezbędne. Pasuje ci to, Will?

Will milczał.

– Jesteś tam? – zapytał głos.

– Tak – odezwał się w końcu Abbott. – Pasuje mi.

– Jeszcze możesz się wycofać – oznajmił głos. – W tej chwili. Jeszcze ci wolno. Ale po zakończeniu rozmowy machina ruszy. Masz więc jakieś inne przemyślenia? Podziel się nimi.

– Wszystko w porządku – powiedział Will lekko drżącym głosem. – Bierzmy się do dzieła.

– To niemożliwe – stwierdził Tanner.

– Właśnie.

– Kiedy z nim ostatnio rozmawiałem, był bardzo podekscytowany. Zdenerwowany, przestraszony, ale także zdecydowany się ze mną dzisiaj spotkać. Moim zdaniem Lanny nie zachowywał się jak potencjalny samobójca.

– A jednak to zrobił.

– Czy mówili... jak?

– Sanitariusz powiedział, że znaleźli go z foliową torbą na głowie i mnóstwem tabletek dookoła. To był chyba lorazepam, środek uspokajający. Lorazepam i woda. Domyślam się, że tak się wykończył.

– Znałeś go dobrze, lepiej niż ja. Uważasz, że był typem samobójcy?

– Sam nie wiem. Nie, raczej nie. To znaczy, miewał zmienne nastroje.

– Ze mną rozmawiał o zdobyciu Nagrody Pulitzera – mruknął Michael. – Snuł plany na przyszłość, cieszył się nimi. Wczorajszy wieczór spędził w New Hampshire, przygotowując jakiś artykuł dla „Globe”. Podobno skontaktował się ze swoim dawnym źródłem w wywiadzie i... – Wcześniej Michael opowiedział Carlowi o supertajnych dokumentach, które znalazł w laptopie pani senator. – Lanny sądził, że to bardzo gruba sprawa. „Przerażająco poważna”. Porównywalna ze Snowdenem.

– Tym demaskatorem, który mieszka na lotnisku w Moskwie czy gdzieś tam?

– No, to właśnie Snowden. I teraz tak: Lanny ekscytował się tą historią, ale jednocześnie się bał, czy dożyje chwili, by ją opowiedzieć. Nie chciał, żebym z kimkolwiek rozmawiał o tym przez telefon. – Michael przerwał na moment. Gwoli ścisłości, nigdy nie wspomniał o zawartości dokumentów. – Podzielił się ze mną opowieściami o dziennikarzach, których zamordowano, kiedy pracowali nad bardzo mocnymi materiałami.

– O czym tym gadasz? Myślisz, że Lanny został zabity? – W głosie Carla pojawiło się niedowierzanie.

– No tak.

– Ale dlaczego? W jakim celu? I kto, do cholery, zrobiłby coś takiego?

– Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon – oznajmił Tanner. – Jesteś wolny jutro wieczorem?

Laptop znajdował się w biurowym sejfie.

Sejf został wkomponowany we fragment zabudowy kuchennej, która zajmowała jeden z narożników wielkiej otwartej przestrzeni ogólnego przeznaczenia. Prażono tu kawę, odgazowywano ją i pakowano, jak również degustowano. Sejf zainstalowali po dłuższym namyśle, w trakcie remontu starego magazynu pasmanteryjnego. Tylko to jedno miejsce nadawało się w tym celu, ponieważ drążenie betonowej posadzki byłoby zbyt trudnym zadaniem. Tanner sądził wtedy, że będą tu trzymać większe ilości gotówki przeznaczonej na opłacanie rolników w Ameryce Środkowej, którzy nie przyjmowali kart kredytowych. Okazało się jednak, że mają oni rachunki bankowe i wolą przelewy pieniężne – tak to działało w dzisiejszym świecie. Dlatego sejf prawie nie używano. Aż do teraz.

Najwyraźniej włamywacze nie domyślili się, że w siedzibie Tanner Roast jest sejf, a przynajmniej nie mieli pojęcia, gdzie się znajduje. Inaczej oni, kimkolwiek byli, już dawno spróbowaliby się do niego włamać, a na to nie wyglądało. Wprawdzie system alarmowy nie został aktywowany, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Oni pokazali już bowiem, że dysponują sporymi umiejętnościami w obchodzeniu wszelkich zabezpieczeń.

Gdy Michael przyszedł rano do pracy, od progu wciągając w płuca niejednorodny, chlebowy zapach prażonej kawy, zauważył panującą w firmie atmosferę przygnębienia. Jego współpracownicy nie mogli jednak wiedzieć o śmierci Lanny’ego Rotha, żaden z nich go nie znał. Witali się z szefem normalnym „cześć” albo „dzień dobry”, wszyscy jednak sprawiali wrażenie speszonych i odwracali wzrok. Dopiero Robert Runkel, dyrektor finansowy firmy, odsłonił to, co inni skrywali pod maską przygnębienia.

– Przykro mi z powodu klapy z Four Seasons – powiedział Robert. Jak widać, wieści zdążyły się już rozejść.

– Pogadamy o tym później – rzucił Michael, mijając go.

– Ta, oczywiście – zgodził się Runkel, zaskakując Michaela tonem, w którym pobrzmiwał jakiś dziwny podtekst.

Karen, szefowa sprzedaży, już czekała na Michaela w jego gabinecie. Miała na sobie spodnie i białą koszulę zapinaną na guziki; sprawiała wrażenie zasmuconej i ponurej. Siedziała przed biurkiem na fotelu dla gości.

– Cześć, Karen – przywitał się Michael, rzucając aktówkę na krzesło przy drzwiach obok wieszaka. – Oboje wiemy, że to nie twoja wina.

– Co nie jest moją winą?

– Sprawa Four Seasons. – Z niechęcią wymawiał samą tę nazwę. Kiedyś Tanner oglądał niewesołą komedię, w której Albert Brooks grał męża zabraniającego swojej żonie wypowiedzenia na głos słów „pieniądze na czarną godzinę”, ponieważ wcześniej w Las Vegas przegrała ich tyle, że starczyłoby na wiele czarnych godzin. Zaczynał rozumieć dlaczego. – Zajmę się wszystkim.

– Och – jęknęła Karen – wcale nie po to tutaj przyszedłam.

– W takim razie... po co?

– Właśnie straciliśmy Graybar. – Hotel Graybar był nowy i modny, mieścił się w przebudowanym dawnym więzieniu u stóp Bacon Hill. Nie wiązał się z nim przesadnie wielki kontrakt, ale zawsze można było się nim pochwalić.

– Żartujesz – powiedział Tanner.

Potrząsnęła głową.

– Jak nie kijem go, to pałą. Tylko nie mów, że umowę sprzątnęło nam City Roast.

Karen znów pokręciła głową.

– Cortado.

– Cholera. – Cortado Coffee była ultramodną firmą z siedzibą w Pittsburghu, specjalizującą się w kawie „trzeciej fali”, zawsze pochodzącej tylko z jednego źródła. Ludzie wymieniali jej nazwę jednym ciągiem obok takich tuzów jak Stumptown, Counter Culture, Blue Bottle czy Intelligentsia.

– No cóż – otrząsnął się Michael. – Zdarza się. Odzyskamy ich, a może nawet zdobędziemy jakiś większy kontrakt.

– Najbardziej wkurza mnie to, że Graybar żąda, aby pozostawić im nasz sprzęt. Ten pożyczony. Prażarkę Fetco.

– Nie da rady. To nasza własność. Udostępniliśmy im tylko chwilowo.

– Też im tak powiedziałam. Przecież ten sprzęt jest wart jakieś parę tysięcy dolarów, prawda? A oni mi na to: „Podpisaliśmy papiery”.

– Sprawa była jasna i dogadana. Nigdy dotąd z żadnym klientem nie mieliśmy problemów z porozumieniem się w tej kwestii.

– Kirk oświadczył, że słyszał o naszej porażce z Four Seasons i że chce obniżki o dwa dolce za funt, do ceny wyjściowej, ale stanowczo odmówiłam. A wtedy on: „W takim razie pójdziemy do Cortado”. I nadal się upierał, że zatrzyma Fetco.

Kątem oka Tanner zauważył jakąś postać i się odwrócił. Robert Runkel stał w drzwiach z palcem wskazującym w powietrzu. Gest ten miał zapewne oznaczać, że uprasza o krótką chwilę, jednak sposób, w jaki trzymał ów palec, miał w sobie coś władczyego, jakby jego właściciel uważał się za Juliusza Cezara.

– W porządku. Później do niego zadzwonię albo każę to zrobić prawnikom. A teraz, Karen, muszę pogadać z Robertem. Robercie, zaraz wracam, pójdę tylko po kawę. – Karen wstała i zrobiła Runkelowi miejsce, a Michael udał się w głąb magazynu. Nalał sobie do kubka kawy (dziś zaparzone etiopską), a potem otworzył szafkę, w której krył się sejf. Kiedy wprowadził kombinację szyfru, drzwiczki otworzyły się z piknięciem. Laptop wciąż był wewnątrz razem z segregatorem z ważnymi dokumentami firmy Tanner Roast: świadectwami udziałowymi, statutem spółki i rejestrem akcjonariuszy.

Zamknął sejf i rozejrzał się dokoła. Nikt go nie widział, Michael był tego prawie pewien.

Uznał, że bezpieczniej będzie pozostawić komputer tam, gdzie był.

Zawsze bowiem istniała możliwość, że ktoś go śledzi.

Tanner rozmyślał o swoim koledze Lannym.

Landon Roth z okręgu Westchester w stanie Nowy Jork przyjechał do Bostonu na studia, przez kilka lat pisywał do gazety „Boston Phoenix”, a następnie podjął pracę redaktora i dziennikarza w „Boston Globe”. Aż do fali zwolnień zatrudniony był w dziale krajowym. Znakomity reporter, jeden z najzabawniejszych ludzi, jakich Michael poznał w całym swoim życiu. Lanny należał do osób, które uważały się za eksperta w każdej dziedzinie, za chodzącą Wikipedię.

I trzeba było mieć prawdziwe jaja, aby z takim uporem i determinacją drążyć temat tajnych dokumentów znajdujących się w laptopie pani senator.

Tanner nie miał pojęcia o agencjach wywiadu ani w ogóle o tego rodzaju sprawach, jego wiedza ograniczała się do tego, co przeczytał w gazetach lub w internecie. Często jednak myślał o młodym Edwardzie Snowdenie, zleceniobiorcy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, który skopiował całe mnóstwo absolutnie tajnych danych wywiadowczych i przekazał je dwójce dziennikarzy. A potem zwiął do Hongkongu i dalej do Moskwy. Czy można sobie wyobrazić ucieczkę do Moskwy, aby szukać tam bezpieczeństwa? Facet nie miał raczej szans na przyjemne życie.

I jeszcze te paranoiczne opowieści Lanny’ego o ludziach zamordowanych dlatego, że odkryli jakieś tajne rządowe programy czy coś podobnego. Teraz nie brzmiały już tak paranoicznie.

Lanny Roth nie był typem samobójcy. Tanner znał go na tyle długo, że dostrzegłby kolegę pogrążonego w depresji (z powodu zerwania z dziewczyną albo pominięcia podczas awansu w pracy), ale wczorajszego wieczoru Lanny zdecydowanie nie był przygnębiony. Trudno uznać za zbieg okoliczności to, że tuż przed swoją śmiercią pisał artykuł o tajnych dokumentach i rozmawiał z dawnym źródłem w służbach wywiadu – i to w wieczór przed rzekomym samobójstwem.

Michael uważał, że sposób, w jaki dostano się do jego domu, mógł przyprawić o gęsią skórkę: zrobiono to zarówno wyrafinowanie, jak i bezczelnie. I nie było ważne, że nie znaleźli tego, czego szukali. Chciano mu po prostu zakomunikować: *Dopadniemy cię wszędzie. Wszędzie przenikniemy. Obserwujemy cię i mamy gdzieś, czy o tym wiesz.*

Nagle Michaela dopadła myśl, która niczym czerw strachu wżarła mu się w mózg. Skoro Lanny Roth został zamordowany, aby uniemożliwić mu dziennikarskie śledztwo dotyczące

ściśle tajnego programu – co było założeniem ze wszech miar uzasadnionym – a tamci wiedzieli, skąd reporter zdobył materiały, to...

Michael szybko porzucił ten kierunek myślenia.

Przypomniał sobie o przyjaciółach. Ciekawe, co teraz robią. Brian Orsolino siedzi pewnie w knajpie z jakąś laską, udając zainteresowanie jej pracą w sektorze non profit, a tak naprawdę rozmyślając o majątkach, które panna ma na sobie. Carl Unsworth prawdopodobnie prowadzi wieczorne zajęcia ze sztuk walki (właśnie z tego powodu często przychodził na piwne spotkania późno). Tanner zerknął na zegarek. Najlepsza pora, by złapać Carla w Subwayu na swojej smętnej kolacji samotnego faceta (pieczony kurczak z musztardą i majonezem na piętnastocentymetrowej, białej pszennej bagietce). Michael znalazł numer Carla w ostatnich połączeniach i go wybrał.

Unsworth odebrał natychmiast.

– Cześć, Tanner. Wszystko w porządku?

– Pewnie.

– Ktoś próbował włamać się do twojego biura?

– Niczego takiego nie zauważyłem. Ale mamy tam solidny system alarmowy.

– To dobrze. Wiesz co? Śpij dzisiaj u mnie. Zapomnij o Pembroke Street. Nie założyłeś jeszcze tej szybki w drzwiach tarasowych, więc gołębie mogą ci wlecieć do środka. Albo szczury zaczną biegać po całej chacie. Mam pokój gościnny z superwygodnym... cóż, to tylko materac marki Futon, ale za to fantastyczny.

Tanner znów pomyślał o Lannym Rocie i podjął szybką decyzję: mądrzej będzie przyjąć propozycję Carla, niż liczyć na szczęście niczym w grze w ruletkę, pozostając w domu.

Choć nigdy nie przyznałby się do swoich wniosków koledze.

Michael kupił kolację na wynos w chińskiej restauracji niedaleko siedziby firmy – kurczak generała Tso, wieprzowina moo shu i trochę zielonej fasolki. Dla Carla też wystarczy, w razie gdyby nie był jeszcze po skromnym kawalerskim posiłku w Subwayu.

– Super – powiedział Carl bez entuzjazmu, gdy Michael poinformował go o wyborze dań i wręczył białą foliową torbę.

– Pewnie już jadłeś.

– Nie. Wieprzowina moo shu to jakieś tysiąc kalorii, a kurczak generała Tso, czy jak go tam zwą, aż tysiąc pięćset. Kaloryczna bomba neutronowa.

– Jest jeszcze danie wegetariańskie.

– Smażone w głębokim oleju. Nie, dziękuję.

– Okej – rzekł Michael rozbawiony.

– Sorry, jeśli zachowałem się jak twoja żona.

– Sarah nigdy nie zrzędzi na ten temat. Ale mogę to chyba zjeść w twojej obecności? Bo jak wiesz, mam teraz większe problemy niż poziom cholesterolu. Prawda?

Carl uśmiechnął się ponuro. Nosił T-shirt tak ciasny, że ukazywał sześciopak na jego brzuchu. Michael zdawał sobie sprawę, że Carl, typ opiekuńczy z natury, naprawdę się o niego martwi. Wiedział również, że przyjaciel nigdy się do tego nie przyzna. Tak było prościej dla nich obu.

Rozejrzył się po kuchni. Była niewielka, schludna i zwyczajna, wyposażona w klockowate, jasne meble ze Skandynawii. Stary blat kuchenny z lat pięćdziesiątych minionego wieku z plastikowym laminatem i aluminiowymi listwami wyglądał prawie jak nowy. Sam dom również był mały, typowy kolonialny budynek na przedmieściach. Stał przy Commonwealth Avenue w Newton. Carl kupił go, kiedy rozpoczął się jego proces rozwodowy, a on nie miał pieniędzy, czuł się nieszczęśliwy i brakowało mu cierpliwości; nowe lokum urządził w zaledwie kilka godzin meblami z Ikea.

– W tym tygodniu nie masz dzieci, tak? – zapytał Tanner.

– Nigdy nie przyjeżdżają w dni powszednie. Biorę je na co drugi weekend.

– I to wszystko?

Carl wyglądał na zboląłego, ale tylko kiwnął głową. Tannera ogarnęła dręcząca myśl, że Sarah zechce sformalizować ich separację, a nawet wystąpić o rozwód. Boże, oby nie. Wciąż nie pojmował, co ją sprowokowało do wyprowadzki z domu. Przecież mówił jej, że on też

chce mieć dzieci, tylko jeszcze nie teraz. Prawda? Chyba że czegoś istotnego nie zauważył.

– Widzę, że nie możesz się z tym pogodzić.

– Nie, nie mogę się z tym pogodzić. Uwielbiam, kiedy są tutaj. Mimo że czas spędzony ze mną nie jest dla nich specjalnie ekscytujący.

– Więc twoja żona ma pieczę nad dziećmi w dni powszednie i w co drugi weekend?

Carl pokiwał głową, krzywiąc się.

– Nieźle cię załatwiła.

– Och, nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Serio?

– Sędzia przyznał Stephanie połowę moich aktywów i jednocześnie całkowicie zwolnił ją z udziału w zobowiązaniach finansowych. Przedstawiła sądowi zawyżone dane na temat moich dochodów, opierając się na jednym naprawdę dobrym roku, sprzed pięciu lat zresztą. I twierdziła, że ja cały czas kłamię i coś ukrywam. To nie miało nic wspólnego ze sprawiedliwością. I teraz wystarczy, że spojrzę na nią nie tak, a natychmiast zostanie sponiewierany i ukarany grzywną.

– Jezu.

– Taki jest stan Massachusetts. Antymęski, antymężowski, antyojcowski i tak dalej. Z tego właśnie słynie.

– Po dziesięciu tysiącach lat patriarchy... – wtrącił Tanner.

– No dobra, nie zaczynamy o tym gadać, bo nie będę już mówił o niczym innym.

Tanner wsunął w usta smażoną mięsną kulkę kurczaka generała Tso. Kiedy skończył żuć, zapytał:

– Znasz kogoś z policji w Brookline?

– W Brookline? Pewnie, że znam. Szkoliłem paru tamtejszych chłopaków. A co?

– Chciałbym się dowiedzieć, czy Lanny... Czy to rzeczywiście było samobójstwo.

Carl wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie znużonego.

– Sanitariusz mówił, że prawdopodobnie doszło do przedawkowania leków. Czyli sam się zabił. Alkoholem i pigułkami.

– Zatem nie wierzysz w morderstwo Lanny'ego.

Carl wziął głęboki oddech, a potem głośno wypuścił powietrze.

– A ty sądzisz, że go zabito, ponieważ... zadawał pytania o tajne dokumenty?

– Tak sądzę.

– Pamiętam, że wielokrotnie rozprawiał na takie tematy, opowiadał o dziennikarzach, który zmarli w podejrzanych okolicznościach. Ale czasem odnosiłem wrażenie, że popada w paranoję.

– Zgadza się.

– Tak czy owak, nie wierzę, aby rząd Stanów Zjednoczonych mógł dopuścić się mordu na amerykańskim reporterze. Uważam to za chore. Jakby trochę z filmów o Jasonie Bourne.

– No nie wiem, stary. Masz dostęp do kogoś z wydziału zabójstw?

– Chyba tak. Ale tego typu śledztwo trwa co najmniej kilka dni. Trzeba czekać na wyniki badań toksykologicznych i tak dalej.

– Lanny miał pendrive'a, na którym były zapisane te dokumenty. Możliwe, że skopiował je do swojego laptopa, ale naprawdę wątpię, by wprowadził je do sieci wewnętrznej w redakcji „Globe”. Był na to zbyt ostrożny.

– To znaczy miał paranoję, chcesz powiedzieć?

– Dlatego chciałbym się dowiedzieć, czy wśród jego rzeczy policja znalazła ten pendrive. Został skradziony? Zaginął? I niech powiedzą, czy ich zdaniem Lanny został uduszony.

– Tanner – rzekł cicho Carl – znałem gościa bardzo dobrze. Od wielu lat. I uważam za absolutnie możliwe, że popełnił samobójstwo. Nie należał do najbardziej... stabilnych emocjonalnie, zrównoważonych ludzi na świecie. Mieszkał sam, cały czas tylko pracował, przecież wiesz.

– Zobaczymy, czego się dowiesz od policji w Brookline.

– Jasne. Wydaje mi się, że masz jakby trochę zszargane nerwy, chłopaku.

– Czy nie dlatego zaprosiłeś mnie tu dzisiaj na noc?

– Bo w twoim domu popełniono przestępstwo, oto dlaczego.

Ale Tanner wiedział, że istniały również inne powody. Carl nie był zwykłym, tępawym mięśniakiem; jako wrażliwe i bezbronne dziecko musiał się nauczyć samoobrony, a także tego, jak chronić innych. Zapewne z tego powodu uwielbiał uczyć małych sztuk walki.

– No dobra, racja, bardzo to doceniam.

– A co z tym laptopem pani senator? Nadal go masz?

– No.

– W bezpiecznym miejscu?

Tanner kiwnął głową.

– W bezpiecznym.

Carl uśmiechnął się krzywo.

– Myślałeś, żeby im go oddać?

Tanner już miał odpowiedzieć, że oczywiście tak, że rozważał telefon do biura senator Susan Robbins w Waszyngtonie i opowiedzenie dowolnemu jej pracownikowi, pewnie jakiejś dwudziestoczteroletniej stażystce, że przypadkiem ma tego cholernego senatorskiego macbooka air i chętnie im go odda, bo wcale go nie potrzebuje.

A potem przypomniał sobie, co powiedział mu Lanny. *Ten laptop jest jedynym powodem, dla którego jeszcze żyjesz.*

Tanner wzruszył ramionami.

– Więc gdzie jest ów przesławny futon?

Tanner obudził się nagle w nieznanym sobie ciemności.

Jego telefon jęknął, a potem zaczął wydawać trele. Wyciągnął rękę, aby go uciszyć, ale nie znalazł nocnego stolika i wówczas przypomniał sobie, że w pokoju gościnnym Carla nie ma takiego mebla. Dlaczego budzik musiał się włączyć akurat w środku nocy?

Nim jego oczy zdążyły przyzwyczać się do mroku, mózg pierwszy zdał sobie sprawę z sytuacji: to wcale nie był budzik. Ktoś do Tannera dzwonił.

Numer abonenta zaczynał się od kierunkowego 617, czyli Boston i okolice, a kończył dwoma zerami. Pewnie jakaś firma.

Automat z badziewiastą ofertą sprzedaży? Ale co to mogłoby być, do cholery, o tak wczesnej porze?

Pod numerem telefonu, mniejszą czcionką, widniał napis „Brighton, MA”.

Siedziba firmy Michaela mieściła się w Brighton.

Chwycił telefon i odebrał.

– Czy pan Tanner? – spytał szorstki męski głos.

– Kto mówi?

– Panie Tanner, tu Lenehan z ochrony budynku przy Mayfield Street 50. Wygląda na to, że na zapleczu Tanner Roast, w biurach, wybuchł pożar, a mam tu pana na liście kontaktowej.

– Jasna cholera. A co z...?

– Dzwoniłem po straż pożarną, już jadą.

– Dziękuję. Jest... źle?

Michael wyskoczył z łóżka. Ciemności panowały nieprzeniknione.

– Trudno stwierdzić, ale dymu jest tyle, że nie wygląda to najlepiej. Nie wiem, co mógłbym panu jeszcze powiedzieć.

Michael zdążył się już całkowicie rozbudzić.

– O Boże.

– Mam przekazać strażakom jakieś specjalne instrukcje?

– Nie, ja... mój Boże... Już jadę.

Carl stał w korytarzu pod sypialnią Michaela, ubrany w koszulkę Red Soksów i bokserki.

– Wszystko w porządku?

– Moja firma się pali – odrzekł Michael.

– Szlag by to trafił. Pomóc ci jakoś?

– Straż pożarna jest już w drodze. Wracaj do łóżka. Ja muszę lecieć.

Wsiadając do samochodu zaparkowanego na Comm. Avenue przed domem Carla, Tanner poczuł pierwsze krople deszczu, właściwie mżawkę. Asfalt lśnił w żółtawym blasku sodowych latarni, upstrzony mokrymi plamkami. Na myśl o spustoszeniach, a może nawet kompletnym zniszczeniu firmy, ścisnęło go w żołądku. Zastanawiał się, czy deszcz jest w stanie spowolnić albo ugasić pożar; liczył, że ulewa się wzmoże.

W jego samochodzie, sześcioletnim, srebrnym, czterodrzwiowym lexusie GS 350, panował kompletny bałagan. Na podłodze od strony pasażera wały się puste plastikowe butelki po wodzie mineralnej. Rzadko kogoś woził na tym fotelu, dlatego nie czuł się w obowiązku utrzymywania w aucie czystości, chyba że stałoby się to absolutną koniecznością. Dziś Michael nie zwrócił na ten rozgardiasz najmniejszej uwagi; jechał prawie automatycznie. Gdy deszcz zaczął zalewać przednią szybę, włączył wycieraczki.

O godzinie trzeciej trzydzieści nad ranem Centre Street była zupełnie pusta, nie licząc kilku samochodów, paru osób zmierzających do pracy albo wracających do domu z nocnej zmiany oraz jakiegoś faceta, pewnie spóźnionego randkowicza.

Czy ten pożar wybuchł przypadkowo? – zastanawiał się Michael. Czy na przykład w którymś z prażalników – powiedzmy, że w tym starym, marki Probat – doszło do jakiegoś spięcia? A może ktoś zostawił go włączonego? Urządzenie potrafiło się rozgrzać do pięciuset czterdziestu stopni Celsjusza, co z pewnością mogło spowodować pożar. Plewy, które w trakcie prażenia oddzielały się od ziaren kawy, były lekkie, suche i łatwopalne. Wystarczy jedna zabłąkana iskra, aby zajęły się ogniem.

Wiedział jednak, że przyczyna pożaru była zupełnie inna. Celowe podpalenie. Został namierzony, a wraz z nim każdy, z kim był związany zawodowo i prywatnie. Teraz na celowniku tamtych znalazła się jego firma, jego dzieło, które budował przez ostatnie osiem lat. I dzieło to zostało zniszczone. Sam sprzęt kosztował siedmiocyfrową kwotę. Polisa ubezpieczeniowa zdecydowanie nie wystarczy na pokrycie strat. Jeśli prażarka Probat jest stracona, to naprawdę miał przerąbane.

A może jednak dopisywał mu fart? W końcu nadal żył.

Lanny Roth, wykonując te swoje telefony, uruchomił dzwonek alarmowy gdzieś w tajnych gabinetach rządowych i zginął z powodu tego, co odkrył.

Może to miało być ostrzeżenie? Zbyt nieprawdopodobne, aby było możliwe? A jeśli chciano Tannerowi powiedzieć: *Zobacz, co możemy zrobić. A teraz daj nam to, czego*

chcemy.

Zatem Lanny miał rację: laptop był polisą ubezpieczeniową Michaela.

Oni – bezimienni, nieznanymi im, którzy zamordowali Rotha – w jakiś sposób dowiedzieli się, skąd dziennikarz miał te dokumenty. Od kogo je otrzymał. Potem zadzwonili do Tannera, a on odmówił współpracy. Więc włamali mu się do domu. Przedostanie się do biura firmy było trudniejsze ze względu na porządny system alarmowy...

Nagle uderzyła Michaela kolejna myśl: czy tamci mogli wzniecić pożar po to, aby ukryć ślady włamania do magazynu? A może sam popadam w paranoję?

Deszcz przestał padać, wycieraczki najpierw zwolniły, potem znieruchomiały. Tanner przyspieszył i skręcił w zjazd na autostradę, a następnie zmniejszył prędkość przy bramce E-ZPass. Jedynymi pojazdami na Massachusetts Pike były TIR-y oraz kabriolet marki Volkswagen poruszający się nierówno po pasie szybkiego ruchu – bez wątpienia ktoś wracał do domu z imprezy.

Michael zdał sobie nagle sprawę, że cały czas przyspiesza; kiedy przekroczył sto trzydzieści kilometrów na godzinę, zdjął nogę z gazu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było zatrzymanie przez policję i mandat, zwłaszcza teraz, gdy cała jego firma, jego inwestycja oraz – owszem – pieniądze na czarną godzinę niknęły w płomieniach, zmieniając się w popiół i dym.

Zjechał z autostrady i przedzierał się dalej przez skomplikowany układ zakrętów, serpentyn i wyjazdów, które prowadziły do Brighton. Gdy wreszcie spostrzegł lokal o nazwie Tastee Doughnuts, wiedział, że znalazł się prawie na miejscu (podawano tam wspaniałe pączki i tanią, ale niezłą kawę). Skręcił w lewo, a potem dwa razy w prawo i znów w lewo, na długą, jednokierunkową Mayfield Street.

Z prawej strony ciągnął się płot z siatki drucianej, a dalej tory bostońskiego metra, które gdzieś wychodziły z tunelu na powierzchnię. Po lewej natomiast stał długi na całą przecnicę budynek z czerwonej cegły, który mieścił biura staromodnych firm oferujących zabezpieczenia i sejfy. Niezwykle długie zabudowania magazynowe wznosiły się po obu stronach ulicy jedno za drugim, aż docierały do Mayfield Street 50. Pod tym adresem ulokowała się Tanner Roast.

W oddali, może kilkaset metrów od Michaela, stał jakiś człowiek i przywoływał go ręką. Duży mężczyzna w brudnym T-shircie bez rękawów, tak zwanej damskiej bokserce, z krótką wojskową fryzurą, gładko wygolony, jeśli nie liczyć farbowanej koziej bródki. Na szyi i każdym centymetrze odsłoniętej skóry ramion widać było tatuaże, jakby facet robił za chodzącą reklamę tych cielesnych ozdób. Nie był jeszcze stary i nie był już młody; sprawiał wrażenie mocnego gościa, z którym lepiej nie zadzierać.

Nie przestawał machać lewą ręką, przywołując Michaela i każąc mu zatrzymać się przy krawężniku. Nagle podniósł także prawą dłoń, w której tkwiła intensywnie czarna broń, prawdziwa armata. Michael nie miał pojęcia o spluwach i ich kalibrach, rozpoznał jednak

pistolet samopowtarzalny. Wielki pistolet samopowtarzalny.

Mężczyzna wbił wzrok w oczy Michaela.

Miał spojrzenie bazyliuszka, kogoś przywykłego do narzucania swojej woli. Spojrzenie szczytowego drapieżnika, gotowego do skoku.

Ten człowiek zamierzał go zabić.

W nagłym olśnieniu, które nań spłynęło, wszystko stało się dla Michaela jasne.

Nie było żadnego pożaru.

Wozy strażackie wcale nie pędziły ulicami, nie było dymu, migających świateł, blokad na drogach.

Był tylko ten jeden facet z pistoletem.

Ktoś zadzwonił na komórkę Michaela, podając się za ochroniarza. W środku nocy, kiedy to, co nielogiczne, może wydawać się całkiem możliwe. Gdy człowiek jest zdezorientowany i łatwowierny.

Mężczyzna wiedział, jak zwabić potencjalną ofiarę na miejsce zbrodni.

Wykurzyć Michaela stamtąd, gdzie się akurat znajdował, bo przecież nie był we własnym domu.

I zabić. Na ulicy, bez świadków i ciekawskich oczu.

Wielki jak góra facet podchodził bliżej, cały czas trzymając wycelowany pistolet. Pokręcił głową, zatarasował lexsowi drogę, uniósł lewą, otwartą dłoń ku górze, a broń wziął w drugą rękę.

To była zasadzka. W którą Michael wszedł – a właściwie wjechał – jak mu kazano.

Nikt chyba nie zamierzał brać tu jeńców.

Prawa stopa Michaela zawisała nad dwoma pedałami: pedałem gazu oraz hamulcem. *Mam się dać zabić jak baran prowadzony na rzeź?*

Wytatuowany mężczyzna znowu pomachał, powtarzając ten sam gest, jakby Tanner był opóźnionym w rozwoju dzieckiem, które nie słucha poleceń. Spodziewał się najwyraźniej, że ofiara się podporządkuje i zjedzie na pobocze, bo tak jej kazano.

Kiedyś Michael czytał o badaniach mózgu metodą rezonansu magnetycznego, przeprowadzonych przez neurologów: podwyższona aktywność niektórych obszarów wskazywała, że podejmujemy decyzje o kilka sekund wcześniej, niż dociera to do naszej świadomości.

Ten facet próbuje mnie zabić. Nie mogę mu na to pozwolić.

I wtedy gadzia część mózgu Tannera podjęła decyzję, na którą świadome struktury by się nigdy nie odważyły.

Nacisnął pedał gazu do samej deski.

Samochód gwałtownie wyrwał do przodu i z głuchym odgłosem, od którego robiło się niedobrze, uderzył w wygolonego mężczyznę. Michael wcisnął hamulec; auto zatrzymało się z piskiem. Spojrzał we wsteczne lusterko – tamten leżał na asfalcie skulony, z głową

sterczącą pod dziwnym kątem względem ciała. Nie poruszał się.

Chyba zabiłem człowieka, pomyślał Michael.

Deszcz padał ulewnie, wiatr się wzmógł.

Michael nacisnął pedał gazu w lexusie i popędził dalej ulicą, potem kolejną. Minął budynek z siedzibą Tanner Roast, ciemny, bez żadnych wozów strażackich na widoku, a następnie skręcił w lewo i zatrzymał się na poboczu. Otworzył drzwiczki wozu i wypadł wprost na opustoszałą ulicę, w ulewny, zacinający deszcz, w istny potop.

Zgięty w pół, krztusząc się, zwymiotował na drogę.

Zabił człowieka. Zabił człowieka!

Deszcz natychmiast spłukał wymiociny razem z zalegającym na asfalcie brudem, jakby wszystko, co istnieje, dawało się zmyć do czysta.

Jakby cokolwiek było jeszcze możliwe.

Ten przeklęty Likwidator Problemów zniknął.

Przez cały dzień – podczas zebrań, telekonferencji i rozlicznych rozmów telefonicznych – Will nie mógł się uwolnić od zgryzoty. Po południu, gdy zamknął wreszcie drzwi swojego biura, odpalił Tora, przeglądarkę zapewniającą anonimowość w sieci. Nawiązanie bezpiecznego połączenia zajęło mu kilka sekund, po których znalazł się w szarym necie. Wszedł na ProtonMail, podał login i hasło, by stwierdzić, że żąda się od niego kolejnego hasła „deszyfrującego skrzynkę pocztową”. Wpisał je. Znow parę sekund.

Skrzynka okazała się pusta. Tylko jedna stara wiadomość, ta z wczoraj. Żadnych nowych.

Od pierwszego kontaktu minęła już ponad doba, a Will nie otrzymał nowych informacji. W ciągu dwudziestu czterech godzin mogło się wydarzyć mnóstwo rzeczy. Także z laptopem szefowej.

Likwidator Problemów powiedział, że zaraz po odzyskaniu komputera wyśle Abbottowi mejla na ProtonMail. Nigdy jednak nie wspomniał, że Willowi nie wolno się z nim kontaktować. Dlatego otworzył pierwszą wiadomość, kliknął w „Odpisz” i wystukał na klawiaturze: „Jakieś wieści?”.

Szyfrowanie... wysyłanie... Poszło.

Abbott sprawdził jeszcze swoją normalną skrzynkę pocztową; znalazł tam kilka wiadomości, na które zareagował krótkimi „Jasne” albo „OK”. Potem raz jeszcze zajrzał na konto ProtonMail – wciąż nic. Może dlatego, że w Szarym Necie wszystko trwało dłużej, szyfrowanie, deszyfrowanie i tak dalej, a Likwidator Problemów raczej nie siedział na swojej poczcie całymi dniami jak Will.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – zawołał. Samantha, dyrektor do spraw legislacyjnych, przyniosła zapotrzebowanie budżetowe. Na tego typu prośby senator Robbins odpowiadała zazwyczaj odmownie. Jak lubił powtarzać Will w czasie kampanii wyborczych, była „skąpa, jeśli chodzi o wydawanie pieniędzy podatników”.

– Co jest? – zapytał, starając się nadać głosowi pozory zainteresowania.

Późnym południem Will powtórzył cały rytuał: przeglądarka Tor, logowanie w ProtonMail... szyfrowanie... I nadal nic, brak nowych wiadomości.

Will miał dwa numery telefonu do Likwidatora Problemów. Pierwszy nabazgrał na

papierowej serwetce senator Sullivan. Problem w tym, że Likwidator zakazał Willowi korzystania z tego numeru. Był jednak jeszcze drugi, na stronie Mumble.com. Facet ani słowem nie wspomniał, że zleceniodawca ma zapamiętać o jego istnieniu.

Abbott zalogował się więc na Mumble.com i po dwudziestu sekundach kliknął w podany numer telefonu. Czekał, aż usłyszy głos robota.

Czekał długo.

Nikt nie odbierał. Oznaczało to, że w grę wchodził wyłącznie namiar podany przez senatora. Numer na serwetce. Will wyjął tanią jednorazową komórkę i przez chwilę się w nią wpatrywał. Co się stanie, jeśli zadzwoni? Narażał się na gniew płatnego zabójcy o specjalistycznej wiedzy technicznej zwanego Likwidatorem Problemów. No i co z tego? Sprawy zaszły już za daleko.

Gryząc się w język, zastanawiał się nad sytuacją jeszcze przez chwilę. Wtedy nagle odezwał się telefon stacjonarny na biurku.

Will podniósł słuchawkę.

– Abbott? – zapytał męski głos.

– Tak.

– Mówi Owen Sullivan.

– Och, panie senatorze, jak miło pana słyszeć.

– Posłuchaj mnie – powiedział senator ze złością. – Kiedy byłem mały, miałem absolutną obsesję na punkcie jednego żołnierzyka, którym się bawiłem. Pewnego dnia pożyczyłem go kumpłowi z klasy. I wiesz, co się stało?

– Hm, nie.

– Koleś urwał żołnierzykowi głowę. To był ostatni raz, gdy pożyczyłem komukolwiek jakąś zabawkę.

– I...?

– Coś ty narobił, Abbott, do jasnej cholery? Nie, lepiej nie odpowiadaj. Nie chcę wiedzieć. Tylko już nigdy nie proś mnie o żadne przysługi, jasne?

Nastąpiło kliknięcie i na linii zapadła cisza.

Will siedział przez chwilę nieruchomo z walącym sercem. Dlaczego senator Sullivan był aż tak wściekły? Z powodu żołnierzyka, któremu urwano głowę? Czyżby chodziło mu o...?

Abbotta ogarnęły złe przeczucia. Musiało stać się jakieś nieszczęście.

Wygooglował „Biuletyn informacyjny organów ścigania w Bostonie”, a następnie wszedł na stronę internetową bostońskiego wydziału policji. Wyglądała o wiele lepiej niż stare „pitawale” publikowane w prasie, w których po prostu wymieniano przestępstwa z lokalnego podwórka. Witryna miała własne nagłówki i zdjęcia. W lidzie opisywano aresztowanie za handel narkotykami, a także informowano o historii innego podejrzanego z dzielnicy Mattapan, którego zatrzymano po przeszukaniu jego mieszkania. Funkcjonariusze znaleźli tam duże ilości amunicji, dragów oraz gotówki. Will obejrzał zdjęcia studolarówek, broni

i pocisków tudzież plastikowych woreczków z jakąś białą substancją. Niżej widniało oświadczenie komendanta na temat współpracy miejscowej społeczności z policją. Ponadto była jeszcze wzmianka o kamerach na mundurach funkcjonariuszy.

Dopiero na samym końcu Abbott zobaczył niewielki nagłówek o treści: ŚLEDZTWO W SPRAWIE ŚMIERTELNEGO WYPADKU W BRIGHTON, OKRĘG D-14.

O godzinie 4.05 nad ranem funkcjonariusze z Okręgu D-14 odpowiedzieli na wezwanie do osoby poszkodowanej, która znajdowała się na Mayfield Street w Brighton. Po przybyciu na miejsce znaleźli mężczyznę z ranami powstałymi prawdopodobnie wskutek potrącenia przez pojazd mechaniczny. Stwierdzono śmierć ofiary, którą następnie zidentyfikowano jako Dennisa Hurleya, lat 52, z Charlestown.

Wydział Policji w Bostonie prowadzi intensywne śledztwo dotyczące tego wypadku i jego okoliczności. Osoby dysponujące informacjami na ten temat proszone są o kontakt z Wydziałem Zabójstw w Charlestown pod numerem telefonu (617) 343-4470.

Will z trudem przełknął ślinę. Gardło miał spieczone. Gdy wpisał w Google hasła „Dennis Hurley” i „Charlestown MA”, znalazł jeden interesujący artykuł. POLICYJNE DOCHODZENIE W SPRAWIE ŚMIERCI MIESZKAŃCA CHARLESTOWN – informował nagłówek.

Niżej zamieszczono fotografię dziwnego faceta, z blond włosami rozdzielonymi przedziałkiem pośrodku głowy, pustymi szaroniebieskimi oczami, które znajdowały się dość daleko od siebie, zapadniętymi policzkami i tatuażem na szyi.

Bostońska policja prowadzi śledztwo dotyczące ofiary wypadku drogowego, którą jest mieszkaniec Charlestown, osoba dobrze znana organom ścigania. Dennis Hurley, lat 52, był osobą podejrzaną o sprawstwo co najmniej kilkunastu zabójstw. Uważa się, że ten weteran Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, zwolniony ze służby dyscyplinarnie, współpracował z lokalną organizacją przestępczą w Charlestown. W 2014 roku Hurley został aresztowany i oskarżony o okrucieństwo wobec zwierząt. Dopuszczył się wówczas szczególnie makabrycznego czynu: spryskał psa sąsiadów płynem do zapalniczek, a następnie podpalił.

Will dwukrotnie przeczytał artykuł. *Ten cały Hurley to chyba Likwidator Problemów.* Czarny charakter z Charlestown, zwolniony dyscyplinarnie ze służby wojskowej, były żołnierz piechoty morskiej powiązany z mafią. To na pewno on. Abbott poczuł, że coś go ścisza w dołku.

Martwy. Jak to możliwe?

Jasna cholera.

Kim, do diaska, jest ten Michael Tanner?

Willa ogarnął strach tak potworny, że nieomal go sparaliżował. Ciągłe gapił się w tekst na ekranie; mdliło go, a w żołądku kotłował się kwas solny.

A zatem Michael Tanner – bo któżby inny? – zamordował mężczyznę nazwiskiem Dennis Hurley, rzezimieszka znanego jako Likwidator Problemów. I to nie zwykłego rzezimieszka, ale twardziela, mięśniaka, byłego marine. Jak to możliwe, by Tanner zabił kogoś takiego?

Abbott raz jeszcze przewinął w głowie uzyskane informacje, jakby odtwarzał taśmę wideo.

Najpierw Tanner kategorycznie zaprzeczył, jakoby miał laptopa pani senator, a potem zamordował człowieka, którego Will wynajął do odzyskania komputera.

Oznaczało to, że facet nie jest tym, za kogo się podaje, nie jest jakimś tam biznesmenem, zwyczajnym przedsiębiorcą.

A to z kolei rodziło inne przerażające pytanie: Czy jest możliwe, że tamten celowo podmienił laptopy, a nie był to przypadek?

Willowi zakręciło się w głowie od próby znalezienia sensu w tych wszystkich zdumiewających faktach. Nie, to po prostu było niemożliwe. Kimkolwiek ten Tanner by nie był, nie miał przecież szans, aby znaleźć się w kolejce na lotnisku w Los Angeles za senatora Robbins albo tuż przed nią... Uwiarygodnienie tej teorii wymagałoby uznania zbyt dużej liczby zbiegów okoliczności. Naciągania faktów.

Lecz jeżeli... jeżeli Tanner zdał sobie sprawę, że wszedł w posiadanie laptopa należącego do senatora Stanów Zjednoczonych i że są na nim niezwykle ważne dla kraju – dla całego świata – bardzo groźne tajemnice? I jeśli *coś już z tymi danymi zrobił*?

Powiedzmy, że facet zorientował się, co trzyma w garści i jaką to ma wartość, a potem komuś to odsprzedał, jakiejś grupie przestępczej. Chętnych nabywców z pewnością by nie brakowało. Szpiedzy z Chin, z Rosji, skądkolwiek, może nawet ISIS albo Al-Kaida. Terrorysty. To by wyjaśniało, dlaczego wszystkie dotychczasowe próby, zarówno podejmowane przez niego, jak i tamtego Rosjanina, spełzły na niczym. Sytuacja zdecydowanie przerosła Willa.

I mimo potwornego lęku, który teraz odczuł, zdawał sobie sprawę, że musi o tym wszystkim powiedzieć szefowej.

Senator miała na sobie granatową garsonkę, co zaniepokoiło Willa. Złowieszczo niebieski

strój oznaczał, że jest ona w nastroju bojowym, pełna zapału do pracy, nieuznająca przerw i domagająca się harówki do późnych godzin. A co za tym idzie: zrzędliva, niecierpliwa i rozdrażniona. Nie spodoba jej się konieczność odbycia poufnej rozmowy, zwłaszcza takiej, która wiąże się z groźbą wysadzenia w powietrze całego jej uporządkowanego życia.

Will musiał być ostrożny i starannie dobierać słowa. Szefowa nie miała pojęcia o Likwidatorze Problemów i lepiej, aby tak pozostało. Nie wiedziała również o wysiłkach podjętych przez niego w celu odzyskania laptopa. Należało oszczędzić jej wszelkich operacyjnych szczegółów.

Senator Susan Robbins rzuciła swojemu współpracownikowi przeszywające, groźne spojrzenie znad okularów. Will poczuł, jak przewraca mu się w żołądku.

– Chyba nie rozumiem – powiedziała szefowa przyciszonym głosem.

– Myślę, że w tej sprawie chodzi o coś znacznie więcej, niż nam się początkowo zdawało. Nie będę wchodził w szczegóły, ale podjęliśmy zdecydowane kroki i nadal brak rezultatów.

– Co to znaczy? Wiesz co...? Nie. Stop. Nie mów mi nic więcej. – Senator uniosła obie dłonie ku górze. – Masz zadanie do wykonania, a jak to załatwisz, twoja rzecz. Nie interesuje mnie, co w tej kwestii musisz zrobić. I nie chcę o tym wiedzieć.

– Sądzę, że chyba czas opowiedzieć o wszystkim w Biurze Ochrony Senatu.

– Czyś ty upadł na głowę? – zachnęła się Robbins. – Przecież już na ten temat rozmawialiśmy. Kiedy się dowiedzą, co zrobiłam, zostaną ukarana, objęta sankcjami, wyrzucona z komisji wywiadu i wszystko przedostanie się do opinii publicznej. A wiesz, dokąd to może doprowadzić? Do mojej rezygnacji. Albo czegoś jeszcze gorszego...

Will kiwał głową, czując w ustach gorzki, metaliczny posmak. Na tym właśnie polegał problem od samego początku: przecież ostrzegał szefową, aby nie wynosiła tajnych dokumentów ze SCIF-u, bo gdyby ktoś się o tym dowiedział, wybuchłby ogromny skandal. A tymczasem ona bawiła się zapałkami w przepompowni gazu.

Tyle tylko, że mleko się już rozlało. Abbott miał po niej posprzątać, ale poniósł porażkę. Wstydził się tej klęski. Wstydził się, że zawiódł i musiał się do tego przyznać. A także – powiedzmy sobie otwarcie – bał się gniewu szefowej.

– Nie wiem, co narobiłeś, co ci nie wyszło, ale masz stanąć na głowie, żeby odzyskać laptopa. Rozumiesz?

Will kiwnął głową i spojrzał senator prosto w oczy.

– No nie wiem, czy naprawdę rozumiesz – ciągnęła Robbins. – W tę sprawę trzeba się zaangażować w całości. Osobiście. Nie można jej... powierzyć komuś innemu. Myślę, że to jest dla ciebie teraz jasne. Ale jeżeli masz z tym jakiś problem...

– Nie, ja...

– Jeśli nie chcesz ubrudzić sobie rączek, powiedz mi wprost. Teraz. Will, czy masz z tym problem?

Pokręcił przecząco głową.

– W żadnym razie.

– Siadaj, Will.

Usiadł.

– Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego w ogóle cię zatrudniłam?

Abbott lekko zmrużył oczy, niepewny, co odpowiedzieć.

Jednak Susan wcale na to nie czekała.

– Ze względu na ciebie zrezygnowałam z innych kandydatów. Stypendysty Fundacji Rhodessa z Yale, zawodnika lacrosse'a, bardzo wszechstronnego. Wyróżnionego absolwenta Middlebury ze stopniem magistra uzyskanym w Woodrow Wilson School. Z redaktora „Harvard Law Review”. Tego kalibru ludzi mogłam zatrudnić. Ale wybrałam ciebie. Williama Abbotta, dziwnego młodzieńca po porządnej, ale zwykłej stanowej uczelni. Dlaczego, u diabła, tak postąpiłam, jak myślisz?

Will siedział ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę, jakby nad czymś dumał. Pokręcił głową.

– Ponieważ coś w tobie dostrzegłam, Will.

Niczym kwiat zwracający się ku słońcu Abbott uniósł czoło i patrzył teraz prosto na swoją szefową. Pozwolił sobie na nikły uśmieszek. Po raz pierwszy w życiu zauważył błękit jej oczu, skrzący się jak jakiś rzadki minerał. Białka odznaczały się kolorem czystej porcelany, bez żadnych czerwonych żyłek. Każdy ruch rąk tej kobiety był precyzyjny i kontrolowany. Jakby należała do istot wyższego gatunku niż Will.

– Coś w tobie dostrzegłam – powtórzyła Susan Robbins.

– Tak?

– Wiesz, co to było? Jakaś skaza. Coś nie do końca w porządku. We mnie też to tkwi, Will.

Poczuł, że robi mu się zimno, a uśmiech szybko znika z twarzy.

– Oboje jesteśmy wybrakowani. Nie gramy zbyt bezpiecznie. Nie zawsze trzymamy się reguł. Ale to dzięki takim jak my kręci się ten gówniany świat. Ponieważ jest w nas jakaś pustka, której nie da się niczym zapełnić. Nigdy. Dziura bez dna. Bo my nie jesteśmy jak inni ludzie. Robimy to, co konieczne. Potrafisz zrobić to, co konieczne, Will?

Abbott z trudem przełknął ślinę. Początkowo wypowiedane przez niego słowa były ledwie słyszalne.

– Tak, potrafię, Susan – odparł. Odchrząknął i powtórzył głośniejszym głosem. – Potrafię i zrobię to, co konieczne.

Szefowa pochyliła się do przodu.

– Wiesz, że dla wielu osób pozycja senatora Stanów Zjednoczonych to szczytowe życiowe osiągnięcie. Ale dla nas to jedynie faza przejściowa. Miejsce startu. Rozumiesz to, prawda, Will? – Nachyliła się jeszcze bardziej i złapała go za przedramię.

Will skinął głową.

– Jeśli dobrze to rozegramy – podjęła senator – jeśli raz czy dwa dopisze nam szczęście, razem pójdziemy jeszcze wyżej. Przecież nasze cele są o wiele poważniejsze. Nieprawdaż, Will?

Czuł, jak pod powiekami gromadzą mu się łzy. Kochał tę kobietę jak nikogo innego na świecie, nawet Jen. Lecz był to inny rodzaj miłości, potężniejszy niż ta, którą żywi mężczyzna do swojej żony, dziecko do własnej matki. Susan należała do osób szczególnych, Will był tego pewien – do osób, które zapiszą się w historii. Senator wstała, on również.

– Prawda, Will? – powtórzyła.

– Tak – odpowiedział Abbott. – Tak, to prawda.

Wchodząc do apartamentowca, w którym mieszkał, już na parterze Will usłyszał płacz małego Travisa. Było późno, prawie dwudziesta druga, a on wracał z imprezy połączonej ze zbieraniem funduszy. Zastanawiał się, czy nie jest tak, że wszyscy mieszkańcy bloku słyszą płacz dziecka, i to całymi dniami. Na pewno. Co z kolei znaczyło, że mieli naprawdę fajnych sąsiadów: nikt się nie poskarżył. Przynajmniej do tej pory. Może dlatego, że Travis urodził się niedawno.

No cóż, to tyle, jeśli chodzi o możliwość przejrzenia poczty elektronicznej w domowym biurze. Gdy tylko Will stanął w drzwiach wejściowych, Jen przyniosła czerwonego na buzi Travisa, zaczekała, aż mąż odłoży aktówkę, po czym natychmiast podała mu niemowlę.

– Ty spróbuj.

Abbott mocno przycisnął Travisa do piersi; dziecko lubiło takie poczucie bliskości. Niestety, żalostne łkanie nie ustało. Czasem ten mały szkrab sprawiał, że Willowi pękało serce.

– Nie chce pić z butelki. Próbowałam.

– A może dasz mu... No wiesz...? – Jen karmiła Travisa wyłącznie piersią. Usiłowali podejść małego i dać mu butelkę, ale dziecko uparcie odmawiało sztucznego pokarmu.

Żona pokręciła głową.

– Widziałam się dzisiaj z lekarzem.

– Co się stało?

– Jak to „co się stało”? Jeszcze pytasz? Przecież on ciągle płacze. I wiesz, co mi lekarz powiedział? Że nie wytwarzam dostatecznej ilości mleka. Nasze dziecko jest głodne!

– Naprawdę?

– Musimy uzupełniać niedobór pokarmu mlekiem dla niemowląt. Bez względu na to, jak bardzo będzie się sprzeciwiał. – Jen podała Willowi butelkę z białym płynem. Była ciepła. Abbott wsunął smoczek w usta Travisa, tłumiąc nieco jego płacz, i ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że maluch natychmiast zaczął ssać, i to chciwie. Raptem w mieszkaniu zapanowała błoga cisza. Will czuł na piersiach ciepło małego ciała syna. Wciągnął do płuc jego słodkawy, mleczny zapach, a wówczas coś zaczęło w nim topnieć, coś dotąd mroźnego i twardego. Nie mogą tego zepsuć. To przecież życie w samej swojej istocie, pomyślał. Mam zbyt dużo do stracenia.

Przypomniało mu się to, o czym mówiła Susan. O skazie. Zapewne miała rację: nosił

w sobie skazę. Ciekawe, czy Jen też ją dostrzegą. Jeśli tak, jeśli rzeczywiście tak dobrze go znała, to nie powinna go kochać. Tego był pewny.

– Cóż – powiedziała. – Jesteś prawdziwym ekspertem. – I niespodziewanie wybuchnęła płaczem. – Ja nawet nie potrafię tego zrobić. Wiesz, jak to jest spędzać z nim całe dni? Niedługo chyba zwariuję.

– Musisz odpocząć – odparł Abbott. – Od czasu do czasu wyjść z domu. – Jen była na urlopie macierzyńskim udzielonym jej przez korporację prawniczą, w której pracowała. O powrocie do pracy mówiła z niechęcią.

– A niby jak mam to zrobić? Wiesz, że nie stać nas na stałą nianię ani nawet na opiekunkę do dziecka.

– Przecież nieraz ci mówiłem, że moja matka byłaby zachwycona, gdyby mogła nam pomóc.

– Twoja matka? Żartujesz sobie.

– Mogłaby się wprowadzić na piętro. Ty masz za dużo na głowie, a mama – za mało. Każdy na tym skorzysta. Poza tym ona uwielbia dzieci. Może od razu do niej zadzwonię?

– Nie chcę, żeby twoja matka z nami mieszkała.

Will wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Ona naprawę byłaby szczęśliwa. Wystarczy jeden telefon.

– Nie ma mowy!

Jen nie powinna się już więcej uskarżać, przynajmniej przez jakiś czas. Groźba wprowadzenia się teściowej do ich mieszkania była dla niej zbyt odstręczająca. Will poczuł drobną satysfakcję: udało mu się uporać z problemem. W tym bywał dobry. Czasami odnosił wrażenie, że bez niego wszystko rozleciałoby się na kawałki.

– Jutro muszę wyjechać z miasta – oznajmił. – Ale tylko na jeden dzień.

– Do Chicago?

Pokręcił przecząco głową.

– Do Bostonu.

– Szefowa wygłasza przemówienie?

Abbott nie lubił kłamać, ale nie mógł przecież wyjawić żonie prawdziwego powodu swojego wyjazdu.

– Kolejna zbiórka pieniędzy. Podtrzymanie dobrych relacji ze sponsorami. – Rozejrzył się dookoła. Mieszkanie wyglądało jak chlew, ale miał na tyle oleju w głowie, aby nie prosić Jen o posprzątanie.

Will nigdy by się nie przyznał żonie, że wolał przebywać w pracy niż w domu. Tak wyglądała naga prawda. Tam czuł się niezbędny i doceniany. Wiedział, że pomaga w postępach kariery senator Susan Robbins, co do której miał pewność, że jej przeznaczeniem jest Biały Dom. I zamierzał dostać się tam razem z nią. Szef personelu pierwszej kobiety prezydenta – to brzmiało wręcz fantastycznie.

Jednak ten ciągnący się koszmar z zaginionym laptopem stawał się coraz mroczniejszy i Will zaczynał się obawiać, że nie zdoła go przerwać.

W tym momencie prawdopodobnych było kilka scenariuszy. Na przykład w „Washington Post” albo w „New York Timesie” mógł się ukazać artykuł dotyczący projektu CHRYSALIS. A wtedy Departament Sprawiedliwości rozpocząłby śledztwo, które z całą pewnością doprowadzi do niego. I Will pójdzie do więzienia za to, co zrobił dla Susan.

Nie chciał o tym myśleć, ale postanowił się zmusić.

Odzyskanie laptopa jest sprawą kluczową. Ochroni go przed wyrokiem skazującym, a szefowej pozwoli utrzymać się na drodze wiodącej do Białego Domu.

Tylko że odzyskanie komputera nie udało się już dwa razy. Jeśli wyjazd do Bostonu również okaże się porażką...

Ta konstatacja sprawiła, że Abbotta ogarnęło przerażenie. Równie głęboki strach budziło w nim to, co być może będzie musiał zrobić.

Will przypomniał sobie słowa Likwidatora Problemów. *Działam samodzielnie. Wykonuję swoją robotę. Ty mówisz, czego chcesz, ale nie dyktujesz mi, jak mam się do tego zabrać. Zrobię to, co uznam za niezbędne.* Will też musiał zrobić to, co niezbędne.

Ale jak daleko potrafi się posunąć? Do czego będzie zmuszony?

Może lepszym pytaniem byłoby: Czego, mimo wszystko, nie zdecyduje się zrobić? Will miał przecież wiele do stracenia.

Tanner obudził się o siódmej rano, czując pod powiekami papier ścierny i dudnienie w głowie. Spał zaledwie dwie godziny, czego od razu pożałował. Należało się w ogóle nie kłaść. Wcześniej, w stanie bliskim kompletnej desperacji, jeździł samochodem w deszczu bez żadnego celu. W pewnej chwili zaparkował, wysiadł z wozu, a następnie w świetle ulicznej latarni zlustrował jego przód, powodowany lękiem, że jest wgnieciony. Jednak niczego takiego nie zauważył. Jeśli była tam krew, ulewa zdążyła ją zmyć.

Trzeba pomyśleć. Zabił człowieka; wprawdzie w samoobronie, ale czy to wystarczy, aby wywinąć się policji, gdy ta się zjawi i zacznie zadawać pytania? Czy całe zdarzenie zostanie zakwalifikowane jako potrącenie pieszego i ucieczka z miejsca wypadku? Bo Tanner nie tylko kogoś zabił, lecz także uciekł, nie udzielając pomocy. Analizując jeden przerażający scenariusz po drugim, Tanner doszedł do wniosku, że powinien teraz wrócić do domu Carla i nikomu nie wspomnieć ani słowem o tym, co się wydarzyło, o tym, co zrobił. Gdyby się zgłosił na policję i opowiedział o wszystkim, przez najbliższy rok miałby na głowie funkcjonariuszy z wydziału zabójstw. Jakby brakowało mu innych problemów. Nie, to nie wchodziło w grę.

Czuł się wykończony, a przecież wcześniej rano należało wstać i pójść do pracy. Miał już zaplanowane spotkanie z facetem, który reprezentował potentata na rynku nieruchomości, głównego udziałowca wielu restauracji i hoteli, chcącego robić z Tanner Roast interesy. Taka umowa mogłaby oznaczać dla ich firmy zbawienie. Dlatego po prostu musiał stawić się w biurze, zwarty i gotowy.

Jeśli miał dobry dzień, potrafił być pierwszorzędnym handlowcem, to pewne. Ale dzisiaj o dobrej formie nie było mowy, absolutnie nie: czuł się załamany i przerażony. Nie potrafił jasno myśleć. W chwilach takich jak ta Tanner nie ufał własnej ocenie sytuacji.

Karen Wynant zaczęła go przy ekspresie do kawy. Podeszła, gdy napełniał kubek czarnym płynem, kawą dnia, której gatunku nawet nie znał. Karen nosiła szkła kontaktowe i miała makijaż, to znaczy pomalowane usta i kreski na oczach. Była ubrana jak na handlowca przystało.

– Wszystko w porządku? – spytała z niepokojem w głosie.

– Tak źle wyglądam?

– Nie najlepiej. Jesteś chory? Ten facet przychodzi za piętnaście minut. Powiedziałam, że się z nim przywitam, zrobię mu kawy, oprowadzę po firmie, a potem usiądziecie do rozmów.

– Świetnie. Będę miał trochę więcej czasu, żeby się rozbudzić.

– Pytam poważnie: wszystko w porządku?

– Najlepiej. Co wiemy o tym człowieku?

– Nazywa się Thomas Berlin, pracuje w Morton Nathanson, w pionie hotelarskim tego imperium biznesowego.

– Domyślasz się, o co może mu chodzić?

Karen pokręciła głową.

– Nie chciałam go zniechęcać pytaniami. Jajogłowi na pewno zdecydowali się już na Cortado.

– Jajogłowi... A, no tak. – Michael miał trudności z koncentracją. Cały czas widział przed oczami tamtego faceta, który machał do niego gigantyczną spluwą. Słyszał huk uderzenia samochodu w ciało zabójcy, tępe dum, dum, gdy koła przeskakiwały po jego ciele i je miażdżyły. Ten obraz i dźwięk rozgrywały się w myślach Michaela bez przerwy, jakby się zapętliły. Upił łyk kawy, lecz prawie nie poczuł jej smaku. Ogarnęły go mdłości. W żołądku chlupotał nadmiar kwasu solnego.

– Masz jakieś inne dobre wieści?

– Przykro mi. Chciałam, żebyś się dowiedział od razu. – Karen urwała. – Czy ta umowa z Four Seasons to już zamknięty rozdział? To znaczy: definitywnie nie da się nic zrobić?

– Koniec i kropka. A czemu?

– Ponieważ City Roast nie poinformowało o swoim sukcesie.

Michael pokiwał głową.

– Aha. Myślę, że wiem dlaczego. Chodzi o ich pierwszą ofertę publiczną.

– A co to ma wspólnego z tą sprawą?

– Wiesz, że przymierzają się do wejścia na giełdę, prawda? Cóż, przed opublikowaniem IPO powinni zachowywać się cicho i spokojnie.

– I?

– I dlatego nie wolno im niczego ogłaszać przed... – Myśli Michaela zaczęły odpływać. Znów usłyszał ten tępy huk uderzenia. – Nieważne, nieważne. Jak już wejdą na giełdę, poinformują o swoim nowym kliencie.

– Okej. Chcesz, żebym była obecna na tym spotkaniu z Berlinem?

Michael się uśmiechnął. Troska w oczach Karen była autentyczna, nieomal matczyzna. Musiał wyglądać naprawdę źle.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Dobrze się czuję, słowo.

Po wejściu do gabinetu Michael spojrzał na swoje odbicie w bardzo starym lustrze z napisem Maxwell House, które wisiało na ścianie; doszedł do wniosku, że powinien się ogolić. Z dolnej szuflady biurka wyjął elektryczną golarkę, podłączył ją do prądu i zaczął przesuwac ostrzem po twarzy.

Falami napływały kolejne spazmy lęku. A jeśli całe zajście zostało zarejestrowane przez jakąś kamerę? Tylko że ten wytatuowany na pewno o tym pomyślał. Wybrał takie miejsce, w którym nie było monitoringu. Mimo to...

Tanner usiadł za biurkiem i otworzył służbową skrzynkę mejlową. Chwilę potem rozległo się pukanie w uchylone drzwi gabinetu. Stała w nich Karen w towarzystwie mało pociągającego mężczyzny pod czterdziestkę, z lekką nadwagą, przedwcześnie wyłysiałego. Roztaczał ogólne wrażenie miękkości.

– To jest Tom – powiedziała Karen.

– Michael Tanner – przedstawił się, potrząsając dłonią gościa i patrząc mu w oczy. Tom Berlin wyglądał na kogoś, kto przywykł do zajmowania pozycji w cieniu, nie na pierwszym planie. Dziwne, jak na osobę parającą się handlem i sprzedażą, która powinna mieć zupełnie inne predyspozycje.

Karen wyszła, a mężczyzna zajął miejsce w fotelu naprzeciwko biurka Tannera.

– Zrobić kawy? Czy nie ma pan ochoty?

– Nie trzeba – odrzekł gość. Jego oczy błędziły po zakamarkach niewielkiego gabinetu. – Jestem nasycony kofeiną po uszy.

– Mam nadzieję, że dobrego gatunku – rzucił Tanner. – A zatem pracuje pan w holdingu Mort Nathanson.

Mężczyzna dalej się rozglądał.

– Właściwie, Michael, wcale nie pracuję dla holdingu Mort Nathanson i nie nazywam się Tom Berlin. Przepraszam za ten podstęp.

– Słucham?

– Przyszedłem tutaj, podszywając się pod kogoś innego – oznajmił tamten. – Nazywam się Will Abbott i jestem szefem personelu senator Susan Robbins. Wydaje mi się, że masz coś, co należy do niej.

Tanner Roast było o wiele mniejszą firmą, niż Will się spodziewał – po prostu jeden skromny magazyn, łączący się z biurami od frontu. Parę prażarek do kawy i dziesięciu, może dwudziestu pracowników. Firma mieściła się w nie najlepszej części Bostonu. Pojechał tam taksówką prosto z lotniska i był na miejscu dwadzieścia minut przed czasem. Zdążył się przespacerować po dzielnicy mieszkalnej, cały czas rozmyślając; gdy po trzecim okrążeniu znalazł się w pobliżu wejścia do firmy, wcisnął guzik domofonu.

Przywitała go dyrektorka do spraw sprzedaży, Karen jakaśtam. Była niska, o dość pretensjonalnym wyglądzie, z efektywną fryzurą na pazia, ubrana w niebieską sukienkę z surowego jedwabiu. Dzień wcześniej rozmawiali przez telefon; Will przedstawił się jako pracownik holdingu Mort Nathanson, powiedział, że ma w Bostonie kilka spotkań i chciałby przy okazji umówić się na jeszcze jedno, tak na chybcika, z szefem Tanner Roast. Kobieta zgodziła się od razu.

Abbotta martwiła myśl, jak długo będzie zmuszony podawać się za kogoś, kim nie jest, za człowieka pracującego w branży hotelarsko-turystycznej. Jak długo zdoła utrzymać ten kamuflaż? Oczywiście, wcześniej odrobił zadanie domowe, siedząc przed komputerem do późna w nocy. Mógł przeprowadzić z Tannerem pięcio-, może dziesięciminutową rozmowę dotyczącą kawy i kto wie, czy akurat tyle w zupełności by nie wystarczyło.

Jednak wszystkie te obawy były niczym w porównaniu z lękiem przed spotkaniem z zabójcą, bo przecież to ten facet musiał zamordować Likwidatora Problemów. Niewątpliwie Tanner był człowiekiem niebezpiecznym. Musiał nim być, skoro zrobił to, co zrobił: przejechał samochodem człowieka.

A jednak, ku zaskoczeniu Willa, Michael Tanner okazał się wyluzowanym samcem alfa, typem faceta, któremu dobre rzeczy przychodzą łatwo, znakomicie czującego się we własnej skórze. Szanse i możliwości same rzucały mu się pod nogi. Wyglądał na jegomościa, który nigdy o nic nie musiał w życiu walczyć. Abbott nie lubił takich ludzi. Oczywiście, spotykał ich na swojej drodze, zwłaszcza w college'u. Tanner przypominał mu Petera Greena wybranego na przewodniczącego roku – w końcu to Will poprowadził jego kampanię wyborczą.

Szkopuł w tym, że biznesmen siedzący za biurkiem nie sprawiał wrażenia osoby zdolnej z zimną krwią zamordować człowieka.

Abbott nie przestawał się zastanawiać nad istotą tej sprawy: dlaczego Tanner tak

kurczowo trzyma się tego laptopa? I czego właściwie chce? Jaką długofalową grę prowadzi? Gość nie pasował do profilu aktywisty, agitatora. Czyżby był najemnikiem? Planował sprzedać te tajne dokumenty? Należał do jakiejś grupy przestępczej?

Dlaczego tak uparcie odmawiał wydania komputera?

– Zrobić kawy? Czy nie ma pan ochoty? – zapytał Tanner.

– Nie trzeba. Jestem nasycony kofeiną po uszy.

– Mam nadzieję, że dobrego gatunku. A zatem pracuje pan w holdingu Mort Nathanson?

Nagle Willowi przyszło coś do głowy. Susan Robbins lubiła powtarzać pewną mądrą maksymę: czasem najlepszym kłamstwem jest powiedzieć najprawdziwszą prawdę. Tylko starannie dozowaną.

Powiem mu, o co naprawdę chodzi.

Abbott wziął głęboki oddech.

– Właściwie, Michael, wcale nie pracuję dla holdingu Mort Nathanson i nie nazywam się Tom Berlin. Przepraszam za ten podstęp.

Tanner sprawiał wrażenie zszokowanego.

– Słucham?

– Przyszedłem tutaj, podszywając się pod kogoś innego – ciągnął Will z bijącym sercem.

– Nazywam się Will Abbott i jestem szefem personelu senator Susan Robbins. Wydaje mi się, że masz coś, co należy do niej. Ponieważ my mamy rzecz, która należy do ciebie.

Podniósł swoją skórzaną aktówkę, odpiął klamry i wyjął – w sposób nieco ostentacyjny – macbooka air Tannera. Położył go na biurku.

Michael Tanner zmrużył oczy.

– To ty dzwoniłeś.

– Owszem, ja. Popełniłem błąd. Źle cię oceniłem. Nawaliłem totalnie. Myślałem, że jeśli się zorientujesz, że ten laptop należy do senatora, zechcesz do niego zajrzeć. Przepraszam. – Celowo nie zapytał, czy Tanner nadal ma komputer. Należało to uznać za pewnik, to było zrozumiałe samo przez się, Tanner nie musiał się otwarcie do tego przyznawać ani zaprzeczać – prawda wyjdzie na jaw w miarę przyciskania go do narożnika.

Will czekał na przyływ usprawiedliwionego gniewu u swojego rozmówcy i się go doczekał.

– Czy błędny osąd spowodował również, że włamaliście się do mojego domu? – zapytał Tanner podniesionym głosem.

– Nic nie wiem na ten temat – odparł głucho Will. Był przygotowany na ten zarzut. – Żadna osoba związana z senator Robbins nie autoryzowała takich działań.

– A może ten błędny osąd doprowadził do zabójstwa mojego kolegi Landona Rotha?

– Jakiego Landona? Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz!

– O dziennikarzu z gazety „Boston Globe”. Dobrym człowieku.

Will wzruszył ramionami, rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Przepraszam, ale nic o tym nie wiem. – O czym ten facet gada, do diabła? Ktoś jeszcze zginął? Przez krótką chwilę pomyślał o Likwidatorze Problemów, ale nie było możliwe, aby on zamordował osobę powiązaną z Tannerem bez uprzedniego poinformowania Willa, bez domagania się zapłaty, i to z góry. Abbott przelał dziesięć tysięcy dolarów z funduszu Robbins Victory na konto zleceniobiorcy, opisując to jako wydatki na konsultacje społeczne w trakcie kampanii wyborczej. Oficjalnie nazywało się to badaniem stanowiska przeciwników politycznych.

Mina Michaela Tannera świadczyła o gniewie zmieszanym z bólem. Wyraz jego twarzy się nie zmieniał, jakby został zamrożony. Will kontynuował:

– Pozwól, że wszystko ci dokładnie wytłumaczę, także powód mojej wizyty. Zamierzam zdać się całkowicie na twoją łaskę lub niełaskę. Laptopy twój i mojej szefowej, senator Robbins, zostały zamienione przez przypadek... a ja muszę odzyskać jej komputer. Znajdują się na nim pewne wrażliwe dane. Tajne informacje.

Wyraz twarzy Tannera zaczął powoli mięknąć.

– Tajne? – zapytał.

Will kiwnął głową.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, bardzo zaszkodzi reputacji pani senator i mojej. Dlatego oddaję się w twoje ręce. – Urwał na chwilę. – Proszę cię.

Tanner sprawiał teraz wrażenie głęboko pogrążonego w myślach. Złożył ręce i splótł palce.

Trzeba jeszcze coś dodać, przemknęło Willowi przez głowę, jeszcze mocniej oskarżyć samego siebie.

– Powinienem był rozmawiać z tobą otwarcie od samego początku – powiedział. – Przepraszam, że tego nie zrobiłem.

– Skąd wiedziałeś, że to mój laptop? Przecież nie był podpisany.

Abbott wziął kolejny głęboki oddech, nie chcąc okazywać, jak bardzo jest zdenerwowany. Swoim najlepszym menedżerskim głosem odparł:

– Zatrudniamy informatyków. Poprosiliśmy jednego z nich, żeby dostał się do twojego komputera i ustalił, do kogo należy. Nie mieliśmy innego wyboru, biorąc pod uwagę okoliczności. – Przerwał i spojrzał Michaelowi Tannerowi w oczy. – Nie mam pojęcia, jak tego dokonał. Ale wydobył twoje nazwisko, dowiedział się również, że mieszkasz w Bostonie. Dodaliśmy dwa do dwóch i cię namierzyliśmy. To znaczy... Nie, żebyś się jakoś ukrywał.

Tanner skinął głową i zacisnął wargi. Potem, bez słowa, wstał powoli ze wzrokiem wbitym w jakiś odległy punkt. W jego głowie kotłowały się różne myśli. Ten cały Abbott chyba mówił prawdę. Tanner nieźle potrafił czytać w ludziach – w końcu był handlowcem – a facet sprawiał wrażenie szczerego i bezpośredniego. Grał swoją rolę, to było oczywiste – ale wkładał w to serce. Mówił serio, mówił prawdę.

Zwrócenie mu laptopa razem z tajnymi dokumentami będzie właściwym posunięciem, uznał Tanner. Szef personelu pani senator nie był tępym osiłkiem, lecz skrupowanym waszyngtońskim urzędasem w granatowym blezerze, który niezbyt dobrze leżał mu na ramionach.

Wygrałem, uzmysłowił sobie Will.

Udało się. Rola pośrednika przyniosła efekt. Stara maksyma szefowej okazała się najskuteczniejsza. Idealnym kłamstwem jest powiedzenie szczerzej prawdy.

Zagryzł wargi, nie mógł się jednak powstrzymać od szerokiego, triumfalnego uśmiechu. Zwycięstwo. Zmanipulowałem faceta, mówiąc mu prawdę. Gdy Tanner wyszedł z gabinetu wolnym krokiem, zamyślony, Will od razu zrozumiał, że biznesmen idzie po laptopa szefowej. Za parę minut odzyska w końcu ten upragniony przedmiot.

A potem – myśl ta wielokrotnie pojawiała się wcześniej w głowie Willa, gdy zastanawiał się nad zakończeniem tej sprawy – Tanner zginie w wypadku drogowym. Zdarzy się fatalny zbieg okoliczności.

Innego wyjścia po prostu nie było. Will nie miał wyboru. Będzie musiał zlecić wykonanie tego zadania komuś zaufanemu i solidnemu. Skoro Likwidator Problemów nie żyje, pozostaje ten Rosjanin, który włamał się do domu Tannera. Zaaranżowanie wypadku samochodowego mieści się chyba w jego kompetencjach? Ludzie powiedzą: „Ach, ci bostońscy kierowcy...”.

I wszystko się uda, ponieważ udać się musi.

Żadna inna możliwość nie wchodziła w grę.

Wychodząc zza biurka, Tanner zerknął na odbicie Abbotta w lustrze z logo Maxwell House.

Abbotta przekonanego, że Michael nie widzi jego twarzy.

Facet się uśmiechał.

To było coś więcej niż zwykły uśmiech; to był szeroki uśmiech triumfu, oblicze kogoś, kto właśnie odniósł naprawdę spory sukces. Zaskoczony Tanner opuścił gabinet i ruszył do sąsiedniego magazynu. Tam się zatrzymał przed kuchenną szafką, za którą krył się sejf.

Przez chwilę gapił się na nią bezmyślnie.

I zrozumiał, że właśnie zrobiono go w konia. Poprowadzono na smyczy. Tanner, który potrafiłby wcisnąć kit największemu cwaniakowi, został zmanipulowany przez mistrza i artystę w tym fachu.

Uśmiech na twarzy Abbotta... Tanner widywał już taki sam u Blake'a Gifforda. Triumfalne szczyrzenie zębów. Lekkie drżenie mięśni, usiłujących je stłumić. Jak u królika Bugsa, który wie, że pudełko z lunchem Elmera Fudda jest pełne trotylu.

W kuchni stał Sal Persico, genialny specjalista od prażenia kawy.

– Właśnie zaparzyłem świeżą partię kolumbijskiej. Nazywa się Villa Maria – powiedział

Sal. – Niesamowita.

– Idealna – zgodził się Tanner. Kupił te ziarna w pewnym gospodarstwie rolnym w regionie Nariño w południowo-wschodniej Kolumbii, przy samej granicy z Ekwadorem.

Tanner napełnił dwa kubki kawą i przez magazyn zaniósł je do swojego gabinetu. Na jego widok Abbott podniósł wzrok z wyrazem oczekiwania na twarzy. Bez wątpienia spodziewał się, że Tanner wróci z laptopem.

Biznesmen postawił jeden kubek z kawą tuż przed Abbottem.

– Proszę mi powiedzieć, co o niej sądzisz. Jestem pewien, że ci posmakuje.

Z lotniska National Will Abbott dotarł do domu taksówką. Był w podłym nastroju, zmęczony, pokonany i zły; nie miał najmniejszej ochoty na użeranie się z gderliwą Jennifer i wrzeszczącym – w to nie wątpił – Travisem.

Ale kiedy otworzył drzwi, usłyszał tylko ciszę. Jen siedziała w swoim ulubionym fotelu, czytając „Entertainment Weekly” w smudze światła padającego ze stojącej lampy. Przyłożyła palec do ust.

– Cii! Właśnie zasnął!

– Bo już go nie głodzimy na śmierć – rzucił Will swoim normalnym głosem.

– Ciiii!

– Wydaje mi się, że doktor Blum twierdził, że przy śpiącym dziecku wcale nie trzeba mówić cicho. Bo w przeciwnym razie niemowlę będzie do końca życia sypiać w pokoju wyłożonym korkiem.

– Mam w końcu okazję poczytać coś, co nie jest nalepką na butelce ze sztucznym mlekiem. Jeśli się obudzi, ty się nim zajmiesz.

– Nie ma sprawy – odrzekł Will cicho. Nie chciał się kłócić z żoną. Potrzebował teraz chwili samotności, aby opracować kolejny ruch. Konieczność przekazania szefowej złych wieści napawała go lękiem. Nie miał pojęcia, jak ona zareaguje, ale był raczej pewny, że będzie wściekła i nie utrzyma nerwów na wodzy.

Abbottowi już się zdawało, iż sprawę z Michaeliem Tannerem rozegrał jak należy i że ten wreszcie odda mu laptopa. Lecz biznesmen wrócił do gabinetu z dwoma kubkami kawy i powiedział:

– Żałuję, ale nie mogę ci pomóc, Will. Naprawdę doceniam to, że wybrałeś się do Bostonu osobiście, aby oddać mi komputer. Powinienem ci przynajmniej zwrócić koszty biletu kolejowego, lotniczego czy... innego.

– A co z tym należącym do pani senator...?

– Faktycznie zgubiłem laptopa w Los Angeles – przerwał mu Tanner. – Ale nie wziąłem żadnego innego przez pomyłkę. Pewnie po prostu gdzieś zostawiłem swój... Wszystko odbywało się w pośpiechu.

– Więc nie masz komputera pani senator?

– Przykro mi. – Biznesmen wzruszył ramionami.

Kłamie, tego Will był pewien. Tylko jak go zmusić, aby się przyznał? Pokrzyżował mi

szyki, pomyślał. Nieomal odebrało mu mowę. Już prawie miał tego faceta, ale ten jakimś cudem mu się wymknął. Nie wiadomo dlaczego. Lecz jako człowiek nawykły do ciągłego negocjowania Will wiedział, kiedy kłamka zapada nieodwołalnie.

Jen zapytała słodko:

– Jak podróż?

– Świetnie. Nic aż tak ważnego. – Abbott zrzucił torbę z ramienia.

– Sukces?

– Yhm.

– Pozyskałeś okazałe środki?

Jen rozumiała, że polityka stała się pogonią za pieniędzmi.

– Nie najgorsze.

– Boże, ale byłoby super, gdybyś dostawał drobny procent od tej całej forsy, którą pomagasz załatwić. Prowizję czy jak to się nazywa.

– Tak, tylko że to byłoby nielegalne, tego jestem pewien.

Odezwała się komórka Willa. Kiedy spojrzął na wyświetlacz, skrzyknęło go w żołądku. Odebrał, idąc w kierunku sypialni po trochę prywatności.

– Masz go? – zapytała senator bez żadnych wstępów.

– Nie.

– Co takiego? Ale przecież...

– Już miałem faceta w garści. A potem rybka zerwała się z pieprzonego haczyka.

– Nie rozumiem. Co tu się dzieje? On nie chce oddać laptopa?

– Wypiera się, że go w ogóle ma.

– Wypiera się? Czy to... Czy możliwe, że faktycznie go nie ma? Naprawdę?

– Musi go mieć. Ja wiem, że ten człowiek ma pani sprzęt.

– Więc jak możemy...

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać... – Will chciał dodać: „przez telefon”.

– Opracuj plan odzyskania laptopa.

– Już to robię – rzucił Abbott. – Bez obaw.

– Teraz – powiedziała Robbins – oboje powinniśmy się obawiać. I to bardzo.

Po tych słowach się rozłączyła.

Po wyjściu Willa Abbotta z gabinetu Tanner przez kilka minut siedział za biurkiem i rozmyślał. Pozwolił, by telefon bez przerwy dzwonił.

Niewiele brakowało, bardzo niewiele. Prawie otworzył sejf. Na szczęście mógł udać, że poszedł tylko po kawę, nie po komputer. Wcześniej Abbott oddał mu jego macbooka air.

Tanner starał się zatuszować swój błąd w rozmowie z niespodziewanym gościem.

– Więc nie masz tego laptopa? – zapytał Will Abbott, kiedy Tanner wręczył mu kubek z czarną kawą.

– Przykro mi, ale pomyliłeś adresy. Faktycznie byłem na lotnisku w Los Angeles i zapomniałem laptopa. To znaczy, zostawiłem go tam... Spieszyłem się. To musiało się chyba stać w kolejce do kontroli bezpieczeństwa.

– A co z tym należącym do pani senator...?

Tanner pokręcił głową.

– Żałuję, ale nie mogę ci pomóc. Jednak cieszę się bardzo, że przywiozłeś mój sprzęt. Kiedy dzwoniłem do TSA, usłyszałem, że mają całe stosy laptopów, ale mojego nie.

Abbott wyszedł nie tylko rozczarowany, ale też zupełnie zbity z tropu.

Trochę wcześniej Tanner wiele myślał o tej sprawie: nie mógł nikomu powiedzieć o tym, że przejechał tego wytatuowanego człowieka, ale nic nie stało na przeszkodzie, aby rozmawiać o włamaniu. Chociaż dowody były bardzo skąpe: zainstalowana odwrotnie myszka, wybita szyba, odłączona kamera monitoringu. Kluczową kwestią była śmierć Lanny'ego, to ona wywołała cały ciąg zdarzeń.

Tanner potrzebował pomocy: próba poradzenia sobie z tym na własną rękę była po prostu głupia. A nawet niebezpieczna. Coś przecież mogło mu się przytrafić. Skoro Lanny został namierzony i obrany za cel, Tanner będzie następny. Musiał opowiedzieć o zamienionych laptopach i tajnych dokumentach jakiemuś przedstawicielowi prawa. Potrzebował lepszej ochrony niż ukrywanie się w domu przyjaciela. Chciał również, aby podjęto śledztwo w sprawie śmierci Lanny'ego.

Wprawdzie Carl znał ludzi z miejscowej policji, lecz dla Tannera to był za niski szczebel. Tu konieczny był ktoś o możliwościach działania w całym kraju, czyli Departament Bezpieczeństwa Krajowego albo FBI. Tanner nie miał żadnych kontaktów w tej pierwszej instytucji, znał natomiast faceta, który pracował w Federalnym Biurze Śledczym. Co prawda był to tylko znajomy, nie kolega ani nawet kolega kolegi – po prostu gość, z którym kiedyś

grywał w pokera, ale lepsza taka znajomość niż żadna.

Tanner wybrał więc numer bostońskiej delegatury FBI i poprosił o rozmowę z Brentem Stoverem. Kiedy go połączono, usłyszał sygnał poczty głosowej. Pozostawił wiadomość z prośbą o oddzwonienie, dodając, że sprawa jest ważna.

Zanim wyszedł z pracy, odbył, nieustannie rozkojarzony, jeszcze trzy spotkania i wiele razy rozmawiał przez telefon. Zastanawiał się nad przeniesieniem laptopa w inne miejsce. Skoro przeszukano jego dom i niczego nie znaleziono, to chyba jest tylko kwestią czasu, kiedy przyjdzie kolej na biuro firmy. A wtedy możliwe, że sejf zostanie odkryty. Nie jest to wprawdzie łatwe, ale jeśli otworzy się każdą szafkę, szufladę i tak dalej, w końcu można go znaleźć. Wprawdzie jest to nowoczesny sejf, zamknięty na cztery spusty, i wydaje się przeszkodą trudną do pokonania, ale dla tych ludzi, dla fachowców, zapewne nie niemożliwą.

Jednak problem z przeniesieniem laptopa w inne miejsce polegał na tym, że Tanner musiałby zabrać go ze sobą, a wtedy łatwo można by było mu go odebrać. Lepiej zatem pozostawić komputer tam, gdzie jest, uznał.

Kilka minut po osiemnastej wyszedł z gabinetu – w firmie pozostał jeszcze Sal, który prażył kawę, co często robił wieczorami – i skierował się do samochodu. Stary lexus był zaparkowany dwie ulice dalej; pod jedną z wycieraczek tkwił jaskrawopomarańczowy mandat. Tanner zostawił wóz na parkingu dla mieszkańców Brighton, choć miał uprawnienia do parkowania tylko w dzielnicy South End. Wyjął świstek zza wycieraczki i wrzucił do auta. Mandat wylądował na podłodze pośród pustych butelek i puszek.

Czy myśl, że jest śledzony, oznaczała, że popada w paranoję? Prawdopodobnie tak. Tanner był cały roztrzęsiony, chociaż okoliczności w pełni uzasadniały jego stan. Było niemal pewne, że wytatuowany otrzymał zlecenie zabicia go. Tak samo jak Lanny'ego Rotha.

Tanner nie miał jednak pojęcia, jak umknąć przed inwigilacją. W filmach i telewizji pokazują sceny, jak ktoś pozbywa się ogona, ale gdy naprawdę przychodzi co do czego, człowiek nie pamięta, jak to się robi. Jeździł więc w kółko bez celu, kilka razy skręcił w lewo, potem przeciął parking supermarketu Stop & Shop – przez cały ten czas nie widział za sobą żadnego pojazdu. Ostatecznie wjechał na Comm. Avenue, prowadzącą do Newton, i zatrzymał się dopiero na podjeździe przed domem Carla. Kiedy obchodził lexusa od przodu, nad prawym błotnikiem zauważył uszkodzenie, którego wcześniej nie dostrzegł. To pewnie skutek kolizji z wytatuowanym facetem. Czy to oznaczało, że na ciele zabitego mogły się znaleźć mikroślady lakieru? Prawdopodobieństwo, że policja odkryje powiązania między samochodem Tannera a śmiercią człowieka z tatuażami, zdawało się małe, lecz niestety istniało. Wzbudziło to w Michaelu niepokój.

Otworzył kluczem frontowe drzwi i zastał Carla w kuchni. Carl robił w blenderze coś, co wyglądało na koktajl czekoladowy.

– Jak tam w pracy? – zapytał kolega.

Tanner pokręcił głową. Wiedział, że tak naprawdę Carlowi chodziło o ślady mogące oznaczać włamanie do siedziby firmy.

– Wszystko w porządku? – dopytywał się gospodarz, udając luz i beztroskę, kompletny brak niepokoju, choć było dokładnie odwrotnie. Jego oczy zdradzały, że autentycznie się martwi i traktuje swe pytania poważnie. Tanner widział taki wyraz na twarzy kolegi, gdy ten uczył pewną kobietę technik samoobrony. Miała problem z natrętem.

– W porządku – potwierdził Tanner. – Dzięki.

Carl wlał zawartość blendera do wysokiej szklanki.

– Koktajl białkowy?

Tanner odmówił.

– Nie trzeba.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że znam jednego gościa z policji w Brookline?

– No?

– Mam nowe wiadomości w sprawie Lanny'ego.

– Mów.

Carl uniósł prawą rękę ze szklanką wysoko do góry, jakby sprawdzając jej zawartość.

– W jego szafce na leki znaleźli dziwne rzeczy.

– To znaczy?

– Teraz to zaczyna nabierać sensu.

– Jakiego sensu?

– Że, wiesz, że się zabił. Znaleźli mnóstwo leków. Lit... to się chyba nazywa... lithobid. I lamictal. Plus seroquel. Miał je wszystkie między palcami lewej dłoni. Chyba dobrze wymówiłem nazwy. Wiesz, na co to są leki?

Tanner pokręcił głową.

Carl pociągnął długi łyk mlecznego napoju, tym samym robiąc dramatyczną pauzę.

– Na zaburzenia maniakalno-depresyjne. Teraz to się podobno nazywa chorobą dwubiegunową. W tej sytuacji można zrozumieć zmienność nastrojów Lanny'ego.

– Nastrojów?

– Potrafił się bardzo podniecić, a potem wpadał w przygnębienie. W prawdziwą depresję. Kiedy rozmawiał z tobą ostatnio, był jedną wielką ekscytacją, prawda? Można to nawet nazwać euforią?

– Chyba tak. – Carl miał rację.

– I mówił, że trafił na coś naprawdę ważnego. Pewnie dzięki informacjom od ciebie. Zgadza się?

– No tak.

– I był tym potwornie podekscytowany. Że niby zdobędzie Nagrodę Pulitzera, bo sprawa jest tak poważna. Ale mnie nie chciał powiedzieć, o co chodziło.

Ta sprawa istotnie jest bardzo poważna, pomyślał Tanner. Carl po prostu nie wiedział wszystkiego.

– Masz rację – powiedział Tanner. – Kiedy o tym teraz myślę, widzę, jak bardzo Lanny się ekscytował. – Również uwaga o zmiennych nastrojach zmarłego kolegi wydawała się słuszna: rzeczywiście Lanny miał skłonność do skrajnych stanów emocjonalnych, od przygnębienia do euforycznego szczęścia.

– Paranoja, upojenie, a potem rozpacz – ciągnął Carl. – Choroba dwubiegunowa, podręcznikowy przypadek.

– Hm. – Nie dawało się wykluczyć, że Lanny faktycznie popełnił samobójstwo. Kiedy ostatnio rozmawiał z Michaeliem, sprawiał wrażenie człowieka owładniętego paranoją. Prawie. Jednak w tej historii było zbyt dużo zbiegów okoliczności. Dziennikarz zainteresował się tajnymi dokumentami i może dowiedział się czegoś, co wzbudziło jego ciekawość. Ktoś uparcie szukał laptopa należącego do pewnej senator. A faceta z tatuażami wysłano zapewne po to, aby zamordował Michaela, a przynajmniej mu pogroził i odzyskał ten cholerny komputer.

Czy możliwe, by Lanny targnął się na swoje życie? Tak, oczywiście, że możliwe. A nawet całkiem realne.

Lecz jeśli nie zrobił tego dobrowolnie? Może został zmuszony do połknięcia garści tabletek, a zabójcy zadali sobie sporo trudu, aby ukryć prawdę, fingując samobójstwo? Czy to też paranoiczny tok myślenia?

Możliwe.

Prawdę mówiąc, Michael nie bardzo już wiedział, co sądzić o śmierci Lanny'ego. Samobójstwa kolegi nie dawało się żadną miarą wykluczyć, jednak podejrzliwość w tej kwestii nie chciała Michaela opuścić.

– Z tego, co wiem, on nie miał żadnej rodziny – podjął Carl. – Rodzice zmarli, nie ożenił się i nie dorobił dzieci, i... To straszne. Ja jestem wykonawcą jego testamentu.

– Nie miał rodzeństwa?

– Nie. Jego jedyny brat zmarł na białaczkę jeszcze podczas studiów.

– Hm. – Michael zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

Zabrzęczała jego komórka.

– Słucham?

– Mike Tanner?

– Przy telefonie.

– Tu Brent Stover. Z FBI.

– Och, Brent, no tak, dzięki, że dzwonisz. Ja, hm... – Michael się zawahał. Czy ta rozmowa przez telefon była bezpieczna, czy może popada w nadmierną paranoję? – Mam pewną ciekawą sprawę, którą chciałbym z tobą omówić.

Do miasta przyjechali ludzie z lobby drobiarskiego. Will doszedł do tego wniosku, widząc w małej poczekalni w biurze senator Susan Robbins dwie osoby w żółtych, udających kurczaki pluszowych kostiumach. Oboje – mężczyzna i kobieta nieco po dwudziestce – trzymali głowy z czerwonymi dziobami na kolanach. Zawstydzone sobą kurczaki. Czekali na spotkanie z panią senator, aby porozmawiać o ulgach podatkowych dla producentów jajek w projektowanej właśnie ustawie. Właściciele wielkich ferm drobiarskich toczyli nieustanną wojnę z rolnikami hodującymi kurczaki na mniejszą skalę. Lecz Will miał zbyt dużo na głowie, by martwić się jeszcze niedolą tych ostatnich.

Na chwilę wstąpił do swojego biura sprawdzić pocztę elektroniczną i nagrania na sekretarce automatycznej w telefonie stacjonarnym, a potem wetknął głowę do gabinetu szefowej. Siedziało tam, tworząc okrąg, ze dwudziestu uczniów drugiej klasy podstawówki, oczarowanych panią senator. Will machnął jej szybko ręką i już chciał czmychnąć, kiedy nagle parlamentarzystka obwieściła:

– Dzieci, oto pan Abbott, dyrektor mojego personelu. To on naprawdę rządzi w tym biurze.

Maluchy odwróciły się jak na komendę i spojrzały na Willa. Rzucił im „cześć”, po czym zrobił wielkie oczy. Uczniowie odpowiedzieli na pozdrowienie uroczymi, piskliwymi głosikami małych dzieci.

Abbott uśmiechnął się i wyszedł jak najszybciej.

Na sekretarce automatycznej znalazł nagraną wiadomość od jednego z członków personelu przy senackiej komisji do spraw wywiadu, niejakiego Gary’ego Sapolsky’ego. Można powiedzieć, że Gary był osobą desygnowaną przez szefową, to znaczy kadrowym pracownikiem obsługi, mającym za zadanie współpracować bezpośrednio z nią. Kiedyś Sapolsky udzielał się w CIA. A teraz z jakiegoś powodu chciał rozmawiać z Willem.

Biura Komisji do spraw Wywiadu Senatu Stanów Zjednoczonych znajdowały się na pierwszym piętrze gmachu Harta, o kondygnację niżej niż gabinet senator Robbins. Od zewnątrz nie prezentowały się zbyt imponująco: zwykłe drzwi, a obok nich coś na kształt okienka kasowego w banku, za którym siedział jednak funkcjonariusz policji.

Był to Zakład Ochrony Informacji Wrażliwych. Powszechnie stosowano akronim SCIF, choć właściwie nikt nie pamiętał, od jakich wyrazów pochodzą te litery. Na pozór jednostka niczym się nie wyróżniała, ale jej siedziba była szczególnie chroniona podwójną warstwą

hartowanej stali, co tworzyło wrażenie sejfu w sejfie. Włamanie się tutaj wymagałoby użycia palnika.

Do środka nie wolno było wносить telefonów komórkowych ani smartfonów BlackBerry. Będąc w pomieszczeniach SCIF-u, człowiek tracił kontakt z resztą świata, co niektórym senatorom bardzo się podobało. Willowi zresztą też. Miał certyfikat bezpieczeństwa głównie dlatego, że szefowa poprosiła go, żeby załatwił sobie taką przepustkę. Dzięki temu mógł jej towarzyszyć podczas lektury dokumentów wywiadu. Willowi to pochlebiało. Większość szefów personelu takiej możliwości nie miała.

Zostawił komórkę w pojemniku i pociągnąwszy za klamkę, otworzył ciężkie drzwi.

Gdy tylko wszedł do środka, zobaczył Gary'ego Sapolsky'ego, który wyszedł mu naprzeciw, jakby z jakimś konkretnym zamiarem.

Niedobrze. Will poczuł skurcz niepokoju.

Gary Sapolsky, mniej więcej dziesięć lat starszy od Willa, był mizernym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, sprawiającym wrażenie kruchego, o twarzy jakby wypolerowanej do czysta i rzadkich, siwych włosach. Kiedyś pracował jako oficer CIA i znajdował się na szybkiej ścieżce kariery. Ale w czasie, gdy żona Sapolsky'ego urodziła bliźnięta, a on musiał jeszcze zapewnić opiekę starzejącym się rodzicom, agencja postanowiła wysłać go na placówkę zagraniczną. Gary nie mógł się na to zgodzić, podjął więc pracę powiązaną z wywiadem jako kadrowy członek personelu przy komisji senackiej.

Zajęcie to było ciekawe, ale mało efektowne. Sapolsky musiał wybrać: czy chce być dobrym oficerem wywiadu, czy raczej dobrym ojcem dla swoich dzieci. Postawił na to drugie. Bez wątplenia obie jego córki nie miały o tej decyzji pojęcia i dlatego ojca nie doceniały.

Jak na standardy obowiązujące na Kapitolu, Will nie był już młodzieniaszkiem – skończył trzydzieści siedem lat, podczas gdy większość personelu miała średnio o dziesięć mniej. Natomiast Gary, człowiek pod pięćdziesiątkę, wyglądał przy nich wszystkich – oczywiście relatywnie – na starego tetryka.

– No, jesteś – rzucił Sapolsky. – Szukałem cię tu wczoraj kilka razy.

– Przepraszam, na cały dzień wyjechałem z miasta.

– Okej, hm. Masz parę minut? Może wyskoczymy na jakąś kawę poza te mury?

– Jasne – odrzekł Will, czując nawrót paranoi, który sprawiła, że włoski na karku stanęły mu dęba. *Poza te mury*. Znaczyło to, że rozmowa miała być poważna. Na temat, którego Sapolsky nie chciał poruszać przez telefon ani w mejlu.

– Teraz?

– Jeśli możesz.

– Tam, gdzie zwykle?

Wyszli z budynku Harta, rozmawiając o polityce i kwestiach legislacyjnych. Po chwili,

w sposób nieunikniony, przeskoczyli na plotki, które zajmowały większość osób pracujących na Wzgórzu. Will nie mógł się jednak skoncentrować. O czym, u diabła, Gary chciał z nim rozmawiać na osobności?

Dobry Boże, tylko nie to.

– Więc o co chodzi? – zapytał Will.

– Powiem dopiero, jak dojdziemy na miejsce.

Dotarli do Corner Bakery przy North Capitol Street, kilka przecznic dalej. Gdy Will kupił sobie kawę i słodką bułkę, a Gary kubek bezkofeinowej, usiedli przy stoliku pod oknem, w sporej odległości od innych osób. Większość klientów stanowili pracownicy agend rządowych, którzy również odbywali tu rozmowy nienadające się do przeprowadzenia w biurach.

– A zatem tak – zaczął Gary. – Mam złe wieści.

– Jakie? – Will poczuł, jak ściska go w żołądku.

– Trwa coś w rodzaju dochodzenia w sprawie o naruszenie bezpieczeństwa państwa.

Wszyscy są w stanie najwyższej gotowości.

– O czym ty mówisz?

Sapolsky wzruszył ramionami i powoli wypuścił powietrze.

– Nie rozmawiali z tobą? Ze wszystkimi rozmawiają.

– Ale kto?

– Biuro Ochrony Senatu.

Will kiwnął głową. BOS stanowiło mało znaną agendę Senatu, która udzielała certyfikatów bezpieczeństwa oraz nadzorowała ochronę siedziby SSCI. Zapewne zajmowało się też czymś jeszcze, ale Will nie bardzo wiedział czym.

Gary ciągnął:

– I NSA.

– NSA?

– Wszyscy są bardzo powściągliwi i dyskretni, ale wygląda na to, że wyciekły jakieś dokumenty NSA. Pewien dziennikarz z „Boston Globe” kilka razy dzwonił do emerytowanych facetów z agencji bezpieczeństwa z pytaniami o jakiś program. Wtedy zapaliła się im czerwona lampka.

– Jakie dokumenty?

Gary znowu wzruszył ramionami.

– Dlaczego przesłuchują ludzi z komisji wywiadu?

– Muszą coś zrobić z tym, co dostali na tapetę. Więc przesłuchują każdego.

– Hm. – Willowi zrobiło się nagle zimno.

Jeśli wyjdzie na jaw to, czego się dopuścił, szefowa ucierpi nieodwracalnie. Patrzcie, oto senator, która najpierw wykradła tajne informacje i umieściła je w swoim laptopie, a potem go zgubiła. Zostanie nie tylko oskarżona o niezgodne z prawem obchodzenie się z poufnymi

danymi – a jeśli dotrą do nich Rosjanie lub Chińczycy? – lecz także, co gorsza, narazi się na pośmiewisko. I cała kariera Susan Robbins legnie w gruzach. Tymczasem Willa Abbotta oskarżą o poważne przestępstwo federalne, to znaczy nielegalne przekazanie tajnych dokumentów oraz ich kopiowanie, za co pójdzie, rzecz jasna, do więzienia. Być może na długo. Rujnując tym samym nie tylko własne życie, lecz także swojej rodziny.

Przez krótką chwilę Willem owładnęła potworna panika. A jeśli Gary widział, co Will zrobił? Czy o tym wie? Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Lecz Will odzyskał równowagę równie szybko, jak ją stracił. Gary'ego nie było w pobliżu komputera, z którego Will korzystał w siedzibie SCIF-u. Nie mógł niczego widzieć. A jeżeli coś by wiedział – i gdyby w komputerze zachował się jakiś ślad po kradzieży – z pewnością by go o tym poinformował.

Jedynę, czego wówczas się dopuścił, to skopiowanie dokumentów na pendrive'a i przeniesienie ich potem na laptopa Susan Robbins. Cała operacja trwała dwie minuty, nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Will zdawał sobie sprawę, że ów czyn był niezgodny z zasadami, lecz Susan chciała mieć kopie dokumentów w swoim komputerze, by móc je studiować podczas podróży samolotem do Los Angeles. A on dla tej kobiety zrobiłby wszystko. Susan Robbins odznaczała się większą energią niż jakakolwiek inna znana Abbottowi osoba. Była również bystrzejsza – po prostu szybciej niż inni przetwarzała informacje. Podchodziła do swoich obowiązków poważnie, naprawdę jej zależało. Stanowisko senatora było w życiu tej kobiety czymś najważniejszym, dla niego poświęcała swoje sprawy prywatne. Jako autentyczna patriotka wierzyła w Amerykę i miała poczucie misji.

Skoro Susan Robbins życzyła sobie przeczytać jakieś dokumenty w samolocie do Los Angeles, musiała mieć do tego prawo.

Will złamał zasady, owszem, ale wtedy nie wydawało się to niczym poważnym.

Teraz zdał sobie sprawę, że popełnił największy błąd w swojej karierze.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Gary, miewasz jakieś wiadomości od Arthura Collinsa?

– Artiego? Raz na jakiś czas.

Arthur Collins był kimś w rodzaju prywatnego detektywa, który mieszkał i działał w Wirginii. Kiedyś pełnił funkcję „oficera technicznego” w ramach tajnych operacji CIA, to znaczy wykonywał dla agencji zadania wymagające użycia specjalistycznego sprzętu. Podróżował incognito po całym świecie, włamywał się do domów i biur, kradł dyski i dane komputerowe, kopiował pliki, podkładał pluskwy i oprogramowanie szpiegowskie.

Kilka lat temu Arthur prowadził dla komisji senackiej pewne dochodzenie. Will spotkał się z nim parokrotnie, uznał, że jest niegroźnym pozerem, ale mimo wszystko był pod jego wrażeniem. Plotka głosiła, że Collins nie „został do końca spożytkowany” przez komisję – że stać go było na znacznie więcej niż sprawdzanie prawdziwości danych i przeszłości

niektórych osób.

– Czy nadal pracuje jako...?

– On to określa „prywatny szpieg”. Jako dochodzeniowiec? Owszem, pracuje. Czemu?

Will zastanawiał się przez chwilę.

– Właściwie sam nie wiem.

– Jasne. – Gary uznał, że chodzi o jakieś zadanie zleczone przez Susan, o coś poufnego, i nie drążył tematu. – Podam ci jego adres mejlowy.

Kiedy Will wrócił do swojego gabinetu, lampka automatycznej sekretarki mrugała intensywnie. Odsłuchiwał wiadomości, robiąc notatki na komputerze.

Jedna z wiadomości pochodziła z Biura Ochrony Senatu. Chciano z Willem rozmawiać.

Nazajutrz o ósmej rano Tanner siedział w barze kanapkowym przy Cambridge Street w Bostonie, naprzeciwko ośmiopiętrowego, zakrzywionego budynku, gdzie mieściły się biura delegatury FBI. Lokal należał do tych miejsc, które udają kawiarnię, a jednocześnie oferują długą listę smoothies i kanapek. Obok kasy tkwiło sześć stołków oraz miska z bananami.

– Michael?

Tanner podniósł wzrok. Brent Stover był przystojnym, zdrowo wyglądającym facetem tuż po czterdziestce. Miał niewinną, otwartą twarz ministranta, ufnie oblicze dziecka obudzonego o poranku w Boże Narodzenie. Całości dopełniały niewielkie piwne oczy i siwiejąca, krótko przycięta czupryna. Sprawiał wrażenie byłego wojskowego. I pewnie nim był.

– Cześć, Brent.

Stover wyciągnął rękę i nadzwyczaj mocno uściśnął dłoń Michaela. Miał na sobie źle dopasowany szary garnitur w paski, który marszczył się na linii barków, niebieską koszulę oraz nijaki granatowy krawat.

Tanner pamiętał, że kiedyś dużo rozmawiali o futbolu amerykańskim i że Stover ma czworo dzieci, dwa zestawy bliźniaków. Co miesiąc grywali razem w pokera w Plympton Club, bardzo konserwatywnym klubie stowarzyszenia Boston Brahmin dla przedstawicieli klas wyższych. Brało w tym zwykle udział siedmiu facetów – eklektyczna mieszanka interesujących ludzi. Uprawiali wariant gry, w której to rozdający decydował o rodzaju pokera – były to tak zwane wariacje anakondy. Toczyli bój przez godzinę, potem szli na kolację (z mnóstwem napojów wyskokowych) i znowu grali. Stover nie pił, co powodowało, że po posiłku zarabiał zwykle sporo pieniędzy.

– Jak ci poszło ostatnim razem? – zapytał Michael.

– Nie tak jak tobie. Właściwie trochę straciłem, ale nie za dużo. Potem prawie się odegrałem.

– Marshallowi szczęście dopisywało.

– No, ciągle udawało mu się dobierać piątą kartę do strita. Nie mogę się doczekać, żeby znów usiąść z nim przy stoliku. Kiedyś szczęście przestanie mu sprzyjać.

Przez parę minut rozmawiali o sprawach zawodowych. Stover oświadczył, że pełni teraz w FBI stanowisko kierownicze, co przynajmniej pozwala mu pracować w regularnych godzinach. Codziennie przychodzi do biura o ósmej trzydzieści, wychodzi o osiemnastej,

wsiada do metra i jest w domu akurat wtedy, gdy należy położyć młodsze bliźniaki do łóżka.

– Posłuchaj – rzekł Tanner. – Przytrafiło mi się coś bardzo dziwnego i niepokojącego. Trochę zaczyna mi odbijać. Nie wiem, co robić, ale wiem, że coś muszę zrobić. Wydaje mi się, że najlepiej zwrócić się z tym do FBI.

Stover zmarszczył brwi.

– Mów.

Tanner opowiedział mu całą historię, rzeczowo i beznamiętnie, poczynawszy od zamiany laptopów na lotnisku w Los Angeles przez tajne dokumenty po włamanie do swojego domu oraz (domniemane) zabójstwo Lanny'ego. Mówił, niczego nie tając. Nie stawia mnie to w najlepszym świetle, uzmysłowił sobie. W końcu przetrzymywał u siebie komputer należący do senator Stanów Zjednoczonych i nie chciał go oddać. Oczywiście, nie wspomniał Stoverowi o wytatuowanym facecie, którego przejechał samochodem. Gdyby koniecznie musiał o tym rozmawiać, pewnie by to zrobił, jednak poruszanie tego tematu akurat teraz uznał za niepotrzebne komplikowanie sytuacji.

– O rany – powiedział Stover, gdy Tanner wreszcie skończył. Pokręcił głową. – Masz go przy sobie? To znaczy laptop.

– Jest w sejfie. – Z jakiegoś powodu Tanner nie chciał dodać gdzie. Na podłodze stał jego osobisty komputer przenośny, w czarnej nylonowej torbie. Stover z pewnością go zauważył.

– A masz kopię tych dokumentów? Jakiś pendrive, port USB, cokolwiek?

– Nie.

– Rzuciłeś na nie okiem?

– Widziałem je. I szczerze mówiąc, nie rozumiałem ani słowa z tego, co czytałem. Mnóstwo żargonu, skrótów i akronimów. – Tanner tylko tyle zapamiętał.

Wtedy Brent Stover zerknął na zegarek i poprosił Tannera, aby poszedł z nim do Center Plaza. Musiał jeszcze odbyć poranne zebranie. Przeszli na drugą stronę ulicy i sunęli wzdłuż fasady zakrzywiającego się budynku.

Stojąc przed drzwiami windy, już we wnętrzu gmachu, Stover powiedział:

– No dobra. Popytam tu i tam i dam ci znać. Proszę, to numer mojej komórki. Dzwoń, gdyby sytuacja się komplikowała.

– Okej.

– Zwracając się do mnie, zrobiłeś to, co należy. I... Michael...

– Ta?

– Dziękuję.

Po odejściu Brenta Stovera Tanner spojrzął na swój telefon i stwierdził, że ma dwa nieodebrane połączenia. Jedno od Karen Wynant, drugie od Lucy Turton, kierowniczkii administracyjnej. Wiedział, że Karen będzie go zadręczać kolejną niezrealizowaną umową, ale chwilowo nie miał ochoty się tym zajmować. Już zamierzał odsłuchać wiadomość głosową pozostawioną przez Lucy, gdy ta nagle zadzwoniła ponownie. Tanner odebrał.

I tak był spóźniony do pracy, a Lucy opóźniała go jeszcze bardziej, dyskutując o kwestiach administracyjnych, głównie płacowych. Gdy wreszcie skończyli, Tanner powiedział:

– Przez następnych kilka dni rzadko będę w biurze. Mam prywatne sprawy do załatwienia.

– Taak?

– Same nudziarstwa, nic ważnego. Problemy rodzinne, nazwijmy to. Firma świetnie poradzi sobie beze mnie. Posprawdzam tylko mejle i tak dalej. Wszyscy wiedzą, jak mnie złapać w razie czego.

– Wyjeżdżasz z miasta?

– Niewykluczone.

Tanner wyszedł z kawiarni i stanął, zwracając twarz ku One Center Plaza. Musiał znaleźć jakieś miejsce z mocnym sygnałem Wi-Fi. Inne niż to, w którym przed chwilą spotkał się z agentem FBI. Nagle przypomniał sobie o sympatycznej kafejce w hotelu Godfrey przy Washington Street, kilka przecznic dalej. Był tam już wcześniej, chcąc przyjrzeć się konkurencji. Lokal robił imponujące wrażenie.

W kafejce siedziało niewiele osób. Tanner znalazł stolik w niszy na tyłach rozległej sali konsumpcyjnej i położył przy nim laptopa w czarnej torbie na ramię. Przechodząc, zamówił dużą czarną.

Gdy wrócił do stolika, rozłożył na nim urządzenie, a następnie wyjął pendrive'a, na którym miał kopie tajnych dokumentów. Potem przeniósł ogromny, wielogigabajtowy plik na twardy dysk laptopa.

I otworzył górny folder.

Już wcześniej przeglądał go, nic nie rozumiejąc. Znaczenie dokumentów zdawało się nieprzeniknione, pełne akronimów, skrótów i żargonowych wyrażeń; zapisano je w języku, którego Tanner nie potrafił pojąć.

ŚCIŚLE TAJNE //COMINT //NOFORN, ŚCIŚLE TAJNE //SI //REL USA, FVEY oraz TS//SI//NF. Do tego zwroty typu „przepływ danych”, „naruszenie protokołu” i CHRYSALIS.

Tanner zaczął wpisywać hasła w pustym pasku przeglądarki, lecz nagle przerwał i wykasował wszystkie wyrazy. Lanny ostrzegął, że Google umożliwia władzom dostęp do wyszukiwanych fraz, a on wolał tego uniknąć. Dziennikarz zdążył jeszcze polecić Tannerowi wyszukiwarkę internetową, o której biznesmen nigdy wcześniej nie słyszał. Nazywała się DuckDuckGo i reklamowała się jako „narzędzie, które nie pozwala nikogo wysledzić”. Otworzył więc DuckDuckGo.com i wpisał pierwszą frazę. Czynność tę powtórzył, postępując powoli i ostrożnie ze wszystkimi mętными wyrażeniami, które znalazł w dokumencie, z każdym dziwnym ciągiem żargonowych określeń – i nagle coś zaczęło mu niewyraźnie świtać. Jakby zobaczył gdzieś w oddali sylwetkę zamczyska, rozmytą i zamgloną. Widział jego kontury, niektóre wieżyczki, blanki, a być może nawet fosę.

Wszystko sprowadzało się do zbioru elektronicznych komunikatów i zdalnego dostępu; Tanner nie był do końca pewny, z czym ma do czynienia. Pamiętał, że kilka lat temu widział w prasie wielkie nagłówki informujące, iż rząd amerykański nie tylko może monitorować mejle i esemesy obywateli, ale po prostu to robi. Nie wiedzieć czemu, rewelacje te nie zszokowały wówczas Tannera, jedynie nieco wystraszyły. Czyżby świat opisywany przez George’a Orwella w książce *Rok 1984* stawał się rzeczywistością? Lecz niedługo potem sprawa przycichła i nikt już więcej o niej nie wspominał, nie licząc paru czasopism, których Tanner nie czytywał, oraz stron internetowych, których nie oglądał.

Nagle kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się; do kawiarni wszedł mężczyzna, minął kontuar i wolno kroczył między stolikami, wyraźnie kogoś szukając. Miał około trzydziestu pięciu lat, okrągłą jak piłka głowę, był wysoki i ubrany w tradycyjny garnitur. Spojrzał w prawo, lustrując tę część lokalu, gdzie siedział Tanner – jego oczy omiatały stoły oraz nielicznych klientów, aż wreszcie spoczęły na biznesmenie. Przez ułamek sekundy mierzyli się wzrokiem, potem facet szybko spojrzał w bok.

Coś w tym odwróconym wejrzeniu zaalarmowało Tannera. Jakby tamten celowo ustąpił, nie chcąc skupiać na sobie uwagi. Jakby namierzywszy cel, wolał się z tym nie zdradzać.

Okrągłogłowy rozglądał się jeszcze chwilę po sali, a potem odwrócił się i pchnąwszy oszklone drzwi, wyszedł. Zaraz jednak stanął. Po chwili dołączył doń inny mężczyzna, z krótkimi włosami, także w garniturze. Obaj wyglądali na agentów Secret Service: sprawni, pewni siebie, typowi. Niewykluczone, że byli tylko parą biznesmenów spotykających się w kawiarni, inwestorem i jego klientem. Albo dyrektorami w firmie John Hancock. Zamieniwszy parę słów, wkroczyli do lokalu, jeden za drugim.

Zmierzali prosto w stronę Tannera, który jednak nie zamierzał czekać, by się dowiedzieć, czy rzeczywiście chodzi o niego i z jakiego powodu.

Wstał, nerwowo chwycił komputer, wcisnął do torby i prędko rozejrzał się dookoła.

Kawiarnia zajmowała tylną część holu Godfrey'a. Przejściem służbowym można się było stąd dostać do hotelu. Jedyne oznaczone wyjście ewakuacyjne prowadziło przez oszklone frontowe drzwi. Michael pamiętał jednak – chociaż był w tym miejscu tylko raz, zarejestrował ogólny rozkład pomieszczeń – że jest tu jeszcze korytarz kuchenny, prowadzący do innego ciągu komunikacyjnego, już w samym hotelu.

Tanner wsunął się za długi kontuar, potem gwałtownie skręcił w lewo do kuchni, gdzie nieomal zderzył się z jakimś facetem niosącym wysoki termos bufetowy z metalu. Czy tamci dwaj – ci, którzy go ścigali – zauważyli, jak znika w kuchni? Przypuszczał, że nie, ale na wszelki wypadek sunął dalej. Przez tylne drzwi kuchni wkroczył do hotelu, potem meandrował przez hol, aż wreszcie znalazł wyjście awaryjne. DRZWI POŁĄCZONE Z SYSTEMEM ALARMOWYM, ostrzegał znak.

Tanner wiedział, że w rzeczywistości dość rzadko jest to prawda.

Nacisnął długą listwę blokującą i skrzydło otworzyło się wprost na ulicę oraz sporych rozmiarów kontener na śmieci. I już Michaela nie było.

Alarm milczał.

– *Panie Abbott, proszę.*

Will siedział w poczekalni Biura Ochrony Senatu na twardej, taniej podróbce zabytkowego krzesła. Podniósł wzrok na młodą kobietę, która otworzyła ciężkie drewniane drzwi. Stażystka była ładna, ostrzyżona raczej po męsku, w supermasywnych bibliotekarskich okularach – należała do gatunku dziewcząt, które ubierają się jakby przeciwko własnej urodzie.

Panie Abbott, proszę.

Znów to ściskanie w żołądku, które Will pamiętał z czasów, kiedy miał czternaście lat. Trwała właśnie lekcja wiedzy o społeczeństwie. Drzwi się otworzyły i pani Knorr, sekretarka dyrektora, rzuciła: „Panie Abbott, proszę”.

Nutka w jej głosie nie pozostawiała wątpliwości, że sprawy mają się źle. Co gorsza, pani Knorr rzuciła wychodzącemu z klasy Willowi współczujące spojrzenie, wzbudzając tym w duszy chłopca autentyczną trwogę.

Zaprowadziła ucznia do sekretariatu, zwracając się doń „mój drogi”, z tym swoim egzotycznym nowojorskim akcentem, który sprawiało, że słyszało się „mój drugi”.

Nigdy dotąd Will nie miał do czynienia z doktorem Hookstrą, dyrektorem szkoły, postacią legendarną oraz budzącą powszechny lęk u uczniów gimnazjum Millwood, człowiekiem wysokim i gniewnym. Znał tylko jego głos dobiegający z urzędzeń nagłaśniających. Doktor Hookstra podał chłopcu suchą, jakby papierową dłoń, a następnie omiół go litościwym spojrzeniem. Oczy Willa wypełniły się łzami, zrozumiał bowiem, że wiadomości są naprawdę złe i prawdopodobnie dotyczą jego młodszego brata Claya, a być może nawet – Boże uchroni – rodziców.

Doktor Hookstra przemawiał łagodnie. To zaskoczyło młodego Willa, który nie mógł się nadziwić, że głos dyrektora może się aż tak różnić od tego tubalnego basu ze szkolnego radiowęzła.

– Muszę cię z przykrością poinformować, Will, że twój ojciec zmarł.

– Co? – zapytał głupio Will, jakby nie rozumiał znaczenia tych słów. Dlaczego to akurat dyrektor go o tym informuje?

– Niedługo przyjedzie po ciebie mama. Masz wolne na resztę dnia, a potem tak długo, jak będziesz potrzebował. Jesteś teraz głową rodziny, Will. Na twoich barkach spoczywa duża odpowiedzialność.

Will wciąż pamiętał zapach wody po goleniu marki Aqua Velva, jakiej używał doktor Hookstra. Potem już zawsze kojarzył mu się ze śmiercią.

Pomyślał o tych wszystkich przywódcach politycznych, najlepszych i najświetlejszych, którzy w młodym wieku stracili któregoś z rodziców, zazwyczaj ojca. Na przykład tata Baracka Obamy odszedł, kiedy ten miał zaledwie dwa lata. Ojciec sędzi Sądu Najwyższego Sonii Sotomayor zmarł, gdy jego córka skończyła lat dziewięć. Alexander Hamilton został sierotą jako trzynastolatek. A tata Billa Clintona został zabity przed narodzeniem się chłopca. Strata lub nieobecność ojca stanowi silny bodziec do walki i pogoni za sukcesem, jest przyczyną nadmiernego pragnienia wielkich osiągnięć, realizowania rzeczy wzniosłych. Człowiek zostaje wprawdzie sierotą, ale sierotą wybitnym.

Na chwilę myśli Willa powróciły do Gary'ego Sapolsky'ego: ten facet był dobrym ojcem, kimś, kto przedłożył tę rolę ponad rolę superszpiega w strukturach CIA. Konstatacja ta przywołała z kolei postać małego Travisa i pytanie: Jakim rodzicem okaże się Will? Czy w ogóle się do tego nadaje? Z pewnością maluch był w stanie rozkochać w sobie ojca i tą miłością go zniewolić. Tylko że pewnego dnia Travis zmieni się w opryskliwego nastolatka, z niechęcią tolerującego obecność Abbotta seniora, a potem w człowieka dorosłego, który nie znajdzie czasu na krótki telefon czy zwykłe odwiedziny. Will miał wątpliwości, czy sobie z tym poradzi. Gdyby ktoś postawił go przed wyborem: wolisz zostać szefem personelu w Białym Domu czy najlepszym tatą na świecie, Abbott bez wahania zdecydowałby się na to pierwsze.

Jednak nie mógł nikomu o tym powiedzieć. Zdawał sobie również sprawę, że to, co za chwilę stanie się w tym pomieszczeniu, określi, czy w ogóle będzie miał jeszcze jakiś wybór. Wszedł za stażystką do niewielkiej sali, w której po jednej stronie mahoniowego stołu konferencyjnego siedziało obok siebie dwóch mężczyzn w średnim wieku i młoda kobieta. Podłogę pokrywał orientalny dywan, na ścianach wisiały obrazy o tematyce marynistycznej. Przedstawiały morskie okręty, wszystkie – co Willowi rzuciło się w oczy – sportretowane podczas sztormu. Przemknęło mu przez myśl, czy ten dobór nie był celowy.

– Panie Abbott – powiedziała kobieta. Była mniej więcej w wieku Willa (czyli jego zdaniem wciąż młoda), postawna, barczysta, o jasnobrązowych włosach luźno splecionych na karku w skomplikowaną aranżację.

– Proszę mi mówić Will.

– Dobrze, Will. Jestem Nicole Erdman z Biura Ochrony Senatu, a to John Hathaway z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. – Ciekawe, pomyślał Will, że uznała za stosowne wymówić całe nazwy tych instytucji, zamiast trzyliterowych akronimów. Jakby nikt z nich nie miał pojęcia, co oznaczają. – Musisz wiedzieć, że ta rozmowa jest rejestrowana.

Na stole nie widać była magnetofonu ani żadnego iPhone'a. Oczywiście nie był im potrzebny. Cały pokój musiał być na podsłuchu.

– Dlaczego zostałem wezwany? – spytał Will. Spojrzał na kobietę, a potem na faceta

z NSA, dziwnego mężczyznę o bladej, piegowatej skórze, piwnych oczach, krótkich czarnych włosach i przesadnie wielkich uszach. Mężczyzna odpowiedział mu tak samo, wyzywająco, i Will musiał spuścić wzrok.

– Panie Abbott, mamy podstawy sądzić, że pewne tajne informacje, według klasyfikacji NSA absolutnie ściśle tajne, zostały wykradzione lub wykorzystane w niewłaściwy sposób. Prowadzone śledztwo ma na celu ustalenie źródła przecieku...

– Okej, ale dlaczego...

– Mamy powody przypuszczać, że do naruszenia prawa doszło w samym Senacie, hm, a nawet w biurach komisji do spraw wywiadu, mniej więcej tydzień temu – ciągnął John spokojnym barytonem. – W siedzibie SCIF-u. – Przemawiał jak księgowy objaśniający roztargnionemu klientowi skomplikowane przepisy podatkowe.

Will poczuł falę kwasu żołądkowego podchodzącą do gardła. Miał ochotę spytać, po co mu to wszystko mówią. Pomyślał: Boże, w SCIF-ie są kamery! Tam musi być ukryta telewizja w obiegu zamkniętym. A jeśli nagrali to, co zrobiłem?

Lecz zamiast poddać się panice, przechylił głowę na bok i pytająco uniósł jedną brew.

– Naprawdę? Mój Boże...

– Jak z pewnością wiesz, zgodnie z Regulaminem Komisji do spraw Wywiadu Senatu USA kopiowanie, tworzenie duplikatów albo wynoszenie z pomieszczeń komisji tajnych materiałów jest zabronione... – odezwała się Nicole.

– ...z wyjątkiem przypadków, gdy są one niezbędne do wykonywania przez komisję jej czynności – dokończył Will. – Tak, znam te zasady. O co chcecie zapytać? Czy je złamałem? Odpowiedź brzmi: nie.

Nicole zaczerwieniła się i wpatrzona w leżącą przed nią na stole kartkę papieru zapytała:

– Czy w zeszłym tygodniu wносиłeś tutaj jakiegokolwiek urządzenie elektroniczne?

– To znaczy telefon, na przykład?

– Tak.

– Nie, nie wносиłem.

– Hm, zapis danych na nośniki w rodzaju USB albo DVD/CD jest również zabroniony bez pozwolenia...

– Już powiedziałem, że nie złamałem żadnych zasad. Czy to nie jest dostatecznie jasne?

John Hathaway odezwał się donośnym, stanowczym głosem:

– Czy kopiował pan jakiegokolwiek dane na napęd USB, pendrive, kartę pamięci, dysk przenośny albo inne nośniki?

– Nie.

– Cóż, ktoś to jednak zrobił w minioną środę. Krąg podejrzanych ogranicza się do personelu SSCI, senatorów wchodzących w skład komisji, a także wszystkich ich pracowników kadrowych mających tu dostęp.

Will odniósł wrażenie, że jeden z płatów jego mózgu doznał olśnienia. I zdał sobie

sprawę, że oni nie wiedzą, kto to zrobił!

Zorientowali się, że ktoś podłączył pendrive'a i skopiował dane. Sieć komputerowa musiała być wyposażona w jakiś czujnik wykrywający intruza. Abbott powinien był o tym pomyśleć wcześniej, a wówczas nigdy nie podjąłby takiego ryzyka. Ale to oznaczało, że w pomieszczeniu z komputerami nie było ukrytych kamer bezpieczeństwa.

Ludzie z ochrony Senatu ustalili zatem, że ściśle tajne dokumenty zostały skopiowane. Ilu mieli podejrzanych? Trzynastu senatorów plus ci członkowie ich personelu, którym udzielono certyfikatów bezpieczeństwa, a także stała kadra SSCI. Will obliczał szybko w głowie. Łącznie siedemdziesiąt sześć osób.

Jednak przesłuchujący nie wiedzieli, że to był on.

– Zaraz, zaraz – powiedział Will, unosząc rękę. – Czy to ma znaczyć, że doszło do kolejnego przecieku w NSA?

John zerknął ukradkiem na Nicole.

– Który to już z kolei od czasu Snowdena?

– Hm... – mruknął Hathaway.

Ale Will nie czekał na jego odpowiedź.

– Ludzie, co się z wami dzieje, do cholery? Następną wtopą NSA? Boże, cieknie z was jak, powiedzmy, z wirówki do sałaty. – Zastanawiał się, czy nie dodać czegoś na temat pieluszek marki Huggies (te to dopiero przeciekają), doszedł jednak do wniosku, że nie wszyscy mają w domu niemowlę. – Kurczę, nie ulega wątpliwości, że jesteście znacznie lepsi w gromadzeniu tajemnic niż w ich zachowywaniu. I nawet nie mam tu na myśli jedenastego września. – Will zdawał sobie sprawę, że to na NSA spadła największa wina za niepowstrzymanie terrorystów, którzy dokonali zamachu w 2001 roku i że dla tej agencji było to coś więcej niż tylko bolesne wspomnienie. – Jak świetnie wiecie, to moja szefowa ma w swojej gestii środki na finansowanie waszej działalności. To ona decyduje o budżetach wszystkich wywiadów, każdego programu. Tak albo nie. Może dać forszę i może ją odebrać. Dlatego bardzo chciałbym wiedzieć, czy mamy się obawiać tego nowego przecieku?

– Absolutnie nie, proszę pana. Nie ma najmniejszego powodu do obaw. Nie będziemy już zajmować pańskiego czasu.

Tanner jechał do swojej firmy nową, okrężną trasą, po drodze wykonując kilka dodatkowych zakrętów. Tak na wszelki wypadek, gdyby go śledzono. Aczkolwiek był niemal pewien – o ile to możliwe w takich okolicznościach – że ogona nie miał.

Po południu, pięć godzin po spotkaniu z Brentem Stoverem, lęk wziął górę i Michael wybrał służbowy numer stacjonarny agenta. Próba zadzwonienia na jego komórkę wydawała się zbyt zbytnią natarczywością. Słuchawkę podniosła kobieta o imieniu Linda, zapewne asystentka Stovera albo całej grupy oficerów FBI. Poinformowała Tannera, że Brenta nie ma w biurze, ale chętnie zapisze wiadomość. Dwie godziny później Michael spróbował złapać Stovera przez telefon komórkowy. Poczta głosowa poprosiła o nagranie wiadomości, co Michael uczynił.

O dziewiętnastej zrobił to jeszcze raz.

Nazajutrz rano Michael wstał bardzo wcześnie. Sprawdzając pocztę elektroniczną, po raz pierwszy pomyślał, czy nie zainstalowano mu jakiegoś oprogramowania szpiegowskiego, śledzącego połączenia internetowe. Nie miał pojęcia, czy coś takiego było w ogóle możliwe.

Postanowił, że od razu pojedzie do pracy. Sal, główny technolog, pewnie był już na posterunku – lubił przesiadywać w robocie – a być może nawet otworzył firmę, co zdarzało się jednak rzadko.

O siódmej trzydzieści, zanim Michael wszedł do samochodu, ponownie zadzwonił na komórkę Brenta Stovera. Trzeci raz. Poczta głosowa. Pomyślał, czy to możliwe, że Stover jest aż tak zajęty, by mógł nie zareagować? Jeśli tak, to pozostawianie mu kolejnej wiadomości byłoby fatalne. Michael rozłączył się przed sygnałem nagrywania. Potem znów zatelefonował na numer służbowy Brenta i usłyszał gotowe powitanie z sekretarki automatycznej. Było zbyt wcześnie, kolejny dzień w biurze jeszcze się nie rozpoczął. Wiadomości nie zostawił.

Ciekawe, czy Stover unika mnie z jakiegoś konkretnego powodu, zastanawiał się Tanner. Może ma mnóstwo bieżącej pracy: śledztw, spotkań i papierkowej roboty, co nie pozwala mu dowiedzieć się czegoś w sprawie tajnych dokumentów, o których mu opowiedział.

Oczywiście... Jednak Stover sprawiał wrażenie poruszonego usłyszczanymi rewelacjami. I autentycznie zainteresowanego, z pewnością nie udawał. Mało prawdopodobne, by po powrocie do pracy od razu o wszystkim zapomniał.

Musiał istnieć ważny powód, dla którego agent unikał kontaktu z Tannerem.

O ósmej trzydzieści Michael zadzwonił na telefon stacjonarny w delegaturze FBI. Odebrała Linda.

– Tak, panie Tanner, dzień dobry. Jest na zebraniu, ale mogę zapisać wiadomość.

Michael zostawił ponaglenie dla Stovera, podkreślając, że sprawa jest ważna.

– Ile czasu potrwa to zebranie? – zapytał.

– Zwykle nie trwają dłużej niż godzinę. Maksymalnie czterdzieści pięć minut.

– Okej. No cóż, on wie, o co mi chodzi, ale proszę mu powiedzieć, że chcę jak najszybciej porozmawiać.

– Naturalnie – odrzekła Linda uprzejmie.

Cała procedura powtórzyła się o dziesiątej trzydzieści.

– Jaka jest najlepsza pora, żeby skontaktować się z agentem Stoverem? Nie chcę mu ciągle zawracać głowy.

– Przekazałam mu wszystkie wiadomości, proszę pana – oznajmiła rozdrażniona Linda.

– Dziękuję. Ale rzecz jest naprawdę pilna.

– Rozumiem. Agent Stover to bardzo zajęty człowiek.

– Czy w ogóle istnieje dogodny moment, by z nim porozmawiać? Jak pani sądzi?

– Przykro mi, sir, ale jedyne, co mogę zrobić, to przekazać agentowi wiadomość od pana.

– Czyli on wie, że dzwoniłem.

– Nie wiem, czy widział te wiadomości, sir. Jednak przekażę, że dzwonił pan ponownie.

Tanner też miał spotkanie – musiał porozmawiać z Karen. Pod koniec rozmowy zapytał, czy mogłaby pożyczyć mu swoją komórkę. Kobieta wyglądała na zaskoczoną – przecież widziała leżący na blacie biurka telefon szefa – ale się zgodziła.

Odblokowała aparat i mu go podała. Gdy tylko Karen wyszła z gabinetu, Tanner wybrał numer komórki Brenta Stovera.

Odebrał od razu.

– Tak?

– Brent, tu Michael Tanner. Przepraszam, że tak cię ścigam.

– No tak, hm, Michael, obawiam się, że nie mogę ci pomóc. Jestem okropnie zajęty, naprawdę. Przepraszam i powodzenia.

Nastąpiło kliknięcie. Stover się rozłączył.

Tanner siedział zdumiony. Agent FBI go unikał, to było oczywiste. Ale dlaczego?

Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

Co to znaczyło?

Tanner zapamiętał, że Brent Stover wychodzi z pracy o osiemnastej.

Kwadrans przed osiemną Tanner stał przed szklanymi drzwiami niewielkiego holu,

w pobliżu wind w One Center Plaza. Z wnętrza wylewała się nieprzerwana fala ludzi złożona głównie z pracowników rządowych, którzy kończyli dzień pracy. Niektórzy sprawiali wrażenie zajechnych i nieszczęśliwych, inni pełnych swady, a nawet rozkrzyczanych.

Pięć po osiemnastej z zatłoczonej windy wyłonił się Brent Stover.

To chyba nazywa się stalking, pomyślał Tanner. Tylko że w tym przypadku stalking uzasadniony.

Odczekał, aż Stover przejdzie przez szklane drzwi. Widząc, że agent z nikim nie rozmawia, podszedł do niego.

Na widok dawnego znajomego na twarzy Brenta odmalowało się przerażenie. Nieznacznie pokręcił głową.

Kiedy Tanner stanął tuż obok agenta, ten powiedział cicho:

– Nie tutaj. – Jego oczy wystrzeliły do góry i w prawo. Tanner zobaczył kamerę monitoringu zamontowaną wysoko na fasadzie budynku i skrzyknęło go w żołądku.

Stover ruszył, a biznesmen za nim, trzymając się w pewnej odległości.

Agent przeszedł na drugą stronę ulicy, w kierunku lokalu z kanapkami, gdzie obaj spotkali się dzień wcześniej. Tanner odczekał kilka sekund, a potem zrobił to samo. Stover pozostawał w zasięgu jego wzroku: minął Starbucksa i kroczył dalej. Jakby prowadził Tannera. Z pewnością nie próbował go zgubić.

Brent skręcił za najbliższy róg, a potem w głąb jakiejś uliczki. Zatrzymał się obok kontenera na śmieci. Gdy tylko Tanner się z nim zrównał, agent odezwał się przyciszonym głosem.

– Wyświadczyć mi przysługę, Tanner, i wyłącz swoją komórkę.

– Co tu się dzieje, u diabła?

– Powiem ci, co się dzieje. Mam żonę i czworo dzieci, całkowicie zależnych od mojej wypłaty. Chcę dostać emeryturę. Normalnie pracować. Mam swoje życie. A właśnie mnie zablokowali.

– Kto cię zablo...

– Nie wolno mi tego tykać. Proszę cię, zapomnij o moim istnieniu i nigdy więcej nie dzwoń.

– Czy zechciałbyś mi wytłumaczyć, co...

– Nie wiem, co zrobiłeś, ale proszę, żebyś trzymał się ode mnie z daleka. Ta rozmowa nigdy się nie odbyła. I nie kontaktuj się ze mną więcej. Proszę.

Widok takiego człowieka jak Brent Stover, zwykle opanowanego, który wyraźnie się czegoś boi, mógł każdego wytrącić z równowagi.

Ta rozmowa nigdy się nie odbyła. I nie kontaktuj się ze mną więcej. Proszę.

Co takiego, do jasnej cholery, odkrył ten agent FBI? Co mu powiedziano?

I dlaczego kazał mu wyłączyć komórkę? Michael zastanawiał się, czy to prawda, że człowieka można namierzyć za pośrednictwem jego telefonu komórkowego. Słyszał kiedyś o tym, ale nigdy się tym specjalnie nie interesował.

Jednak na wszelki wypadek telefonu nie wyłączył.

Po drodze wstąpił do sklepu spożywczego, gdzie kupił trzy aparaty na przedpłaconą kartę. Musiał być w zasięgu, pozostawać w kontakcie ze swoją firmą, choć nie mógł już sobie pozwolić na korzystanie z iPhone'a. Zachowując pełną czujność, wrócił do domu Carla w Newton, zaparkował w dalszej części ulicy, za rogiem, resztę dystansu pokonując pieszo. Czy go śledzono? Tanner nie odnosił takiego wrażenia. A przynajmniej niczego nie zauważył.

Otworzył kluczem frontowe drzwi i poczuł zapach domu. Każde mieszkanie pachnie inaczej. U Carla unosiła się lekka woń pleśni zmieszana z naftaliną, odorem starych worków do odkurzacza i zapachem kawy. Tanner był niczym pies myśliwski, wysoko wyspecjalizowany w tropieniu określonych woni, a raczej jak świnia szukająca nosem trufl: kawę potrafił wyczuć wszędzie.

Carla nie było w domu – Tanner zawołał go głośno – włączył więc światło w salonie i za pomocą nożyczek rozpakował jedną z komórek jednorazowego użytku, choć poręczniejsza do tego byłaby chyba piłka do metalu. Bateria telefonu okazała się naładowana w minimalnym stopniu, jednak wystarczającym, aby zadzwonić do Lucy Turton, kierowniczką administracyjną Tanner Roast. Rozmawiając, podłączył telefon do ładowarki, a potem rozpakował dwa pozostałe aparaty i również podłączył do prądu, korzystając z gniazdka w kuchni.

– Nie będzie mnie w biurze jeszcze przez parę dni – oznajmił Tanner.

– Okej... – Odniósł wrażenie, że Lucy chciała o coś zapytać, ale to nie byłoby w jej stylu.

– I chwilowo mam nowy numer telefonu. Mój iPhone zdechł.

– Widzę ten numer... Dobrze. Wiesz co, wpadło tu jakichś dwóch facetów. Szukali cię.

– Kiedy?

– Ze dwie godziny temu. Groźni goście. Powiedzieli, że są z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Czego chcieli?

– Mnie o tym nie mówili. Zależało im na rozmowie tylko z tobą. Stwierdzili, że wrócą.

– Dzięki. – Tanner zakończył połączenie. Zapewne w domu też próbowali go szukać. A ustalenie nazwisk jego przyjaciół i pracowników nie zajmie im wiele czasu, wkrótce przyjadą także tutaj, do domu Carla.

Co oznaczało, że Tanner musi się jak najszybciej wynieść.

Nie mógł się jednak oprzeć refleksji: I to wszystko przez ten pieprzony senatorski laptop? Może lepiej go oddać? Co by się stało, gdyby go po prostu odniósł do biura pani senator? Gdyby zadzwonił do tego gościa, Willa Abbotta, i powiedział mu: Wiesz co, miałeś rację, mam tego kompa. Proszę bardzo, oto on. Zakończymy całą sprawę.

Lanny podkreślał, że laptop stanowi polisę ubezpieczeniową Tannera i jeśli go zwróci, będzie po nim. Zginie, ponieważ prawdziwym źródłem problemu była zawartość komputera: ściśle tajne dokumenty. Lanny miał je skopiowane na pendrivie, a jednak dopuścił, by się o tym dowiedziano, i został zabity. Zanim zdążył całą tę historię upublicznić. A może zamordowano go tylko dlatego, że wiedział o dokumentach – aby uniemożliwić ukazanie się artykułu w prasie?

Tymczasem Michael wciąż żył. I było tak chyba tylko dlatego, że ktoś koniecznie chciał odzyskać komputer. Ale gdy to się stanie, Michael również zostanie zabity. To pewne.

A zatem nie. Laptop musi pozostać w ukryciu jako swego rodzaju zakładnik.

Z nagłym przerażeniem Tanner uświadomił sobie, że być może sytuacja się zmieniła. Może wcale nie była już tak nieskomplikowana. A ukrywanie komputera nie oznaczało automatycznie, że jest bezpieczny.

Bądź co bądź zabił człowieka i tym samym wszedł do innej kategorii zagrożenia, teraz nosił na sobie piętno. Tamci zapewne wiedzieli, że to Michael jest odpowiedzialny za śmierć wytatuowanego faceta. Ktokolwiek wysłał go za nim, musiał się dobrze orientować w sytuacji, doskonale zdawać sobie sprawę, kto jest sprawcą. W końcu do zdarzenia doszło zaledwie dwie ulice od biura i pralni Tanner Roast.

Michael usłyszał odgłos przekręcanego w zamku klucza i zamarł w bezruchu. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś broni, czegoś, co mógłby użyć w razie konieczności. Lampa? Nagle jego wzrok padł na kominek i leżące obok metalowe narzędzia, w tym pogrzebacz. *Nada się znakomicie.* Tanner zrobił kilka kroków w kierunku przedpokoju i uniósł pogrzebacz, gotowy do ciosu, gdyby...

– O rany, stary – zdziwił się Carl.

– Przepraszam. – Michael opuścił rękę z żelaznym prętem, drżała.

Gospodarz miał marsową minę.

– Stało się coś?

Tanner pokręcił głową.

– Ktoś próbował tu wejść? – Carl stał jakieś siedem metrów od Michaela, który poczuł jednak przykry zapach jego potu. Carl musiał wracać prosto z całodziennych zajęć, nie zdążył wziąć prysznicza.

– Nie. Ale to tylko kwestia czasu. Już szukali mnie w pracy. W domu na pewno też. Muszę się wynosić.

– Kto cię szukał?

– Nie mam pojęcia. Przedstawili się jako ludzie z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Chociaż wątpię.

Carl zmarszczył brwi.

– Może to FBI?

– Nie sądzę.

– CIA? Inna agencja na trzy litery?

Tanner wzruszył ramionami.

– Dokąd zamierzasz się wyprowadzić? Daj spokój, stary, martwię się o ciebie.

– Nie wiem, ale mam pewien pomysł. Muszę zobaczyć się z żoną.

– Możemy pogadać? – zapytał Michael.

– O ho ho. Teraz twoja kolej? – odparła Sarah.

– To naprawdę ważne.

Ton jej głosu uległ nagłej zmianie.

– Co się stało?

– Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. – Być może przesadzał, ale założył, że poszukujący go ludzie nie tylko są w stanie podsłuchiwać telefon komórkowy Sarah Tanner, lecz że rzeczywiście to robią. A ryzykować nie chciał.

Umówili się na Huron Avenue w Cambridge, przed siedzibą firmy handlującej nieruchomościami, w której pracowała Sarah. Było zimno i wietrznie, jesienne powietrze zdawało się ostre, najwyraźniej zbliżała się bostońska zima. Michael zobaczył żonę z daleka, oświetloną przez uliczną latarnię. Sprawiała wrażenie kruchej i bezbronnej.

– Tanner, o co chodzi? – Sarah miała na sobie jedną z biznesowych garsonek składającą się z grubego zielonego żakietu i dopasowanej do niego spódnicy. Niewątpliwie wracała prosto z prezentacji jakiegoś domu. Była bez płaszcza. Wiatr tarł jej włosy.

Stanął, krzyżując ramiona. Tanner dał jej szybkiego całusa.

– Nie jest ci zimno?

– No, zamrzam. – Zdjął kurtkę i podał ją żonie. Sarah z wdzięcznością zarzuciła ją na siebie. Michael rozejrzał się dookoła i po drugiej stronie ulicy zauważył pizzerię.

– Dobry pomysł – zgodziła się, idąc za jego wzrokiem.

Znaleźli wolny stolik.

– Dlaczego nie mogłeś rozmawiać przez telefon?

– To długa historia.

– Mów. Wszystko... w porządku? – W opiekuńczym odruchu Sarah nakryła ręce Tannera swoimi dłońmi. – Wyglądasz na totalnie zestresowanego. – Poczul wzruszenie z powodu tego gestu, przebłysku dawnej Sarah, tej sprzed separacji.

– Tak, można tak powiedzieć.

Ze strachem w głosie spytała ponownie:

– O co chodzi?

Kiedy Michael skończył opowiadać, jego żona sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

– Oddaj im ten pieprzony komputer.

– To mój jedyny atut.

– Ale nie pożyczysz na tyle długo, by go wykorzystać, Tanner! – wyszeptała.

– Myślę, że już za późno, aby go tak po prostu oddać. Gdyby było pewne, że wtedy nie stracę życia, zrobiłbym to.

– W takim razie musisz iść do mediów. Tak jak ci mówił Lanny: oni są w stanie zdmuchnąć świeczkę, ale nie ugasić pożar. Jeśli na przykład „New York Times” zgodzi się opublikować tę historię, będziesz bezpieczny. Dowie się o niej cały świat, nie tylko ty. Oni tracą motyw, żeby... no wiesz, żeby coś ci zrobić.

– No tak, ale nie znam nikogo w „New York Timesie”.

– To może „Globe”? Pamiętasz ten fajny artykuł, który zamieścili o Tanner Roast, kiedy dopiero zaczynaliśmy?

– Naczelnny Lanny’ego! – zawołał nagle Michael.

– Znasz go?

– Nie, ale chyba łatwo do niego dotrę. Wystarczy zadzwonić. To człowiek, z którym powinienem porozmawiać.

– Będą chcieli zobaczyć te dokumenty. Masz ich kopię?

– Zapisałem ją na pendrivie. A także wrzuciłem na chmurę, cokolwiek to znaczy.

– Świetnie. Kiedy dziennikarze zobaczą dokumenty, od razu się zorientują, że sprawa jest poważna. Powiążą jedno z drugim. Będzie sensacja.

– Kto wie, czy to nie jedyny sposób – mruknął Tanner, bardziej do siebie niż do Sarah.

– Mówiłeś, że masz do mnie prośbę.

– Tak. Dwie. Obie wielkie.

– Co tylko zechcesz.

– Pożyczysz mi swój samochód?

Wzruszyła ramionami.

– Jasne. A ta druga prośba?

Tanner powiedział.

Sarah zagryzła dolną wargę.

- Mogę się wpakować w poważne tarapaty.
Solennie pokiwał głową.
- Nie ma mowy. Będę ostrożny.

Michael wrócił do domu Carla. Kolega oglądał mecz futbolowy. Grała drużyna Patriots. Tanner poprosił go o możliwość skorzystania z komputera stacjonarnego, który znajdował się w niewielkiej wnęcie kuchennej. Przysunął sobie krzesło i wszedł do sieci, gdzie znalazł listę z numerami telefonów wszystkich działów gazety „Boston Globe”. Po krótkim szperaniu na stronie ustalił, że dziennik dysponuje bezpieczną skrzynką kontaktową dla swoich informatorów. Nosła nazwę Safebox. Michael przeczytał instrukcję i dowiedział się, jak załadować tam plik. Miało to być równie pewne jak umieszczenie go w kasie pancernej.

Podjąwszy decyzję, że ściśle tajne dokumenty przekaże redakcji dziennika „Boston Globe”, zamierzał to zrobić we właściwy sposób. Nie zwykłą pocztą elektroniczną, gdyż ta nie zapewniała pełnej dyskrecji. Dostępem do redakcyjnego serwera mogli dysponować na przykład Rosjanie. Do diabła, przecież teraz czaili się wszędzie, w całej cyberprzestrzeni. A to, co Michael zamierzał zrobić, było sprawą poważną. Miały wyjść na jaw liczne ściśle tajne dokumenty, dlatego należało to przeprowadzić odpowiedzialnie w każdym szczególe. Beztroskie wrzucenie worka z tajemnicami i podawanie się za anonimowe źródło nie wchodziło w grę. Poza tym Tanner nie chciał narobić problemów Carlowi tylko dlatego, że był on uprzejmy i pozwolił mu skorzystać ze swojego komputera.

Przeszedł więc cały skomplikowany proces wymagany przez gazetę, krok po kroku, aż w końcu zrzucił plik z chmury Apple’a, gdzie wcześniej zostawił kopię. Safebox dziennika umożliwiał dokonanie tego anonimowo, nie zapisywał adresu IP ani niczego w tym stylu. Procedura była bezpieczna. A zarazem tak śmiesznie wyrafinowana, że Tanner zaczął się zastanawiać, kim trzeba być, aby ją wytrzymać. Chyba tylko kimś zdesperowanym.

Gdy skończył zrzucić plik – z powodu jego rozmiaru operacja trwała kilka minut – rozparł się na krześle i z bijącym mocno sercem uświadomił sobie, co właśnie zrobił. Dłonie miał mokre od potu.

Późnym rankiem Michael pojechał taksówką do siedziby głównej dziennika „Boston Globe” w południowym Bostonie. Zanim przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa, wyjął komórkę i poprosił o połączenie z Hankiem Brennanem z działu miejskiego.

– Brennan, słucham.

– Nazywam się Michael Tanner. Byłem przyjacielem Lanny’ego Rotha. Pan pełnił funkcję jego naczelnego, prawda?

- Kim pan jest, proszę powtórzyć?
- Michael Tanner. Stoję na dole, w recepcji.
- Czym mogę służyć, panie Tanner?
- Mam dla was pewne dokumenty. Te same, które przekazałem Lanny’emu. Być może o nich wspominał.
- Niech pana skierują na górę do newsroomu.

W boksie Hanka Brennana piętrzyły się stosy starych gazet, książek i całe mnóstwo przeróżnych papierów. Dziennikarz przeprosił za bałagan, wskazując gościowi składane krzesło obok swego biurka. Tanner usiadł. Brennan był czarnym mężczyzną około czterdziestki. Miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i nosił ciemne okulary w ciężkich oprawkach. Pachniał jakąś wodą kolońską, która wydawała się Michaelowi mgliście znajoma.

– Hej, więc był pan kumplem Lanny’ego – zaczął Brennan łagodnie. – Wielka strata. Cholerna, pieprzona strata. Tragedia.

– Wiem.

– To znaczy, jasne jest, że facet przeżywał trudności. Ale samobójstwo...? Załamka.

– O ile to rzeczywiście było samobójstwo.

– Słucham?

– Mam powody sądzić, że nie.

Brennan milczał chwilę.

– Rozumiem. No dobrze. A więc te dokumenty. Lanny nigdy nie wspominał o żadnych dokumentach, ale wprowadzał mnie w jakiś temat dopiero, gdy miał absolutną pewność, że na coś trafił. Zobaczmy, co pan tu ma. – Wyciągnął przed siebie obie ręce, udając chwył.

– Zrzuciłem je na Safebox waszej gazety.

– Okej. Kumam. Super. Czyli na ten cholerny Safebox... Chodzi o to, że aby coś z niego ściągnąć, trzeba się namęczyć jak diabli, wykonać milion kroków. Poproszę o to... – Brennan nagle westchnął, sfrustrowany, i pokręcił głową. – Niedawno mieliśmy falę zwolnień. W tej branży, wie pan... To znaczy, kiedyś konkurencją był tylko „Herald”, a teraz, gdy trzeba walczyć z Twitterem, Facebookiem i Snapchatem? Kurczę, nawet ze Snapchatem? Szok. Jaja nie z tej ziemi. W każdym razie, poproszę któregoś ze stażystów. – Reporter napisał coś szybko na klawiaturze i jednym palcem stuknął w klawisz. – Kiedy ostatnio zostawiono mi coś na Safeboksie, okazało się, że jest to sekretny przepis Hillary Clinton na ciasteczka czekoladowe. Dodaje do nich owsa. Moja żona wypróbowała ten przepis. Wyszło całkiem niezłe.

– To są ściśle tajne dokumenty – odezwał się Tanner – wygenerowane przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Dotyczą pewnego niejawnego programu. I mogę panu od razu powiedzieć, że FBI nie chciało nawet o nich słyszeć. Uznałem więc sprawę za interesującą.

– Jasne. – Brennan wolno kiwał głową. – A jak dostały się w pańskie ręce? Czy pan... pracuje w tej instytucji?

– Nie.

– Wykonuje pan zlecenia rządowe?

– Nie.

– A czym się pan zajmuje, panie Tanner?

– Prowadzę firmę handlującą kawą. Tanner Roast. Jestem jej właścicielem.

– Oczywiście, słyszałem o niej. No dobrze. A zatem... Czy ktoś przekazał panu te dokumenty?

– Na lotnisku wziąłem cudzy laptop, nie ten, co trzeba.

Dziennikarz stuknął ołówkiem o blat biurka.

– Okej. A czy Lanny miał okazję zapoznać się z tymi dokumentami?

Michael potwierdził. Słyszał w głosie faceta sceptycyzm, co go zirytowało.

– Uważał, że to sensacyjny materiał – powiedział Michael. Brennan zamrugał kilka razy, a potem skinął głową. – Wydaje się, że chodzi tu głównie o ściśle tajny program pod nazwą CHRYSALIS, dzięki któremu władze mogą nas obserwować przez kamery sieciowe. Bez naszej wiedzy. Jeśli dobrze zrozumiałem, są to kamerki w telefonach komórkowych i w laptopach. Absolutnie przerażające. Lanny mówił, że to największa sensacja w jego karierze.

– Lanny... – Przez twarz Brennana przemknął uśmiech. – Był fantastyczny, nie tylko jako człowiek, ale też jako dziennikarz śledczy. W tej pracy nauczyłem się jednak, że, no cóż, ci najlepsi dziennikarze śledczy są trochę szaleni. Ale trzeba takim być. Lanny lubił te swoje małe teorie spiskowe. A to o rzekomej kochance George'a H.W. Busha. A to, że ojcem Chelsea Clinton jest Webb Hubbell. I dlaczego tak naprawdę rozbił się samolot z sekretarzem handlu w administracji Clintona. Pamiętam, że bardzo długo był przekonany, że Osama bin Laden wcale nie zginął i nie odbył się żaden „pogrzeb na morzu”. W końcu nikomu nie pokazano ciała, prawda?

– Prawda, ale...

– Dlatego moja praca jako redaktora odpowiedzialnego polega na filtrowaniu. Lanny zbyt często dawał się wpuszczać w maliny. Musiałem go powstrzymać, żeby nie utonął w tym szaleństwie. Czy aby na pewno natrafił na kopalnię złota, czy może to tylko królicza norka? Przecież na pierwszy rzut oka wyglądają tak samo, prawda? To po prostu jamy w ziemi. Lanny kopał zarówno wtedy, gdy coś się w dziurze kryło, jak i wtedy, kiedy była zupełnie pusta. Moje pytanie brzmi: co pan przynosi? Kopalnię złota czy króliczą norkę? Jak pan widzi, jestem z panem całkowicie szczery.

– Rozumiem – powiedział Michael. – Proszę zapoznać się z dokumentami i powiedzieć mi, co pan o nich sądzi. Czy to tylko królicza norka. Moim zdaniem Lanny'ego zamordowano właśnie z powodu tych dokumentów.

– Doprawdy?

– Mnie też próbowano zabić. – Michael usłyszał w swoim głosie paniczne staccato. Musiał sprawiać wrażenie wariata. W reakcji ton Brennana z ciepłego zmienił się na pełen rezerwy.

Dziennikarz powoli pokiwał głową.

– Wyobrażam sobie, że w branży kawiarskiej konkurencja bywa cholernie zacięta.

Tanner westchnął z rozdrażnieniem.

– Pan lekceważy tę sprawę, ale to nie żarty, zapewniam. Potrafię to udowodnić.

– Proszę się nie gniewać – powiedział Brennan. – Po prostu cały czas wydzwaniam do mnie różni ludzie. Wysyłają mi mejle o tym, że jedenasty września to była robota kogoś z wewnątrz i że gdzieś na rolniczych terenach Teksasu znajduje się obóz szkoleniowy terrorystów.

– Ja tylko usiłuję przekazać panu...

– I wszyscy ci ludzie sprawiają mi przykrość. Zawsze traktuję każdego z szacunkiem. Jest taki jeden facet z Malden, który regularnie do mnie dzwoni. Rozmowa zaczyna się niby zwyczajnie, a potem on nagle wpada w te swoje koleiny. Że wszyscy spiskują przeciwko niemu, gubernator i prokurator generalny, że nachodzą go w domu i...

W komputerze Brennana coś zadzwoniło:

– No proszę, gotowe. Nie trwało to zbyt długo – powiedział dziennikarz.

– Ma pan ten plik?

– Owszem. No dobrze... – Mężczyzna zapatrzył się w ekran. Jego brwi uniosły się z zaskoczenia, a potem opadły na znak konsternacji. Po mniej więcej minucie podniósł wzrok na Michaela i rzucił miękko: – Okej, już rozumiem. Cóż, panie Tanner, właściwie z jakiego powodu przesłał mi pan to wszystko? Sprawa wydaje się bardzo osobista.

– Osobista?

Brennan odwrócił monitor tak, aby biznesmen mógł zobaczyć ekran.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem to czytać.

Na monitorze widniał dokument z nagłówkiem: „Szpital im. McLeana – Harvardzka Akademia Medyczna”. Pośrodku strony biegł napis: „Ocena stanu psychicznego Michaela E. Tannera”. Autorem ewaluacji był „Doktor Raymond Osment, lekarz medycyny, profesor psychiatrii klinicznej”. Wstrząśnięty Michael przebiegł pismo wzrokiem, rejestrując zwroty w rodzaju „ostra psychoza paranoidalna”, „myślenie urojeniowe”, „załamanie nerwowe” oraz „osobowość schizoidalna”. Dowiedział się również, iż jest „przekonany o tym, że jego telefon znajduje się na podsłuchu”, „że dzień po dniu widuje te same osoby” i „jego komputer jest sterowany zdalnie przez nieznaną ludzi”. Na końcu Michael zobaczył wystawioną mu diagnozę. „DSM IV 295.30”.

– To jakieś bzdury! – wyszeptał. Spojrzał na Brennana, który odwrócił wzrok. – Nie wiem, do cholery, skąd to się wzięło, ale to fałszywka. Ktoś ją podrzucił. Zwykła próba zdyskredytowania mojej osoby, żebym wyszedł na szaleńca.

– Wiem – powiedział dziennikarz łagodnie. Wstał. – Wiem również, jak wielkim stresem bywa śmierć bliskiego przyjaciela. Czy mogę... Pan pozwoli, że odprowadzę go do windy.

– Sam wyjdę – zachnął się Michael i także wstał.

– Nie, odprowadzę pana – uparł się Brennan.

Ale Michael już się odwrócił ku drzwiom. Dziennikarz był teraz święcie przekonany o chorobie psychicznej swego gościa, a próba przekonywania go, że jest inaczej, byłaby tylko stratą czasu.

– Pójdę z panem – powiedział Brennan, idąc krok w krok za biznesmenem. – Niech mnie pan nie zmusza do wzywania ochrony.

Dom znajdował się w zamożnej części Bostonu zwanej Chestnut Hill, pełnej ocienionych drzewami uliczek, wielkich rezydencji i prywatnych szkół. Był to georgiański dworek z czerwonej cegły z dziesięcioma sypialniami (przynajmniej tak twierdziła Sarah, a Michael nie zamierzał tego sprawdzać).

Na klamce u drzwi wejściowych zamontowano urządzenie przypominające przerośniętą kłódkę. Michael wpisał na klawiaturze tego ustrojstwa czterocyfrowy kod i zamek puścił. Zdjął kłódkę i wyjął z kieszeni klucz.

W środku pachniało cydrem jabłkowym i świeżą farbą. Michael słyszał kiedyś, że jeśli zaczniesz się pędzić w kuchni cydr, wydziela się woń uważana przez większość ludzi za przyjemną i zachęcającą do wejścia – być może był to po prostu trick zastosowany przez Sarah.

Właściciele domu już w nim nie mieszkali, ale na pierwszy rzut oka nie dawało się tego stwierdzić. Potencjalni nabywcy widzieli perskie dywany i eleganckie meble, podziwiali oszczędny, lecz doskonały wystrój wnętrza. Nie mieli pojęcia, że całe to umeblowanie zostało wypożyczone przez firmę specjalizującą się w handlu nieruchomościami. W przedpokoju, a właściwie w jego wnęcie u stóp krętych schodów, na karcianym stoliku w kształcie półksiężyca tkwiły w szklanym wazonie świeże kwiaty. Prawdopodobnie jakiś stager zmieniał je codziennie. W salonie od frontu na stoliku do kawy wznosił się stosik wielkoformatowych albumów o sztuce i fotografowaniu, wypożyczonych zapewne z wyspecjalizowanego salonu wystroju wnętrza i pieczołowicie ułożonych nierówno. W kuchni, obok pojemnika z cydrem jabłkowym, którego zapach Tanner wyczuł, stało na ladach kilka bardzo drogich urządzeń AGD, misa z idealnie świeżymi owocami oraz świeże kwiaty na marmurowej wyspie. Lodówka była zupełnie pusta. Stół w jadalni nakryto jak do kolacji, pośrodku blatu z niskich wazonów wystawały niebieskie hortensje. Nigdzie nie było widać żadnych rodzinnych fotografii, oczywiście nie bez przyczyny. Chciano bowiem, aby klienci wyobrazili sobie ten dom jako swój.

Wchodząc do środka, Tanner włączył światła. Skierował się do kuchni, rozejrzał za jakąś szklanką i po chwili odkrył, że wszystkie szafki są puste. Napił się więc wody prosto z kranu nad steatytowym zlewem. Potem ruszył na piętro do głównej sypialni. Na środku zobaczył łóżko w rozmiarze królewskim z cudownie jedwabistą pościelą. Niezłe miejsce na północy w kimono.

Nastawił budzik w telefonie na drugą w nocy. Zostało mu przynajmniej kilka godzin snu.

Mimo usilnych prób zapadnięcia w sen Michael nie przestawał rozmyślać o Pudełku.

Kilka lat po śmierci ojca siedzieli oboje z matką przy starym kuchennym stole, pijąc kawę z ziaren, które Michael kupił w Gwatemali i które zostały wypalone w jego firmie. Mama rzuciła parę komplementów na temat czarnego napoju, a potem zagaiła:

– Udało ci się, co?

– To znaczy?

– Mówię o tym. – Podniosła kubek z kawą. – Zrealizowałeś swoje marzenie.

– Chodzi ci o Tanner Roast?

– Owszem. O Tanner Roast. Od dzieciństwa chciałeś założyć własną firmę.

– Chyba tak.

– Jestem z ciebie bardzo dumna. Tata też byłby dumny.

– Dobra, dobra – rzucił Michael lekceważąco, jednocześnie zadowolony i zawstydzony.

– Wiesz, ile miałam lat, kiedy cię urodziłam?

– Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, tak? Młodo.

– Tata skończył dwadzieścia sześć. My... – Matka zawahała się na chwilę, a potem podjęła. – Nie planowaliśmy dzieci tak wcześnie.

– Byłem efektem wpadki?

– No raczej. Ale błogosławionym.

– Żartujesz! Tylko dlatego musieliście się pobrać?

– I tak mieliśmy taki zamiar. Moja ciąża tylko wszystko przyspieszyła. W naszej rzeczywistości, w naszych rodzinach tak właśnie należało postąpić. Tata zrozumiał wtedy, że musi się ustatkować. Spoważnieć. Zarobić na nasze utrzymanie. I wiesz co, nie było już szans, żeby się za to zabrać.

– Więc ta restauracja z grillem, Tanner Q...

– On bardzo serio myślał o sieci lokali grillowych podobnych do tych, w których bywał jako dziecko w Kansas City.

– Ojciec musiał zrezygnować z restauracji i znaleźć sobie pracę w ubezpieczeniach, bo spodziewaliście się dziecka?

– Pewne ofiary były konieczne. To normalne, kiedy rodzą się dzieci. Robi się to, co trzeba zrobić. Podejmuje się decyzje. Z miłości.

– A potem chowa się pewne rzeczy na strychu – powiedział poruszony Tanner. Ojciec wielokrotnie wspominał o wyrzuceniu „tych bzdetów” na śmietnik, ale ostatecznie nie potrafił się do tego zmusić. Zachował Pudełko.

Pudełko – miejsce, gdzie człowiek chowa swoje marzenia.

Budzik w iPhonie przebił się przez niespokojny sen Michaela. Usiadł prosto, jak rażony

prądem.

Dziesięć minut później jechał już należącym do Sarah zielonym fiacikiem 500, który wcześniej zaparkował kilka ulic od domu. Jego pozostał na miejscu, przy Huron Avenue, co bez wątplenia oznaczało kolejne mandaty.

Ulice były puste; Michael dotarł do Brighton w piętnaście minut. Zauważywszy jakąś ulicę, przy której stały domy, zatrzymał się na poboczu. W półmroku rozpraszanym jedynie przez odległą latarnię asfalt wyglądał na dziurawy i zniszczony. Świeciło się tylko w kilku oknach, zapewne u nocnych marków. Poza tym panował spokój.

Michael odczekał dziesięć minut z cicho grającym radiem, nieustannie zerkając w lusterka wsteczne i boczne. Gdy miał pewność, że nie śledzi go żaden samochód – o ile można było być tego pewnym – zawrócił i skierował się na Mayfield Street, trzy przecznice od Tanner Roast. Ponownie się zatrzymał i czekał.

Pięć minut później stwierdził zadowolony, że nikt się na niego nie czai.

Ustawił wóz na miejscu parkingowym, a następnie ruszył piechotą, lecz nie bezpośrednio do biura. Obszedł z trzech stron najbliższy budynek, szukając bezdomnych albo ludzi siedzących w ciemnych samochodach, aż wreszcie dotarł do rzadko używanych bocznych drzwi. Gdy włożył do zamka swoją kartę magnetyczną, otworzyły się z buczeniem. Drzwi wewnętrzne blokował gadżeciarski zamek marki Abloy szwedzkiej produkcji – podobno nie do przejścia – do którego pasował tylko bardzo wąski kluczyk. Po fali włamań w najbliższej okolicy Tanner kazał wymienić zamki zarówno w magazynie, jak i w części biurowej. Klucze do drzwi zewnętrznych mieli tylko on, Lucy i Sal.

Oczywiście nie znaczyło to, że agenci federalni nie byliby w stanie się tutaj dostać. Na pewno mieli swoje sposoby.

Po wejściu do środka Michael usłyszał równomierny, niski odgłos alarmu przeciwlamaniowego. Włączył światło, znalazł klawiaturę numeryczną i błyskawicznie wklepał kod dezaktywujący. Potem wyłączył światło. Magazyn miał kilka wysokich okien widocznych od strony ulicy i Michael nie chciał w tak banalny sposób ujawniać swojej obecności. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co tu robi. Na litość boską, przecież tylko sprzedawał kawę, nie był żadnym szpiegiem. Najwyraźniej nie obserwowano siedziby jego firmy, przynajmniej nie w środku nocy. Michael wyciągnął z tego wniosek, że raczej spodziewali się jego zjawienia się w firmie w godzinach jej funkcjonowania.

A może wcale go nie szukali? Nie w ten sposób? Niewykluczone, że ci faceci z Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego, którzy odwiedzili Tanner Roast za dnia, naprawdę byli tymi, za kogo się podawali. Cieszącymi się szacunkiem gliniarzami, a nie typkami z jakiejś supertajnej rządowej agencji. Michael chyba przesadnie zareagował na śmierć Lanny'ego. Nie chciał uwierzyć w samobójstwo kolegi, bez względu na materiał dowodowy zebrany w tej sprawie.

Problem polegał jednak na tym, że nie mógł mieć w tej kwestii żadnej pewności.

Postanowił, iż będzie się zachowywał tak, jakby rzeczywiście go szukano; nie wolno mu zapominać o wszelkich środkach ostrożności, o byciu czujnym.

Teraz miał do wykonania proste, ale pilne zadanie.

Przez okna wpadało blade, szaroniebieskie światło, umożliwiające jedynie niepewne poruszanie się po hali magazynowej. Michael dotarł do swojego gabinetu i stanął przy biurku, zastygając na krótką chwilę z palcem na włączniku lampki. Pomieszczenie to (mniejsze niż biuro dyrektora do spraw sprzedaży) nie znajdowało się w pobliżu okna, ale nieco światła dostawało się tutaj od strony Mayfield Street. Lepiej nie włączać lampki, uznał.

Usiadł na swoim fotelu, na moment zamknął oczy, a potem je otworzył. Wzrok powoli przyzwyczajał się do półmroku. Klawiaturę komputera dawało się już dostrzec. Michael zalogował się, wrzucił kilka plików do Dropboksa, a potem siedział nieruchomo przez minutę, zadając sobie pytanie, czy to bezpieczne posunięcie.

Z drugiego końca hali magazynowej dobiegł go jakiś szelest.

Michael czekał, nasłuchując. Przez mniej więcej piętnaście sekund nic się nie działo, a potem dźwięk się powtórzył, niewątpliwie ten sam. Jakby szelest papieru. Może to nic takiego?

Po drugiej stronie magazynu ktoś jednak był.

Teraz już wszystko wydawało się możliwe.

Michael bezszelestnie wstał zza biurka i powoli wyszedł z gabinetu, sunąc nogami po wykładzinie. Stare deski podłogowe pod jego stopami sporadycznie skrzypiały, lecz niezbyt głośno. Zatrzymał się, strzygąc uszami przez dwadzieścia sekund, ale niczego nie usłyszał. Mimo to skierował się do wejścia prowadzącego do hali magazynowej.

Stanąwszy w drzwiach na krańcu magazynu, znów wyteńczył słuch. Czuł, jak jego serce gwałtownie przyspiesza.

Słumiony szelest rozległ się ponownie. Tanner rozejrzał się dookoła: cienie, jakieś nieforemne bryły, rzędy regałów z workami zielonej kawy, wielka stara prazarka, stoły warsztatowe. Mógłby chodzić po tym pomieszczeniu z zamkniętymi oczami.

Posadzka tutaj była już betonowa. To znaczy, że nie skrzypiała pod nogami. Michael zdał sobie jednak sprawę, że teraz – w tej otwartej przestrzeni – jest poruszającym się cieniem, w którym każdy natychmiast rozpozna człowieka, gdy tylko oczy przywykną mu do ciemności.

Jest objawem paranoi zastanawianie się, choćby półświadome, czy w głębi hali czai się ktoś z bronią w ręku? Możliwe; Tanner nie wykluczał, że jednak zwariował. Przyszli po Lanny'ego, ponieważ ten sposobił się do opublikowania artykułu, który nie powinien ujrzeć światła dziennego. Ale dlaczego ścigali Tannera? Pewnie po prostu chcieli go złapać i zmusić do oddania laptopa. To nie było takie niedorzeczne. Absolutnie nie.

Szedł dalej po betonowej posadzce, a kiedy usłyszał szelest, stanął. Obrócił głowę

i nasłuchiwał. Znowu. Skierował wzrok w stronę źródła dźwięku.

Po stole do pakowania kawy przemknął szczur.

Tanner pomyślał, że jutro z samego rana poleci, by wyszorowano ten stół i sprowadzono deratyzatora.

Poszedł do kuchni, otworzył szafkę i wybrał kombinację cyfr w sejfie.

Laptop znajdował się na swoim miejscu. Tanner wsunął go do torby sportowej.

Powróciwszy do biura, włożył iPhone'a do górnej szuflady biurka. Potem dziesięć minut pakował swoje manatki, a następnie – zachowując środki ostrożności – wymknął się z budynku bocznymi drzwiami.

Fiat Sarah stał zaparkowany kilka ulic dalej, niedaleko placu zabaw. Ulica była wąska i ciemna, nigdzie ani śladu człowieka. Wokół wznosiły się domy mieszkalne – drewniane dwupiętrowe chatki z maleńkimi podwórkami – a samochody właścicieli tłoczyły się na ciasnych podjazdach.

Michael zdawał sobie sprawę, że przesadza z tą skrajną ostrożnością. Nie miał powodu sądzić, że jest śledzony czy obserwowany. Jednak to zachowanie – polegające na podejmowaniu dodatkowych zabezpieczeń – mogło mu tylko wyjść na dobre. A jeśli udało się im jednak namierzyć jego tymczasowy dom – rezydencję na sprzedaż w Chestnut Hill – to co wtedy?

Uruchomił wóz. Wolno i spokojnie przejechał przez ulicę, przy której zaparkował, a potem skręcił w prawo, w główną tutejszą arterię, Western Avenue, szeroką i dwukierunkową. Po jej jednej stronie stały samochody. Minął myjnię, kilka prawie pustych działek, parę warsztatów samochodowych („specjalistów powypadkowych!”) i jeden komis. W tym miejscu ulokowało się wiele firm z branży motoryzacyjnej. Po prawej stronie zobaczył jakiś bank, a potem stację benzynową i kilka wolnostojących, skromnych drewnianych domów w opłakanym stanie.

Nikt za nim nie jechał.

Michael skręcił na stację paliw bez nazwy położoną przy skrzyżowaniu, przeciął jej teren, a potem skierował się w boczną uliczkę. Znowu nadłożył nieco drogi, zapewne bez potrzeby. Pokręcił się po okolicy, następnie skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo, w Market Street. Kilka przecznic przejechał prosto, z umiarkowaną prędkością. Jezdnia była prawie pusta. Na czerwonym świetle zatrzymał się, mimo że na skrzyżowaniu żadnej z ulic nie było żywej duszy. Nagle w lusterku wstecznym dostrzegł zbliżający się samochód, czarnego suburbana. Za kierownicą siedział młody, ostrzyżony na jeża facet z twarzą bez wyrazu, który prawdopodobnie wracał z nocnej zmiany. Być może szofer limuzyny, który właśnie podrzucił jakiegoś bogatego klienta na Cape Cod. Michael cieszył się, że nie musi pracować po nocach, choć – jak wiedział – niektórym to zupełnie nie przeszkadzało, a nawet woleli późne zmiany. Jako szef Tanner Roast sam decydował o swoim harmonogramie zajęć. Bez wątplenia pracował dłużej niż większość ludzi, ale przecież prowadził własny biznes i to wszystko tłumaczyło.

Wtedy przypomniał sobie, że jego firma jest na skraju bankructwa i zagrożone jest nawet

jego życie. Poczłł rosnące napięcie.

Przejechał jeszcze trzy skrzyżowania, potem kilkakrotnie skręcił, cały czas sprawdzając drogę we wstecznym lusterku. Krótko ostrzyżony facet w suburbanie nadal trzymał się blisko. Wtedy Tanner zauważył, że w woze jest jeszcze inny mężczyzna, również ostrzyżony na jeża, zajmujący miejsce dla pasażera. To nie byli kierowcy limuzyn.

Znów zaczął popadać w paranoję, było to doznanie nieomal fizyczne, obejmujące ramiona i szyję.

Michael postanowił więcej nie skręcać, nie robić nic, co zaalarmowałoby śledzących. Pozwolił sobie nieco odpłynąć myślami i poluzować gardę. Kiedy zobaczył logo lokalu Dunkin' Donuts, natychmiast, bez włączania kierunkowskazu, skręcił w prawo.

Suburban zrobił to samo, gwałtownie zbaczając z trasy z głośnym metalicznym piskiem. Cały czas utrzymywał się za Michaeliem; nie było już wątpliwości, że jest śledzony.

Przez chwilę Michaeliem zawładnęła panika, ponieważ wydało mu się, że skręcił w ślepią uliczkę, dotarł jednak do niewielkiego skrzyżowania, gdzie skierował się w lewo i przyspieszył, ocierając bok jednego z zaparkowanych tu samochodów.

Uszkodził wóz Sarah.

– Cholera – powiedział na głos.

Docisnął gaz, a fiacik zareagował od razu, wyrwijąc się do przodu i nieco zarzucając tyłem. Michael raz jeszcze skręcił w lewo, a suburban za nim. Jeszcze trochę przyspieszył i ściągając kierownicę maksymalnie w prawo, wjechał na krawężnik. Autko podskoczyło i szarpnęło, gdy jego koła ponownie spotkały się z asfaltem na Market Street. Na co najmniej jednej ulicy, tej przed sobą, Michael nie widział ani jednego samochodu.

Wdusił więc pedał gazu do dechy. Suburban był dużym, ociężałym wozem, oczywiście potężniejszym od fiata, ogromną amerykańską bestią.

I wtedy, w ostatniej chwili, Michael zobaczył, że drzwi auta zaparkowanego po jego prawej stronie otwierają się nagle wprost przed maską fiacika. Zareagował błyskawicznie, skręcając kierownicę w lewo, jednak o ułamek sekundy za późno.

Fiat walnął w zaparkowany samochód. Stał, uderzając o stal, zazgrzytała głośno, a siła zderzenia wyrwała drzwiczki z zawiasów i uniosła je w powietrze, a potem – co Tanner zobaczył we wstecznym lusterku – trzasnęła nimi o przednią szybę suburbana. Szkło pękło, ukazując pajęczynę zarysowań. Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało.

To jednak najwyraźniej nie zniechęciło prześladowców. Suburban siedział Michaelowi na samym ogonie, niemal go dotykał. Cholerna stłuczka! I to o wpół do czwartej nad ranem. W ciele Michaela krążyła adrenalina, czuł jej napór w żyłach.

Fiat nie mógł się równać z suburbanem mocą silnika, ale był mniejszy i sterowniejszy, zdolny schować się w miejscach, w które wielki wóz nie miał szans wjechać. Poza tym przyspieszał znacznie szybciej. Należało wykorzystać te atuty. Michael pomknął dalej ulicą, potem nagle jednym szalonym ruchem skręcił w prawo i zawrócił, przecinając puste pasy

przeciwległej jezdni, i znów wjechał w jakąś boczną alejkę. Dzięki temu manewrowi zwiększył dystans dzielący go od suburbana. Znajdował się teraz prawie całą przecznicę od prześladowców, co umożliwiło mu kolejny nagły zjazd. Cały czas analizował w głowie możliwe scenariusze działań, odrzucając je wszystkie po kolei jako głupie i niebezpieczne.

A jednak jakimś cudem Tanner zgubił suburbana. Popędził do końca uliczki, w oddali, oświetlony blaskiem księżyca, majaczył Harvard Stadium, przywodząc na myśl rzymskie ruiny. Zbliżywszy się, Michael dostrzegł czarne żelazne ogrodzenie otaczające ów kompleks sportowy, wskutek czego sprawiał on wrażenie dużej, samotnej wyspy. W ogrodzeniu widać było kilka wejść dla pieszych.

Kątem oka zobaczył pędzącego suburbana.

Jedną przecznicę za sobą.

O tej porze fiat i suburban były jedynymi samochodami poruszającymi się po ulicy: tamten przyspieszył i już niewiele dzieliło go od bagażnika małego wozu.

Michael wcisnął gaz do dechy i fiacik wyskoczył do przodu. Miał teraz przewagę jednej ulicy, lecz stanął przed wyborem trzech możliwych rozwiązań: popędzić prosto przed siebie do najbliższego skrzyżowania, a potem w prawo, na Harvard Square, czy lepiej do skrzyżowania i dalej, także w prawo, na Soldier's Field Road, położoną niżej główną arterią komunikacyjną prowadzącą prosto do Bostonu?

Trzecią możliwością było zatrzymanie się, zaparkowanie auta i poddanie się prześladowcom. Uległość. Zamiast trwającej nie wiadomo jak długo ucieczki. Ucieczki nawet do końca życia. Poddanie się wydawało się sensowne: w końcu nie zrobił nic złego. Owszem, miał laptopa senator Stanów Zjednoczonych, ale z miłą chęcią zwróci go prawowitej właścicielce, o ile tylko otrzyma gwarancję bezpieczeństwa dla siebie i żony.

Lecz prawdę mówiąc, Michael nie miał pojęcia, czego może się po tych ludziach spodziewać. Rzekome samobójstwo Lanny'ego stanowiło absolutnie wystarczające ostrzeżenie przed możliwymi konsekwencjami uwikłania się w... w tę sprawę, czymkolwiek w istocie była. Jakimś tajnym programem rządowym, na to chyba wyglądało. Sama wiedza na ten temat mogła się okazać śmiertelnie niebezpieczna.

A zatem oddanie się w ręce prześladowców nie wchodziło w grę. Michael przeanalizował tę możliwość i podjął decyzję w ułamku sekundy. Nagle, po swojej lewej stronie zobaczył wejście do kompleksu sportowego, które składało się z trzech bram – jedna, ta pośrodku, była przeznaczona dla samochodów, dwie mniejsze dla pieszych.

Brama wjazdowa dla zmotoryzowanych była zamknięta, w przeciwieństwie do małego wejścia po lewej.

Zaczął gorączkowo obliczać. Fiat ma prawdopodobnie jakieś półtora metra szerokości, a bramka – niecałe dwa metry. A jeśli nawet metr osiemdziesiąt, czyli sześć stóp, autko i tak się zmieści, chociaż na styk.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Czy warto zaryzykować?

Im dłużej będzie uciekał, tym większe prawdopodobieństwo, że go w końcu dopadną. Ci, którzy za nim jadą, dysponują zapewne innymi pojazdami, jak to zwykle w przypadku agencji rządowych. Mogli też wezwać wsparcie. Niewykluczone, że już to zrobili.

Michael musiał podjąć ryzyko.

Szarpnął kierownicą w lewo, starając się jak najostrożniej wycelować w sam środek otwartej bramki.

Kiedy docisnął pedał gazu, czas jakby zwolnił. Tanner wpatrywał się w otwór, jednocześnie rzucając oczami na boki. Potrafił bezbłędnie oszacować rozmiary kontenera przewozowego. Ale jak to zrobić w przypadku dziury w ogrodzeniu, kiedy siedzi się w jadącym samochodzie? Łatwo się pomylić nawet o pół metra.

Jeśli odległość między dwoma kamiennymi, ozdobionymi ceglanym wykończeniem słupkami wynosi mniej niż metr osiemdziesiąt, to przy tej prędkości Michael wbije się w żelazne ogrodzenie, rozwali mur i zapewne zginie.

Lecz jeżeli jego obliczenia były prawidłowe, pozostanie mu około pięciu centymetrów wolnej przestrzeni po bokach samochodu. Wystarczająco, aby przejechać i zostawić suburbaną za sobą.

Rozległ się głośny, rozdzierający zgrzyt metalu trącego o metal – mały samochód otarł się bokami o kute żelazo i niespodziewanie utknął z trzaskiem, do połowy wklonowany w bramę. Gdzieś z tyłu dał się słyszeć pisk hamulców; suburban zatrzymał się tuż za fiatem. O włos, a wjechałby mu w tył.

Tanner uświadomił sobie ze zdumieniem, że poduszki powietrze nie eksplodowały.

Szarpnął za klamkę, chcąc wydostać się na zewnątrz. Otworzyły się może na centymetr, zablokowane przez krawędź bramy wejściowej. Michael nie miał szans, by się wygramolić.

Kątem oka zauważył jakiś ruch po drugiej stronie ogrodzenia, a potem usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi samochodu. Jeden z mężczyzn wysiadł z suburbaną, zapewne – można to było spokojnie założyć – z pistoletem w ręku.

Tanner musiał się stąd wydostać.

Ponownie spróbował wypchnąć drzwi, ale były mocno zaklinowane.

Wcisnął guzik opuszczający szybę, a gdy tylko zjechała na sam dół, uniósł nogi z fotela kierowcy, obrócił się w nim i wysunął stopy za okno. Balansując kończynami w górę i w dół, zdołał wyciągnąć ciało poza krawędź drzwi. Wreszcie udało mu się przytrzymać kierownicy i wygramolić na zewnątrz. Zatoczył się i upadł. Z trudem łapiąc równowagę na chodniku, podniósł się, aby sięgnąć do samochodu od strony pasażera. Wyjął stamtąd sportową torbę.

Rzucił okiem na ogrodzenie za plecami; kierowca suburbaną zostawił samochód na poboczu i zniknął, bez wątplenia w poszukiwaniu innego otwartego wejścia do kompleksu. Karoseria na obu bokach fiacika odkształciła się i uległa zniszczeniu.

Tanner się odwrócił. Bezpośrednio przed nim znajdował się Harvard Stadium, ogromne, stare koloseum z betonu, zbudowane sto lat temu. Rzucił się biegiem w tamtym kierunku, ku najbliższej bramie w kształcie wysokiego, łukowatego portalu. Tu również znajdowało się ogrodzenie z kutego żelaza, lecz furka była zamknięta. Michael natarł na nią, a wtedy ustąpiła. Uciekał prosto w ciemność.

Na szczęście kojarzył, w której mniej więcej części stadionu się znajduje, ponieważ kilka lat temu w ramach krótkotrwałego zrywu mającego na celu poprawę kondycji uprawiał tu „stadionowy jogging”. Ograniczało się to do wbiegania i zbiegania po betonowych schodach aż do utraty tchu, dopóty, dopóki nogi nie zmieniały się w spaghetti. Brutalny wycisk. Tanner nazywał ten trening „stopniami śmierci”.

Przystanął na chwilę. Teraz po schodach na górę, na stadion, a potem przez boisko na zewnątrz?

Zastanawiał się, ile zostało mu czasu, nim kierowca suburbana zacznie go ścigać. Michael odnosił bowiem wrażenie, że człowiek ten nie był jedynie szoferem. Jego pojazd pozostał przed ogrodzeniem stadionu – jeśli nawet nie znajdzie w pobliżu otwartej bramki prowadzącej na teren kompleksu, może wrócić i poszukać samochodem innej drogi, w dalszej części ulicy.

Tak czy owak Tanner miał nad napastnikiem około minuty przewagi. Góra dwie. Był w całkiem niezłej formie, ćwiczył prawie codziennie, nie licząc pełnych chaosu ostatnich dni. Uważał się też za urodzonego sportmena.

A jednak musiał przyznać, że jest tylko amatorem, podczas gdy jego przeciwnik był profesjonalistą. Najprawdopodobniej. Jeśli nawet zdoła uciec tamtym dwóm, co wciąż jeszcze wchodziło w grę, wkrótce zjawi się ich grupa wsparcia.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

Skręcił w prawo, usłyszał głośne buczenie linii energetycznej wysokiego napięcia, a po chwili zobaczył tabliczkę z napisem: Stacja transformatorowa. Pamiętał jak przez mgłę, że kiedyś tutaj zabłądził, szukając toalety, i znalazł się w ciemnym zaułku z gliniastym podłożem pod betonowymi schodkami.

Minął wąski przesmyk między stacją transformatorową a szeregiem zamontowanych na jej ścianie skrzynek bezpiecznikowych. Asfalt ustępował tu żuźlowi i ubitej ziemi. Michael poczuł, jak buty wchodzi mu w piaszczysty grunt. Pod betonowymi stopniami stacji było dość miejsca, by się tam schować. Mógł się wyprostować.

Z wysoka, przez rozstępy w murach stadionu, sączyła się poświata księżycy, więc Tanner z łatwością utorował sobie drogę do dużego arkusza dykty opartego o betonowy wspornik. Była na tyle szeroka, że mógł się za nią ukryć. Cicho postawił na ziemi sportową torbę.

Prześladowca na pewno będzie chciał się dostać na teren stadionu, ponieważ widział, że Michael tam wchodzi. Jednak potem stanie w obliczu tych samych wyborów co ścigany. Z pewnością założy, że Tanner przebiegnie przez cały obiekt, chcąc jak najszybciej znaleźć

się na zewnątrz. Nikt nie byłby przecież aż tak głupi, aby tu zostać.

A właśnie to zamierzał zrobić Michael: ukryć się tutaj, za sklejką o rozmiarach metr dwadzieścia na dwa czterdzieści, w głębokim cieniu stadionowych schodów.

I czekać.

Tanner czekał więc i nasłuchiwał.

Buczenie stacji transformatorowej. Szum przejeżdżającego ulicą samochodu. Próbował wyłowić z otoczenia odgłos kroków biegnącego człowieka, ale na próżno.

A potem jakiś odległy dźwięk, krzyk dochodzący z bardzo daleka.

Kierowca i jego wsparcie?

Michael stał nieruchomo, kontrolując oddech, starając się uczynić go możliwie bezgłośnym.

I wyteżał słuch.

Po dwóch, trzech minutach dobiegł go odgłos pospiesznych kroków: ktoś przebiegał w pobliżu. Tanner nie potrafił stwierdzić, czy go mija, czy zbliża się do niego. Czuł mocny zapach świeżo przyciętej sklejki.

Kroki ucichły. Michael oddychał wolno, spokojnie, równomiernie. Nadal nic nie było słychać. Wiedział, że jeśli jego prześladowcy zechcą sprawdzić miejsce pod schodami, najpierw usłyszy chrzęst żwiru, nie miał jednak pojęcia, co wtedy zrobi. Prawdopodobnie się podda. A może spróbuje uciekać. Zupełnie nie potrafił tego przewidzieć. Decyzję podejmie w ostatniej chwili, gdyby do tego doszło.

Na razie wystarczy słuchać.

Minęła cała minuta bez odgłosu kroków. Gdzieś z oddali znów dobiegł krzyk.

W powietrzu rozbrzmiewał tylko warkot stacji transformatorowej.

Jakimś cudem Tanner zdołał wytrzymać w tej pozycji prawie godzinę. Przez cały ten czas stał skupiony, zachowywał czujność, oddychał cicho i rytmicznie. Ani razu nie zakaszłał. W głowie kotłowało mu się od myśli o firmie, jej sytuacji, o cholernym laptopie, a także o tym, jak to się stało, że życie Michaela Tannera zmieniło się nagle w istne piekło.

W końcu podniósł torbę sportową i wyjrzał zza dykty; nie zauważył żadnych podejrzanych kształtów, żadnych poruszających się cieni. Wysunął się niepostrzeżenie z ukrycia i ruszył powoli po żwirze, starając się ograniczyć jego chrzęst pod stopami do minimum.

Nadal nie było słychać niczyich kroków.

Wspiąwszy się po żuźlowym nasypie, Michael wrócił na asfaltowaną ścieżkę strefy publicznej stadionu. Gdy dotarł do stacji transformatorowej, stanął nieruchomo; głośne buczenie wypełniło mu uszy. Zdał sobie sprawę, że dźwięk ten zagłuszał niemal wszystkie

inne w okolicy. Co nie działało na jego korzyść.

Ostrożnie wyjrzał za róg stacji: nikogo. Powoli i bardzo cicho sunął w cieniu stadionu, równoległe do ulicy. Dotarłszy do następnej zwieńczonej łukiem bramki, mógł wreszcie zobaczyć, co się dzieje na drodze. Suburban zniknął.

Co to oznaczało?

Czyżby czekali na niego przy kolejnym wyjściu z kompleksu sportowego?

Albo kierowca się po prostu poddał, dlatego odjechał?

Idąc wzdłuż stadionu, a następnie przechodząc przez kołowrót bramki, Tanner był świadomy tego, że z łatwością może zostać zauważony. Przeciął kilka pustych, bocznych parkingów.

Nie minął go żaden suburban.

Szedł dalej. Jakiś samochód przejechał z szumem, ale się nie zatrzymał.

W polu widzenia Michaela ukazało się wysokie na najwyżej metr dwadzieścia ogrodzenie z siatki, które otaczało bieżnię wokół boiska piłki nożnej. Przeskoczyć je? Michael przytrzymał siatkę, uniósł się lekko i przerzucił stopy na drugą stronę. Przeciął tor i murawę, a potem pokonał kolejne ogrodzenie. Kroczył dalej spokojnie, nie biegł. W końcu dotarł do zewnętrznej bariery całego kompleksu, także wykonanej z drucianej siatki. Za nią ciągnęła się Western Avenue, po której w obu kierunkach sunęły nieliczne samochody.

Biznesmen przełożył torbę z ramienia na plecy, wspiął się na płot, wysoki na około dwa metry, i miękko zeskoczył na chodnik.

Po dwudziestu minutach marszu zatrzymał przejeżdżającą taksówkę, która dowiozła go tam, gdzie chciał. Gdy dotarł na Brimmer Street w Chestnut Hill, do georgiańskiego dworku, w którym zamierzał spędzić najbliższe dwie noce, nad widnokregiem migotało blade słońce. Rozpoczął tę samą procedurę otwierania zamka co poprzednio (wklepywanie kodu na klawiaturze numerycznej na drzwiach wejściowych), gdy nagle zauważył, że kłódka jest już otwarta, a jej klamra uniesiona.

Dziwne, pomyślał. Może agent handlu nieruchomościami zapomniał ją zamknąć?

Czy to możliwe?

Owszem, możliwe.

Tak samo jak to, że ktoś był w domu i czekał na niego.

Przesadza, próbował przekonać sam siebie, dopuszczając jednocześnie, by strach zatopił w nim szpony. Powoli otworzył drzwi. W przedpokoju panowała absolutna ciemność.

Ale pachniało tu inaczej. Michael nie potrafiłby tego wyjaśnić ani wskazać, co się zmieniło, jednak zmieniło się na pewno. Czuł coś jeszcze oprócz zapachu świeżej farby i jabłkowego cydru.

Ciekawe, zastanawiał się, czy ta woń świadczy o obecności w domu jakiegoś człowieka? A może ktoś tu był wcześniej, ale już wyszedł. Pora na oprowadzanie klientów była jednak

zbyt późna, nieprawdaż? Albo może Tanner wylapywał teraz woń, której nie wyczuł wcześniej? Ze względu na strach, atak paranoi czy cokolwiek innego, co zakłócało jego postrzeganie zmysłowe.

Przez chwilę stał nieruchomo i nasłuchiwał. Cisza.

Nie włączając światła, wspiął się po schodach na górę. Główna sypialnia znajdowała się na samym końcu ciemnego holu, za kilkoma mniejszymi pokojami i łazienką. Michael poznał rozkład pokoi podczas wcześniejszego pobytu w tym domu.

Gdy skręcił na piętrze, zobaczył światło sączące się z otwartych drzwi głównej sypialni. Zbliżał się po cichu, powoli; jego kroki tłumiała pokrywająca podłogę wykładzina. Słyszał tylko walenie własnego serca. Tutaj jeszcze mocniej poczuł ów nowy zapach.

Wszedł do pomieszczenia.

W tym samym momencie przypomniał sobie, skąd zna tę woń: zobaczył znajome nogi odziane w spodnie oraz stopy w pończochach, wystające spod tapicerowanego krzesła.

Odwróciła się i Tanner zauważył, że czytała książkę *Ragtime* E.L. Doctorowa.

– Co się stało z twoją twarzą? – zapytała Sarah.

– Moją twarzą?

Michael położył torbę i dotknął lewego policzka, który rzeczywiście wydawał się nieco za ciepły. Poczł pod palcami coś kleistego. Krew. To pewnie skutek uderzenia, kiedy fiacik wklinował się w bramkę na Harvard Stadium, a on poleciał głową do przodu.

– Ktoś cię napadł czy jak?

Pokręcił głową.

– Pojechałem do firmy zabrać kilka rzeczy.

– Zaryzykowałeś?

– To nie była dobra decyzja, jak się okazało.

– Dlaczego? Co się stało?

– Śledził mnie jakiś facet w samochodzie. I twój wozik poniósł pewną szkodę.

– Zderzył się z fiatem?

– Nie. To ja wjechałem między dwa kamienne słupki i trochę mnie pokiereszowało. Ale wszystko w porządku.

– Ośmielę się spytać: co z moim samochodem?

– Skomplikowana sprawa. Wydaje mi się, że już czas na nowy.

– Tanner! Przecież wiesz, że jestem bez forsy.

– Zajmę się wszystkim. – Nie żeby Michael miał jakieś pieniądze, gotów był jednak zdobyć dla Sarah nowiutkiego fiata.

Pokręciła głową z dezaprobatą, ale na jej twarzy odmalował się maleńki uśmiech.

– Cały ty. Jak zwykle zajmiesz się wszystkim.

– Skąd się tu wzięłaś? To znaczy... Nie zrozum mnie źle, cieszę się, że cię widzę, ale...

– Wczoraj późnym wieczorem jeden z agentów pokazywał klientom ten dom i zmienił kod w zamku. Dlatego przyjechałam kilka godzin temu, żeby cię wpuścić. Było zimno, więc postanowiłam poczekać w środku. A potem pomyślałam, że się trochę zdrzemnę i... Tanner, musimy pogadać.

– W związku z moją twarzą?

Zeszli na dół do kuchni, żeby zrobić kawę. Sarah włączyła maszynę marki Espresso stojącą na kontuarze.

Michael się skrzywił.

– Szpanerska kawa rozpuszczalna.

– Ale całkiem dobra, Tanner. Daj jej szansę.

Zgodził się na filiżankę Dharkan (wcale nie była taka zła), którą Sarah zaparzyła także dla siebie.

– Słuchaj, nie spałam całą noc. To, co się dzieje z tobą, przeraża mnie jak wszyscy diabli – powiedziała.

– Będzie dobrze – rzucił Michael. – Nie musisz się o to martwić.

Sarah spojrzała na niego uważnie, ich oczy się spotkały. Upiła łyk espresso.

– Zawsze wiem, kiedy mnie okłamujesz.

– Naprawdę nie ma się czym przejmować.

– Poza tym, że nie możesz wrócić do domu, do pracy i że prawie cię zamordowano.

– Do zabójstwa było jeszcze bardzo daleko. Proszę, nie martw się tak.

Sarah upiła kolejny łyk kawy.

– Pamiętasz, jak kiedyś wybraliśmy się samochodem w góry Adirondack, do chatki wuja Johnny’ego, i złapała nas burza śnieżna?

– Pewnie, że pamiętam.

– Mieliśmy wtedy tego starego grata, jettę. Nazywałeś go rdzewiakiem. Utknęliśmy w zaspie, pamiętasz?

Tanner zachichotał. Przypomniał sobie tamto zdarzenie: otarcie się o śmierć, to, jak Sarah o mało nie postradała zmysłów. Dopiero teraz mógł się z tego śmiać. Wtedy byli już parą od dwóch lat, a on uczył się nawigować po skomplikowanej topografii jej pięknej kobiecej osobowości.

– Koła buksowały w miejscu, pryskało na nas przez dziury w zardzewiałej podłodze, wóz nie chciał ruszyć i nagle z przeciwległego pasa wypadł ten wielki ciągnik siodłowy i zaczął się ślizgać po lodzie prosto na nas. Trzydziestosześcioletni TIR.

Michael pokiwał głową. W tamtej chwili myślał, że to ich ostatnie sekundy na ziemi. Zastanawiał się, czy powinni wygramolić się z samochodu prosto w śnieg, czy jeszcze poczekać. Postanowił pozostać na miejscu. Pamiętał, jak Sarah krzyczała przerażona. Nie chciał, by widziała jego równie wielki strach.

– Ja kompletnie straciłam głowę, a ty po prostu złapałeś mnie za rękę, superspokojny, i powiedziałeś: „Wszystko będzie dobrze, nic się nam nie stanie, nie martw się, będzie dobrze”.

– Tak?

– Pewnie bałeś się tak samo jak ja, bo byliśmy uwięzieni w tej metalowej puszcze, a wielka ciężarówka miała nas za chwilę rozgnieść jak dwa robaki. Ale ty zachowałeś spokój; musiałeś być silny dla mnie. Martwiłeś się tylko jednym, moim strachem.

– Mówiłem, że będzie dobrze. – Tanner pamiętał to dziwne opanowanie, spokojną akceptację tego, że nie mają żadnej kontroli nad sytuacją. Z zewnątrz ta obojętność mogła wyglądać na odwagę.

- I teraz zachowujesz się tak samo. Tylko że tym razem TIR na pewno w nas trafi.
- Jeśli nawet, to nie w nas, tylko we mnie. Ale i tak się wywinę.
- Jak długo, twoim zdaniem, będziesz mógł się ukrywać przed... przed tymi ludźmi, kimkolwiek są? Ty sam przeciwko nie wiadomo ilu ludziom, przeciwko całemu pieprzonemu rządowi!
- Po pierwsze, rząd Stanów Zjednoczonych nie ma w zwyczaju mordować obywateli amerykańskich...
- Och, nie wiem, czy to do końca prawda. Prezydent ma uprawnienia do zabijania Amerykanów na terenie kraju.
- Kochanie, to wszystko niedługo ucichnie. Jestem tego pewien. – Michael odstawił filiżankę z espresso.
- Dlatego, że masz jakiś plan?
- Tak. To znaczy jeszcze nie. Ale będę miał.
- Tanner! – zawołała Sarah. Płakała, po policzkach spływały jej łzy, poczerwieniała. – Nie mogę cię stracić.
- Hej – powiedział Michael bardzo miękko i objął żonę ramionami. Wtuliła się w niego. W pokoju panował chłód, dlatego tym mocniej poczuł ciepło jej ciała.
- Nie mogę cię stracić – powtórzyła i pocałowała męża w usta. Łzy na jej twarzy były gorące.

– Ma pani chwilę? – zapytał Will.

Senator Susan Robbins siedziała w swoim gabinecie, rozmawiając z dyrektorem do spraw legislacyjnych. Drzwi pozostawały otwarte, co oznaczało, że szefowa realizuje zwykły, rutynowy obowiązek, nie przejmując się ewentualnymi obserwatorami.

Dziś miała na sobie strój barwy ametystu; Abbott nauczył się już, że kolor ten różni się od fioletu. Oznaczało to, że Susan chce podnieść sobie nastrój w dniu nudnego posiedzenia komisji. Wszystkie jej garsonki pochodziły od Eliego Tahariego (czyli prezentowały tak zwany Taharistyle), ale ta należała do najstarszych z kolekcji. Tu i ówdzie było to już widać.

Szefowa podniosła wzrok znad sterty papierów, którą trzymała w obu rękach. Znów to porażające spojrzenie ponad okularami do czytania à la Benjamin Franklin.

– Coś pilnego?

Naprawdę sądzisz, że przerywałbym ci spotkanie, gdyby to nie było ważne? – pomyślał Will. Skinął głową.

– No tak, chyba.

– Samantha – powiedziała Susan – możemy do tego wrócić troszkę później? W porządku, Will, wejdz. Sam, zamknij za sobą drzwi, dobrze?

Na lewo od biurka szefowej stała wielka amerykańska flaga, teraz zwinięta, natomiast po prawej – również zwinięty sztandar stanu Illinois. Pomiędzy nimi wisiał obraz przedstawiający panoramę Chicago, dzieło jakiegoś uznanego tamtejszego malarza, w stylu nieco pointylistycznym, nawiązującym do maniery Georges'a Seurata. Nigdzie nie było widać rodzinnych fotografii – w tej sprawie Abbott różnił się od pani senator. Ona upierała się bowiem, że kto jak kto, ale kobiety w polityce nigdy nie powinny obnosić się ze swoją rodziną.

– Przesłuchiwali już panią? – zapytał Will, gdy tylko drzwi się zamknęły.

– Kto?

– BOS.

– Jaki... BOS? Bank Ochrony Środowiska?

– Biuro Ochrony Senatu.

– Niby dlaczego...?

– Czyli jeszcze nie przesłuchiwali. To dobrze. – Abbott wcale nie sądził, że zdążyli już to zrobić. W przeciwnym razie szefowa natychmiast by się u niego zameldowała.

– Przesłuchanie? W jakiej sprawie?

Will wolno wciągnął powietrze do płuc.

– Dokumentów.

– Z laptopa? Chodzi o ten cholerny komputer? Już wiedzą?

– Nie, nie mają o nim pojęcia. Przynajmniej o ile mogłem ustalić.

– W takim razie czego szukają, do diabła?

– Uważają, że ktoś skopiował ściśle tajne informacje.

Abbott zobaczył, jak twarz szefowej tężeje i marszczy się pod wpływem strachu.

Pokręciła głową, co zapewne znaczyło: Nic nie rozumiem.

– Pewien dziennikarz wykonał sporo telefonów, pytając o program NSA.

– CHRYSALIS?

– Prawdopodobnie tak.

– Czy to może doprowadzić ich do mnie?

– Nie doprowadzi.

– Ale co będzie, jak ten facet z Bostonu przekaze mój komputer WikiLeaks albo innej podobnej witrynie internetowej, sam wiesz...

– Do tego nie dojdzie.

Senator ściszyła głos do nerwowego szeptu.

– Tylko że nadal nie masz komputera! Gdzie on jest?

– Pracuję nad jego odzyskaniem, ale nie musi pani znać szczegółów.

– A jaką mam przyjąć strategię, gdyby jednak chcieli mnie przesłuchać? Po prostu zaprzeczać, zaprzeczać i jeszcze raz wszystkiemu zaprzeczać?

– Nie będzie pani miała pojęcia, o czym oni mówią.

– Ale oni mają chyba jakieś sposoby, żeby ustalić, kto i kiedy korzystał z komputera?

Dane logowania czy coś takiego?

– Trudno powiedzieć, co ustalili. Pewne jest tylko to: gdyby o mnie wiedzieli, tak łatwo nie wypuściliby mnie z rąk. W ogóle nie pozwoliliby mi stamtąd wyjść.

– Więc twoim zdaniem oni nie mają pojęcia, kto to zrobił?

– Ktoś z komisji, tylko tyle wiedzą.

– Ale Gary chyba nie zna prawdy, co?

– Nigdy bym mu nie powiedział.

– Nie... ufasz mu?

Nagle Will wpadł na pewien pomysł.

– Sam zadaję sobie to pytanie. Może... może warto byłoby wymienić jego nazwisko podczas przesłuchania?

– Nazwisko Gary'ego?

Abbott kiwnął głową.

– Myśl, że to on za tym stoi, nie jest znowu taka niedorzeczna.

- Przecież brak jakichkolwiek podstaw do oskarżenia...
 - Będzie się pani po prostu głośno zastanawiać. To wszystko. Takie drobne spekulacje. Ale ponieważ będą czynione przez panią, zostaną potraktowane poważnie.
 - Hm – mruknęła senator. – Interesujące.
 - To może zmylić trop. Niech skierują swoje podejrzenia na kogoś innego. A tymczasem ja odzyskam ten komputer.
- Nastąpiła długa cisza, której Will nie chciał przerywać. Wiedział, że szefowa pogrążyła się w myślach, że rozważa ten pomysł. Niech go spokojnie przetrawi.
- Bardzo ciekawa inicjatywa – odezwała się wreszcie.
- Uśmiechnął się i kiwnął głową. Wiedział, co to oznaczało, ale nie chciał wywierać zbyt silnej presji. Senator Robbins zamierzała wziąć sprawy w swoje ręce.

Ta gra przypominała partię szachów, czego Will był świadomy. Trzeba poświęcić pionki, jeśli chce się uniknąć mata. I zawsze mieć przed oczami dalszą perspektywę. Abbott odrobił tę lekcję już w pierwszym roku pracy na stanowisku szefa personelu Susan Robbins.

Pojechał wtedy do swego rodzinnego domu w Greenville odwiedzić chorą mamę. Kiedy tam przebywał, odebrał telefon od starej przyjaciółki matki, pani Karabell, która poprosiła go o pomoc.

Jak twierdziła, władze gminy wykorzystują swoją uprzywilejowaną pozycję, aby pozbawić ją fermy kwiatowej, a należący do niej grunt przekazać chemicznemu gigantowi Carmichael Corporation.

Will był oburzony, obiecał starszej pani, że wszystkim się zajmie.

Jako uczeń szkoły podstawowej należał do tak zwanych dzieci z kluczem na szyi – oboje rodzice pracowali, mama dodatkowo sprzedawała nieruchomości – dlatego mały Will często przesiadywał w domu pani Karabell. Nie miał zbyt wielu przyjaciół, a panią Karabell traktował jak drugą matkę. Lekcje odrabiał zawsze przy stole w jej kuchni. Czekają tam na niego ciasto czekoladowe i szklanka zimnego mleka. Zimą gospodyni robiła najlepszą gorącą czekoladę, jaką Will pił w całym swoim życiu. Uwielbiał panią Karabell.

Dlatego zaraz po powrocie do Waszyngtonu udał się do gabinetu szefowej i oznajmił, że przychodzi z prośbą o przysługę. Należało pomóc starszej pani i jej kwiatowej fermie.

Will nigdy nie zapomniał, co Susan Robbins mu wtedy odpowiedziała.

- Masz rację, mogłabym zadzwonić i uratować te cztery akry petunii. Ale pozwól, że poszerzę twoją perspektywę. Wszystko jest ze sobą powiązane, Will. Jeśli wykonam ten jeden telefon do twojego miasteczka, kwiatki pozostaną tam, gdzie są, ja sama pozyskam głos pani Karabell, a także dozgonną wrogość ze strony Carmichael Corporation. I wiesz, co się wówczas stanie?

Abbott pokręcił głową, nieomal zahipnotyzowany przez błękitne oczy senator, które wpatrywały się w niego.

– Podczas najbliższych prawyborów odkryję, że mam zaskakująco dobrze przygotowanego i dysponującego sporymi środkami konkurenta. Zapewne go pokonam (albo ją), tylko że wtedy w prawdziwej kampanii wyborczej wyskoczy z kapelusza jeszcze inny przeciwnik polityczny z równie wielkimi funduszami. I nie ma gwarancji, że zachowam swój stołek. Może tak, może nie. Ale na pewno stracę kilka atutów, wyjdę z tego osłabiona, jak ptak ze złamanym skrzydłem. Stanę się łatwym celem dla wszelkiego typu politycznych oportunistów.

– Okej – rzekł Will, jednak szefowa jeszcze nie skończyła.

– Za dwa lata będę się ubiegać o reelekcję. I chcę, żebyś teraz ujrzał te wszystkie wspaniałe rzeczy, których nie zrealizujemy, te pożądane zmiany legislacyjne, których nie zdołamy wprowadzić w życie dlatego, że zdobyłam się na pewien dobry uczynek, a potem pomyśl o czterech akрах petunii należących do pani Karabell. Naprawdę chcesz, abym wykonała ten telefon, Will?

Po pewnym czasie Abbott znów wybrał się do Greenville i poszedł odwiedzić starą przyjaciółkę matki. Cudowną panią Karabell, kobietę z rakiem piersi, poruszającą się za pomocą balkonika i całkowicie finansowo zrujnowaną. Powiedziała:

– Nic nie rozumiem.

Will popatrzył jej prosto w oczy, bezwiednie naśladowując głębokie spojrzenie senatora Robbinsa. I skłamał. Wymyślił jakąś bajeczkę. Czuł się jak ostatni gnojek. Wiedział, że postąpił właściwie, co jednak nie poprawiło mu gównianego nastroju.

Zetknął się z ohydą związaną ze sprawowaniem władzy. Czasami zrobienie tego, co rozsądne, wywołuje w człowieku mdłości.

Sarah obudziła męża, potrząsając jego ramieniem.

– Przepraszam, Tanner, ale musisz wstawać.

Była naga, w wolnej ręce trzymała jakiś przedmiot. Poczł zapach kawy.

– Która godzina? – Michael zerknął na zegarek, jednak wzrok miał zbyt rozmyty, by cokolwiek dostrzec.

– Szósta trzydzieści. Za godzinę przychodzą klienci.

– Kto chce oglądać domy o wpół do ósmej rano?

– Najlepiej rokujący nabywcy, zapewniam. – Sarah podała mu espresso. Jej piersi były drobne i kształtne, z jasnoróżowymi brodawkami, które sterczały jak małe wzgórki. Tanner przypomniał sobie słowa pewnego powieściopisarza porównującego kobiece piersi do dwóch gałek najdelikatniejszych lodów waniliowych; w przypadku Sarah opis zdawał się trafny.

– Większość prezentacji domów mam w weekendy.

– Kawa rozpuszczalna – powiedział Michael. – Pycha.

– Wczoraj wieczorem jakoś nie plućś nią z obrzydzeniem. Dlatego uznałam, że ci smakuje.

– Trafiony zatopiony. – Uśmiechnął się szeroko i upił łyk. Jego ubrania walały się po całym dywanie. – Dziękuję.

– Za co?

– Za kawę. – Tanner znów wyszczerzył zęby.

Odzież Sarah także leżała na podłodze. Podniosła majtki, założyła je, a potem to samo zrobiła z czarnym koronkowym stanikiem, który zapięła najpierw na piersiach, a potem odwróciła na plecy tak, by znalazł się we właściwej pozycji.

– Tanner – rzuciła. – Chcę spieniężyć swoje udziały.

– Czemu nie? – Michael był teraz całkowicie pewny (no, prawie), że żona niedługo wróci do domu, do niego.

Obrzuciła go figlarnym spojrzeniem, nachyliła się i musnęła jego wargi.

– Bo nie chcę stracić tej forsy.

– Dzięki – odrzekł Tanner z udawanym grymasem niezadowolenia.

– Nie, to nie tak – dodała szybko Sarah. – Bo nie chcę stracić ciebie.

Sarah wyszła z domu pierwsza, pozostawiając Michaelowi pościelenie wielkiego nadmuchiwanego łóżka. Miał też dopilnować, aby w głównej sypialni nie pozostało nic podejrzanego. Następnie wręczyła mężowi wydrukowaną listę domów na sprzedaż, obok trzech pierwszych znajdowały się numery kodów do zamków w drzwiach.

Zanim Michael ulotnił się z willi, najpierw uważnie przyjrzał się okolicy z okna salonu. Chciał mieć chociaż minimum pewności, że nikt na niego nie czeka. Najwyraźniej nie czekał.

Wyszedł frontowymi drzwiami, zamknął je na kłódkę i zszedł po schodkach. Na ramieniu miał sportową torbę. Gdy uciekał z Harvard Stadium, nie widział żadnej osoby, która mogłaby go śledzić. Wyglądało na to, że nikt nie wie o tymczasowym lokum Michaela.

Nie miał samochodu, a bez iPhone'a – dopiero po chwili Tanner przypomniał sobie, że zostawił go w biurku w swojej firmie – nie mógł zadzwonić po Ubera. Przeszedł więc pieszo kilka ulic dzielących go od Beacon Street, gdzie dawało się już zatrzymać taksówkę. Najpierw jednak zdecydował się wstąpić do delikatesów na kanapkę z sadzonym jajkiem i kubek kawy. Kawa smakowała, jakby była przypalona. Stamtąd zadzwonił do Lucy Turton, która była jeszcze w domu; rozmawiali kilka minut na tematy służbowe. Następnie wybrał numer Karen – jechała właśnie do pracy samochodem. Michael pozwolił jej się wygadać, a potem omówili listę potencjalnych klientów: zarówno tych, którzy dobrze rokowali, jak i tych, z którymi nie dało się już nic zrobić. Biznesmen podziękował swojej dyrektor do spraw sprzedaży, zapewniając, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Potem przywołał taksówkę.

W drodze do siłowni Tanner kupił butelkę wody od pulchnego Nepalczyka, który miał stoisko z owocami przy Tremont Street.

– Dzień dobry, Ganesh. Jak tam twoja siostra?

– To był tylko kamień żółciowy – odparł sprzedawca. – Czuje się już znacznie lepiej.

– To dobrze.

Przez godzinę Michael biegał na orbitreku. Potrzebował solidnego treningu, bo w końcu nie ćwiczył od wielu dni, a pełne sześćdziesiąt minut treningu cardio powinno go uspokoić i choć trochę uwolnić od stresu.

I tak się stało. Przebrawszy się, schował do szafki zarówno przeпоcony strój, jak i swoją torbę sportową. Kliknął w mosiężny kombinacyjny zamek i zakręcił tarczą wybieraka. Potem wszedł po schodach na górę, pchnął szklane drzwi i znalazł się na Tremont Street.

Nagle poczuł czyjś wzrok. Obejrzał się, czujny i w pełnej gotowości, ale nie zauważył nikogo podejrzanego. Mimo to Michael był pewien, że jego podświadomość coś wychwyciła. Trwały godziny porannego szczytu, ulica była pełna ludzi zmierzających we wszystkich kierunkach. Poczuł zapach perfum mijającej go kobiety.

Wtedy ktoś lub coś złapało go za prawy nadgarstek, a gdy spróbował się odwrócić,

unieruchomiono mu również lewą rękę. Zdołał ją wyrwać, a następnie zamachnąć się pięścią w tego, kto próbował go atakować. Ze sporą siłą pięść trafiła w męską twarz. Michael poczuł, że coś pęka. Jego kłykcie natychmiast zaczęły pulsować bólem, był jednak pewny, że nos napastnika oberwał znacznie bardziej.

Nagle coś go użądliło w kark, może osa albo szerszeń. Drgnął, skrzywił się, szarpnął ciałem, prawym łokciem walnął w tego, kto go przed chwilą ukłuł, a następnie kopnął jednego z napastników w krocze. Ogarniało go jednak dojmujące wrażenie, że roztopia się niczym kostka masła w mikrofalówce. Nie mógł już zebrać sił do walki. Machnął pięściami w kierunku podbrzusza przeciwnika, choć było to bezcelowe; Michael był teraz słaby jak dziecko.

Zatoczył się w stronę krawężnika, gdzie stał jakiś SUV z otwartymi tylnymi drzwiami. Zdołał jeszcze krzyknąć i szarpnąć rękami i nogami – nie po to, by się uwolnić, lecz aby zwrócić uwagę przechodniów na porwanie w biały dzień. Potknął się, pozbawiony sił. Dwóch napastników dźwignęło go i przeniosło do samochodu tak, że nie dotykał stopami gruntu.

Scenie tej przyglądało się kilka osób z zaskoczeniem na twarzach, nikt jednak nie podniósł alarmu ani nie zrobił nic, aby Michaela ratować. Musiał wyglądać na pijaczka, który włóczy się po okolicy. Albo pacjenta szpitala psychiatrycznego.

Wrzucono go na siedzenie czarnego suburbana, to znajdujące się bezpośrednio za kierowcą. Dwaj mężczyźni zajęli miejsca po bokach. Jeden skuł go, a drugi, ten z prawej, założył Michaelowi okulary ochronne. Były czarne, matowe i nieprzejrzyste. Następnie wsadzili mu na głowę wygłuszające słuchawki i natychmiast wszystko ucichło. Tanner nie widział i nie słyszał prawie nic, był też absolutnie bezsilny.

W uszach rozlegał się piskliwy, choć odległy szum elektroniczny. A potem ze słuchawek dobiegł Michaela ostry męski głos.

– Pan-nie Tanner. – Usłyszał głos, który zdawał się dochodzić bezpośrednio z wnętrza jego czaszki. – Michaelu Evanie Tannerze. – Południowy akcent. Słowa wypowiedane z oficjalną intonacją, jak wtedy, gdy obwieszcza się przybycie kolejnego dygnitarza na bal u króla. – Niełatwo pana znaleźć.

– Ale wam się udało – odparł Michael, niepewny, czy w ogóle wypowiada to na głos. Spróbował znaleźć w sobie odrobinę spokoju, lecz nie umiał spowolnić galopady serca.

– Och, zawsze się nam udaje – stwierdził głos.

Po chwili ciało Tannera owładnęło ciepło; niczego już nie czuł i nie widział.

Senator Robbins siedziała za biurkiem i jadła sałatkę. Właśnie wróciła z dwóch lunchów połączonych ze zbieraniem środków finansowych, nie lubiła jednak spożywać posiłków w obecności innych ludzi. Z wyjątkiem Willa, z czego był on potajemnie dumny. Machnęła mu plastikowym widelcem i skończyła żuć to, co miała w ustach. Will zamknął drzwi gabinetu.

– Nie mam żadnych wiadomości – zaczął, siadając na krzesło dla gości. – A przynajmniej żadnych dobrych wiadomości. Ale musimy porozmawiać o hipotetycznej sytuacji, że sprawa się jednak wyda. Szydło wyjdzie z worka. Ponieważ to jest bardzo, bardzo duże szydło.

Szefowa przyglądała się swojemu szefowi personelu dość długo, zanim rzuciła słowo:

– CHRYSALIS?

Will się zawahał.

– A także o tym, że zaakceptowała pani ten program.

– Niechętnie. Poszłam za większością komisji.

– Dużo na ten temat myślałem. Nazwą panią marionetką NSA. – Susan Robbins znana była jako osoba wspierająca służby wywiadu, lecz jednocześnie darząca je „szorstką miłością”. Wnioski budżetowe agencji zawsze obcinano, chętnie powołując się na słowa pani senator: „Wszyscy musimy robić więcej za mniej, nie wyłączając naszych prężnych tajnych służb”. Jednak publicznie krytykowała je rzadko.

– Och, więc czeka nas cholernie burzliwa, gówniana dyskusja.

– Burzliwa dyskusja? Szefowo, to będzie raczej ogromna asteroida z gównem, która walnie w cały kontynent. To znaczy, w sensie politycznym jesteśmy na etapie życie albo śmierć, okej?

Susan Robbins sprawiała wrażenie zaskoczonych intensywnością tej wypowiedzi. Bezbarwnym głosem poleciła:

– Mów dalej.

Will myślał o CHRYSALIS. O tym przekętym CHRYSALIS, produkcie najwybitniejszych umysłów z NSA. Przykładzie najbardziej zaawansowanej wirtuozerii technicznej. CHRYSALIS zapewniłby agencji niedający się wykryć dostęp do kamer we wszystkich telefonach, w komputerach stacjonarnych, we wszystkich laptopach i innych osobistych urządzeniach cyfrowych. Użytkownik nie byłby nawet tego świadomy. Setki milionów obiektów zmienionych w wiecznie czuwające elektroniczne nianie. Oczywiście

nie skąpiono zapewnień, że terabajty danych będą gromadzone tylko na podstawie danego algorytmu, a następnie magazynowane, i że nigdy nie zobaczy ich żaden człowiek w roli obserwatora. Bla, bla, bla. No, chyba że tajny sąd uzna to za niezbędne dla dobra śledztwa.

Abbott wstał i podszedł do bocznej krawędzi biurka. Odezwał się cichym, nagłym tonem:

– Wie pani, jak to się rozegra, tak? Kiedy już prawda ujrzy światło dzienne? Media odpowiednio wszystko odmalują. Miliony ludzi, obywateli amerykańskich, nagrywanych wbrew swojej woli w najbardziej intymnych sytuacjach. Kiedy pierdzą, dłubią w nosie, onanizują się przy pornografii, srają. Każdy cholerny laptop, komórka i cokolwiek, co ma kamerę, zmienione w stale otwarte, gapiące się oko.

Senator przymknęła powieki i pokręciła głową.

– Kiedy prezentowali ten projekt, mówili zupełnie coś innego, mieli usta pełne bredni o jakichś optycznych informacjach zwrotnych i o pełnej kontroli nad przestępcami. Że całość obserwować będą tylko maszyny, nie ludzie. Brzmiało to rozsądnie, wydawało się bezpieczne, a nawet konieczne.

– To powszechna inwigilacja. Amerykańska opinia publiczna dostanie szału.

Szefowa przyglądała się Abbottowi dłuższą chwilę.

– Will, sądzisz, że popełniliśmy błąd?

My? – pomyślał. Przecież wtedy starał się ją od tego odwieść! No, ale nie, przecież istnieje ISIS, istnieje Al-Kaida, a w zeszłym roku doszło do tych tragicznych w skutkach ataków terrorystycznych i wyborcy żądali, aby spadło parę głów.

– Wydaje mi się, że to teraz zupełnie bez znaczenia – odparł Will. – Już krążą plotki, że władze dysponują metodami umożliwiającymi im aktywowanie kamer w komputerach osobistych. Ludzie poczują się upokorzeni, a nawet zgwałceni, i przyjdą po nas z widłami i pochodniami w ręku. Nie będzie przebaczenia ani negocjacji.

– Will, ale przecież naprawdę do tych danych nie będzie dostępu, chyba że...

– Chyba że jakiś tajny sąd wyda potajemną zgodę na ich przeanalizowanie, bez żadnego realnego nadzoru. Tak właśnie zostanie to zinterpretowane. Że mieszamy z błotem święte prawa ojczyzny, że zmieniamy ją w... w plan filmowy. Każdy dom stanie się przezroczysty, jak ze szkła. Wielki Brat patrzy. Nie mówię teraz, czy ten program jest słuszny, czy nie. Mówię, jak będzie postrzegany. Nie zostawią na nim suchej nitki. CNN podkreśli sprawę maksymalnie. *Ach, ci amerykańscy senatorowie właśnie zlikwidowali naszą prywatność.*

– Jeśli zdołalibyśmy wszystko odpowiednio wyjaśnić...

– Susan, przecież już pierwszego dnia nauczyła mnie pani najważniejszej zasady obowiązującej w polityce: gdy zaczynasz się tłumaczyć, to znaczy, że przegrałeś.

Willowi przemknęło przez myśl, że zagalopował się w tej szczerości i otwartości. Spodziewał się rozżłoszczonego spojrzenia szefowej, jednak – ku swemu zaskoczeniu – ujrzał na jej twarzy ból.

– Rodzi się też pytanie, co będzie, jeżeli NSA się o nas dowie.

– Nie wolno do tego dopuścić. Użyją tego przeciwko mnie, zaszantażują, zechcą mnie kontrolować. Zmienią w swoją marionetkę, będę sterowana linkami trzymanymi przez ich oślizłe łapy. Zdajesz sobie sprawę, że do tego nie może dojść? Nie pozwól, aby do tego doszło.

– Nie pozwolę – obiecał Abbott. – Mam plan. Być może wyjadę na parę dni, ale Jodie wszystkim się zajmie.

– Świetnie.

– Czuwam nad sprawą.

Tanner uświadomił sobie, że rozmawia, a właściwie mamrocze do kogoś, kto siedzi naprzeciwko niego w jakimś bardzo białym pomieszczeniu. Wzrok miał zamglony, wszystko wydawało się przedziwnie jasne. Czuł się tak, jakby miał kaca. W końcu w postaci po drugiej stronie stołu rozpoznał kobietę o blond włosach.

– Brata i siostrę – wybełkotał. Chyba zapytano go właśnie, czy ma rodzeństwo. Kim była ta babka zadająca pytania i gdzie się, do cholery, znajdował? Było mu zimno w stopy. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma obuwia, tylko same skarpetki.

– Hej, gdzie są moje buty, do diabła? – zawołał ochryple.

Siedział w białym pokoju, w którym nie było chyba nic poza długim stołem i blondynką naprzeciwko. Za jej plecami na ścianie znajdowało się wielkie lustro. Tanner miał na sobie to samo ubranie co wcześniej, zdjęto mu tylko pasek i buty.

Czuł ból w wielu częściach ciała. W kłykciach lewej ręki, w prawym boku, u podstawy karku – tam, gdzie użądliła go osa. Nie, przypomniał sobie nagle, nie osa, tylko raczej igła, strzykawka podskórna. Spory fragment tylnej części ramienia wydawał się posiniaczony i również bolesny. Podobnie jak lędźwie, zwłaszcza w okolicach prawej nerki, teraz obandażowane.

Michaelowi powoli wracała pamięć: złapali go po wyjściu z klubu sportowego, walczył z dwoma facetami, którzy musieli mu coś wstrzyknąć, a potem wnieśli go na tył jakiegoś SUV-a. Założono mu czarne gogle i słuchawki na uszy, tak że nic nie widział ani nie słyszał.

– Gdzie się urodziłeś? – kontynuowała kobieta.

– Dość – powiedział Tanner powoli. – Koniec z tym. Gdzie ja, kurde, jestem?

– To już nie potrwa długo.

– W ogóle nie potrwa. Nie będę odpowiadał na żadne pytania. Chcę wiedzieć, co to za miejsce. Jestem aresztowany czy nie? O co tu chodzi?

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna.

– Wybacz, Deborah. Ja przejmę tę rozmowę. Dziękuję – powiedział.

Był w średnim wieku, lekko zgarbiony, ubrany w źle skrojony, granatowy garnitur i frakową koszulę bez krawata. Miał krótkie ciemne włosy, które wydawały się ufarbowane, z niewielką grzywką na wysokim czole.

Na pobrużdżonej, dziobatej twarzy mężczyzny ukazał się krzywy uśmiech. Była to swojska twarz, w jakiś sposób życzliwa i przyjazna.

Deborah wstała z podkładką do pisania w rękę, po czym wyszła z pomieszczenia.

– Kim pan jest? – zapytał Tanner.

– Mam na imię Earle. – Mężczyzna wyciągnął dłoń, jak do uścisku.

Michael zignorował ów gest. Facet pachniał mydłem Irish Spring.

– Ty jesteś Michael? Mike?

– Nazywam się Tanner.

– W porządku, panie Tanner. – Mężczyzna mówił z wyraźnym południowym akcentem. W jego głosie kryło się coś szorstkiego i ostrego, jak piła tarczowa. Głos wydawał się znajomy. To on rozbrzmiewał w słuchawkach zaraz po tym, jak został porwany.

– Masz jakieś nazwisko, Earle?

– Sądzę, że imię w zupełności panu wystarczy. Nieźle pan przyłożył mojemu koledze Joshowi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Niemal na pewno złamał mu pan nos.

– Ach tak. Gość nadział się na moją pięść.

– Sprowadziliśmy tu pana z następującego powodu: otóż znalazł się pan w posiadaniu pewnego laptopa, który nie należy do pana, a na którym znajduje się wiele ściśle tajnych dokumentów. Zgodzi się pan ze mną przynajmniej co do tego, panie Tanner?

– Kim jesteście?

– Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Pewnie pan o nas słyszał. – Ponieważ Michael nie odpowiedział, dziobaty kontynuował: – Przejdę od razu do rzeczy. Musi pan niezwłocznie oddać ten sprzęt.

– Zechciecie mi powiedzieć, o jakim laptopie mowa?

Earle westchnął niczym rozczarowany ojciec krnąbrnego syna.

– Panie Tanner, niech pan nie marnuje mojego czasu. Swojego zresztą też. Nasza agencja ma wszelkie prawo czytać pańską pocztę elektroniczną, pańskie esemesy i tak dalej. Nie tylko pańskie, ale także wszystkich, z którymi się pan kontaktował. Włącznie z korespondencją pańskiej żony, z którą jest pan chyba w separacji, pańskich przyjaciół oraz pracowników Tanner Roast.

– Czytaliście moje mejle i słuchaliście moich rozmów telefonicznych, do jasnej cholery?

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując garnitur krzywych zębów.

– Nie powiedziałem, że to zrobiliśmy. Podkreśliłem jedynie, że mamy do tego prawo, zagwarantowane nam przez obowiązujące w Stanach Zjednoczonych ustawy. Rzecz całkowicie legalna.

– Tak jak kiedyś niewolnictwo.

– Racja.

– To tyle, jeśli chodzi o moje konstytucyjne prawo do prywatności.

– Prywatności? – Earle pokręcił głową. – Daj pan spokój. Nie ma już czegoś takiego.

– Kto tak twierdzi?

– Mógłbym się założyć, że kiedy ostatnio aktualizował pan oprogramowanie na swoim komputerze, kliknął pan w taki mały prostokącik z napisem „Zgadzam się”. Prawda? Ale czy przeczytał pan uważnie to, na co się zgadza? Bo kto, do cholery, miałby ochotę czytać dwanaście tysięcy wyrazów zapisanych czcionką rozmiaru siedem, co? Dlatego nie wie pan, co tam było napisane. A gdyby to dotyczyło pańskiego pierwszego dziecka? Albo oznaczało zaciągnięcie długu? Witamy w Ameryce, kraju „Kliknij, że się zgadzasz!”. Pan nie czytał zapisów o polityce prywatności, a nawet gdyby, to i tak by ich pan nie zrozumiał.

– To nie ma nic wspólnego z...

– Fitbit wie, ile czasu pan ćwiczy i jak długo pan śpi, Netflix wie, kiedy przestaje pan oglądać *Wichry namiętności* albo gdy się pan objada przy *Bogatych bankrutach*. Udostępnia pan dane o wszystkich swoich preferencjach zakupowych tylko po to, aby zaoszczędzić parę groszy na miodowo-orzechowych płatkach Cheerios. – Earle podrapał się w czubek głowy, muskając włosy. – Zapomnijmy o prywatności, bo tak naprawdę wszystkim nam chodzi tylko o wygodę. Piszemy do siebie prywatne mejle, wiedząc, że pracodawca ma prawo je przeczytać, myślę się? Ilekroć korzysta pan ze SpeedPassa, wjeżdżając na autostradę, płaci kartą debetową w Walmarcie albo gdy kupuje jakieś leki w aptekach CVS, zostawia pan ślad. Ma pan w samochodzie OnStar, a w komórce Waze? Wie pan, że te programy śledzą każdy pański krok, a nawet jego szybkość, a pozyskane dane sprzedaje się pierwszemu chętnemu? Bo jeśli pan tego wszystkiego nie wie, to nie jest pan tak bystry, jak myślałem. Naprawdę wierzy pan jeszcze w prywatność? Gdy chodzi pan ulicami miasta, kamery monitoringu robią panu zdjęcia. Wszędzie zamontowane są automatyczne czytniki tablic rejestracyjnych. Google wie o wszystkim, co wyszukiwał pan w sieci. Nasze życie jest cały czas sprawą publiczną, czy to się nam podoba, czy nie. Godzinami siedzimy na Facebooku, zamieszczamy zdjęcia z kolacji albo ciasta upieczonego według telewizyjnej receptury, ogłaszamy wszystkim „doniosłe chwile” w naszym życiu, że na przykład Matt skończył szkołę, Kelly miała bierzmowanie, a najmłodsze dziecko chrzest. Ogłaszamy swoje poglądy polityczne, informujemy o naszych muzycznych gustach, a także o tym, co sądzymy o Donaldzie J. Trumpie. Ale najlepiej rozumieją to wszyscy dzieciaki. One wiedzą, że nasze życie jest teraz całkowicie jawne. Ciągłe przesiadują na Twitterze, na Instagramie albo Snapchacie – oczywiście, kiedy akurat nie piszą esemesów. Mówią sobie wszystko, wszystko wrzucają do sieci, bez zastanowienia. Zdają sobie sprawę, że coś takiego jak prywatność już nie istnieje. Wszyscy uwielbiamy portale społecznościowe, uwielbiamy wygodę i tak naprawdę – lubimy się odsłaniać. To jest przezroczyste społeczeństwo. I wie pan co? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Domyśla się pan, dlaczego w Nowym Jorku spadła przestępczość? Bo nagle wszyscy stali się miłsi, a gliny lepsze w swoim fachu? Nie, do diabła – to dzięki kamerom! Są na każdym kroku, a przed kamerami zachowujemy się grzeczniej – tak po prostu jest. Bycie obserwowanym zmusza do uprzejmości,

przyjacielu, zawsze tak było. Jeśli nie ma się nic do ukrycia, nie trzeba się bać.

Tanner gapił się na Earle'a, który wreszcie zamilkł.

– Ten laptop nie należy do was.

– Natomiast tajne dokumenty, które zawiera, są wyłączną własnością Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Dotyczą bezpieczeństwa państwa i zgodnie z prawem, kiedy zażądamy ich wydania, ma pan obowiązek to zrobić. Sprawa własności komputera jest bez znaczenia. Tak mówią przepisy. W sumie to bardzo proste.

– Naćpaliście mnie czymś.

Earle wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– Jestem pełnoprawnym obywatelem Stanów Zjednoczonych, a wy...

– Panie Tanner, pozwoli pan, że wyjaśnię panu jego sytuację. Wchodząc w posiadanie i przetrzymując tajne dokumenty istotne dla bezpieczeństwa kraju, pogwałcił pan artykuł osiemnasty federalnego kodeksu karnego, sekcja siedemset dziewięćdziesiąt trzy. Który powiada mniej więcej tak: Kto „otrzymuje lub pozyskuje” dany dokument mający związek z obronnością państwa, popełnia przestępstwo i podlega karze do dziesięciu lat pozbawienia wolności.

– Nie mam pojęcia, co jest na tym laptopie. Mówi pan, że są tam jakieś tajne dokumenty. Dobra, pewnie, może i są, ale skąd ja miałem o tym wiedzieć?

– Prawda jest taka, panie Tanner, że przekazał pan informację o tych dokumentach pewnemu dziennikarzowi, wiedząc, że są tajne, z domniemanym zamiarem ich opublikowania. A kilka dni później wyprowadził się pan z domu i zniknął. Powie mi pan teraz, że to nie jest podejrzane zachowanie?

Michael milczał. Po kilku sekundach Earle podjął:

– Niech pan na to spojrzy z następującej perspektywy: prowadzi pan firmę, która wymaga podróży do Gwatemali, Hondurasu, Ekwadoru i Nikaragui, czyli krajów, w których CIA od zawsze prowadziła działania na szeroką skalę.

– Zgadza się. Bo tam kupuję kawę.

– Idealna przykrywka. Dokładniej mówiąc: spreparowana legenda. Michael Tanner, kupiec kawy. Świetna rola do odegrania, kiedy jest się tajnym agentem i trzeba sporo podróżować. Do krajów, gdzie działają różne partyzantki, szwadrony śmierci, gdzie mieszkają zamożni ludzie, którzy niczego nie zapominają.

– Co za brednie.

– To by wyjaśniało, dlaczego zatrudnia pan znakomicie przeszkolonego byłego żołnierza, specjalistę. – Earle wzruszył ramionami. – Osobiście nie chcę rozstrzygać, czy jest pan obcym szpiegiem, czy zwykłym zdrajcą. Ale niektórzy z moich kolegów, w tym przede wszystkim mój przełożony, sprawdzili pański życiorys i żywią głębokie obawy. Podam panu przykład. Kiedy Deborah pytała, czy mieszkał pan kiedyś za granicą, tak się jakoś dziwnie złożyło, że zapomniał pan wspomnieć o roku studiów w Moskwie. Uważam ten fakt za

interesujący. Kaze nam się zastanawiać, czy jest w pańskim życiu coś, o czym nie wiemy.

Oczywiście: Earle musiał obserwować Michaela przez weneckie lustro wiszące na ścianie.

– Nie mam zielonego pojęcia, co mówiłem pod wpływem narkotyków.

– O nic pana nie oskarżam, panie Tanner. Opisuję tylko, jak to wszystko wygląda. Staram się przekonać swoich współpracowników, że jest pan porządnym człowiekiem, który popełnił brzydki błąd. I sądzę, że miewa pan fart. A raczej, powinienem powiedzieć:iefart. W jakiś sposób wszedł pan w posiadanie czyjegoś laptopa. Stwierdził pan, że znajdują się na nim ciekawe materiały, być może warte opublikowania, więc skopiował je pan na pendrive'a, który następnie przekazał pan jednemu z kolegów od cotygodniowych spotkań przy piwku. Tak się składa, że facet pracował w „Boston Globe”.

– Doprawdy? – rzucił sarkastycznie Michael.

– Prawdopodobnie nie znał pan przepisów prawnych dotyczących niewłaściwego obchodzenia się z tajnymi informacjami. Być może w innych, spokojniejszych czasach sąd przymknąłby na to oko. Oddaliłby zarzuty. Jednak czasy się zmieniły, przyjacielu. Teraz żyjemy w ciągłym zagrożeniu terroryzmem. No dobrze, panie Tanner. Proszę posłuchać. Gdybym chciał, mógłbym kazać pana aresztować i w ciągu pół godziny postawić panu pełny wachlarz zarzutów, gwarantuję. Ale dzisiaj jest pański szczęśliwy dzień, wygrał pan los na loterii. Ponieważ wolę uwierzyć w pańskie czyste intencje. Daję panu dobę na uratowanie życia.

Tanner tylko patrzył na agenta.

– Mam gdzieś, co mówi psychoanalityk – ciągnął Earle. – Sądzę, że jest pan dokładnie tym, na kogo wygląda. I że wpadł pan jak śliwka w kompot. Przebiera pan łapkami w nazbyt głębokiej wodzie. A ja jestem tu po to, aby rzucić panu koło ratunkowe. Tylko pod jednym warunkiem. Jutro wraca pan do nas z laptopem. Oraz ze wszystkimi kopiami, które zrobił pan na twardych dyskach, pendrive'ach, nośnikach USB. Wszystkimi. – Earle podał Michaelowi białą wizytówkę. Widniało na niej wyłącznie imię i nazwisko „Earle Laffoon” wydrukowane drobną czcionką, a poniżej numer telefonu z kierunkowym 410. – Proszę do mnie zadzwonić albo wysłać esemesa najpóźniej do godziny dziesiątej jutro rano. Znajdziemy pana w dowolnym miejscu. Musi mieć pan ze sobą laptopa.

– A w zamian?

– W zamian nie będzie się pan już musiał martwić o kolegów z Fort Meade.

– Chcę to mieć na piśmie.

– Chętnie uściskę panu dłoń.

– Umowy na uścisk ręki są nic niewarte.

– Więc ma pan moje słowo.

– Nie znam pana. Proszę na piśmie.

– Niewykonalne. Absolutnie. Poza tym, powiedzmy sobie szczerze, Michael: nie masz zbyt wielu podstaw do negocjowania z pozycji siły. Prawda? – Tanner nie odpowiedział. –

Proszę mnie zrozumieć, panie Tanner. Wypuszczając pana, narażam swoją dalszą karierę. Bądź co bądź, stanowi pan pewne zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Dlatego całą sprawę traktuję śmiertelnie poważnie. Jeśli nie spotka się pan z nami w ciągu najbliższej doby, będę zmuszony do eskalowania działań. A tego by pan nie chciał, daję słowo. I tak pana znajdziemy, jak zawsze.

Will zaczekał, aż Rachel, odpowiedzialna za planowanie kalendarza spotkań senatora Robbins, wyjdzie z gabinetu. Pochwycił wzrok szefowej i skinął jej głową na znak, że chwila zwłoki mu nie przeszkadza. Po dwóch minutach Rachel wstała i na widok czekającego Abbotta wykrzyknęła „Sorry!”.

– Nie ma problemu – oznajmił Will.

Zamknął drzwi gabinetu, odwrócił się i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Właśnie wypuścili Tannera. W Bostonie.

– Kto, NSA?

Kiwnął głową.

– Co to znaczy „wypuścili”? Nawet nie wiedziałam, że go znaleźli. Przecież twierdziłeś, że będą ci dawać znać na bieżąco.

– Zgodzili się informować mnie o działaniach mających na celu zlokalizowanie faceta, tak. Ale nie mówili, że będą to robić w czasie rzeczywistym.

– Niech ich szlag. Nic nie rozumiem. Po co go wypuścili? Jaki w tym sens?

– Zawarli z nim układ. Zgodził się dostarczyć laptopa.

– To się nie może stać.

– Wiem.

– Will, kiedy ktoś mi mówi, że się czymś zajmie, oczekuję, że zajmie się tym skutecznie.

Abbott nie odpowiedział. Czekał na dalszy ciąg, świadom, że nastąpi.

– Czy on z nimi rozmawiał? – spytała Robbins. – Ustalili, czyj to laptop? Chyba muszą wiedzieć.

Will zamknął oczy i pokręcił głową.

– Gdyby wiedzieli, to my też.

– Co ty...?

– Któryś z prawników agencji już by się z panią skontaktował.

– No dobrze. W takim razie, czy możemy... Czy możesz...?

– Susan, ten facet nie będzie współpracował. Nie wiem, o co mu chodzi, ale gość nie chce się nawet przyznać, że ma komputer.

– Może go naprawdę nie ma?

– Ma i NSA o tym wie. Problem polega na tym, że gdzieś go ukrył. Próbowałem gościa wziąć podstępem, próbowałem prosić wprost i nic. Kiedy...

– Olshak – przerwała gwałtownie szefowa.

– Bruce Olshak? Ten...

– Jest mi dłużny przysługę.

– Bruce Olshak? – Will uświadomił sobie, że było to jedno z tych nazwisk, których nie wymawia się na głos. A przynajmniej nie w tym mieście. Bruce Olshak, owiany złą sławą, nieomal legendarny prawnik i fachowiec od trudnych spraw, pracujący na rzecz rodziny mafijnej z Nowej Anglii. Angażował się też w działalność centrali związkowej Teamsters na wschodnim wybrzeżu. Mówiono, że kupował sędziów, a instynkt moralny stracił po śmierci Roya Cohna. Olshak, Lord Voldemort w białym kołnierzyku. Zdumiewające, że nigdy go na niczym nie przyłapano, choć z pewnych rzeczy mocno zasłynął. Ani razu nie postawiono Olshaka w stan oskarżenia. Za nic. – Uważam, że kontaktowanie się z tego rodzaju facetem to niezbyt dobry pomysł.

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– To też nie wygląda najlepiej.

– Zdobądź mi jego numer telefonu – poleciła senator.

– Ale chyba nie mówi pani o...

– W chwilach desperacji – przerwała szefowa – trzeba się chwycić desperackich metod.

Oddali Tannerowi buty i pasek, a także zawartość jego kieszeni: telefon, portfel oraz klucze. Sportową torbę zarzucił na ramię.

Ponownie założono mu czarne gogle i słuchawki, po czym wyprowadzono z pomieszczenia, trzymając pod łokcie. Było oczywiste, że robili coś takiego już wiele razy. Znali drogę na pamięć, eskortując Michaela przez jakiś korytarz (tylko się tego domyślał), a potem, dość długo, prosto przed siebie.

Nagle kazano mu się zatrzymać, podejść jeszcze kawałek, przesunąć się na bok. Po schodach w górę i znowu prosto.

Było to dziwne doznanie: Tanner widział tylko ciemność i słyszał stłumione elektroniczne buczenie. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, szedł rozkojarzony, a jednak szedł, parł do przodu. Przypomniawszy sobie, że kiedyś czytał o tej procedurze sprawdzonej na więźniach z Guantanamo. Nigdy więcej czarnych kapturów.

– Czy to naprawdę konieczne, panowie? – zapytał Michael.

Nie miał pojęcia, czy mówi odpowiednio głośno, czy nie. Usłyszeli go? Kroczył niepewnie dalej. Wkrótce poczuł zapach zimnego powietrza i benzyny, wonie typowe dla parkingu garażowego.

Obrócili nim raz, potem drugi, dla zmylenia kierunku. I znów się zatrzymali.

Posadzenie Tannera na siedzeniu – prawdopodobnie samochodu – okazało się zadaniem niezwykle trudnym, wymagającym popychania, ciągnięcia i szarpania. Michael wychwytał zapach odświeżacza w formie choinki, jaki niektórzy ludzie zawieszają sobie na wstecznych lusterkach. Rozległo się dudnienie, poczuł wibracje i zrozumiał, że pojazd się porusza.

Jechali około dziesięciu minut w nieznanym kierunku. W końcu auto się zatrzymało.

Nagle gogle zniknęły i Tannera zalała oślepiająca jasność, od której rozboleły go oczy. Z rażącego blasku powoli wyłaniały się kształty. Siedział w tym samym suburbanie, w którym go uprowadzono, teraz zaparkowanym przy jakiejś ulicy niedaleko ruchliwego skrzyżowania w centrum miasta. Słyszał rytmiczny odgłos świateł awaryjnych.

Zorientował się od razu, gdzie jest: na rogu Washington i Milk Street. Stali równolegle do wozów czekających przed restauracją sieci Chipotle. Wokół wznosiły się wieżowce finansowej dzielnicy Bostonu, z przodu widniała iglica kościoła Old South Meeting House w stylu georgiańskim.

Facet z wygoloną głową, siedzący po lewej stronie Michaela, zdejmował mu plastikowe

opaski zaciskowe za pomocą dziwnego metalowego narzędzia. Gdy skończył, agent z prawej strony, blondyn z czupryną na jeża, wysiadł z samochodu, otworzył drzwiczki i je przytrzymał.

– Do zobaczenia za dwadzieścia cztery godziny – powiedział.

Tanner wygramolił się z wozu, a blondyn wrócił do środka, zatrzasnął drzwi, po czym suburban dodał gazu i zniknął.

Michael stał niepewnie przed restauracją, rozglądając się dookoła zdezorientowany. Tłumy ludzi spieszyły na lunch. Ktoś go potrącił, a wtedy odezwała się rana na lędźwiach.

Gdzie teraz?

Tanner wyciągnął z kieszeni telefon, kupioną niedawno jednorazówkę. Tamci najpierw mu ją zabrali, a potem w końcu zwrócili. Wyświetlacz informował o trzech wiadomościach głosowych. Michael odsłuchał je; wszystkie pozostawiła Lucy, a dotyczyły głównie drobnych, mało pilnych spraw.

Spojrzał jeszcze raz na komórkę, zastanawiając się, czy coś w niej zainstalowali. Należało założyć, że tak, pewnie jakąś pluskwę albo lokalizator. Może właśnie dlatego go wypuścili, pewni, że i tak go znajdą. Prawdopodobnie wciąż znajdował się pod obserwacją. Będą wiedzieli, dokąd się uda.

No i zależało im na laptopie.

Tanner był niemal pewny, że NSA nie ma pojęcia, kim jest właściciel komputera. Bo inaczej skupiliby się na tym wątku. Coś by o tym napomknęli, jeszcze bardziej zagrozili Michaelowi. Laptop pani senator. Grubej ryby z ław parlamentu.

Dlatego najważniejszą sprawą było teraz zdobycie nowych telefonów jednorazowych na kartę. Tanner minął lokal Falafel King, potem Vitamin Shoppe i Subwaya, aż wreszcie znalazł placówkę sieci CVS, w której kupił komórki. Kasjerka wzięła go chyba za handlarza narkotyków. Zaskoczony zauważył we frontowej części sklepu automat telefoniczny. Były one coraz rzadsze, korzystało z nich niewiele osób, te, które nie miały ani linii stacjonarnej, ani komórek.

Nasunęło mu to pewien pomysł. Zapisał sobie numer automatu.

Ponieważ nie musiał już uciekać i się kryć, mógł bezpiecznie powrócić do domu, po raz pierwszy od wielu dni. Szedł spacerem – dzień był rześki i pogodny, a pogoda niczym z pocztówki ukazującej Boston w całej krasie. Po pół godzinie znalazł się na Pembroke Street. Alarm pozostawał włączony, dlatego Tanner wkroczył do domu ostrożnie, rozejrzał się dookoła i wciągnął nosem powietrze jak pies. Nie stwierdził niczego podejrzanego, również obecności zapachów innych niż zwykle. O ile mógł sobie ufać.

Skąd miał jednak wiedzieć, czy dom nie znajdował się teraz na podsłuchu, czy nie zainstalowano w nim kamer, nie podłożono dziesiątków pluskiew?

Michael rozebrał się w sypialni, wziął prysznic i sięgnął po czyste ubranie. Potem przyjrzał się sobie w wysokim lustrze po wewnętrznej stronie drzwi łazienki. Na piersi i w

górną część ramienia widać było sińce. Na łędźwiach miał niewielki bandaż, a na barku jeden duży siniak, który zaczynał mocno boleć. Interesujące, że opatrzone mu rany. Bo wcześniej, podczas próby zatrzymania, nie starali się unikać zadawania mocnych ciosów.

Skończył się ubierać. Już miał założyć skórzany pasek, ale nagle znieruchomiał i zaczął mu się przyglądać. Ten przedmiot też mu zabrano, razem z butami. Podniósł go wyżej i zlustrował uważnie. Nie zauważył niczego podejrzanego. Mosiężna sprzączka sprawiała solidne wrażenie. Michael zbadał jej krawędź, gdzie skórzana pętla zawijała się wokół środkowej poprzeczki. Mogli tam wcisnąć jakiś miniaturowy lokalizator czy coś w tym stylu. Mimo braku śladów należało uznać to za prawdopodobne. Odwiesił pasek do szafy, na wszelki wypadek wybrał inny i go założył. Podobnie zrobił z butami.

Musiał przyjąć, że agenci zainstalowali urządzenia mające śledzić jego każdy krok w ciągu najbliższej doby, która pozostała mu do ponownego spotkania. Jednak na razie nie zamierzał wymykać im się z rąk. Jeszcze nie.

Na to będzie odpowiedni moment.

Ze schowka w piwnicy, gdzie trzymał torby podróżne, wyjął swój stary plecak. Schował do niego pasek i buty, które miał na sobie podczas porwania, a także świeżą zmianę odzieży oraz adidasy. Wychodząc z domu, aktywował alarm.

Czy był śledzony? Nie wiedział tego na pewno, lecz nie stanowiło to już większego problemu: przecież wybierał się tylko do biura. Być może obserwatorzy agencji ulokowali się na ulicach wokół Tanner Roast. Przypuszczał, że tak, ale miał to gdzieś.

Instynktownie zaczął szukać swojego samochodu w uliczce za domem, a potem przypomniał sobie, że przecież pozostawił lexusa na Huron Avenue w Cambridge. Zdecydowanie nie po drodze. Przywołał więc taksówkę i w ten sposób dotarł do firmy.

Idąc do gabinetu, zadzwonił na jednorazową komórkę, którą wcześniej podarował Sarah.

– Znasz jakichś prawników, którzy zajmują się kwestiami bezpieczeństwa narodowego? – zapytał.

– Bezpieczeństwa narodowego... Jest taka specjalność prawnicza? Nie wydaje mi się, żebym...

– Myślisz, że Jamie może kogoś takiego znać?

Jamie North był dawnym chłopakiem Sarah, a nawet, przez pewien czas, jej narzeczoną, dopóki dziewczyna nie poszła po rozum do głowy i nie uznała, że nie chce spędzić reszty życia ze sztywnym, pozbawionym poczucia humoru prawnikiem. Wtedy właśnie, spiknąwszy się ze swoim starym kolegą ze studiów, Michałem Tannerem, Sarah uświadomiła sobie, że znalazła koło ratunkowe. Mimo to Jamie pojawiał się jako temat ich rozmów regularnie, przynajmniej od czasu do czasu. Był partnerem w Batten Schechter, jednej z największych bostońskich kancelarii prawnych, o której często pisywano w gazetach, ponieważ prowadziła kilka spraw pro publico bono, czyli bezpłatnie. North należał do tych nielicznych znajomych Tannera, którzy go nie lubili, oczywiście

z nieznanymi powodów. Na pewno nie z winy Michaela.

– Chwileczkę – powiedziała Sarah. – Wydaje mi się, że Jamie właśnie tym się zajmuje.

– A ja sądziłem, że pierwszą poprawką do konstytucji i wszystkim, co z nią związane.

– No tak, ale... poczekaj, wygoogluję go. Tak, miałam rację, bezpieczeństwo narodowe to jedna z jego specjalności.

– Podaj mi jego numer telefonu.

Arthur Collins nie sprawiał imponującego wrażenia. Nie wyglądał też na kogoś, kto byłby zdolny zabić bezgłośnie, aczkolwiek podobno tak właśnie było. Zabijał. Takie krążyły o nim pogłoski. Niski, przysadzisty, na oko miał co najmniej dziesięć lat więcej niż metrykalne sześćdziesiąt lat. Jego twarz była ogorzała od słońca, z głębokimi bruzdami na czole oraz wielkimi ciastowatymi uszami, które sterczały jak u małpy. Półprzymknięte oczy spoglądały niekiedy ze smutkiem, a czasami martwo i groźnie. Pod nimi rozpościerała się siatka czerwonych naczynek krwionośnych. Od czasu kiedy Will widział go ostatnio, Collins zapuścił szarobiałą kozią bródkę.

Powitał Willa bez uśmiechu w swoim schludnym, ceglany domku z widokiem na zatokę Chesapeake.

– Wskazówki dojazdu w porządku? – Artie nie był gadatliwy.

– Idealne.

– No to dobrze – powiedział gospodarz, odwrócił się i zaprowadził Abbotta do pokoju z drewnianą boazerią, który należałoby zapewne nazwać gabinetem, choć służył tylko za biuro.

Podłogę pokrywał dywan w kolorze palonej pomarańczy, niemal identyczny z tym, który znajdował się w domu rodzinnym Willa za jego dzieciństwa. Niewielkie biurko z pustym blatem i dwa fotele dopełniały obrazu. Okno wychodziło na zatokę, choć widok przysłaniały żaluzje.

Artie zapadł się w brązowym rozkładanym fotelu, niewątpliwie swoim ulubionym. Tron ten stał naprzeciwko wielkiego płaskiego telewizora. Na stoliku obok leżała niczym namiot książka w miękkiej obwolucie. Will usiadł na obrotowym krześle w pobliżu fotela, zwrócony twarzą do Artiego.

Ten człowiek nie był jego przyjacielem, ale się znali. Kilka lat temu Artie zabrał Willa na miejscową strzelnicę i udzielił mu lekcji posługiwania się bronią, wykorzystując do tego własny sprzęt, całe mnóstwo sprzętu: od rewolweru marki Smith & Wesson kalibru .38 po dziewięćmilimetrowego glocka, od małej dwudziestki dwójki po masywny karabin szturmowy. Collins miał bzika na punkcie broni, a jednocześnie okazał się dobrym nauczycielem, natomiast Will – niezbyt pojętym uczniem. Zdążył już zapomnieć niemal wszystko, czego nauczył się o pistoletach i strzelbach. Nie uważał broni za rzecz niezbędną na tym świecie.

Niedługo po tamtym wydarzeniu Abbott wyświadczył Artiemu przysługę. Otóż dyrektor personelu obsługującego komisję do spraw wywiadu, wpadłszy w szał obcinania funduszy i ograniczania kosztów, postanowił pozbyć się również zewnętrznych zleceniobiorców w rodzaju Arthura Collinsa. Wtedy Will się za nim wstawił. Dał dyrektorowi do zrozumienia, że szefowej szczególnie zależy na utrzymaniu Collinsa na liście płac i tak też się stało.

– Wciąż jesteś majordomusem senator Robbins, tak?

Will uśmiechnął się i kiwnął głową. Zerknął na książkę, która leżała na stoliku obok fotela gospodarza. Była to *Potęga terażniejszości*, a jej autor nazywał się Eckhart Tolle.

– W tym cyklu wyborczym nie będzie się chyba ubiegać o reelekcję?

– W tym roku nie.

– W takim razie nie przyszedłeś podrzucić mi roboty przeciw jej oponentom.

– Absolutnie.

– Dobrze. Bo już się nie zajmuję takimi rzeczami.

– Nie o to chodzi.

Rozmawiając z Artiem, Will zachowywał ostrożność. Oczywiście nie zamierzał ani słowem wspominać o tajnych dokumentach ukradzionych z systemu komputerowego komisji do spraw wywiadu, bo czy można było wykluczyć, że Collins utrzymuje kontakty z kadrowymi pracownikami obsługi? Dlatego opowiedział Artiemu tylko o zamienionym laptopie oraz o Michaelu Tannerze, tajemniczym facecie z Bostonu, który miał rzeczony komputer.

– Trzeba go odzyskać. I wchodzi w grę każdy możliwy sposób. Nieważne, jak tego dokonasz.

W odpowiedzi Artie rzucił Willowi puste spojrzenie.

– A proszę faceta o zwrot? – zapytał powoli, jakby zwracał się do dziecka.

– Oczywiście.

– W takim razie to chyba sprawa dla policji.

– Absolutnie nie. Wykluczone. Nie możemy ryzykować ujawnienia.

– Ujawnienia prywatnych informacji o pani senator, które są na tym laptopie, tak?

Will skinął głową.

– To muszą być bardzo wybuchowe informacje, jak sądzę.

Abbott wzruszył ramionami.

– Chcesz, żebym odzyskał ten komputer dowolną metodą. Albo przez bezpośredni kontakt z facetem, albo włamując się do jego domu lub miejsca pracy.

– Cel uświęca środki – odparł Will, unosząc brew. – Wszelkie środki.

Nastąpiła dłuższa pauza.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Ponieważ może bardzo zaszkodzić mojej szefowej.

– I tobie.

– Jasne. I mnie.

Znowu długa pauza. Potem Artie oświadczył:

– Nie jestem zainteresowany. Przykro mi.

– Chodzi o pieniądze? Bo oczywiście nie proszę, żebyś to zrobił za darmo. Zapłacę normalną stawkę. – Abbott zaplanował ponowne przekierowanie środków z funduszu wyborczego Susan Robbins. Łatwa sprawa. Artie jako konsultant.

– Nie w tym rzecz – zaprzeczył Collins. Wypuścił powietrze z płuc. – Posłuchaj, jeśli ktoś ci mówi, że wszystko pójdzie dobrze, a nawet, że nie ma prawa pójść źle, okłamuje ciebie i siebie. Wierz mi, działałem w terenie. Wiem, co to kop adrenaliny. Ale jestem w takim momencie, że nie potrzebuję już tego rodzaju ryzyka. Zmieniłem zapatrywania. Lubię swoje życie.

– A może, jeśli zrobi się niebezpiecznie, po prostu się wycofasz? Albo zwyczajnie nie dopuścisz, aby zrobiło się niebezpiecznie?

Artie powoli pokręcił głową.

– Chcesz tego tak bardzo, że nie zdajesz sobie sprawy, iż pragnienie czegoś nie jest jedynym sposobem na życie.

– Nie rozumiem.

– Kiedy byłem dzieckiem, tata zabierał mnie na tor psich wyścigów w Tucson. Wiesz, biegi chartów, tak? Ciągle się wtedy zastanawiałem, jak to jest ścigać tego sztucznego, flanelowego królika i nigdy go nie złapać. No, ale tak działają wszystkie tory wyścigowe. Prawda? Po latach coś zrozumiałem: że sam stałem się jednym z tych chartów. Bez przerwy goniącym za fałszywym królikiem, bez szansy, by go dopaść.

Will nie wiedział, co powiedzieć. Nie lubił analizować własnego wnętrza, a już z pewnością nie z Artiem.

– Serio?

– Ty, kolego, jesteś przygotowany do ścigania króliczków. Jak niemal wszyscy. Zastępca wiceprezesa chce być wiceprezesem, a wiceprezes chce być pierwszym wiceprezesem. I on, i wszyscy pozostali wiceprezesi marzą o największym gabinecie. A tymczasem pan prezes pragnie przejąć jeszcze jedną firmę. Wszyscy chcemy więcej, wyżej, dalej, mocniej, bardziej. Znam pewnego menedżera funduszu hedgingowego, który ma więcej forsy niż Pan Bóg, ale i tak haruje w soboty i niedziele. Nie bywa na meczach swoich dzieciaków, rzadko jada kolację z rodziną, prawie nie widuje żony. Tylko gorączkowo gna ku czemuś, czego nigdy nie osiągnie. Nam wszystkim cały czas czegoś brakuje, coś tracimy. A wiesz, co to jest, Will?

– Co?

– Życie. Dać się ponieść ambicjom jest tak samo złe, jak dać się ponieść złości albo zawiści. Nienasycony popęd. Słyszałeś o pojęciu „mindfulness”? A powinienes. Thich Nhat

Hanh napisał kilka znakomitych książek. To jedna z nich. – Collins podniósł stojący na blacie stolika tomik.

– Rozumiem.

– Rzecz w tym, Will, że już jesteś tym, kim chcesz być. Ale bądź sobą w terażniejszości. Uświadom sobie ulotność własnej egzystencji. Kapujesz?

Will nie kapował, ale skinął głową.

– Nie jestem pewien – rzucił Artie. – Widzisz tamten pomost? – Wskazał na okno. Abbott wstał, obniżył jedno z piór żaluzji i nieco po prawej zobaczył brązową, drewnianą konstrukcję.

– No?

– Mam tam swoją hodowlę ostryg.

– Hodowlę ostryg?

– Nie żeby od razu całą ławicę. Hoduję ostryżycę amerykańskie w klatce pod wodą.

– Hm. Sprzedajesz je czy sam zjadasz?

Collins pokręcił głową.

– Kiedy ostrygi są już dorosłe, oddaję je Fundacji Zatoki Chesapeake, a oni umieszczają je w rafach objętych ochroną. Skorupiaki świetnie filtrują wodę. Pomagają ratować zatokę.

– Hm.

– Natomiast młode ostrygi lokują się w starych muszlach swoich pobratymców i nigdzie stamtąd nie ruszają. Nie uciekają, donikąd nie pędzą, po prostu są.

Ciekawość wzięła górę i Will zapytał:

– Wiedząc, czym się zajmujesz, nigdy bym się nie spodziewał... No wiesz...

– Nie zawsze byłem tym, kim jestem teraz. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych dostałem zadanie przeprowadzenia tajnej operacji przeciwko maoistowskim partyzantom w Nepalu. Polegało na wyeliminowaniu jednego z ich przywódców. Co też zrobiłem.

– Naprawdę? – Abbott był zszokowany tym, że Artie tak otwarcie opowiada mu o swojej działalności.

– Parę lat temu wybrałem się do Nepalu raz jeszcze. Kiedy się tam znalazłem, wytropiłem brata człowieka, którego kiedyś zabiłem. W Katmandu. – Collins wpatrywał się pustym wzrokiem przed siebie. – Chciałem mu to jakoś wynagrodzić. Przyznałem się od razu: „Tak, to ja zamordowałem twojego brata”. A on, miał na imię Manish, nie spojrzął na mnie z nienawiścią. Był buddyjskim mnichem, nosił szatę koloru szafranu. Tylko patrzył. A ja się spodziewałem... Sam nie wiem, czego się właściwie spodziewałem. Chyba ataku wściekłości. Fali bólu. Myślałem, że wybuchnie płaczem, wydrze się na mnie, nawet zaatakuje. Byłem na to wszystko przygotowany. Z wyjątkiem jednego. Tego, jak zareagował w rzeczywistości. Tej łagodności w jego oczach. Spojrzenia, które na mnie spoczęło. Tak wielkiej... miłości. Nie wiem, jak to ująć w słowa, Will. Ale to ja się załamałem. Pękłem. Spędziłem tam cały miesiąc. Na samym szczycie góry na północ od Katmandu. Czułem się

tak, jakbym rozleciał się na kawałki, a potem je musiał posklejać.

– O rany – powiedział Will. – Niesamowite. – Relacja Artiego wydała mu się w gruncie rzeczy wiarygodna, ale nie miał ochoty rozmyślać teraz o takich sprawach. Może później, może kiedyś.

Collins uśmiechnął się smutno, ze spokojem w oczach. Rozłożył ręce.

– Czymś jeszcze mogę ci służyć?

– Tak – odrzekł Will. – Jest jeszcze jedna rzecz.

Tanner Roast jakoś dała sobie radę bez szefa. Michael spędził pół godziny na omawianiu z Lucy kwestii administracyjnych i podpisywaniu czeków dla tych pracowników, którzy z jakichś powodów nie chcieli bezpośrednich przelewów na konto. Również Karen sygnalizowała chęć rozmowy na tematy handlowe, co z reguły oznaczało rozdieranie szat nad każdą umową, której nie udało się podpisać, albo nad tymi, które nadal można by (ewentualnie) zawrzeć. Na przykład z Four Seasons.

– Nie możemy przedstawić im nowej oferty? To już definitywnie przegrane?

– Umowa sfinalizowana – odparł Tanner.

– To absolutnie nie fair.

– Mam pomysł.

– Jaki?

– Jestem dziś w minorowym nastroju i mógłbym pójść na całość – oznajmił Michael. –

Proszę cię, załatw mi formularz S-1 dla City Roast.

– Co to jest?

– Dokument, który należy składać odpowiednim władzom, kiedy planuje się wprowadzić firmę do obrotu publicznego. Przez internet.

– A kiedy City Roast chce wejść na giełdę?

– Za parę miesięcy, myślę. Co to za nowy chłopak, który kręci się koło Sala?

– Ten stażysta? Student z Northeastern, nie pamiętasz?

– Zapomniałem. Muszę go we wszystko wprowadzać? Jestem trochę zajęty. – Michael przypomniał sobie, że zgodził się przyjąć na staż do Tanner Roast studenta drugiego roku college’u i przez semestr lub dwa uczyć go, jak prowadzi się firmę handlującą kawą. Ale to było miesiąc temu. Zanim się wszystko zaczęło.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Wiesz co, każ temu młodemu, żeby do mnie wpadł. Niech pogada z szefem. Chciałbym go zapoznać z procesem delegowania obowiązków.

Tanner wysłał studenta z Northeastern na zakupy do sklepu sportowego, a potem do placówki Computer Loft. Sam zaś zadzwonił do Carla Unswortha.

– Masz jakieś okienko między lekcjami, zajęciami czy jak to się u was nazywa? Muszę z tobą pogadać.

– Mam chwilę. Ale dzisiaj jest duży ruch.

– Zostań na miejscu. Wpadnę do ciebie.

Kilka minut później Michael opuścił firmę, po czym płatną autostradą dojechał do Newton Centre. Prowadzone przez Carla studio sztuk walki mieściło się w biurowcu, w którym na parterze ulokowały się eleganckie delikatesy.

Tanner wyobrażał sobie kiedyś, że na zajęcia Unswortha przychodzą tłumnie funkcjonariusze policji stanowej oraz agenci FBI. A tymczasem okazało się, że większość kursantów stanowią kobiety z przedmieść Bostonu. Przynajmniej jeśli chodzi o lekcje odbywające się za dnia. Carl miał na sobie robocze spodnie od dresu i T-shirt ozdobiony nazwą swojego studia.

– Masz kogoś, kto zna się na zakładaniu kabli? – zapytał Michael.

– Chodzi ci o elektryka?

– Mógłby być, jasne... Czekał. Scott!

– Kto?

– Mój kolega, który instaluje kino domowe, telewizory, systemy nagłaśniające i tak dalej. Chyba gdzieś mam jego numer telefonu.

Wczesnym wieczorem Michael spotkał się z Jamiem Northem na drinku w Back Bay, hałaśliwym barze przy Boylston Street, zapełniającym się po godzinach pracy. Zamówił bourbona z lodem, a Jamie wybrał dietetyczną pepsi, bo musiał jeszcze wrócić do biura. Od razu przeszli do meritum sprawy. Michael wprawdzie próbował gadki szmatki, ale Jamie nie należał do facetów, którzy w tym gustują. Nawet nie zapytał o Sarah, choć z pewnością musiał o niej myśleć.

Po zerwaniu zaręczyn Jamie szybko poznał inną kobietę i w ciągu kilku miesięcy został jej narzeczonym. Najwyraźniej podjął już decyzję o poszukiwaniu żony i zawarciu małżeństwa i zamierzał zrealizować swój cel z tą czy inną dziewczyną. Jego męski zegar biologiczny – jest coś takiego – tykał bardzo głośno. North dorobił się dwojga dzieci, a potem, raptownie, rozwiódł się z żoną. Dlatego Jamie uważał, że w ostatecznym rozrachunku życie potraktowało go nie najlepiej, w przeciwieństwie do Michaela, któremu się chyba udało. North był teraz tylko pokonanym rywalem i fakt ten sprawiał, iż bywał wybuchowy.

Jamie słuchał Michaela ze zniecierpliwieniem, bębniąc palcami po stole i bawiąc się papierowym futerałem na słomkę.

– Co to znaczy, że masz problem z NSA?

– Domagają się ode mnie oddania laptopa tej senator. Twierdzą, że są na nim ściśle tajne informacje.

– A są?

– Tak.

– Kolego, nie zadziera się z NSA. Oddaj im ten sprzęt.

– Powiedzmy, na użytek tej rozmowy, że nie chcę go oddać.

– Dlaczego?

– Spójrzmy na to czysto teoretycznie. Czy oni mają podstawy, żeby mnie aresztować zgodnie z prawem? Bo właśnie tym groził mi ten facet z NSA.

– No cóż, a wszedłeś w posiadanie tego laptopa legalnie?

– Już mówiłem, że przez przypadek. Na lotnisku w Los Angeles.

– No dobrze, czyli masz u siebie czyjś komputer, ale nie wskutek kradzieży. Niezła breja, muszę powiedzieć. Mniejsza o to. W każdym razie to sprawa spoza mojej specjalizacji. Znalazłeś się w posiadaniu ściśle tajnych dokumentów, mających istotne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa. Przekazałeś je jakiemuś dziennikarzowi z zamiarem ich upublicznienia. Stałeś się źródłem przecieku. Zgadza się?

– Tak. Ale czy to nadal przeciek, skoro dziennikarz, któremu dałem te dokumenty, nie żyje?

Jamie kilkakrotnie wzruszył ramionami.

– Kiedy w sprawę angażują się media, wszystko się bardzo komplikuje. A poza tym, skąd wiesz, że ten twój kumpel Lanford czy Landon, czy jak mu tam, nie podzielił się materiałem z innymi pismakami? Albo ze swoim naczelnym?

– Nie wiem.

– No właśnie. Słuchaj, tu ma zastosowanie ustawa o działaniach kontrwywiadowczych, która pochodzi jeszcze z okresu pierwszej wojny światowej, a także Patriot Act, prawo uchwalone po ataku z jedenastego września dwa tysiące pierwszego. W grę wchodzi również dekret prezydenta numer dwanaście trzysta trzydzieści trzy. Chociaż obecnie mało kto traktuje te przepisy jako podstawę procesową. Wszystko zależy od prokuratorów z Departamentu Sprawiedliwości: jak daleko zechcą się posunąć. Poza tym, wiesz, kiedy trwa wojna, należy się spodziewać większej surowości.

– Prowadzimy wojnę?

– Oczywiście. Przeciwko terroryzmowi.

– Jeszcze?

– To wojna bez końca. W każdym razie tak wygląda sedno sprawy. Rzuciłeś okiem na te dokumenty?

Tanner odwrócił wzrok. Wyjął portfel, a z niego dwudziestodolarówkę, którą podał Jamiemu.

– Po co to?

– Płacę za twoje usługi jako mojego prawnika.

– A ile czasu, twoim zdaniem, możesz kupić za te dwadzieścia dolców? Biorę tysiąc pięćset za godzinę.

Touché, pomyślał Tanner.

– To zwykła rozmowa, drinki. Za dietetyczną pepsi też zapłacę. Potraktuj to jako

pertraktacje między adwokatem a jego klientem.

– Okej, okej. Niech to będzie przysługa dla Sarah. Ale stawiam sprawę jasno: nie będę cię reprezentował.

– Rozumiem. No więc tak, spojrzałem na te dokumenty. Czarna magia, w większości. Jest tam mowa o jakimś ściśle tajnym programie NSA. O masowej inwigilacji.

– Co? W jaki sposób?

– Myślę, że chodzi o możliwość aktywowania przez władze kamer w naszych komputerach i telefonach komórkowych, dzięki czemu bylibyśmy cały czas obserwowani, nawet o tym nie wiedząc.

– Jezu. – Jamie wolno pokręcił głową. – Rzecz w tym, że jeśli już wdepniesz w kwestie prawne dotyczące Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, to jakbyś znalazł się na innej planecie, na której nie obowiązuje prawo ciężenia. Wszystko staje na głowie, do góry nogami. W tamtym świecie funkcjonują tajne dekrety, działają tajne sądy. I dlatego twoja sytuacja wygląda źle. Jest faktem, że świadomie przekazałeś tajne informacje dziennikarzowi, który jasno deklarował zamiar podania ich do wiadomości publicznej. Druga strona na pewno będzie się posługiwać tym argumentem.

– Skąd miałem wiedzieć, że Lanny planował to zrobić? To był mój kolega. Może tylko potrzebowałem jego rady, jak dalej postąpić?

– Okej, dobrze. Ale najpierw uzyskałeś dostęp do klasyfikowanych danych, a potem je komuś przekazałeś. Jeśli zechcą, mogą cię za to ścigać. I wszystko na ten temat.

– A ty co byś zrobił? Jako mój prawnik. Mówiąc teoretycznie.

– W ogóle nie wziąłbym tej sprawy.

– Ale gdybyś wziął.

– Powtórzę: nie będę cię reprezentował.

– Jasne.

– Ten przypadek byłby nie tylko skrajnie czasochłonny, lecz zapewne także nie do wygrania.

– Rozumiem.

– Jeśli zechcą wszcząć przeciwko tobie proces o niewłaściwe obchodzenie się z tajnymi informacjami, możesz zostać postawiony przed sądem niejawnym. Bronić cię będzie cywilny adwokat, który zasadniczo ma całkowicie związane ręce. I to za plecami. Prawdopodobnie skazą cię na minimum dziesięć lat więzienia, co w tym wypadku oznacza więzienie federalne. Bardzo niewielu prawników wykaże ochotę uczestniczenia w takim procesie.

– Dlaczego?

– Ponieważ postępowanie sądowe potrwa jakieś pięć lat, a przy tym jest w stu procentach pewne, że przegrasz. Sądy prawie zawsze biorą stronę rządu.

– Od kiedy?

– Od jedenastego września dwa tysiące pierwszego. Świat się zmienił. Myślę, że większość ludzi nie rozumie, jak bardzo. Jeśli nie korzystasz z pełnego, solidnego szyfrowania, powinieneś założyć, że ktoś czyta wszystkie twoje mejle. I że ktoś gdzieś podsłuchuje twoje rozmowy telefoniczne albo monitoruje je w inny sposób. Zawsze zakładaj najgorszą ewentualność, a dobrze na tym wyjdiesz.

– To znaczy, że żyjemy w państwie policyjnym?

Jamie wzruszył ramionami.

– Jak długo to już trwa?

– Praktycznie rzecz biorąc, zaczęło się za czasów George’a W. Busha, po jedenastym września. Pod rządami Obamy zrobiło się jeszcze gorzej. A nowy prezydent wyznaczył tu zupełnie nowy poziom.

– Nie miałem pojęcia.

– Jak większość ludzi. Niczego nie rozumieją, a tak jest dla rządu najwygodniej. Niech ciemny lud chodzi dezorientowany. Wtedy nikt nie będzie protestował.

– Myślisz, że mógłbym ot tak... zniknąć...? To znaczy, zostać aresztowany i zamknięty na przykład w Guantanamo?

– To możliwe.

– Naprawdę?

– Nie twierdzą tego z całą pewnością. Po prostu. Słyszało się to i owo.

– O obywatelach amerykańskich więzionych bez procesu sądowego? W Ameryce?

– Tak. Tylko mi nie mów, że jesteś tym wstrząśnięty. Jest jak jest. Tak funkcjonuje ten świat.

– To mi przypomina *Rok 1984*.

– Orwell był przestarzały już trzydzieści lat temu.

– A gdybym na przykład zwiął, usunął im się z oczu?

– To znaczy?

– Myślisz, że wtedy by mi się upiekło?

Jamie wzruszył ramionami.

– Mogę ci tylko udzielać porad prawnych. Natomiast kwestia przetrwania to już zupełnie co innego. W tym absolutnie nie umiem ci pomóc. Przykro mi. Bo chciałbym.

Jednak North sprawiał zupełnie przeciwne wrażenie.

– Więc dlaczego twoim zdaniem mnie jeszcze nie zatrzymali?

– Odpowiedź jest prosta. Nie chcieli, żebyś korzystał ze wsparcia prawnika. Musi im cholernie zależeć na odzyskaniu tego laptopa, a to znacznie mniej skomplikowane bez udziału adwokata. A skoro już o tym mowa, pozwól, że kolejny raz powtórzę...

– Wiem – przerwał mu Tanner. – Zrozumiałem. Nie jesteś moim prawnikiem.

Michael wracał do domu hałaśliwą ulicą Boylston, na którą tłumnie wyległa młodzież, głównie studencka, a także różnego autoramentu bywalcy pubów. Rzucił ukradkowe spojrzenia na kuso ubrane studentki, starając się ich tym nie wystraszyć. I rozmyślał.

Wreszcie pewne rzeczy stały się dla niego jasne. Dziwna rzecz, ale z jakiegoś powodu ufał temu całemu Earle'owi. Wprawdzie nie uzyskał gwarancji bezpieczeństwa na piśmie, jednak agent emanował zaskakującą wiarygodnością – i tu Michael polegał na własnym instynkcie. Najwyższy czas oddać ten przeklęty komputer NSA. Zależało im przecież na dokumentach, nie na nim. A także, w sposób oczywisty, na zachowaniu tajemnicy w sprawie projektu CHRYSALIS. Tanner nie miałby nic przeciwko temu, aby już nigdy więcej nie usłyszeć tego słowa.

Wyminąwszy parę całującą się na samym środku Boylston Street, zauważył zatrzymujący się tuż obok samochód, czarnego lincolna town car. Tylnie drzwi się otworzyły i ktoś wysiadł z wozu.

– Michael Tanner! – zawołał niski, potężnie zbudowany mężczyzna pod siedemdziesiątkę.

– Znamy się?

Michael nigdy wcześniej nie widział tego człowieka. Szybko zlustrował jego ubiór: czarny płaszcz narzucony na elegancki, trzyczęściowy garnitur. Niebieska koszula z kontrastującym białym kołnierzykiem i czerwony krawat ze spinką. Do tego ciężkie spinki przy mankietach. Facet był niczym byk, który zabłąkał się do sklepu Turnbull & Asser. Emanował wymuskaną elegancją osoby przywykłej do wydawania poleceń, na przykład starszego wspólnika w firmie adwokackiej albo prezesa zarządu korporacji.

Kocim, nieomal mruczącym głosem mężczyzna powiedział:

– Och, ja znam wszystkich. Jestem Bruce Olshak. Zapraszam na małą pogawędkę. Niech się pan ze mną przejdzie, kolego. – Zbliżył się szybko do Tannera.

Michael słyszał kiedyś to nazwisko. Gruba ryba w kręgach prawniczych, rozgrywający. Przypomniało mu się nawet określenie „adwokat mafii”, kojarzące się z Olshakiem.

– Przykro mi, ale się spieszę – rzucił Tanner i ruszył dalej. Olshak dotrzymał mu kroku.

– Kiedy człowiek się spieszy – oznajmił mężczyzna – diabeł się cieszy. Podobno szuka pan prawnika.

– Kto tak twierdzi?

Olshak wzruszył ramionami.

– *Intranet plotkarzy*. Znam wielu ludzi. Tak się szczęśliwie dla pana składa, że jestem adwokatem.

Intranet plotkarzy. Facet musiał mieć chyba powiązania z firmą Batten Schechter, ale takie, o których się głośno nie mówi. Z bliska Tanner wyczuwał delikatny zapach cygar, prawdopodobnie marki Romeo y Julietas.

– I co z tego? – rzucił ostrożnie.

– Wie pan, jak ja to widzę? Za chwilę popełni pan największy błąd w swoim życiu.

– O czym pan gada? Co pan... Co pan wie?

– Wszystko, co muszę wiedzieć. Pytanie, czy pan również. Zna pan ten stary kawał, że skrót NSA oznacza „No Such Agency”², prawda? Nasi przyjaciele z NSA próbują pana zastraszyć. Chcą, żeby wpadł pan w panikę. Chcą zmusić do oddania im czegoś, co do pana nie należy. Do nich zresztą też.

– Słucham – powiedział Michael zaalarmowany.

– To byłyby błąd z pańskiej strony. A kiedy człowiek popełnia błędy, Michaelu, zawsze ponosi konsekwencje. Zauważyłeś to już?

– Konsekwencje.

– Swego rodzaju karę. Dasz komuś liścik w trakcie lekcji, to zamkną cię w szkolnej kozie. Przejdziesz autem na czerwonym świetle, dostaniesz mandat. Różne są kary, prawda? Jeśli więc zrobisz coś tak głupiego, jak oddanie tego przedmiotu owym... smutnym panom, to co twoim zdaniem się stanie?

– Niech zgadnę. Coś bardzo złego.

Olshak ściszył głos tak, że prawie mamrotał pod nosem, i Tanner musiał dobrze nadstawiać ucha. Starał się ignorować wszechobecny hałas, krzyki i paplaninę wokół.

– Coś złego? No nie, coś o wiele gorszego. Użyłbym wyrazu: smutnego. Zło jest wtedy, kiedy ktoś odrąbie ci palec. A smutne, gdy coś przydarza się twojej żonie. Sarah.

– Grozi mi pan, do cholery, czy jak?

– Dziewczyna ma jeszcze wiele lat życia przed sobą. Jeśli je straci, to właśnie będzie smutne. Smutne dla wszystkich.

Michael zatrzymał się przed jakimś bankiem, w którego fasadzie utworzono wnękę, a nawet mały placzyk. Stanął blisko Olshaka.

– Chyba pan oszalał, sądząc...

– Och, my działamy subtelnie. Na razie jeszcze do niczego nie dojdzie. To mogłoby się wydać podejrzane. Rodziłoby pytania. Nie, nie, dajmy czasowi czas. Nawet parę miesięcy. Może do końca roku, na przykład do Bożego Narodzenia albo sylwestra. A kto wie, do diaska, czy nawet nie poczekamy dłużej? Lecz pewnego dnia kara zostanie wymierzona. Ta smutna kara. Jakiś samochód pędzący z nadmierną prędkością wbije się w chodnik. Kto wie? Zapewniam cię, że dla nikogo nie będzie to przyjemne. Ale wiesz co? Stoisz teraz przed bardzo poważną decyzją. Dlatego nie chcemy, żebyś w pośpiechu popełnił jakiś błąd.

Życie jest na to zbyt cenne, Michaelu. Bardzo cenne.

Michael próbował uspokoić oddech.

– Dla kogo pan pracuje?

– Nie rozpraszaaj się. Nie możesz sobie na to pozwolić. Skup się na zadaniu.

– To znaczy, że jeśli nie oddam tego przedmiotu NSA...

– Oddasz go mnie, a ja zajmę się resztą. *Capisce?* To naprawdę najlepsze wyjście dla ciebie. A życie, jak wiesz, nie zawsze podsuwa nam idealne rozwiązania. Człowiek musi podejmować optymalne decyzje w okolicznościach, które od niego nie zależą. Natomiast w tej sprawie, no cóż, tak naprawdę nie masz żadnego wyboru.

– Bo jeżeli przekazę to coś NSA, moja żona...

– Sarah. Uroczą dziewczyną. I bardzo inteligentną.

Nagle Michael złapał mężczyznę za krawat i przyciągnął go ku sobie.

– Posłuchaj no... – zaczął.

Czerwony na twarzy Olshak nie dopuścił go do głosu:

– To nie jest w twoim interesie, Michael. Naprawdę nie jest.

– Jeśli chcecie kogoś ścigać, to ścigajcie mnie. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie zagrozić mojej żonie. – Michael puścił krawat. Olshakiem lekko zarzuciło, potknął się.

Michael obrzucił go uważnym spojrzeniem, zerknął też na lincolna town car, który wolno sunął wzdłuż krawężnika, jakby dotrzymywał im kroku. Potem przeciął Clarendon Street i skierował się w stronę domu.

Tanner spędził drugą noc w pałacyku na Chestnut Hill. Tym razem postanowił spać na podłodze, na grubej wykładzinie w pokoju dla gości. Był zmęczony, dlatego szybko zapadł w sen. Niespokojny sen, z którego wybudził się o brzasku, pełen niepokoju i lęku związanego z tym, co miał zamiar zrobić.

Zamknął dom na klucz, po czym wybrał się na przechadzkę. Przy Comm. Avenue znalazł jadłodajnię, gdzie spożył dobre śniadanie składające się z jajek i grzanki, a także sporej ilości fatalnej kawy.

Zastanawiał się, czy NSA wie o jego aktualnym miejscu pobytu. Uznał, że nie, a przynajmniej miał taką nadzieję. Choć żadnej pewności. Toczył samotną walkę z przeciwnikami, którzy przewyższali go pod każdym względem i mieli nad nim absolutną przewagę. Michael nie zamierzał się jednak poddawać ani pozwolić im się przechytryć.

Być może agenci wiedzieli, gdzie teraz przebywa, lecz nie musieli go już fizycznie śledzić. Przecież pozostawał na cyfrowej smyczy: prawdopodobnie w pasku i w butach, które ludzie z NSA mu odebrali, tkwiły lokalizatory. Zarówno pasek, jak i buty znajdowały się w plecaku, który Michael zabrał. Był niemal pewny, że tam są.

Agenci musieli też podłożyć jakąś pluskwę w telefonie na kartę, który Michael miał przy sobie. Albo kartę sklonować. Kto wie, czy nie dysponowali jeszcze innymi metodami podsłuchiwania rozmów prowadzonych przez komórki – Michael po prostu nic na ten temat nie wiedział. Na wszelki wypadek wyłączył urządzenie, ponieważ kiedyś czytał, że aby można było wyśledzić telefon – stale nawiązujący kontakt z różnymi stacjami bazowymi – musi on być włączony.

Wyglądało na to, że fizycznie nikt Tannera nie śledził. O ile potrafił to stwierdzić.

Siedząc w jadłodajni, wyjął tanią nawigację marki Garmin, kupioną przez stażystę. Po krótkiej walce z instrukcją obsługi udało mu się wprowadzić współrzędne geograficzne GPS, które pozostawił Carl. Tanner ustawił swoją lokalizację, oznaczając ją maleńką ikonką przedstawiającą skrzynię ze skarbami. Potem wypił kolejny kubek kawy, straciwszy ich rachubę. Było ich z pewnością za dużo. Czuł się teraz w pełni obudzony, ale kofeina dodatkowo potęgowała niepokój.

Zadzwonił w kilka miejsc: miał zamiar wybrać się do miasta o nazwie Lincoln, położonego około trzydziestu pięciu kilometrów na zachód od Bostonu. Czyli potrzebował samochodu. Wziąć lexusa, który stał na Huron Avenue? Tam pewnie też umieścili

lokalizator. To nie wchodziło więc w grę. Należało wypożyczyć auto.

Po kilku rozmowach telefonicznych okazało się jednak, że żadna z firm wynajmujących w Bostonie samochody nie rozlicza się z klientami w gotówce. Wszystkie żądały karty albo kredytowej, albo debetowej. Tymczasem Tanner był pewny, że gdyby użył którejś z nich, natychmiast zaalarmowałby tym NSA. Naczytał się dość powieści szpiegowskich i naoglądał telewizyjnych seriali, by to podejrzewać. Skorzystanie z Ubera również nie było możliwe, ponieważ nie miał przy sobie iPhone'a.

Pozostawało więc tylko jedno: wypożyczenie auta. Mimo wszystko. W NSA szybko się zorientują, będą w stanie gotowości. Wtedy Michael przekona się, czy zechcą go śledzić fizycznie, czy też nie, bo będą wiedzieć, dokąd się udaje.

Przy tej samej ulicy znalazł wypożyczalnię, która była czynna od wczesnego ranka. Niepokoiła go myśl, czy przypadkiem nie korzysta ze swojej karty kredytowej po raz ostatni, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości.

Na przednim siedzeniu dla pasażera w wynajętym nissanie leżał plecak z butami i paskiem, w których prawdopodobnie tkwiły lokalizatory, a także jednorazowa komórka (Michael sądził, że przy niej również majstrowano), nawigacja GPS i myśliwska lornetka.

Drogą numer dziewięćdziesiąt trzy Michael wyjechał z miasta w kierunku północnym, pokonawszy dolny poziom mostu Tobin nad rzeką Mystic. Jak okiem sięgnąć, krzyżowały się ze sobą stalowe dźwigary.

Na całej drodze do trasy numer szesnaście w kierunku zachodnim Michael nie zauważył, by jakikolwiek pojazd siedział mu na ogonie. Nie oznaczało to jednak, że nie jest śledzony. Lokalizator GPS musiał gdzieś być: w butach, w pasku, w komórce, w którejś z rzeczy, gdyż agenci NSA najpierw je Tannerowi zabrali, a potem zwrócili. Wszystko to znajdowało się oczywiście w sferze domysłów, jednak prawdopodobieństwo graniczyło tu z pewnością. Agenci kontrolowali każdy krok Michaela, siedząc w jakimś rządowym budynku i obserwując pulsującą, ruchomą kropkę na ekranie monitora.

Po pewnym czasie skręcił na drogę numer dwa, która wiodła przez przedmieścia Bostonu w kierunku zachodnim, a następnie wybrał mniejszą szosę i kilka kilometrów jechał nią na południe. Potem jeszcze inną, aż wreszcie znalazł się w Lincoln. Przez kolejne dwa kilometry sunął wąską lokalną drogą, którą dotarł do starego cmentarza. Tutejsze nagrobki, pochodzące z osiemnastego wieku, były zniszczone, cienkie i ułożone blisko siebie. Nekropolię otaczał niski, drewniany płot. Michael zaparkował na poboczu i odczekał, aż minie go parę samochodów. Żaden nie zwolnił, nie zatrzymał się ani nie zrobił nic, co wydałoby się choć trochę podejrzane.

Jeśli jest śledzony, po prostu zrezygnuje z tego miejsca ukrycia, które zaplanował. Tylko tyle. Wymyśli coś innego. Jednak w okolicy nie widać było nikogo, kto obserwowałby Michaela, nie minął go dwukrotnie ten sam wóz ani żaden nie trzymał się zbyt blisko niego na drodze.

Co tylko potwierdzało jego teorię: oni wcale nie musieli śledzić go bezpośrednio. Nie potrzebowali zakładać mu ogona.

Michael wyjął komórkę na kartę (zapluskwioną, jak sądził), włączył ją, a kiedy urządzenie odgrywało swój śpiewny spektakl uruchamiania, poszukał w kieszeniach kawałka papieru. Widniał na nim numer telefonu jednorazowego, który Michael dał Carlowi.

Gdzieś tam, w supertajnym rządowym gabinecie, na ekranie niesamowicie potężnego

komputera przedstawiającego mapę, musiała zamrużyć maleńka kropka. Tego biznesmen był pewny.

– Cześć, Ted – powiedział do mikrofonu. – Tu Tanner.

– Możemy bezpiecznie używać naszych prawdziwych imion i nazwisk?

– O ile rozmawiamy przez jednorazówki na kartę, tak. Nie dzwoń do mnie ze swojego normalnego telefonu komórkowego ani z linii stacjonarnej. I nie pisz mejli. Oni mogą podsłuchiwać.

– Także moje telefony?

– Myślę, że mają cię pod obserwacją, ponieważ dość często wysyłałem ci wiadomości mejlowe. I dlatego, że jesteś moim przyjacielem. Prawdziwym przyjacielem, nawiasem mówiąc.

– Dzięki, Tanner – powiedział Carl. – Chyba tak.

Kolega z pewnością rozumiał, że teraz musi reagować na imię Ted. Na szczęście nie wymagało to talentu aktorskiego, bo Carl Unsworth niespecjalnie go przejawiał. Dzięki temu prostemu wybiegowi chłopak wciąż miał szansę nie wplątać się w tę kabałę i uniknąć ewentualnych tarapatów.

– Ted, jestem teraz w Lincoln. Jadę do lasu wykopać laptopa. Spotkajmy się tutaj, żebym mógł ci go przekazać. Wiesz, jak dotrzeć w to miejsce, tak?

– Wiem, wiem.

– To na razie.

Tanner schował kluczyk od samochodu pod przednim siedzeniem, złapał plecak i wysiadł z auta. Zarzuciwszy bagaż na ramię, był gotowy do marszu. Wąska gruntowa dróżka biegnąca wzdłuż cmentarnego ogrodzenia wiodła prosto do lasu.

Michael rozejrzył się, a następnie ruszył szybkim krokiem między gęsto rosnące sosny. Po kilku minutach marszu wyjął nawigację GPS i ustalił swoją pozycję – małą niebieską strzałkę na wyświetlanej mapie.

Pomysł z nawigacją pochodził od Carla. Grał namiętnie w geocaching, a to hobby obejmowało również poszukiwanie ukrytych przedmiotów za pomocą GPS-u. Albo coś w tym stylu.

Tanner podjął wędrówkę. Usłyszawszy trzask gałązki za plecami, odwrócił się gwałtownie, przestraszony, ale stwierdził, że pękła ona pod jego stopami. Nadal nikt go nie śledził, przynajmniej fizycznie. O ile mógł to stwierdzić.

Nie miał pojęcia, do kogo należy ten las, lecz w dzieciństwie często chadzał tu z kolegami. Teraz doskonale wiedział, gdzie się znajduje. Pewnego razu podczas ferii międzysemestralnych w college’u Michael zablądził w tym lesie ze swoim najlepszym przyjacielem, którego rodzice wykładali na Harvardzie. Po tej okolicy, jak poinformował ich ojciec kolegi, lubił wędrować sam Henry David Thoreau, a potem opisywał to w swoich dziennikach.

Ścieżka początkowo wiła się zygzakami, wkrótce jednak wyprowadziła Tannera na polanę. Na kilku potężnych, nagich drzewach widniały żółte, jaskrawe znaki, wielokrotnie odmalowywane w ciągu lat. Tu właśnie zaczynał się szlak pieszy.

Sporadycznie konsultując się z nawigacją, przez pewien czas posuwał się wąskim, zarośniętym szlakiem i regularnie oglądał za siebie. Po około dziesięciu minutach marszu światło zaczęło się zmieniać, ponieważ sosny powoli ustępowały innym drzewom iglastym. Na powierzchni pół hektara wyparły one wszystkie konkurencyjne gatunki, tworząc gęsty, mroczny las. Przez jego zwartą koronę sączyło się miękkie światło, padając plamkami złota na ściółkę.

Był już blisko. Kropka lokalizacji znajdowała się o centymetr od miejsca docelowego.

Tanner przeszedł jeszcze ze sto metrów w kierunku zachodnim, z dala od gęstego baldachimu drzew iglastych, kierując się z powrotem w stronę rzadszego sosnowego lasu, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Nawigacja potwierdziła, że jest we właściwym miejscu. Grupka sosen wytyczała tu okrąg o średnicy około trzech metrów. Gdzieś widać było intensywnie zielone, omszałe pnie martwych drzew. Ziemia obok nich wyglądała na wzruszoną, jakby ktoś tutaj kopał.

Tanner podniósł wzrok i zobaczył drzewo rosnące na północ od kępy sosen. Jego przyjaciel Scott wybrał doskonale: cedr był wysoki, stożkowaty w kształcie, z gęstymi igłami.

Znów się rozejrzył, a następnie zbliżył do kolosa na odległość metra. W zgięciu konara zobaczył czerwone światelko małej kamery wideo. Samo urządzenie było prawie niezauważalne, jednak czerwona dioda mogła zwrócić czyjąś uwagę. Michael prosił Scotta, żeby zakleił ją kawałkiem taśmy izolacyjnej, ale przyjaciel najwyraźniej o tym zapomniał.

No cóż, nawet jeśli ją zauważą, będzie już za późno.

Kamera zarejestruje twarze agentów NSA, którzy przyjdą tutaj i spróbują wykopać z ziemi laptopa. A jednocześnie wyśle nagranie wideo jako streaming, który Scott skrzętnie zachowa. Czy może ono stanowić dowód naruszenia przez NSA procedur obowiązujących w trakcie tajnych operacji na terenie kraju? Tanner nie był tego pewny, ale umiał negocjować i rozumiał, że będzie dysponował czymś, co Earle potraktuje z respektem. Zaplanowany i nieskomplikowany szantaż. Jakiego to wyrażenia użył ten ukraiński inwestor? „Zabijecie mi psa, to ja zabiję wam kota”? To nagranie powinno zmusić Senat do działania, do przeprowadzenia śledztwa. Stanie się rewelacją, trzęsieniem ziemi. NSA zdecydowanie nie będzie chciała dopuścić do jego ujawnienia.

Michael położył plecak i telefon na ziemi pod pniem drzewa. Lornetkę zawiesił na szyi.

Mrugająca kropka na ekranie monitora w nieznanym rządowym gabinecie – który biznesmen tylko sobie wyobrażał – właśnie przestała się poruszać. Tego musieli się spodziewać: tak, na pewno Michael teraz kopie.

Używając telefonu, który uważał za zainfekowany, Michael dał agentom powód, aby

wyszli z ukrycia i ponownie go aresztowali oraz zechcieli przejąć laptopa, zanim przekaże go swojemu koledze.

Należało więc działać.

Tanner podejrzewał, że NSA na gwałt organizuje zespół zadaniowy, który ma dotrzeć w to miejsce możliwe szybko. Nie miał pojęcia, ile czasu im to zajmie, lecz teraz, gdy już włączył telefon, musiał się bardzo spieszyć. Musiał znaleźć się jak najdalej stąd. Wypożyczony samochód nie wchodził w grę: od momentu użycia karty kredytowej tamci znali model i numer rejestracyjny wozu. I z pewnością będą go szukać.

Musiał więc uciekać, najpierw pieszo, a potem – hm? – może byłoby dobrze wskoczyć do podmiejskiego pociągu, który zatrzymywał się w centrum Lincoln. I kupić bilet u konduktora, za gotówkę.

Gotówki Tannerowi nie brakowało, wziął ją ze sobą.

Szedł dalej przez las, pod jego stopami chrzęściły uschnięte liście. W pewnej chwili zdało mu się, że w oddali usłyszał jakiś odgłos, i obejrzał się za siebie. Najpierw w poruszającym się kształcie zobaczył postać ludzką. Doszedł jednak do wniosku, że to tylko przypadkowy refleks światła.

Przecież nie mogli go aż tak szybko namierzyć. Skoro go nie tropili w sposób fizyczny, dotarcie tutaj powinno zająć im trochę czasu – co najmniej kwadrans, może nawet godzinę.

Tanner podniósł do oczu lornetkę i nastawił ostrość. Rzeczywiście, w lesie coś się poruszało, chociaż widział tylko przesuwane się cienie. Były zbyt daleko, a listowie i poszycie zbyt gęste, aby coś dostrzec.

To na pewno przypadek, bez związku z nim.

A jeśli nie?

Michael podjął marsz, pozorując ruchy w lewo i prawo. W tym miejscu nie był w stanie przyspieszyć ze względu na wiele przeszkód na drodze. Kilkaset metrów podążał zygzakiem.

Gdzieś tu była farma, przypomniał sobie nagle, sąsiadowała z lasem. A obok niej rozciągało się pole kukurydzy. Stwarzało to nowe możliwości, bo przecież w kukurydzy łatwo się schować.

Tylko gdzie ta farma jest?

Tanner minął mały, stęchły staw pokryty grzybieniami; gdzieś z otchłani pamięci wypłynęło wspomnienie próby kąpieli w tym stawie któregoś lata, zniechęciło ich jednak mulaste dno i gęste macki splątanej roślinności pod powierzchnią wody. Dawne wspomnienia zaczynały się budzić. Gdzie w takim razie było to pole kukurydzy?

Tuż przed sobą zobaczył parę kantówek przybitych do pnia starego dębu. Kiedyś musiało być tu stanowisko myśliwych polujących na jelenie i sarny. Mówiąc precyzyjniej, deski przytwierdzono tak, że łączyły dąb z sąsiadującą z nim sosną, tworząc coś w rodzaju drabinki. Można było po nich z łatwością wejść na wysokość kilkunastu metrów. Myśliwi wspinali się na drzewo, gdzie tkwiła skrzynka na butelki, wykorzystywana jako siedzisko.

Stamtąd byli w stanie wypatrzeć zwierzynę ze sporej odległości.

Tanner także użył owej prowizorycznej drabiny. Gwoździe wbito głęboko w pień, deski trzymały mocno. Poczł nagły ból w całym ciełe, zwłaszcza w łędźwiach, bo one ucierpiały najbardziej w trakcie walki z ludźmi Earle'a. Minutę później znajdował się już około piętnastu metrów nad ziemią, skąd widać było ogromną połąć lasu. Ukryty w listowiu, był teraz zupełnie niewidoczny.

Zobaczył cienie poruszające się między drzewami. Kilku ludzi, teraz był pewien. To nie grupka kolegów, którzy wybrali się na wędrówkę po lesie. Szli rytmicznym, skoordynowanym krokiem. Tanner obliczył, że w tym tempie dotrą na miejsce za parę minut. Szybciej, niż się spodziewał.

To byli oni. To musieli być oni.

Serce zaczęło mu walić młotem. Daleko na zachodzie las znikał, ustępując miejsca domom i trawnikom. Pole kukurydzy rozciągało się kiedyś zapewne w tym miejscu, gdzie teraz było podmiejskie osiedle mieszkaniowe.

Tanner pospiesznie zszedł z drabiny, ocierając sobie rękę o gwóźdź wystający z pnia, i pobiegł w kierunku zachodnim, w stronę osiedla.

Gdy tylko wpadł w gęstwinę drzew, potknął się o zbutwiały pień. Natychmiast wstał – zły, że stracił cenne sekundy – i pomknął przez las tak szybko, jak potrafił, meandrując w prawo i w lewo, by ominąć sosny.

Wkrótce wypadł na otwartą przestrzeń, na trawnik, który widział ze stanowiska dla myśliwych. Przeciął go pędem, docierając do asfaltowej ścieżki, a stamtąd do ruchliwej, głównej drogi. Stanąwszy na wąskim poboczu, wyciągnął kciuk i zaczął łapać okazję.

Will miał ochotę na chili con carne, ale zdecydował się na sałatkę.

Poczuł zapach mięsnej potrawy od razu, gdy tylko zszedł na parter gmachów Harta i Dirksena. Idąc do stołówki, zobaczył kilka osób niosących chili i chleb kukurydziany na tackach – wyglądało to niesamowicie apetycznie.

Wybrał jednak sałatkę, jak zresztą przez cały tydzień. Spożywanie tego dania nie tylko go męczyło – on go po prostu nie cierpiał.

Był głodny, a kolejka przesuwiała się wolno.

Abbott analizował to, co powiedział mu Arthur Collins. Ambicja jest równie zła jak gniew czy zawiść. *Nienasycony popęd*. I jeszcze ta rada: *Bądź kim jesteś w teraźniejszości*.

Tak naprawdę Will nie do końca rozumiał, co Artie Collins miał na myśli. Zastanawiał się jednak, co mogło zmienić zabójcę pracującego dla CIA w filozofa pacyfistę. I czy można też przejść drogę w przeciwnym kierunku.

Minał go mężczyzna, którego Will znał, szef personelu senatora z Partii Demokratycznej, wybrany w Kalifornii. Skinął mu głową, tamten zrobił to samo. Ten gościu to był właściwie pajac.

W następnej przechodzącej osobie Will rozpoznał, choć z pewnym trudem, Gary’ego Sapolsky’ego. A wtedy ścisnęło go w żołądku, poczuł w gardle falę kwasu.

Gary trzymał w rękach wypchane po brzegi kartonowe pudło, na którego wieczku leżało kilka zdjęć w ramkach. Jego zwykle zaróżowiona twarz była teraz zaskakująco czerwona, wręcz purpurowa, a rzednące włosy potargane. Oczy nabiegły mu krwią.

– Gary, wszystko w porządku?

– Właśnie mnie wyrzucili – odpowiedział Sapolsky cichym, spiętym głosem, jakby nie mógł uwierzyć we własne słowa.

– Jak to: wyrzucili?

– Krauss skierował mnie na urlop bezpłatny na czas nieokreślony, ale przecież wiadomo, co to znaczy. – Don Krauss był szefem Gary’ego i dyrektorem kadrowym senackiej komisji wywiadu.

– Jak to? – Nagle Will zrozumiał, co się stało. Szefowa od niechcienia wymieniła nazwisko Gary’ego podczas przesłuchania w biurze ochrony, napomykając, że się po prostu zastanawia. To w zupełności wystarczyło.

– Wiesz, że ze swojej pensji utrzymywałem nie tylko żonę i dwoje dzieci, lecz także oboje

rodziców, ludzi starych?

Sapolsky był zły, Will w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że w jego głosie nie słychać oskarżycielskich nut. Jedynie gniew na to, jak niesprawiedliwy jest ten świat.

– To straszne. – Will oczywiście o tym wiedział, ale wyleciało mu z pamięci. Czuł dyskomfort związany z losem Gary’ego, jednak starał się tym nadmiernie nie przejmować.

– Krauss sądzi, że to ja wyniosłem te tajne materiały ze SCIF-u! Mówiłem mu, że to jakaś totalna, cholerna bzdura. Ale on się jakby wykręcił od rozmowy i oświadczył, że działa „z polecenia” NSA. Pieprzony gnojek.

– Bardzo mi przykro, stary – powiedział Will, w geście pocieszenia kładąc dłoń na pochyłym, lewym ramieniu Sapolsky’ego. – Rzeczywiście fatalna sprawa.

– Możesz się za mną wstawić?

– Hm, jasne. To znaczy u...

– U Kraussa, tak. Byłoby świetnie.

– Jak długi ma być ten urlop?

Gary pokręcił głową.

– Na czas nieokreślony. Ale ja już nie wrócę. Wiem, jak działa ten system.

– Więc oni myślą, że to właśnie ty... – zdanie miało koniec, jednak Abbott, wypowiadając go, wolał ściszyć głos, by nikt nie mógł podsłuchać – wzięłeś te dokumenty?

– To chore, prawda?

Świetnie się składa, uświadomił sobie Will. Jeśli NSA oskarży o przeciek Gary’ego Sapolsky’ego, usunie jego szefową z listy podejrzanych.

– Mają jakieś dowody?

– Oczywiście, że nie, bo nie ma żadnych dowodów. Ja tego nie zrobiłem.

– Ale wiesz... Czy powiedzieli, że coś mają?

Gary pokręcił głową.

– Nie rozmawiałem z nimi. Nie dostałem pozwolenia. Krauss wezwał mnie do siebie, kazał się spakować i wynosić. Załatwili dodatkowego ochroniarza, który stał przy moim biurku i pilnował, żebym niczego nie zabrał, nie skopiował i tak dalej.

Kolejka zaczęła posuwać się szybciej, Will dotarł wreszcie do baru sałatkowego. Wyciągnął rękę na pożegnanie i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że obie dłonie Sapolsky’ego są zaciśnięte na pudełku z aktami. Cofnął rękę.

– To wszystko jest totalnie do bani, Gary – powiedział Will. – Zobaczą, co da się zrobić.

Wtedy w głowie Willa wyświetliło się dziwne wspomnienie. Miał szesnaście lat, a jego brat Clay – trzynaście. Było to dwa albo trzy lata po śmierci ich ojca.

Will oglądał w dużym pokoju telewizję, Clay robił coś w garażu, zapewne montował jeden ze swoich samochodzików za pomocą wydzielającego chemiczny zapach kleju, którego nie wolno mu było używać w domu. Byli sami, mama poszła do pracy, chyba pokazywała komuś dom na sprzedaż. Teoretycznie rzecz biorąc, Will, jako starszy, był

odpowiedzialny za wszystko.

Nagle usłyszał wrzask, zerwał się i podbiegł do drzwi prowadzących do garażu, skąd dobywał się dźwięk. Otworzywszy je, na drugim końcu pomieszczenia zobaczył skulonego ze strachu Claya. Mniej więcej siedem metrów od niego tkwiło jakieś duże zwierzę, które warczało i syczało na chłopca, trzymając go w rogu garażu niczym w pułapce. Kot? Nie. Will dostrzegł szybko poruszający się ogon w paski, czarną, „bandycką” maskę wokół oczu i zrozumiał, że mają do czynienia z szopem praczem.

Tętno zaczęło mu galopować. Pod nieobecność mamy to Will powinien zajmować się młodszym bratem, który stał tam teraz czerwony na buzi, z trudem łapiąc oddech, z wyciągniętymi przed siebie w obronnym geście rękami. Dopiero później dowiedzieli się, że szop pracz miał wściekliznę.

Ogarnięty paniką, Will podkradł się do ściany z narzędziami i zerwał z niej najdłuższy przedmiot, jaki udało mu się dostrzec: ostro zakończony szpadel. Potem zrobił kilka kroków w stronę szopa pracza, który wciąż trzymał Claya w szachu, sycząc i warcząc. Will stuknął ostrzem łopaty w betonową podłogę.

Zwierzę odwróciło się; stało teraz zwrócone pyskiem w stronę starszego z braci, odsłaniając kły, fukając i wymachując ogonem. Wyglądało na sparszywiałe, miało skołtunioną sierść. „Bandycka” maska wokół oczu robiła surrealistyczne, szalone wrażenie. Nagle szop jakby się podniósł, wykrzywił grzbiet w łuk i... skoczył na Willa. Lecąc, nadal wydawał z siebie ten straszny ni to syk, ni to warkot.

Przerażony chłopak cofnął się odruchowo.

I właśnie wtedy, w kolejnej sekundzie, poczuł coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Strach przed oszalałym szopem praczem gwałtownie przeobraził się w gniew, w swego rodzaju wściekłość, że zwierzę ośmieliło się go zaatakować.

Will rzucił się do przodu, machając szpadlem z siłą, której u siebie nie podejrzewał. Ostrze zadzwoniło o poplamioną olejem betonową posadzkę garażu. Ponownie się zamachnął, jeszcze mocniej, i trafił szopa pracza w łeb.

Zwierzę zapiszczało, w powietrzu uniosła się mgielka krwi. Ostrze łopaty wbiło się w głowę i kark napastnika, który jednak jeszcze żył, zgrzytał zębami i syczał. Jego pazury drapały bezradnie posadzkę.

Will uniósł szpadel, aby zadać następny cios, a wówczas ciało szopa także się podniosło, jakby przytwierdzone do łopaty. Chłopaka ogarnęły wstręt i przerażenie, jednak serce wciąż waliło mu jak oszalałe, czuł się tak, jakby posiadał supermoce. Trzasnął ostrzem o podłogę i wtedy stało się coś odrażającego: głowa zwierzęcia odpadła od ciała i potoczyła się kilkanaście centymetrów dalej, prosto w niewielką, zielonkawą kałużę oleju przekładniowego.

Odrąbał szopowi głowę. Will zwymiotował. Puścił łopatę, która spadła z brzękiem na beton.

Clay zrobił w jego kierunku kilka ostrożnych kroków i zawołał:

– Super!

Podczas kolacji brat rozwodził się nad bohaterstwem Willa, ten zaś powstrzymał się od żartów z wydawanych przez Claya okrzyków, które przypominały piski małego, głupiutkiego dzieciaka. Skromnie wzruszał ramionami i stwierdził, że to nic takiego, choć w rzeczywistości było to wydarzenie, które dostarczyło mu doznań o największej intensywności w całym jego dotychczasowym życiu.

Nigdy nie zapomniał, czego się tamtego dnia nauczył: że potworny, głęboki strach może się w każdej chwili przerodzić we wściekłość, w szaloną odwagę oraz dziwną, upajającą furję.

I że ktoś zdjęty ogromnym lękiem jest zdolny do prawdziwej brawury.

Człowiek zatrudniony przez Willa Abbotta do udzielenia mu lekcji strzelania był więcej niż ogromny. Emerytowany policjant z Dystryktu Kolumbii, o głębokim, grzmiącym głosie, zdawał się wprawiać w wibrację karciany stolik, przy którym obaj siedzieli. Ten czarny mężczyzna po sześćdziesiątce, o wielkiej, kopulastej głowie i krótko przyciętych siwych włosach, nazywał się Joe Randall.

– Strzelałeś już kiedyś? – zapytał.

Will kiwnął głową.

– Mam za sobą jedną lekcję. To było dość dawno. Dlatego zacznijmy od samych podstaw.

– Po pierwsze i najważniejsze, zawsze należy zakładać, że broń jest naładowana.

Gliniarz pchnął rewolwer po blacie stołu w kierunku Willa. Zadaszona strzelnica, w której Joe Randall pracował, znajdowała się w północno-wschodniej części Waszyngtonu, niedaleko Narodowego Arboretum.

– Śmiało, weź go do ręki – polecił Willowi.

Will rozważył, czy nie przerwać mu tej nawijki i nie kazać od razu przejść do rzeczy. Nie miał ochoty uczyć się tych wszystkich zasad bezpieczeństwa, obchodzenia z bronią i reszty bzdur. Chciał się dowiedzieć, jak kogoś zastrzelić. Zabić z pistoletu.

Wiedział, że jeśli skupi się na logistyce, na tym, jak to zrobić, nie będzie myślał o tym, że go złapią. A to byłoby przerażające. Niewyobrażalne właściwie. Bo wówczas nie mógłby się z tego wypłatać, nie pociągając w otchłań szefowej.

Abbott podniósł rewolwer tak, jakby był naładowany, i zamierzał zabić nim Joego Randalla: trzymał broń w prawej ręce, a palec położył na spuście.

– Nie! – zawołał Randall. – Jezu, nie tak. Zdejmij palec ze spustu. Kładzie się go tam dopiero wtedy, kiedy jest się gotowym do oddania strzału. A przecież nie masz pojęcia, czy rewolwer jest nabity, czy nie!

– Racja – rzucił Will potulnie i odłożył broń na stolik. – Ale nie mógłbyś mnie nauczyć obsługi pistoletu półautomatycznego zamiast rewolweru?

– Zaczynamy od pierwszej litery alfabetu. Od podstaw. Rewolwer to podstawa.

– Okej, jasne. Ty tu rządzisz – zgodził się szybko, ale zabrzmiało to nieszczerze i protekcyjnie. Will wiedział, że ma do takiego tonu skłonność, nad którą powinien panować, jeśli chce się kiedyś dostać do tego wielkiego białego domu przy Pennsylvania Avenue 1600, do centrum wszechświata. Przynajmniej dla niego.

– Jeśli chcesz się nauczyć strzelać z pistoletu, nie ma sprawy. Ale żeby otrzymać pozwolenie na broń, trzeba znać się na obu jej typach.

– Rozumiem.

Randall przesunął w stronę Willa spluwę marki Smith & Wesson kaliber 9 mm. Pokazał mu, jak się ładuje do magazynka naboje, które nazywał pociskami. Will siedział skupiony. Tak czy owak, wystarczy, że zrobi to tylko raz. A kiedy już będzie musiał, na pewno potrafi załadować magazynek. Pragnął tylko jednego: oddać strzał, zabić i zniknąć. Bez pozostawiania śladów, które mogłyby do niego doprowadzić.

Umiał już wsunąć magazynek do komory, znajdującej się w rękojeści pistoletu, nauczył się również przeładowywać broń, pociągając zamek najpierw do tyłu, a potem go puszczając. W ten sposób pierwszy nabój trafiał do lufy. Nie bardzo pojmował tylko różnicę między takimi terminami jak „pocisk”, „nabój”, „ładunek” czy „kula”. Joe Randall, jak się wydaje, używał ich wszystkich zamiennie.

Will skierował teraz całą uwagę na przedmiot ćwiczeń, choć jego umysł odpływał niekiedy w kierunku dwóch wiadomości mejlowych, które miał jeszcze do napisania. W sprawach służbowych. Czuł się źle, wyszedłszy z pracy wcześniej niż zwykle, to znaczy o siedemnastej. Poza tym miał świadomość, że będzie musiał spędzić co najmniej godzinę przed komputerem w domu, zanim położy się spać. Gdy tylko przekroczy próg mieszkania, Jen z całą pewnością każe mu zaopiekować się Travisem. Zdarzało się, że dosłownie wciskała mu dziecko niczym odbezpieczony granat.

– Rozumiesz? – zapytał Randall. – Właśnie wprowadziłeś pierwszy nabój do komory. Twoja broń jest teraz naładowana, tak? Naładowana. Masz spluwę gotową do strzału. Więc celuj nią w bezpiecznym kierunku, a nie w coś, czego nie chciałbyś przypadkiem rozwalić w drobny mak. Dobrze?

– Dobrze.

– Ustaw pistolet w linii ognia.

Will nie bardzo wiedział, co zrobić.

– W ten sposób. – Randall odsunął od siebie wylot lufy. – Za każdym razem, kiedy pociągasz za spust, pistolet wyrzuca lufą nabój i natychmiast wprowadza do komory nowy, aż do wyczerpania magazynku.

– Okej.

Abbott wyprostował się w krześle. Był podekscytowany. Nagle w kieszeni jego płaszcza rozdzwonił się telefon. Zignorował go mimo przypuszczeń, że to Susan. W końcu znajdował się nie tak daleko od Kapitolu, w razie potrzeby mógł w każdej chwili wrócić do biura.

Randall rozłożył obie ręce, dłońmi do góry.

– Mogę prosić o tę broń?

Will podał mu pistolet, uważając, aby celować w bok.

Były policjant wykonał jakieś skomplikowane ruchy. Abbott ujrzał nagle spluwę

rozłożoną na części, a przynajmniej jej korpus oddzielony od magazynka pełnego nabojów, pocisków, kul czy jak je tam zwał.

– Chciałbym, żebyś załadował następny magazynek – powiedział Randall.

– Okej – zgodził się Will. – Ale tak naprawdę to muszę się nauczyć, jak prawidłowo celować, choćby w przybliżeniu, no i... wiesz... Jak strzelić. Najbardziej interesuje mnie strzał.

Raptem, ni stąd ni zowąd, zrobiło mu się niedobrze. Na miłość boską, przecież *Joe Randall to emerytowany policjant*. Abbott dowiedział się o tym dopiero dziś po południu, po przyjeździe na strzelnicę. Gdyby o tym wiedział, nigdy nie zdecydowałby się na lekcje strzelania u ekspliniera. To tak, jakby sam się prosił o areszt.

– Wybieramy się ze szwagrem na polowanie – oświadczył Will. – I nie chciałbym zrobić z siebie durnia. – Zaśmiał się cicho.

– W takim razie powinieneś się uczyć strzelać z broni długiej! Mogę ci to zaoferować, ale nie tutaj, trzeba wyjść na zewnątrz i...

– Wystarczy mi zwykła wiedza, jak oddać strzał. Rozumiesz, jak trafić w cel. – Wskazał na starą, podziurawioną tarczę przypiętą do ściany, czarną sylwetkę człowieka z rękami po bokach. Pośrodku jego piersi widniał okrągły otwór, a wokół – coraz mniejsze cyfry umieszczone w koncentrycznych kręgach. Otwór powstał zapewne wskutek przebicia przez dziesięć kolejnych pocisków, jeden za drugim. Same strzały w dziesiątkę.

– Jak daleko będziesz od celu? – zapytał Randall.

– Nie wiem. Chyba od metra do trzech.

– Tak blisko? Na co polujecie?

– Ja... Nie mam pojęcia. Na jakąś dziką zwierzynę. – Nie wiedział, czy do zwierzyny zalicza się także ptactwo, czy tylko duże ssaki. – Po prostu muszę się nauczyć strzelać.

Abbott znów odpłynął myślami na chwilę. Zobaczył zaczerwienione oblicze Gary'ego Sapolsky'ego, który niósł to swoje smutne kartonowe pudełko z doczesnymi dobrami. Raz jeszcze Will poczuł dyskomfort, ale zarazem także dumę. Dumę z siebie, jak sprytnie do tego doprowadził. Gary musiał odejść. Prawdopodobnie FBI i NSA analizowały już artykuły napisane przez Sapolsky'ego do gazetki studenckiej (Abbott nie pamiętał, jak nazywało się pismo wydawane na Wesleyan University), szukając w nich radykalnie antyamerykańskiego nastawienia. Tak właśnie wyglądały śledztwa federalne: ciągnęły się w nieskończoność, ospale, niemrawo, jakby ich zakończenie nikogo nie interesowało.

Michael Tanner, nie chcąc oddać laptopa pani senator, uprawiał swego rodzaju szantaż. Prawdopodobnie oczekiwał gigantycznej zapłaty. A jednocześnie uczynił coś, czego Will obawiał się najbardziej: przekazał tajne dokumenty prasie. W dzisiejszych czasach media tylko czyhały na takie przypadki jak pogwałcenie praw obywatelskich, by uderzyć nimi prosto w Białą Dom. A w programie CHRYSALIS inwigilacja osiągnęła ekstremum. Prasa jak jeden mąż rzuciłaby się na tę sprawę.

Z drugiej strony NSA i cały państwowy aparat bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych nie odpuści, dopóki się nie dowie, jak i gdzie doszło do wycieku. Opinia publiczna i cały Senat uznają – czyli właściwie wszyscy – że Susan Robbins celowo doprowadziła do przekazania tajnych danych, ponieważ chciała położyć kres programowi CHRYSALIS. Bez względu jednak na to, co szefowa sądziła na ten temat (Will nie miał pewności), była na tyle obyta i doświadczona, by zdawać sobie sprawę, że ludzie o skrajnych poglądach nie mają szans na dostanie się do Białego Domu. Właśnie dlatego nikt nie może się dowiedzieć, kto jest źródłem przecieku – zresztą nie uwierzono by tutaj w żaden przypadek.

Gdyby prawda wyszła na jaw, Susan poniosłaby o wiele większe straty. Oto bowiem poleciła szefowi swojego personelu skopiowanie i wyniesienie dokumentów, gwałcąc wszelkie możliwe procedury i narażając kraj na niebezpieczeństwo. Senator Robbins nie chciała zawracać sobie głowy osobistym przestudiowaniem akt w zamkniętym na cztery spusty lokalu SCIF-u – wolała luksus zapoznania się z nimi w samolocie zmierzającym do Los Angeles.

Natychmiast podniesie się ogromna fala oburzenia. Żaden polityk, który świadomie zaniedbuje procedury dotyczące klasyfikowanych informacji, nie ma miejsca w Białym Domu. I wtedy, rzecz jasna, Will straci pracę. Susan będzie musiała go zwolnić, tego by się zresztą domagał. Fatalnie, gdyby tak się stało. Przecież marzył o tym, aby móc w każdej chwili, nawet niezapowiedziany, wchodzić do Ovalnego Gabinetu, przecież już sobie wyobrażał, jak udziela szefowej rad w kwestii ostatniego kryzysu w stosunkach, powiedzmy, z Chinami.

Lecz jeśli jedyną przeszkodą w realizacji owej wizji z Gabinetem Ovalnym był ten arogancki handlarz kawą, ten bogacz posiadający firmę sygnowaną własnym nazwiskiem, to Abbott już dobrze wiedział, co należy z nim zrobić.

To samo co wtedy, przed wieloma laty, kiedy obciął łeb wściekłemu szopowi. Istniało w nim mroczne miejsce, coś, co nie tylko gwarantowało zdolność do tego czynu, lecz także czerpanie z niego ponurej satysfakcji.

O ile nie zostanie złapany.

Musiał tylko dotrzeć do Tannera szybciej niż NSA.

– Postawa frontalna, izraelska – mówił Randall. – Umiesz ją przyjąć? Jeśli nie, nauczę cię postawy francuskiej.

Nauka właściwej postawy strzeleckiej okazała się łatwa. Kiedy Will mógł wreszcie pociągnąć za spust, usłyszał rozczarowujące kliknięcie, ponieważ pistolet nie był nabity. Miał plastikowe okulary, tak jak na szkolnych zajęciach technicznych, a na uszach słuchawki, które Randall określał mianem „ochraniaczy taktycznych”.

Ekspolicjant wziął czystą tarczę celowniczą i przypiął ją do uchwyty na torze bezpośrednio przed nimi. Potem wcisnął przełącznik i papier odjechał na mniej więcej siedem metrów. Randall załadował do pistoletu pełny magazynek, a następnie podał broń

Willowi.

– No dobrze – powiedział. – Postawa bojowa, kolana na szerokości barków, jedna noga lekko do tyłu. O tak.

Tym razem, gdy Abbott pociągnął za spust – *cel na linii muszki, zacznij wydychać powietrze, delikatnie naciskaj spust, z równomierną presją, pamiętaj o odbiciu, spokojnie, nieruchomo* – rozległa się tak głośna eksplozja, że nawet mimo nauszników przeżył szok.

– Dobra robota! – oznajmił Randall. Will po raz pierwszy zobaczył na jego twarzy uśmiech. Facet miał wielką przerwę między przednimi zębami. – Masz naturalny dar.

Owszem, Will miał ów dar, ekspliniarz się nie mylił. Później już ani razu nie trafił w dziesiątkę, jednak większość pocisków przebijała koncentryczne kręgi na tarczy. Dobre „zgrupowanie”, jak to określił Randall.

Tak, najwyraźniej Will wykazał się pewnym talentem. Przynajmniej jeśli chodzi o celność z siedmiu metrów. Gdy czarny mężczyzna przesunął tarczę na siedemnaście, wyzwanie stało się poważniejsze. Wiele kul trafiało w papier poza czarną sylwetką albo w ogóle nie docierało do celu. Natomiast inne lokowały się niemal w samym środku. Wydawało się, że Randall jest po raz pierwszy pod wrażeniem.

Tak czy owak, Will nie sądził, że będzie musiał mierzyć do Tannera z odległości aż siedemnastu metrów. Nie zamierzał podejmować takiego ryzyka.

Mimo że strzelanie budziło w Willu pewien lęk – którego zapewne nigdy nie przewyżczy – jednocześnie czuł dziwne podniecenie. Miał erekcję. I nadzieję, że Randall niczego nie zauważył.

Gdy wyobrażał sobie Tannera jako wściekłego szopa pracza w garażu, a nie człowieka, za każdym razem trafiał w cel. Nawet przy najsilniejszym rzucie adrenaliny.

– Zaimponujesz szwagrowi – rzucił Joe Randall.

– Komu...? Ach tak, no, owszem.

– Gdzie mieszkasz?

Dlaczego facet o to pyta? – zastanawiał się Will, nagle czujny.

– W Stanton Park. A co?

– Dla mieszkańców Dystryktu sprawy się komplikują. Trzeba zrobić cztery wycieczki: do wydziału policji, na dwa sprawdzenia kartotek, na pobranie odcisków palców, musisz ponadto odbyć czterogodzinne zajęcia teoretyczne, a potem jeszcze wpłacić prawie tysiąc zielonych.

– Co jest takie skomplikowane?

– Zdobycie pozwolenia na broń. Będziesz się o to starał, tak?

– Mówiłem ci, że chodzi mi tylko o to polowanie, na które...

– Powinieneś. Masz dar.

Randall znów wcisnął przełącznik i tarcza przesunęła się w ich stronę. Odpiąwszy papier z uchwytu, podał go Willowi.

- Na pamiątkę.
- Och! – Will się zaśmiał. – Nie, dzięki.
- Nie chcesz mieć pamiątki? Trafiłeś w samą dziesiątkę, kolego. Żona będzie pod wrażeniem.
- No dobrze, chcę – odrzekł Will i wziął papier. Pomyślał, że wyrzuci go gdzieś po drodze do domu.
- Kiedy kolejna sesja, kowboju? – Ekspolicjant wyjął czarną książeczkę i długopis.
- Myślę, że jedna wystarczy.
- Jeszcze dużo musisz się nauczyć.
- Zobaczymy – skwitował Abbott. – Być może nic więcej nie będzie mi potrzebne.

Nikt nie chciał się zatrzymać.

Właśnie ta część planu najbardziej martwiła Tannera. Musiał przemieszczać się szybko, ale bez samochodu i korzystania z transportu publicznego. Trzymał więc kciuk w górze, starając się sprawiać sympatyczne, niegroźne wrażenie. Nie przypominać autostopowicza seryjnego zabójcy, którego lepiej się wystrzegać. Gdy minął go dziesiąty już wóz, Michael spojrzął na siebie krytycznym okiem i stwierdził, że ma podartą koszulę, a spodnie khaki zabłocone. Jego twarz wyglądała chyba podobnie, podrapana i pełna smug. Był niczym potwór z bagien.

Pobiegł więc poboczem drogi ku centrum miasteczka. Najwyraźniej prześladowcy – agenci NSA, bo któżby inny – zgubili jego ślad. Jednak wkrótce zorientują się, że Tanner opuścił las, i podwoją wysiłki; to, że go dopadną, było tylko kwestią czasu. Każdy nadjeżdżający z tyłu samochód mógł należeć do grupy zadaniowej NSA. Michael musiał znaleźć jakieś auto i spieszyć stąd jak najdalej.

W wielu filmach sensacyjnych, które Tanner widział, działo się zawsze tak, że gdy jakiś bandzior posłużył się kradzioną kartą kredytową, w siedzibie policji rozległy się dzwonki alarmowe. Czy gdzieś tam. Nie mógł więc skorzystać z karty. Bo wtedy NSA namierzyłaby go natychmiast.

Co oznaczało, że wynajęcie kolejnego auta nie wchodziło w grę. W portfelu miał nieco ponad sto dolarów, co zwykle było wystarczającą kwotą, ale dzisiaj, gdyby chciał kupić używany wóz, jednak zbyt małą.

W takim razie należało samochód ukraść.

Michael nigdy czegoś takiego nie robił – nawet nie oszukiwał na podatkach – wiedział jednak, jak się do tego zabrać. Wiele lat temu ojciec nauczył go odpalać auto ze zwarcia kabli na krótko. Mieli wtedy starożytnego chryslera lebarona z niedziałającą cewką zapłonu. Auto nawalało w najważniejszych momentach, a jego uruchomienie było niczym loteria.

Jednakże umiejętność uruchomienia starego, porzewiałego grata z końca lat siedemdziesiątych nie oznaczała automatycznie zdolności odpalenia nowocześniejszego wozu. Wiele się przecież w technice zmieniło. Trudność stanowiło już samo znalezienie odpowiedniego samochodu. Przy tej ulicy ludzie mieszkali w skromnych, drewnianych domach; tylko gdzieś tam widać było nowsze wille. Próba kradzieży auta na przedmieściach byłaby szaleństwem, ponieważ wozy stały tu na podjazdach, doskonale

widoczne z okien. Podobnie rzecz się miała z samochodami zaparkowanymi przy chodnikach – obok wciąż przejeżdżały inne pojazdy.

Michael przebiegł trzy kilometry, mijając kościół, stację benzynową i bank. Wszystkie były otwarte, ale tych miejsc nie brał pod uwagę w swoich planach, ponadto kradzież auta z kościelnego parkingu wydawała mu się rzeczą naganną. Musiał znaleźć samochód raczej stary i stojący w miejscu niewidocznym, prawie opuszczony – wtedy miałby szansę odpalić go z kabli. Koniecznie wieczorem lub nocą. Dotarł do centrum miasteczka, nie spotykając po drodze żadnej taksówki, wiedział jednak, że jest ich tutaj niewiele.

Ponieważ Michael nie rozpoznawał już okolicznych sklepów, uznał, że znajduje się w jednej z sąsiednich miejscowości, prawdopodobnie w Concord. Oprócz odpowiedniego samochodu szukał jeszcze czegoś: jakiegoś dyskontu, w rodzaju placówek sieci Marshalls albo Kohl's, ale nie znalazł, nie licząc butiku z odzieżą męską, specjalizującego się w supermodnych ciuchach. Darował sobie różowe spodnie i seledynowe swetry, kupił zwykłe dżinsy i sportową koszulkę. Przebrał się w przymierzalni, a zabłocone ubranie wyrzucił.

Teraz potrzebował jakiegoś miejsca, gdzie mógłby usiąść i skorzystać z komputera z dostępem do Wi-Fi. Kiedyś istniały, pamiętał to dobrze, tak zwane kafejki internetowe, w których płacono się za minuty czy godziny surfowania po necie. Może nadal są. Jednak niczego podobnego w tym miasteczku nie zauważył. Tylko parę restauracji, kolejną stację benzynową i lokal Dunkin' Donuts.

Tanner wszedł do cukierni, kupił kawę i usiadł przy stoliku na tyłach. Wyjął jeden ze swoich jednorazowych telefonów na kartę, a następnie go włączył. Bateria wciąż była prawie całkowicie naładowana. Oto zaleta tanich aparatów: miały solidne zasilanie.

Pociągnął łyk kawy. Potem zadzwonił do firmy i poprosił o połączenie z Lucy.

To będzie bezpieczna rozmowa, zdecydował Michael. Tamci nie znali numerów jego komórek na kartę. A skoro tak, bez fizycznego dostępu do telefonu raczej nie mogli namierzyć dzwoniącego. Wprawdzie wnioski te opierały się tylko na domysłach i przecuciach, jednak Tanner zaczynał w pełni ufać swojemu instynktowi, jak nigdy przedtem.

- Jeszcze nie wypadliśmy z gry – powiedziała Lucy radośnie, kiedy podniosła słuchawkę.
- Dzień dobry. Piękny poranek.
- Chyba popołudnie.
- Racja. Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?
- Poza tym, że Connie Hunt naprawdę trzeba zwolnić?
- Mam prośbę. Sprawdź jeszcze raz wiadomości na moim iPhone.
- Mogę ci go przywieźć do domu, jeśli chcesz.
- Nie, nie trzeba. Powiedz mi, czy mam nowe wiadomości.

Lucy kazała Michaelowi zaczekać.

Minutę później powróciła na linię.

– Dziwne. Telefon mówi „Cześć”.

– Słucham?

– Na ekranie pojawia się słowo „Cześć”, wypisane dużymi literami. To nie jest twój normalny ekran powitalny. Ten ze zdjęciem twoim i Sarah. – Była to ulubiona fotka Michaela, zrobiona na plaży w Cape Cod.

– Możesz wprowadzić hasło?

– Nie, bo aparat w ogóle o to nie prosi. Tylko wyświetla „Cześć”. Jakby to był fabrycznie nowy telefon, bez ustawień.

– Hm. Nic nie rozumiem.

– Wygląda to tak, że wykasowała się cała zawartość twojej komórki czy coś w tym stylu. Może doszło do spięcia?

– Dziwne. – To nie miało sensu. Chyba że, oczywiście, NSA znów coś zmagistrowała. Jednak wydawało się to zbyt naciągane. Przecież nie dysponowali narzędziami zdalnego czyszczenia zawartości telefonu. A jeśli nawet, to po co mieliby mu robić coś takiego? Co mogliby w ten sposób uzyskać? – Sprawdzę to później – powiedział.

Zadzwoił do Sarah na jednorazową komórkę, którą dał jej wcześniej.

– Jestem poza domem, w... – Zamilkł, zanim wymówił słowo „Concord”. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że ona również korzysta z telefonu na przedpłaconą kartę. Mogli rozmawiać otwarcie. Poinformował żonę, gdzie się znajduje. – Potrzebuję jakiejś chaty w okolicy, gdzie mógłbym się zaszyć.

– Nie sprzedaję nieruchomości w miasteczkach na zachód od Bostonu. Wiem, że Katya się tym zajmuje. Oddzwonię.

Telefon odezwał się po paru minutach. Michael zdążył wypić kolejną kawę. Zdał sobie sprawę, że jej smak go nie razi: był nijaki i płaski, ale ostatecznie nie taki zły, jeśli uznać tę kawę po prostu za ciecz dostarczającą do organizmu kofeinę.

– Tanner – zaczęła Sarah – okej, ten dom jest już właściwie poza ofertą rynkową, ale nadal stoi pusty, bo właściciel przeprowadził się na Florydę. – Podała mu kombinację cyfr otwierających zamek w drzwiach wejściowych.

– Sarah, tylko nie przyjeżdżaj tu do mnie. Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej. Dobrze?

– Daj spokój, nie planuję podróży do jakiegoś Concord.

– Mówię na wszelki wypadek. Jedna chwilka. Masz przy sobie kartę do bankomatu, tak?

– Pewnie.

– Potrzebuję gotówki.

– Przecież masz własną, no nie?

– Owszem. Ale nie mogę jej użyć. – To też by ich zaalarmowało, podobnie jak skorzystanie z karty kredytowej. Szybko by go zlokalizowali.

- Więc jak ci dostarczyć pieniądze? Może schowam je gdzieś w tym domu.
- To by oznaczało podróż do Concord.
- Nie dam rady wybrać się tam wcześniej niż późnym popołudniem.
- Dziękuję, ale lepiej nie. Mogą cię śledzić, żeby trafić do mnie. – Nie chciał też, aby Sarah przytrafiło się coś złego, wolał jednak o tym nie mówić, żeby jej nie wystraszyć. – Wystarczy, jeśli zawieziesz forszę do firmy i dasz ją Lucy, a ja już się z nią jakoś umówię.
- Okej. Ile?
- Tyle, ile zdołasz wybrać z oszczędności. Tysiąc, dwa, cokolwiek. Gotówka nie jest niezbędna, ale może pomóc.

Nieopodal lokalu Dunkin' Donuts znajdował się Starbucks. Mieli tam Wi-Fi, jednak Michael potrzebował też komputera. Minął efekciarsko wystylizowaną kawiarnię, gdzie – jak wiedział – podawano znakomity czarny napój. Kiedyś Karen próbowała złożyć im ofertę, niestety, Starbucks współpracował już z firmą Counter Culture z Durham. Na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic Michael trafił na bibliotekę publiczną w Concord, ładny budynek w stylu georgiańskim o białych kolumnach.

Właśnie czegoś takiego poszukiwał. Wszedł do środka; korytarz prowadził wprost do kontuaru obsługi. Tuż obok stały w szeregu terminale komputerowe przeznaczone do bezpłatnego użytkowania przez czytelników. Usiadł przed jednym z nich, otworzył wyszukiwarkę, a następnie Gmail. Wprowadził swój adres mejlowy, TannerRoast@gmail.com – kolejny dowód, że pracował zbyt ciężko, skoro pozwolił, aby firma wzięła górę nad życiem prywatnym. Kliknął w ikonkę „Dalej”. Ukazało się czerwone ostrzeżenie:

Przepraszamy, ale Google nie rozpoznaje tego adresu mejlowego.

Pewny, że musiał pomylić jakąś literę, raz jeszcze wklepał wyrazy „TannerRoast”, tym razem uważniej. Znów czerwony komunikat.

Przepraszamy, ale Google nie rozpoznaje tego adresu mejlowego.

Oparł się w krzesło, skonsternowany. Niemożliwe, aby walnął się dwukrotnie. Gmail nie wymagało wprowadzania dużych i małych liter w adresie poczty elektronicznej, więc nie o to tutaj chodziło. Mimo to ponownie wpisał całą nazwę małymi literami, tak na wszelki wypadek.

Przepraszamy, ale Google nie rozpoznaje tego adresu mejlowego.

Rozdzwoniła się schowana w kieszeni komórka na kartę. Parę osób spojrzało na Michaela z dezaprobatą. Wyjął telefon; Sarah próbowała się z nim połączyć z przedpłaconego aparatu. Odebrał, jednocześnie wymykając się cicho na korytarz.

- Słucham cię, Sarah.
- Zmieniłeś hasło?
- O czym ty mówisz?
- Karta debetowa nie działa. Bankomat połknął ją i zablokował!

- Niczego nie zmieniałem, Sar. Może zadzwoń do banku i powiedz im, co się stało.
- No – westchnęła. – Zadzwonię. Przykro mi.
- Nic z tego nie rozumiem – rzucił Tanner.

Ale chyba rozumiał. Wrócił do stanowiska komputerowego obok kontuaru obsługi. Ponownie wprowadził swój adres na Gmail i znów zobaczył komunikat o błędzie. *Google nie rozpoznaje tego...* Tutaj wcale nie chodziło o zmianę hasła. Bo z tym by sobie poradził.

Po prostu podany adres mejlowy nie istniał.

A jego karta do bankomatu nie działała.

Michael wszedł na Yahoo.com, a następnie na konto, które założył poprzedniego dnia, będąc jeszcze w domu Carla. Wykorzystał jakieś wymyślane nazwisko tudzież liczbę 322, czyli numer domu jego rodziców. Tym razem skrzynka się otworzyła, ukazując dwie wiadomości: jedną z nich było nagranie wideo, wysłane automatycznie przez bezprzewodową kamerę, którą Scott umieścił w lesie. Druga zawierała rachunek od tego kolegi na kwotę nieco ponad tysiąca dolarów.

Tym razem Tanner spróbował się zalogować na stronie Facebook.com. Wymagało to wpisania adresu mejlowego lub numeru telefonu oraz hasła.

Znów czerwony komunikat. *Wprowadzony adres jest nieprawidłowy. Zarejestruj się na Facebooku.*

Jak gdyby jego profil nigdy tam nie istniał. A przecież Michael miał swoje konto, choć rzadko je odwiedzał. Ponowił próbę, zobaczył ten sam komunikat o błędzie i pojął, że dalsze usiłowania są zbędne. Nie było szans, że dostanie się na Facebooka. Jego konto zostało skasowane.

Z rosnącym niedowierzaniem otworzył Amazon.com. Kliknął w ikonkę „Zaloguj się”, co doprowadziło go do kolejnej strony. Miał tam podać swój adres mejlowy oraz hasło.

Ukazał się czerwono zarysowany prostokąt, znak ostrzeżenia oraz słowa:

Wystąpił problem.

Nie możemy znaleźć konta przypisanego do tego adresu.

Z kolei przy próbie otwarcia witryny Netflix.com Michael otrzymał komunikat:

Przepraszamy, ale podane konto nie istnieje. Proszę spróbować ponownie albo utworzyć nowe.

Czy mam jakieś inne konta?, zastanawiał się Michael. Och tak, w banku. Wszedł na stronę BankofAmerica.com.

Różowy prostokąt z wielkim czerwonym trójkątem oraz wykrzyknikiem. *Nie rozpoznano twojego identyfikatora internetowego i/lub hasła. Proszę spróbować ponownie lub wejść na „Zapomniałem identyfikator & hasło”.*

Nie mógł zalogować się do żadnego ze swoich kont w internecie. Nie istniały. *Brak danych o użytkowniku z podanym adresem mejlowym.* Nawet strona CraftBeerTemple.com przywitała Tannera ikonką, która wpatrywała się weń ze zdziwieniem. Przecież ciebie nie

ma.

Było to nie tyle irytujące, ile wręcz przerażające. W świecie zdominowanym przez internet Michael Tanner stał się duchem.

Istnienie Michaela w świecie cyfrowym zostało wymazane. Jak gdyby całą sieć dotknęło dziwne zwarcie i przepięcie. Albo ktoś go stamtąd usunął jednym kliknięciem.

Jak to było możliwe?

Musiał jak najszybciej zdobyć pieniądze, skoro nadal miał zamiar pozostawać „na zewnątrz” – poza granicami swojego normalnego życia. Odnosił też nieprzyjemne wrażenie, że NSA mogła posunąć się jeszcze dalej niż skasowanie śladów jego bytności w sieci. *A jeśli przejęli moje aktywa?* Czy mieli instrumenty, by dokonać czegoś takiego?

Z walącym sercem Tanner wyszukał numer infolinii swojego banku i wklepał go do komórki. Potem wyszedł z biblioteki. Usłyszał w słuchawce kilka poleceń nakazujących skupienie uwagi, ponieważ – jak mu powiedziano – „nasze menu uległo ostatnio zmianie”.

Warknął do telefonu: „Obsługa klienta” i po kilku minutach przechodzenia od jednego numerka do drugiego jakiś mężczyzna młodym, rozkojarzonym i przytłumionym głosem spytał, czym może służyć.

– Moje konto internetowe nie działa – oświadczył Michael i opisał całą sytuację.

Rozkojarzony młodzieniec potrzebował sporo czasu, by to zrozumieć, jednak ostatecznie postanowił połączyć Tannera ze swoją przełożoną.

W słuchawce rozległ się znacznie energiczniejszy, kobiecy głos.

– Mówi Audrey Jones, w czym mogę pomóc?

Michael znów wszystko wyjaśnił.

Audrey odpowiedziała bez wahania:

– Rzeczywiście, proszę pana, wygląda na to, że doszło do naruszenia przepisów bezpiecznego użytkowania pańskiego rachunku elektronicznego, ale z pewnością wszystko wyprostujemy bez problemu. Musi się pan tylko pofatygować do naszej placówki przy Boylston Street w Bostonie. – Kobieta podała adres.

Tanner natychmiast się rozłączył.

Pofatygować do placówki. Coś tu było nie tak.

Mieli go za ufego głupka, który zdekonspiruje się z powodu zamkniętego konta i wpadnie w zasadzkę zastawioną przez NSA? W pułapkę?

Nie zdążył wyłączyć komórki, gdy ta znów zadzwoniła.

– No proszę, jesteś – powiedział łagodny baryton z trudnym do zlokalizowania południowym akcentem.

– Czego chcesz? – zapytał Michael.

– Fatalnie nie mieć internetu, co? Jak ciągle słyszę, że ludzie narzekają na tyranię sieci, mam ochotę im odpowiedzieć: Spróbujcie dać sobie radę bez niej. Rozumiesz mnie?

– Szczerze mówiąc, ten pomysł z bankiem był świetny. Prawie dałem się nabrać.

Earle roześmiał się chrapliwym dyszkantem palacza.

– Mieliśmy umowę, ty i ja. Według mojego zegarka dwadzieścia cztery godziny już minęły. Co się stało?

– Postawię sprawę jasno – odrzekł Tanner. – Wiem, że na tym laptopie są tajne dokumenty, ale ja do nich nie zaglądałem. Dlatego, że wziąłem tego kompa przez pomyłkę. Okej?

– Dobry obywatel, lubimy takich.

– Nie jestem kolejnym Edwardem Snowdenem, nie jestem demaskatorem, nie mam interesu w przekazywaniu danych „New York Timesowi”. Ale zrobię to, jeżeli będę musiał.

– Był to nie tylko błąd, lecz także forma nacisku, środek perswazji. „New York Times” zażądałby zapewne laptopa, nie tylko plików przesłanych mejlem. Bo wtedy Michael zostałby uznany za jeszcze jednego nawiedzonego świra.

– I sądzisz, że „New York Times” to wykorzysta? Że wrzuci te dane na swoją witrynę internetową? W dzisiejszych czasach gazety są bardzo ostrożne, jeśli chodzi o publikowanie materiałów. To znaczy te nieliczne, które jeszcze istnieją.

Tanner zaczął się zastanawiać: Czy oni mają jakiś sposób namierzenia go za pośrednictwem komórki na kartę? Oczywiście nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć wydawało się to mało prawdopodobne w przypadku telefonu przedpłaconego. Bo przecież gdyby mieli taką możliwość, to już dawno by go znaleźli. Być może więc Michael pozostawał bezpieczny, rozmawiając przez tę komórkę.

– To nie wszystko, czym dysponuję – rzucił do słuchawki.

– Widziałem to wideo. Niczym nie dysponujesz, kolego.

– Doprawdy? Według przepisów wewnętrznych NSA nie wolno wam prowadzić czynności operacyjnych w kraju.

– To nie jest takie proste, Michael.

– Przekonamy się, że jest, kiedy dostarczę kopię filmu do ACLU³. A także „New York Timesowi”. Na tym nagraniu widać co najmniej trzy twarze, i to bardzo wyraźnie. Stanowi ono dowód, że działacie na terenie Stanów Zjednoczonych, gwałcąc własny regulamin. Poza tym, jeśli to są tajni agenci, to od tej chwili przestaną być tajni. Będą spaleni, czy jak to nazywacie. Sam mogę wrzucić filmik na YouTube’a.

– Który zniknie stamtąd w ciągu paru sekund, gwarantuję.

– Nie wtedy, gdy przekażę go dziennikarzom. To dla nich gratka.

– Nie wiem, czy istnieje dostatecznie odważna gazeta, która zdecydowałaby się zaszkodzić bezpieczeństwu państwa, publikując ten materiał. W każdym razie nie masz już

tego filmiku na swojej skrzynce.

– Tylko że to nie była jedyna kopia. – Mówiąc to, Tanner poczuł satysfakcję. – Jest ich całe mnóstwo. – Tak naprawdę miał tylko jedną, na swoim nowym koncie w Yahoo. Do którego tamci się jeszcze nie dobrali.

Earle westchnął głośno.

– Bardzo bym nie chciał, żebyś to zrobił. Ale zastanów się, co tak naprawdę widać na tym nagraniu? Paru facetów w lesie? Może bawią się w geocaching? Albo są fanatykami Pokémon Go? Kto to może wiedzieć? Och, a może zwyczajnie chcesz powołać do życia internetową grupę świrów, gromadzącą gości wierzących w różne teorie spiskowe, że na przykład w pizzeriach działających w Waszyngtonie przetrzymuje się nieletnich niewolników seksualnych. I co masz właściwie do przekazania ACLU i „New York Timesowi”? Przykro mi, ale muszę cię rozczarować, Michael, to nagranie kojarzy się bardziej z *Blair Witch Project 2* niż, powiedzmy, z Pentagon Papers.

Tanner nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc milczał.

– Znajdziemy ten komputer, sam wiesz – powiedział Earle. – Już zlokalizowaliśmy sejf w twojej firmie, nawiasem mówiąc. W kuchni. Sprytnie.

– Dzięki.

– Przykro mi, że musieliśmy się do niego włamać. Zwrócimy ci koszty. Tak czy owak, nie zostawiłeś laptopa w środku, co było mądrym posunięciem. Ale niebawem go znajdziemy. Ciebie też, Michael. Nie jest już możliwe ukrywanie się przed rządem. Im dłużej się chowasz, tym więcej mechanizmów musimy uruchamiać, a to ci się nie spodoba, uwierz mi. Możemy na przykład zamrozić aktywa firmy Tanner Roast, co? No wiesz, twoja firma importuje towary z zagranicy, co wymaga częstych wyjazdów służbowych do Ameryki Środkowej czy Afryki, i jako taka może zostać uznana za potencjalne zagrożenie działalnością szpiegowską. A kiedy my...

Tanner przerwał połączenie. Usłyszał już wystarczająco dużo. Musiał się stamtąd zabierać.

Michael wrócił do biblioteki publicznej i przez kilka godzin googlował, robiąc notatki. Sporządził też listę rzeczy, których potrzebował. Późnym popołudniem, wykończony i spragniony kofeinowego zastrzyku, wybrał się do McDonalda. Nie chciał wstępować do fantastycznej, niezależnej kawiarni, która znajdowała się w pobliżu, ponieważ znał jej właściciela i obawiał się, że może go zastać w lokalu.

Przy kolejnej ulicy Michael trafił na magazyn budowlany, gdzie kupił kilka artykułów ze swojej listy. Wkrętak płaski, śrubokręt krzyżowy, kawałek drutu, młotek, małą ledową latarkę, baterie, szcypce do cięcia drutu, skrobaki, taśmę izolacyjną i izolowane rękawice wrzucił do specjalnie w tym celu kupionego plecaka. Rachunek wyniósł prawie sto dolarów. Rzecz jasna, zapłacił gotówką, a czekając na zapakowanie towaru, policzył pieniądze w portfelu. Nie zostało ich zbyt wiele. Wystarczyło na kolację w jakiejś taniej knajpie i na kawę nazajutrz rano. Tylko tyle. Michael musiał zdobyć więcej gotówki.

Miał jednak zamrożone konto i nic nie mógł zrobić. Zwłaszcza wypłacić z niego pieniędzy. A nawet skorzystać z własnej karty kredytowej, bo wtedy zespół kierowany przez Earle'a zostałby natychmiast postawiony w stan gotowości i zlokalizowałby Tannera. Co w takim razie pozostawało? Pożyczka od przyjaciela, kogoś, kto wydawał się pewny. Większość kolegów, jak sądził Michael, chętnie by go wspomogła finansowo. Ale czy kontaktowanie się z nimi było bezpieczne? W tym tkwił problem. Przyjaciół, z którymi spotykał się najczęściej – kumpli od piwa – należało wykluczyć. A także wszystkich, do których ostatnio telefonował, niezależnie od tego, z jakiego typu aparatu.

To samo dotyczyło osób, z którymi Tanner komunikował się mejlowo. Niestety, po skreśleniu tych wszystkich ludzi z listy (nawet koleś, z którymi chodził na mecze Red Soksów), pozostali mu jedynie dawni znajomi, z którymi zerwał już kontakty. To byli jego przyjaciele, owszem, ale ich drogi zdążyły się rozejść. Przyszedł mu do głowy kolega ze studiów, który – podobnie jak Tanner – dorabiał sobie do chesnego, pracując w jednej z kawiarni w Bostonie. Nazywał się Theo Oliveira. W college'u był muzykiem, klawiszowcem, czasem płacono mu za koncerty. Jako student ćpał, wydawał się też nieco ekscentryczny, ale w sumie był utalentowanym, fajnym gościem. Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiali – to musiało być co najmniej pięć lat temu – Theo poinformował Michaela, że ożenił się z koleżanką z zespołu i mieszka w Acton lub w okolicach.

Michael rozważał w myślach kandydaturę Oliveiry. Miał przeczucie, że Theo ledwie

wiąże koniec z końcem i dlatego raczej nie nadaje się na pożyczkodawcę. Z drugiej strony facet zrobiłby wszystko, co w jego mocy, aby pomóc dawnemu koledze. Tego Michael był pewien.

Znów wrócił do biblioteki i znalazł Theo Oliveirę w necie, ustalił jego adres oraz numer telefonu. Kolega mieszkał w Carlisle, miasteczku sąsiadującym z Concord. Następnie Tanner obejrzał na YouTubie kilka filmików, jak odpalić samochód, zwierając kable na krótko, tak dla przypomnienia. Wyglądało na to, że obecnie procedura ta wymagała ukończenia studiów magisterskich na MIT. Przewody biegły w ukryciu, do tego dochodziły immobilizery oraz systemy smart key. Nie, musiał znaleźć samochód starszej generacji.

Michael czuł się źle z myślą, że zamierza ukraść wóz jakiemuś biedakowi, ale nie miał wyjścia: musiał się jakoś przemieszczać bez pieniędzy. Tutaj zaś, w porównaniu z Bostonem, nigdzie nie było blisko. Powinien się liczyć również z tym, że nie miał forsy na benzynę.

Pozostawał jednak dylemat moralny: Michael nie był złodziejem, swoją firmę prowadził zawsze uczciwie, pod każdym względem. Uważał to za sprawę honoru. A teraz zamierzał włamać się do czyjegoś samochodu i go podprowadzić. Nic nie mogło tego usprawiedliwić, z wyjątkiem braku alternatywy. Instynkt przetrwania unieważniał etyczne skrupuły.

Michael jeszcze niczego nie ukradł, a już czuł z tego powodu wyrzuty sumienia.

Jak wynikało z poszukiwań w internecie, nowoczesne samochody nie dawały się tak łatwo zwinąć. Te produkowane od połowy lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku miały rozmaite zabezpieczenia antykradzieżowe, w tym immobilizery silnika. Tylko w grach komputerowych w rodzaju *Grand Theft Auto* sprawa wydawała się całkiem prosta.

Kiedy wreszcie Tanner zakończył poszukiwania w sieci, na dworze zrobiło się ciemno. Wyjął z bibliotecznej szafy metalowy wieszak na ubrania i zabrał go ze sobą. Ta kradzież nie nastęrczała problemów.

Na zewnątrz było chłodno, a jego marynarka nie zapewniała dostatecznej ilości ciepła. Michaelowi zrobiło się zimno, ogarnęło go przygnębienie.

Szedł główną ulicą, poszukując odpowiedniego obiektu. Minął parę sklepów i firemek, które najwyraźniej jeszcze działały mimo późnej pory. Potem natrafił na starą stację paliw, chyba nieczynną, gdzie parkowało kilka samochodów. Niestety, było je dobrze widać z przejeżdżających pojazdów, również piesi mieli je jak na dłoni. Nie wchodziły więc w rachubę. Nieliczne auta stały za niewielkim pasażem handlowym (sklep z akcesoriami ślubnymi, mała firma ubezpieczeniowa, piekarnia), ale wszystkie należały do nowszych modeli, nie mogły mieć więcej niż pięć lat. Były zbyt nowe, by można je ukraść. Michael wszedł do mijanego supermarketu i kupił kolejne tanie komórki na kartę.

Na parkingu przed supermarketem panował zdecydowanie zbyt duży ruch. Michael obchodził łukiem jeden samochód za drugim, skreślając je po kolei z rozmaitych powodów: zbyt widoczne miejsce, za nowy, ma alarm. Było ciemno, czuł się głodny, samotny

i zziębnięty. Mijał domy z jasno oświetlonymi kuchniami, w których siedzieli ludzie, jedząc, oglądając telewizję, kłócąc się – a w nim narastało poczucie osamotnienia.

Mimo to zaczynał układać w myślach plan wyrwania się z tego wszystkiego, plan, który pozwoliłby mu przeżyć... i powrócić do normalnego życia. Kilka godzin spędzonych w bibliotece zaowocowało pewnym pomysłem.

Należało go tylko starannie przeanalizować.

Tymczasem teraz najważniejsze było znalezienie odpowiedniego samochodu, który mógłby ukraść.

I taki trafił się kilka minut później. Stał przed kolejną firmą ubezpieczeniową, długim, niskim ceglany budynkiem z lat pięćdziesiątych. Nigdzie nie widział nocnego stróża, okna były ciemne i pozamykane. Na parkingu na tyłach tkwiły dwa auta przypuszczalnie pozostawione tu na noc. Parking zdawał się opustoszały i pozbawiony monitoringu, a jedyne, co dawało się stąd dostrzec, to nieczynny, umiejscowiony z boku lokal jakiegoś dilerka samochodowego i nic więcej. Ani jednego człowieka.

Pierwszym z samochodów stojących na parkingu okazał się stosunkowo nowy model mercedesa. Odpadał. Drugim – mały, przysadzisty ford festiva koloru żółtego, który musiał mieć ze trzydzieści lat. Wyprodukowano go na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, tego Tanner był prawie pewny. Rozejrzał się dookoła, a nikogo nie widząc, wyciągnął z plecaka metalowy wieszak na ubrania i go wyprostował. Na jednym końcu zrobił niewielki haczyk. Wsunął go pod czarną taśmę uszczelniającą okno od strony kierowcy, poruszał drutem ruchem okrężnym, aż poczuł, że za coś złapał. Niestety, po chwili haczyk się ześlizgnął. Powtórzył manewr, raz jeszcze pochwycił jakiś element maszynarii mechanizmu otwierającego zamek i szarpnął drutem ku górze.

Drzwiczki się otworzyły.

Tanner rozejrzał się ponownie, tak na wszelki wypadek, a potem wsunął do wnętrza auta. Cuchnęło przepełnioną popielniczką. Był bliski wymiotowania. Zaczął macać u podstawy kierownicy, próbując znaleźć wystające przewody, jednak bez powodzenia. Nie pójdzie tak łatwo.

Próba numer jeden: Tanner wsadził płaski wkrętak w stacyjkę zapłonu, stuknął w niego młotkiem, a następnie obrócił rączką wkrętaka tak, by uruchomić silnik.

Oczywiście nie zadziało. Także ten mechanizm nie chciał współpracować.

Przyświecając sobie latarką, znalazł otwory na śrubki w odlewanym plastikowym panelu pod kolumną kierownicy. Trzymając urządzenie w zębach, odkręcił panel i – z pewną trudnością – go zdjął. No proszę, oto wnętrze zapłonu, szczerze gniazdo przewodów, pokrytych grubą warstwą kurzu.

Odnalezienie wiązki, która prowadziła do cylindra zapłonowego w kolumnie kierownicy, poszło gładko. Podobnie jak odszukanie kabli zasilających z akumulatora: miały grubszą średnicę i tak się szczęśliwie składało, że były czerwone. Tanner włożył izolowane rękawice

– w końcu kable pozostawały pod napięciem – i przeciąwszy oba przewody, zdarł z nich izolację na długości mniej więcej centymetra. Złączył końcówki przewodów, a wtedy samochód ożył: radio ryknęło, na tablicy rozdzielczej zabłyśły światelka. Sukces. Przynajmniej w części pierwszej.

Następnie Michael przeciął dwa inne kable, tym razem brązowe, również pod napięciem. Powtórzył z nimi poprzednią procedurę. Zaiskrzyło, silnik zaskoczył od razu. Samochód brzmiał dobrze, zdrowym, gardłowym odgłosem. Tanner oddzielił końcówki przewodów, po czym obwiązał je taśmą.

Sukces w części drugiej.

Odetchnąwszy z ulgą, odrobinę zwiększył obroty silnika, włączył światła i stopniowo zapoznawał się z wnętrzem pojazdu. Ze stopą na hamulcu spróbował obrócić kierownicę – ta jednak ani drgnęła. Była zablokowana. Michael próbował kręcić się w prawo i w lewo, bez skutku.

Blokada. Tego się właśnie obawiał. Nie można stwierdzić, patrząc na samochód z zewnątrz, czy kierownica ma blokadę, czy nie.

Cholera.

Musiał zrezygnować. Znow szukał odpowiedniego wozu, jednak wszystkie okazywały się zbyt nowoczesne. Najwyraźniej teraz zawód złodzieja samochodowego wymagał niezwykle wysokich kwalifikacji.

Wreszcie za sklepem zaopatrującym restauracje znalazł starą, dobrze utrzymaną mazdę z lat dziewięćdziesiątych. Sprawnie dostał się do środka, uruchamiając go w ciągu niecałych pięciu minut. Uczył się szybko.

Mazda pracowała dobrze i gładko, miała około ćwierci baku paliwa. Wcześniej Tanner zapisał sobie adres domu w Concord, który według Sarah nadawał się do krótkiego pobytu. Już chciał wklepać ten adres do iPhone'a, w swoją ulubioną nawigację, gdy przypomniał sobie, że przecież postanowił zostawić telefon w biurze.

Zresztą i tak nie mógłby z niego skorzystać. Nie teraz. Jak ludzie dawali sobie radę przed pojawieniem się nawigacji elektronicznej? – zastanawiał się przez chwilę.

Biblioteka była już chyba nieczynna. To tyle, jeśli chodzi o Mapy Google'a i tym podobne pomoce. W takim razie przydałaby się jakaś stacja benzynowa, ale Michael wiedział, że nie w każdej sprzedają mapy. Zatrzymał się więc w McDrive sieci McDonald's, gdzie zamówił kolację. Zjadł ją, prowadząc.

Ostatecznie, wypytując ludzi po drodze jak dawnymi czasy, znalazł właściwą ulicę w Concord. Zaparkował przy krawężniku, nie na podjeździe. Wyciągnął przewód z wiązki zapłonu, aby zgasić silnik, i wysiadł z samochodu. W połowie przecznicy stała samotna, mrugająca latarnia; jej przytłumione światło drgało rytmicznie.

Dom był ogromny, nowoczesny i nieforemny. Od frontu wyglądał niczym konstrukcja z klocków Lego, lecz dziwnie sympatyczna: zikkurat ze szkła i betonu. Tanner wklepał kod

wyłączający alarm, a potem wprowadził do zamka kombinację cyfr. Drzwi się otworzyły.

Wyczuwał delikatny zapach lawendy, wydobywający się zapewne z saszetki umieszczonej w holu wejściowym przez agenta nieruchomości. Przebiegł promieniem minilatarki z góry na dół i z boku na bok, aby wiedzieć, dokąd dalej iść. Podłogę pokrywały gładkie marmurowe płytki, na czarnym stoliku stała samotna orchidea w białym wazonie, a...

Nagle otworzyły się jakieś drzwi i stanął w nich barczysty mężczyzna, za którego plecami majaczyła kobieca postać.

– Dobry wieczór – powiedział mężczyzna.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał Tanner.

Facet miał około czterdziestki, krótkie brązowe włosy i smugę szminki na lewym policzku. Śmierdział alkoholem.

Kryjąca się za nim kobieta była jasną blondynką, z rozmazaną pomadką na ustach. Rumieniec na jej twarzy gorzał nie czerwienią, lecz ostrym różem.

– Ni... nie – odrzekł mężczyzna. – Nie trzeba... My... Po prostu... Pracuję w firmie Century 21. A pan jest z Coldwell Banker? – Tanner pokręcił głową. – Przepraszam, myślałem, że dom nie jest już na sprzedaż – usprawiedliwił się facet.

– Jest – oznajmił Tanner. – Mam kupca, który może się tu zjawić lada moment. – Zrzucił plecak z ramienia i położył go na podłodze. – Bardzo mi przykro.

Rozczarowana para niedoszłych kochanków odwróciła się i zeszła niepewnie po szerokich betonowych schodach prosto w noc.

Na czarnym stoliku obok orchidei leżała kwadratowa biała koperta z wypisanym na niej nazwiskiem Tannera. Rozpoznał schludny charakter pisma Sarah. Jego żona musiała tu wstąpić na chwilę.

W środku był krótki liścik.

Pójdzie ci w biodra

xx

– Co? – zdziwił się na głos. *Pójdzie ci w biodra*? Czy to jakiś żart, którego Michael nie rozumiał? Czasami kobiety mówiły do siebie w ten sposób, kiedy jadły lody albo ciasto, lecz na szczęście nie było to w stylu Sarah. Nagle przypomniał sobie, że faktycznie użyła kiedyś tego określenia, cytując swoją matkę. Teściowa tłumaczyła, dlaczego w ich domu nie ma tradycyjnego słoika na kruche ciasteczka. „Jak człowiek je ciasteczka, od razu idzie mu w bioderka”. To tylko sprawiało, że Sarah jeszcze chętniej pochłaniała słodczyce. Nikt nie lubi, gdy mu się coś wypomina.

Ciasteczka. Musiała mieć na myśli ciasteczka.

Tanner oświetlił latarką krótki korytarz wiodący do gigantycznej, industrialnie urządzonej kuchni z wysokim sufitem. Zobaczył tam oczywiście lodówkę Sub-Zero z zamrażarką, obowiązkową kuchenkę marki Wolf plus pół kilometra białych granitowych blatów. Pomieszczenie było ogromne i tak dobrze wyposażone, że mogłoby obsłużyć tłoczną restaurację.

Na granitowym blacie po prawej stronie zobaczył sporych rozmiarów biały pojemnik w kształcie jajka, wsparty na niskim metalowym stojaku. Napis na jajku głosił: CIASTKA.

Michael zdjął pokrywkę; w środku leżała następna biała koperta. Tym razem gruba, zaklejona przezroczystą taśmą. Rozdarł ją i znalazł spory plik banknotów.

– Jezu.

Policzył setki, pięćdziesiątki i dwudziestki. Trzy tysiące pięćset dolarów.

– Sarah – powiedział na głos karcąco, choć nikogo z nim nie było. Musiała wziąć własne pieniądze, te z prywatnego, prawie zapomnianego konta, na którym nie mogło być ich za wiele. Wyglądało na to, że żona zostawiła Tannerowi większą część swoich oszczędności. Nie powinna.

Mimo wszystko Michael poczuł ulgę. Bardzo potrzebował tej forsy.

Wstał wcześniej, obawiając się, aby nie zaskoczył go inny agent nieruchomości. Skoro dom był chwilowo nie na sprzedaż, nie musiał uważać aż tak bardzo jak poprzednim razem. Wziął więc prysznic w niesamowitej szklanej kabinie, która produkowała parę i ze wszystkich stron strzelała w ciało biczami wodnymi.

Potem włożył nowe ciuchy, notując w myślach, że powinien znaleźć jakiś Walmart i kupić więcej niedrogich ubrań. Prysznic pobudził go do życia, jednak wciąż potrzebował kawy, i to bardzo. Jak większość ludzi, Tanner był uzależniony od kofeiny. Prowadzenie własnej firmy zmuszało go do picia czarnego napoju na okrągło, przez cały dzień, co traktował jako ryzyko zawodowe.

Frontowa ściana domu wykonana była ze szkła. Michael znalazł odpowiedni guzik opuszczający żaluzje, dzięki czemu zyskał nieco prywatności. Wyglądał na ulicę przez szpary (zajęło mu to dobre dziesięć minut), poszukując ewentualnych obserwatorów. Nikogo nie zauważył, nawet pojedynczego przechodnia. Było jeszcze wcześniej i nadal ciemno.

Wyszedł z domu, zamknął drzwi na klucz i kłódkę, a potem wsiadł do ukradzionej mazdy. Należało się teraz zastanowić nad kolejną sprawą: Co się stanie, gdy właściciel auta zgłosi jego zniknięcie? Ile czasu zajmie policji podjęcie poszukiwań? Tanner nie miał pojęcia. Nie miał też ochoty, by jakiś patrol zatrzymał go i poprosił o okazanie prawa jazdy i dowodu rejestracyjnego. Zakładał jednak, że właściciel mazdy nie interesował się przesadnie swoim samochodem, skoro zostawiał go na noc na parkingu za jakimś budynkiem. W końcu Michael nie ukradł nowego ferrari, ale ledwie trzymającego się kupy starego grata.

Połączenie drutów i uruchomienie wozu zajęło mu parę sekund. Zamierzał wydostać się z miasta, znaleźć inną bibliotekę – analogowe rozwiązanie problemów w świecie cyfrowym – a potem zastanowić się nad kolejnym ruchem. A także zadzwonić kontrolnie do Tanner Roast. Dzięki wczorajszym poszukiwaniom w necie Michael wiedział, że przynajmniej bilety autobusowe można kupić za gotówkę i bez pokazywania dowodu osobistego. Posłużenie się tym środkiem transportu stanowiło jeden z nielicznych sposobów, aby nie rzucać się w oczy. Postanowił jednak, że jeszcze dzisiaj za pieniądze Sarah kupi jakiś

używany samochód, a ten ukradziony porzuci.

We Framingham natrafił na niedrogą restauracyjkę, która wydała się odpowiednia. Żadna nie mogła się oczywiście równać z knajpką w Southie, w której kiedyś spotykali się z Lannym. Nie przypominała opuszczonego wagonu kolejowego jak ta. Chociaż tutaj tłoczyli się już klienci, a przecież nie było jeszcze szóstej.

W restauracyjce przyjmowano wyłącznie gotówkę, co Tannerowi nie przeszkadzało, ponieważ miał jej teraz sporo. Usiadł przy kontuarze. Kelnerka bez pytania nalała mu kawy, jak gdyby sama doskonale wiedziała, czego mu trzeba. Kawa okazała się niezła. Może trochę wodnista, ale świeżo parzona, z dobrych ziaren. Wszystkiego w tej knajpie podawano za dużo: dania były ogromnych rozmiarów. Naleśniki wykraczały poza obręb talerza. Placki ziemniaczane piętrzyły się wysoko. Nawet kubki do kawy miały ponadprzeciętną pojemność.

Michael pomyślał o Lannym – nic nie mógł na to poradzić – i poczuł wyrzuty sumienia. Jego pomyłka, to, że wziął nie swój komputer, doprowadziła bezpośrednio do śmierci kolegi. Dobry człowiek stracił życie.

Ale nie było już sposobu, by to cofnąć.

Przy kontuarze zaroilo się od klientów. Tanner wypił kolejną kawę, zamówił jajka na bekonie, grzankę z masłem i naleśniki. Niezbyt zdrowe żarcie. Ale przecież i tak ryzykował życie, był zbiegiem. Zwracanie uwagi na dietę wydawało się w tej sytuacji śmieszne.

Mężczyzna siedzący obok niego uśmiechnął się, obserwując, jak Michael nerwowo pochłania swoje śniadanie.

– Dobrze, co? – rzucił.

Tanner też się uśmiechnął.

– I kawa dobra, co?

– Owszem.

– Ale nie ma porównania z twoją – oznajmił facet.

Tanner poczuł wstrząs, jakby ktoś go poraził prądem.

Znaleźli mnie.

Niemal w tej samej chwili pomyślał: Nie wariuj, może facet widział cię na jakichś targach, podczas wizyty handlowej czy coś w tym stylu.

Mężczyzna po lewej sprawiał wrażenie delikatnego. Był w średnim wieku, z zaokrąglonym brzuszkiem pod krzykliwym, czerwono-czarno-zielonym swetrem w psychodeliczne wzorki. Nosił lotnicze okulary w stalowych oprawkach, miał głęboko osadzone oczy, przypominające rodzyнки, oraz szczeciniaste, siwe wąsy. Nie wyglądał na agenta NSA ani tym bardziej na członka ekipy pościgowej sfilmowanej w lesie. Musiał mieć inny zawód, był chyba zwykłym klientem, o nierzucającej się w oczy powierzchowności.

– My się znamy? – zapytał Tanner.

– Spotkaliśmy się w Seattle, prawda? Na targach kawy?

Michael wpatrywał się w mężczyznę, który powoli pokręcił głową.

– Nie wybrałem się tam.

– Dziwny zbieg okoliczności? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Jeśli na to wygląda, to zwykle tak jest.

– O czym pan mówi?

– Mówię, że jest pan kimś, kto potrzebuje pomocy – odrzekł cicho grubasek. – Oferuję swoją.

– Co takiego? – Michael poczuł, jak adrenalina zaczyna kursować w jego krwiobiegu.

– Polują na pana, panie Tanner. Ale musi pan wiedzieć, że ja nie należę do myśliwych. Jestem pańskim przyjacielem. Admiratorem.

Tanner odchylił się w krześle.

– Kim pan jest?

– Proszę mi mówić Gregory. – Mężczyzna przemawiał z ledwo uchwytnym, trudnym do określenia obcym akcentem. Zanadto spłaszczając samogłoskę „a”, jak cudzoziemiec przesadnie starający się naśladować amerykańską wymowę.

– To chyba nie jest pańskie prawdziwe imię?

– Prawie prawdziwe.

Jak facet mógł się nazywać? *Gregorio, Grigor, Řehoř...*? Skąd pochodził? Mówił po angielsku nieomal doskonale. Jednak nie urodził się w Stanach – tego Michael był pewny.

– Panie Tanner – kontynuował mężczyzna – jest pan człowiekiem, który bez własnej winy narobił sobie całe mnóstwo wrogów. Teraz ci wrogowie próbują usunąć pana ze swojej drogi. Ale kiedy tak na pana patrzę, widzę kogoś niesamowicie odważnego. Kogoś, kto otrzymał niezwykle rzadką szansę, aby zmienić świat. I ja chciałbym w tym pomóc.

Kelnerka ponownie napełniła kawą kubek Gregory’ego, a potem Michaela, poruszając się szybko i dyskretnie. Rozumiała, że mężczyźni rozmawiają o jakiejś ważnej sprawie.

– Jak pomóc?

– Wie pan, istnieje pewna wspólna tradycja. Nakazuje ona ludziom sumienia wyciągać na światło dzienne prawdę o potwornych nadużyciach. Czy to się panu podoba, czy nie, historia powierzyła mu nadzwyczajne zadanie do wykonania.

– Niby jakie?

– Wystarczy, że podzieli się pan tymi dokumentami z moimi ludźmi. Oni już będą wiedzieć, co z nimi zrobić. Zna pan to powiedzenie: „Światło słoneczne dezynfekuje najlepiej”, prawda?

– Kim są ci „pańscy ludzie”?

– Powinienem właściwie powiedzieć: moi współpracownicy. Członkowie organizacji służącej temu słonecznemu światłu. Uważamy, że tajemnice, a zwłaszcza tajemnice rządowe, należy ujawniać wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Jeśli leży to w naszej mocy.

– Chodzi panu o WikiLeaks?

Mężczyznę skinął głową i się uśmiechnął.

– Nad nimi też pracuję, tak.

– „Nad” nimi?

– Nie łapmy się za słówka. Nad, z, obok; łatwo się w tym pogubić, zaplątać. Najważniejsza rzecz jest taka: chcemy panu pomóc. Musi pan wiedzieć, że są tacy, którzy panu kibicują. Ludzie, którym zależy na otwartości i transparentności.

– A co się stanie ze mną? Zostanę zabity?

Gregory pokręcił głową powoli, ze smutną powagą.

– Właśnie to mam panu przekazać. Jeśli dojdzie do sytuacji zagrożenia pańskiego życia, przekona się pan, że dysponujemy ogromnym potencjałem. Zapewnimy panu najlepszą ochronę, i mówię tu o pełnym wachlarzu możliwości, jakimi dysponuje dość potężne państwo.

Michael zrozumiał.

– Ma pan na myśli Rosję. – Gregory nie odpowiedział.

– Chwileczkę, a zatem oferuje mi pan pełną ochronę rosyjskich służb specjalnych?

– Tak.

– Jest pan Rosjaninem?

Mężczyzna tylko wzruszył ramionami i milczał. Było to proste, jednoznaczne potwierdzenie.

– Pracuje pan dla WikiLeaks czy dla Rosji? Konkretnie.

– Czy mam wsparcie pewnych rosyjskich czynników? W dzisiejszych czasach tego typu rozróżnienia stały się właściwie pozbawione sensu. Nie ma wyraźnej linii podziału i w gruncie rzeczy to bez znaczenia. Sprawa jest skomplikowana, lecz przecież właśnie taki jest świat. Liczy się tylko to, że mogę panu pomóc. Ochronić pana.

– W Rosji.

– Mówimy o luksusowym apartamencie, o daczce, i o życiu. Nie stanie się pan nowym Philbym, który zapił się na śmierć i popadł w zapomnienie. Obecnie jesteśmy kapitalistycznym rajem. Próbowałem pańskiej kawy. Znakomita. Tam, u nas, mogłaby przynieść panu sławę. To wciąż dziewiczy rynek. Liczy się to, że jesteśmy w stanie pana ochronić. Mógłby pan robić, co zechce.

– I co? Przenieść się do Moskwy na resztę życia?

– Oby było to długie życie. Tutaj nie postawiłbym na to pieniędzy.

– Wciąż jeszcze żyję – zwrócił uwagę Michael.

– Jestem pod wrażeniem, naprawdę. W ciągu ostatnich paru dni radził pan sobie świetnie, skutecznie się ukrywając. Bądź co bądź jest pan tylko amatorem, a nie wyszkolonym agentem. Oczywiście spryt i zaradność połączone z łutem szczęścia bardzo się panu przysłużyły. Jednak jak długo jeszcze, pańskim zdaniem, to się może udawać? Każdy fart się kiedyś kończy.

Michael pokręcił głową.

Gregory wziął do ręki widelec i nakreślił na blacie jakiś wzór. Westchnął przeciągle.

– Panie Tanner, proszę mnie posłuchać. Jeśli pan tam wróci, natychmiast pana złapią. To tylko kwestia czasu. I teraz pytanie: czy pana zabiją? Amerykańskiego obywatela? Nie wiem. Bo przecież są dzisiaj sposoby, aby zrobić to w sposób niebudzący podejrzeń. Niewykrywalny.

– Niestety, rozmawia pan z niewłaściwym człowiekiem.

– Nie z tym Michaeliem Tannerem? – zapytał Gregory z rozbawieniem.

– Nie jestem ani demaskatorem, ani bohaterem.

Rosjanin odłożył widelec ostrożnie niczym chirurg przekazujący swoje instrumentarium.

– Wie pan, Ed Snowden też nie planował zostać bohaterem. Pewnego dnia obudził się i zrozumiał, że ma dość. Wystarczy. To wszystko. I postąpił słusznie. Posłuchał głosu sumienia.

– To nie ma nic wspólnego ze mną.

– Pan zdecyduje, czy stanie się bohaterem, czy nie. I czy zmieni świat. Zdaje pan sobie sprawę z własnej mocy? Jeśli nie mylimy się co do wagi tych materiałów, mogą one zmienić wszystko. Panie Tanner, są w dziejach takie momenty, tak zwane momenty zwrotne, gdy świat ulega nagłej przemianie. I właśnie w takiej chwili się obecnie znajdujemy, jak sądzę. Czy Ameryka przekształci się w państwo policyjne, a potem, ostatecznie, w dyktaturę?

A może ma pan taką moc, aby to wszystko powstrzymać tu i teraz? Widzi pan, może być z pana współczesny Nathan Hale. Być może Nathan Hale przypominał szkolnego belfra, ale podjął decyzję i został bohaterem. Uratował rewolucję amerykańską.

– Czy przypadkiem nie został stracony przez Brytyjczyków?

– Cóż, może to faktycznie nie najlepszy przykład. Ale pan ma szansę stać się kimś naprawdę ważnym. Pewnie uważa się pan za zwykłego, nic nieznaczącego człowieka. Jednak udowodnił pan, ile ma w sobie odwagi i że posiada pan sumienie. Jest pan człowiekiem sprawiedliwym, który za chwilę stanie się postacią doniosłą w dziejach świata. Pan sam może położyć kres nadużyciom. Zrzucić zasłonę i ukazać ludzkim oczom wijące się za nią robactwo. Niech słońce je oświetli. I uratuje pański kraj.

– Nie mam zamiaru przekazywać tajnych dokumentów Rosji. Nie jestem taki.

–Bo co? Kocha pan ojczyznę? Zapominając o tym, co ta ojczyzna panu robi? Zimna wojna skończyła się wiele lat temu. Rosja nie jest już waszym wrogiem. – Tanner pokręcił głową w milczeniu. – „Jedyną rzeczą potrzebną, aby zło zatriumfowało, jest bierność dobrych ludzi”. Tak powiedział ktoś mądry. – Gregory podniósł wzrok i przekrzywił głowę.

– Panie Tanner, czas podjąć decyzję. Zostało go panu bardzo mało.

Michael milczał.

Gregory odwrócił się, jego uwagę przykuło coś za oknem. Patrzył, mrużąc oczy. Tanner podążył za jego wzrokiem i dostrzegł czarnego suburbana, który zatrzymywał się właśnie na niewielkim parkingu przed restauracją.

– Suburban waży dwie i pół tony – powiedział Rosjanin. – W wersji opancerzonej ponad cztery. Podwozie znajduje się nisko, opony są nie do przebiccia. – Nagle mężczyzna zerwał się ze stołka na równe nogi. – Kurczę. Mówiłem panu, że czasu jest mało. Właściwie już go nie ma.

Za suburbanem wtoczyły się dwa, nie – trzy mniejsze czarne pojazdy z napędem na cztery koła. Michael usłyszał pisk hamulców.

Gregory położył niecierpliwie rękę na ramieniu biznesmena.

– Nie ma czasu! Znam drogę. Za mną.

Tanner raz jeszcze spojrzął przez okno na ekipę pościgową, która przyjechała tu, aby go aresztować. Myślał przez chwilę.

– Nie, dziękuję – powiedział.

Michael już dawno stracił rachubę czasu.

Długo, bo ponad godzinę, siedział przy stalowym stoliku przykręconym do podłogi w absolutnie białym pokoju. Pokój był mały i pozbawiony okien. Więzień nie miał nic do czytania, telefonu, żadnej rozrywki. Przyglądał się więc uważnie gęstej białej piance na ścianach oraz niewielkim kamerom w każdym kącie pomieszczenia. W sufit wbudowano lampy metalohalogenkowe, które wydawały jednostajne buczenie, powodujące szum w uszach.

Oceniał, że przyprowadzono go tutaj przed mniej więcej godziną wprost z podobnego, pozbawionego okien pokoju, gdzie jadał i sypiał. Ten niczym się nie różnił, z wyjątkiem łóżka, krzesła i sedesu. Sprzęty te były ze stali i również przymocowane do podłogi. Na łóżku leżał cienki materac.

Tanner nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Porywacze z nim nie rozmawiali. Wiedział tylko, że tkwi w jakiejś więziennej izolatce.

Nie potrafił też precyzyjnie obliczyć, jak długo tu jest, sądził jednak, że około dwóch dni. Wniosek ten wyciągnął na podstawie otrzymanych posiłków. Sprawę komplikowało to, że były one prawie takie same: brązowy klocek zwany „więziennym klopssem”. Tanner czytał kiedyś, że serwuje się go osadzonym za karę. Danie okazało się niemal niejadalną, pozbawioną smaku, nijaką substancją; człowiek odnosił wrażenie, że spożywa styropian. Wziął kilka kęsów na spróbowanie i natychmiast je wypluł.

A zatem dwa dni i dwie noce minęły od chwili, gdy cztery czarne suburbany zatrzymały się z piskiem opon po obu stronach taniej knajpki we Framingham. Wypadli z nich mężczyźni ubrani w jednolite czarne wiatrówki oraz zielone wojskowe mundury bez dystynkcji, w czarnych hełmach i kamizelkach. Kilku trzymało w rękach karabiny szturmowe. Dwóch agentów dopadło Tannera i wywlekło z restauracji. Słyszał za plecami krzyki klientów.

Nie stawiał oporu. Bo czy mógł cokolwiek zrobić?

Wrzucono go do jednego z suburbanów, na oczy założono nieprześwitujące czarne gogle, na uszy słuchawki.

Przez około pół godziny jechali w nieznanym kierunku. Wreszcie suburban stanął, drzwi się otworzyły, a do środka wpadło zimne powietrze.

– Czy ktoś zechciałby mi powiedzieć, co się dzieje? – zapytał Michael.

Zaczął się obficie pocić. Zostawili go na dziesięć minut na środkowej kanapie samochodu. Wyczuwał zapach paliwa lotniczego, które pachnie zupełnie inaczej niż zwykła benzyna. Wywnioskował, że znajdują się na terenie jakiegoś lotniska.

Następnie prowadzono Tannera dość długo po równej powierzchni, a potem na górę po schodach. Poczował woń wnętrza samolotu. Porywacze przykuli go kajdankami do poręczy fotela.

– Czy ktoś powie mi, o co chodzi? – powtórzył Michael. – Choćby słówko? Dokąd mnie zabieracie? – Podniósł głos. – Po co to wszystko?

Lecz jeśli nawet ktoś zechciałby mu odpowiedzieć, i tak niczego by nie usłyszał.

Samolot zaczął kołować po pasie, a potem się uniósł. Lot trwał krótko, może godzinę, nie dłużej niż półtorej. Tanner zatopił się w myślach.

Po kolejnej jeździe nieokreślonym pojazdem biznesmena wtoczono do jakiegoś budynku. Nadal nie miał pojęcia, gdzie jest, poza tym, że około godziny drogi od lotniska. Gdy wreszcie zdjęto mu gogle i słuchawki, Michael stwierdził, że znajduje się w jasno oświetlonym pokoju bez okien. Do środka wprowadziło go dwóch facetów w mundurach khaki, bez dystynkcji.

Na łóżku zobaczył poskładany w kostkę pomarańczowy kombinezon.

– Proszę się przebrać – polecił jeden z mężczyzn.

– Gdzie jestem? – zapytał Tanner.

Mężczyzna zamknął za sobą drzwi, nie udzielając odpowiedzi.

Więzień uważnie przyjrzał się pomieszczeniu, które wyglądało na prawdziwą celę. W drzwiach widniał niewielki otwór, zapewne wizjer, który pozwalał go obserwować. Działał tylko w jedną stronę.

– Nie odczytacie mi moich praw? – zawołał Michael.

Nikt nie zareagował.

Został sam.

Musiało być południe, Tanner ustalił to na podstawie regularnie dostarczanych posiłków. Minęły dwa dni.

Po kolacji złożonej z więziennego klopsa pozwolono mu długo spać, jakieś sześć–osiem godzin. Zapewne była noc. Mimo to metalohalogenkowe lampy w suficie nie zostały wyłączone.

Próbował zasnąć w tym oślepiającym świetle, ale udało mu się odpłynąć tylko parę razy, i to na krótko. Gdy drzemka się skończyła – Michael przypuszczał, że jest już ranek – dostał długą kartonową tacę z więziennym klopsiem i niczym więcej.

To właśnie ta całkowita izolacja od świata w końcu wpędziła go w desperację.

Badał wzrokiem każdy centymetr białego pokoju. Nasłuchiwał kroków ludzi przechodzących obok drzwi.

Doszedł do wniosku, że znajduje się w jakimś ośrodku pozostającym w gestii władz. Raczej nie wojskowym, ponieważ mundury facetów, z którymi miał do czynienia, na to nie wskazywały. Więc zapewne w takim, nad którym pieczę sprawowała NSA. Ale czy ta agencja nie stanowiła integralnej części armii? Tanner nie mógł sobie tego przypomnieć.

Ostatecznie co za różnica, gdzie go trzymali.

Czas włókł się niemiłosiernie. Michael ciągle myślał o tym przeklętym laptopie, zastanawiając się, czy nadal jest tam, gdzie go zostawił. I prowadził w głowie wyimaginowane rozmowy ze swoimi dozorcami, kreślił ich scenariusze.

Uważnie zbadał pomarańczowy kombinezon, który miał na sobie. Został uszyty z jakiegoś syntetycznego, odpornego na rozdarcia włókna, miał zapięcia na rzepy.

Pierwszego dnia, kiedy przyniesiono mu na kolację więzienny klops, Tanner zapytał strażnika:

– Jest tu do jedzenia coś innego poza tym świństwem?

Strażnik nie odpowiedział, ale chyba się uśmiechnął, niezłośliwie.

– Wiesz, jak to smakuje, kolego?

– Zawiera wszystkie niezbędne składniki odżywcze – rzucił klawisz i wyszedł.

– A mogę przynajmniej zadzwonić? – zawołał Tanner w stronę już zamkniętych drzwi.

Najgorsza była samotność, pozostawanie sam na sam z tymi wszystkimi myślami w głowie.

Towarzyszyła mu przerażająca obawa, że stan ten może potrwać do końca życia. Że będzie tu tkwił zamknięty, na zawsze odizolowany od świata. Nikt przecież nie wiedział, gdzie się znajduje. Prawdziwie koszmarny scenariusz.

Co będzie, gdy pracownicy Tanner Roast zaczną się zastanawiać nad miejscem pobytu swego szefa? Kiedy Lucy Turton zadzwoni do niego z jakimś problemem do rozwiązania, ale się nie dodzwoni? Nawet Sarah, która zdawała sobie sprawę z położenia Tannera i wiedziała, że uciekał, w końcu zaniepokoi się brakiem wszelkich informacji od niego i dojdzie do wniosku, że musiało się stać coś złego.

Michael Tanner zniknął.

Drugiego dnia po południu drzwi celi się otworzyły i stanął w nich kolejny wygolony na łyso strażnik, który zaprowadził Tannera do białego pokoju na końcu korytarza. Stał tam przytwierdzony do podłogi stalowy stół.

Biznesmen czekał, głodny i oszołomiony, siedząc na jednym z czterech metalowych krzeseł przyśrubowanych do posadzki wokół stołu.

Ocknął się dopiero na odgłos szczękającego zamka w drzwiach.

– Znowu się spotykamy – powiedział Earle Laffoon.

Agent NSA miał na sobie czerwoną, flanelową koszulę w kratę, sprane džinsy oraz dziurkowane kowbojskie buty. Strój weekendowy. Uśmiechając się szeroko, rozwalił się na krześle i rozstawił nogi. Według wszelkich obiegowych standardów Earle Laffoon był uderzająco nieatrakcyjnym mężczyzną o pobrużdżonej bliznami twarzy, jednak miał w sobie coś – Tanner znów to dostrzegł – dziwnie pociągającego, a przynajmniej interesującego.

– Kopę lat – zagaił Earle.

– No dobra, znaleźliście mnie – odrzekł Michael. – Nie wiem jak, ale znaleźliście. Dla was to pewnie pestka.

– Doceń trochę samego siebie, człowieku. Nasze pracowite zuczki w Fort Meade utworzyły niesamowicie imponujące dossier na twój temat i wciąż zbierają informacje. Gromadzą wszystkie twoje komunikaty elektroniczne, zapisują miejsca, do których się udałeś, wszystkich przyjaciół i znajomych. A jest ich sporo. Sprawdzają każdy pozostawiony przez ciebie ślad cyfrowy. Wiemy o tobie więcej niż twoja żona. Obawiam się jednak, że nie jest to zbyt ciekawa wiedza. I dodam, że bez satelitów prawdopodobnie byśmy cię nie znaleźli. Dobry jesteś jako amator. Cholera, człowieku. Powinieneś pracować dla nas.

– Jestem aresztowany?

Earle pokręcił przecząco głową.

– Nie.

– W takim razie mogę sobie pójść.

– Nie.

– To bezprawie. Nawet nie odczytaliście przysługujących mi praw!

– Dlatego, obawiam się, że nie ma nic do odczytania.

– Po pierwsze, jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych, a mamy tutaj coś, co nazywa się Kartą praw – stwierdził Michael z oburzeniem. Prawdę mówiąc, nie pamiętał, czego one dotyczyły. Czy uwzględniły zasady dotyczące ścigania i aresztowania obywateli? Być może. Ależ tak, było tam coś o prawie do noszenia broni oraz gwarantowanej wolności wypowiedzi. To na pewno.

Earle wzruszył ramionami i uśmiechnął się smutno.

– Bez zastosowania w twojej sytuacji. Nie wartościuję, czy to dobrze, czy źle: mówię tylko, jak jest. Ty i ja pewnie inaczej zaprojektowalibyśmy ten system, ale tylko taki mamy.

– Gówna prawda.

– Posłuchaj, Michael, oto moja propozycja. Jesteś ważnym świadkiem w śledztwie dotyczącym przecieku tajnych informacji, które ma absolutny priorytet. Chodzi o nielegalne wejście w posiadanie klasyfikowanych materiałów. Nie mogliśmy zapewnić sobie twojej współpracy, nie zatrzymując cię. Więc to zrobiliśmy. Tyle.

– Na jak długo?

– Aż zaczniesz współpracować.

– Nie możecie tego zrobić.

– Obawiam się, że możemy. Całkowicie zgodnie z prawem. Podpada to pod „przepisy o świadku istotnym dla śledztwa”. Kodeks Stanów Zjednoczonych, rozdział osiemnasty, sekcja trzydzieści jeden czterdzieści cztery. Sprawdź sobie, kiedy następnym razem wpadniesz do biblioteki. – Twarz agenta zmarszczyła się w uśmiechu. Przypominała arkusz blachy falistej. – Na przykład do biblioteki więziennej.

– Więc jesteś nie tylko agentem NSA, ale także prawnikiem?

– Dziękuję, ale nie. Chociaż faktycznie studiowałem prawo. To był najmądrzejszy ruch w całej mojej karierze. Mogę ci więc opowiedzieć historyjkę o pewnym faciecie z nowojorskiego Brooklynu, który nazywał się Jose Padilla. To było zaraz po atakach z jedenastego września. Mówi ci coś to nazwisko?

Tanner pokręcił przecząco głową.

– Uważaliśmy, że gość może mieć związki z Al-Kaidą. Nie byliśmy do końca pewni. Przez „my” rozumiem nie tylko nas, czyli NSA, ale władze amerykańskie w ogóle. Więc aresztowaliśmy faceta na podstawie przepisów o kluczowym świadku. I co się stało dalej? Otrzymał obrońcę z urzędu? Stanął przed sądem? Nie-e. Nic z tych rzeczy. Zamknęliśmy go na miesiąc w izolatce i zastanawialiśmy się, o co faceta oskarżyć. Wytoczyć mu proces wojskowy czy cywilny? Trudne pytanie. W końcu toczyliśmy wojnę, prawda? W każdym razie obijał się o kraty swojej celi i domagał prawnika, ale my mówiliśmy: figa z makiem.

– To nie może być legalne postępowanie.

– Już jest, stary. Trzymaliśmy go miesiąc. Ustawa nie mówi, jak długo wolno kolesi więzić. Mogliśmy nawet dłużej.

– I co się stało z tym Padillą?

– Siedzi w izolatce w więzieniu ADX Florence w Colorado. To zakład o zaostrzonym rygorze, z pełną inwigilacją. Ma do odsiadki jeszcze dwadzieścia jeden lat.

– Facet jest terrorystą. Co to ma wspólnego ze mną?

– Ty – odpowiedział Earle, ziewając – znalazłeś się w prawnej otchłani.

– Co to niby znaczy, do cholery?

– O rany, no że sprawa potrwa jeszcze ze dwa tygodnie, miesiąc, a może dłużej, zanim spotkasz się z sędzią. Albo z adwokatem. Zależy, ile czasu zajmie ci zrozumienie, że musisz w końcu oddać ten komputer. I zacząć z nami współpracować. Koniec gierki. – Earle posłał Tannerowi kolejny smutny uśmiech. Michael zobaczył jego żółte zęby, pewnie od żucia

tytoniu. – Mamy więc coś, co określiłbym jako impas.

– Widziałeś kiedyś film *Midnight Express*? – zapytał Tanner.

– Nie, ale sporo o nim słyszałem.

Tanner świetnie pamiętał ten obraz o pewnym amerykańskim studencie, który próbuje przemycić narkotyki z Turcji, ale zostaje złapany i wtrącony do więzienia, gdzie przechodzi okrutne tortury. Sadystyczne. Film musiał negatywnie wpłynąć na turecką branżę turystyczną. Teraz Michael czuł się trochę tak jak ów student.

– Czy to tam jest scena, w której bohater wdaje się w paskudną walkę ze strażnikiem i w rezultacie odgryza mu język?

Tanner kiwnął głową.

– Tu nie dojdzie do niczego takiego, gwarantuję. Mówiąc między nami... no i tym stolikiem, myślę, że pan Jose Padilla był poddawany torturom. Ale wtedy nasz kraj przeżywał trudny okres. W porównaniu z nim ciebie traktujemy po królewsku.

– No, też bym tak to określił. Czuję się tu jak król.

– Problem polega na tym, Michael, że złamałeś prawo, i do tego bardzo ważny paragraf. Pogwałciłeś ustawę o działaniach kontrwywiadowczych, nakazującą zwalczanie szpiegów. Nie wiem, czy jesteś świadomy, ale posiadanie tajnych informacji bez odpowiedniej zgody stanowi pogwałcenie prawa.

– Nie posiadam żadnych tajnych informacji. To nie jest mój laptop, tylko... – Zastanowił się przez chwilę. – Kogoś innego.

– Czyj?

Tanner pokręcił głową. NSA wciąż nie wiedziała, że komputer należał do senator Stanów Zjednoczonych. Mógł wykorzystać to jako kartę przetargową. A przynajmniej jako coś, czego można się było uchwycić.

Wtedy nagle coś w jego umyśle zaskoczyło, niczym dwa elementy puzzli idealnie pasujące do siebie. Michael zrozumiał, że NSA wciąż nie wie, że właścicielką laptopa jest senator Susan Robbins. A jest tak dlatego, że wcale nie współpracowali z jej szefem personelu Willem Abbottem.

Nie mają pojęcia o jego roli.

– Byłbym o wiele bardziej skłonny do mówienia – oświadczył Tanner – gdybym siedział teraz we własnym domu.

Earle skrzyżował ramiona i posłał mu krzywy uśmiech. Nie kupił tej gadki.

– Sprawdź sobie w Kodeksie Stanów Zjednoczonych rozdział osiemnasty, sekcja siedemset dziewięćdziesiąt trzy. Jest tam mowa o „rozmyślnym zatajeniu informacji dotyczących bezpieczeństwa narodowego”. – Dwoma palcami obu rąk agent zrobił w powietrzu znak cudzysłowu. – „Kto wchodzi bez upoważnienia w posiadanie informacji związanych z obronnością państwa...”, bla, bla, bla. To właśnie ty, kolego. Poza tym świadomie przekazałeś tajne dokumenty pewnemu dziennikarzowi.

Tanner potrząsnął głową, ale nie wdawał się w polemikę.

– Może powinniśmy porozmawiać z twoim przyjacielem Lanfordem Rothem.

– Landonem.

– Ciągłe mi się myli, cholera. Landonem. Wiemy, że miał te dokumenty zapisane na jakimś wihajsterku, minipendrive czy czymś takim. To ty zrobiłeś ich kopię i przekazałeś ją dziennikarzowi. Mediom. Więc proszę, nie wciskaj mi tu głodnych kawałków, że nie miałeś pojęcia, co tam jest, bo nawet nie rzuciłeś na to okiem. Zdawałeś sobie świetnie sprawę, że posiadasz dostęp do supertajnych informacji związanych z bezpieczeństwem państwa. Oczywiście, że je przeczytałeś i postanowiłeś przekazać prasie. – Earle wzruszył ramionami.

– Chyba rozumiesz, o co mi chodzi, tak? A potem, proszę, siedzisz sobie nad naleśnikami i kawą i odgrywasz rolę w inscenizacji, „jak dobić targu” z jakimś ruskim agentem z GRU. Ogarniasz wreszcie, dlaczego to może nas niepokoić?

– Nie wiedziałem, że to Rosjanin, dopóki...

– Wiem, wiem, wiem. Znamy te teksty. Ale przed sądem to nie będzie wyglądać zbyt dobrze. O nie.

– Przecież nie zostałem oficjalnie aresztowany i oskarżony! – zawołał Tanner.

– Znowu do tego wracasz? W Departamencie Sprawiedliwości w wydziale bezpieczeństwa narodowego nie brak wykwalifikowanych prawników. Aresztujemy cię, kiedy przyjdzie odpowiednia pora.

– Czyżbyśmy już żyli w państwie policyjnym? To się dzieje na naszych oczach?

– Masz szczęście, że nie jesteśmy służbą policyjną, bo siedziałbyś za zabicie człowieka. Na Mayfield Street w Bostonie. Zgadza się?

Michael uśmiechnął się z tajoną wściekłością.

– No, tego samego, którego przysłaliście, żeby mnie zamordował.

Earle spojrział na Tannera tak, jakby ten go właśnie spoliczkował.

– O rany, dajże spokój.

– Przecież kazaliście temu facetowi mnie zabić.

– Nie, szanowny panie, nie kazaliśmy. Z całą pewnością. Twoja sugestia to zwykły afront. Jesteśmy wysoce wyspecjalizowaną organizacją zatrudniającą sześćdziesiąt pięć tysięcy profesjonalistów i mniej więcej tyle samo pracowników kontraktowych. Myślisz, że korzystalibyśmy z usług jakiegoś płatnego zabójcy z Bostonu? Który miał, cholera, bogatą policyjną kartotekę? Naprawdę sądzisz, że zatrudniamy trzeciorzędnych mafiosów, i to teraz? Tak?

Tanner tylko patrzył na Earle'a. Agent miał rację. Może to wcale nie NSA nasłuchiwała tego gościa.

– Bzdura jakaś, do jasnej ciasnej. Mam personel zdolny do wykonania podobnych zadań. Gdybyśmy wysłali kogoś, żeby cię zdjął, to byłbyś już zdjęty. – Earle skrzyżował ramiona na piersiach i oparł się na krześle. – Nie, drogi panie, w takim wypadku trwałaby teraz

ceremonia pogrzebowa, a szanowny pan niewiele by już mógł powiedzieć.

– A co z Lannym Rothem?

Michael czekał na nieuniknione zaprzeczenie, ale odpowiedź agenta, która padła po kilku sekundach, go zaskoczyła:

– Tym dziennikarzem?

– Ktoś upozorował jego samobójstwo – powiedział Michael. – Wokół ciała porzrucano tabletki i butelki z wodą. Pewnie się też postarano, aby jedno i drugie znalazło się w jego krwi.

Earle wyglądał na zamyślonego, może nawet nieco strapionego.

– Tak, to się mieści w zakresie działalności jednostki Theta – odparł rzeczowym tonem, choć bez aprobaty. Jakby sam przetrwał tę informację. – Co jeszcze niczego nie dowodzi. To tylko hipoteza dotycząca hipotetycznej jednostki.

– Theta?

– Nieważne. Nie da się zmienić przeszłości. Porozmawiajmy lepiej o twojej przyszłości.

– Żądam adwokata, natychmiast.

– Jasne. Wszystko w swoim czasie. Bardzo ci to przeszkadza? Tak wygląda świat po jedenastym września.

– Odpowiem inaczej – oznajmił Michael. – Umówiłem się z kolegą, że co dwa dni o czternastej będę mu wysyłał mejla. Jeśli po czterech dobach nie dostanie ode mnie żadnej wiadomości, zacznie rozsyłać te dokumenty do różnych ludzi. W tym do redakcji „New York Timesa”.

– Stara dobra sztuczka, co? Sprytnie. Tylko moim zdaniem to bief. – Earle uśmiechnął się radośnie, jak dziecko do ulubionej zabawki. – Uważnie obserwujemy wielu twoich znajomych. W tym również tych, o których istnieniu zapomniałeś. A masz wielu przyjaciół, to muszę przyznać.

Michael wzruszył ramionami, jakby zupełnie go nie obchodziło, czy Earle mu wierzy, czy nie. Niestety, agent się nie mylił.

– Więc jesteśmy, gdzie jesteśmy, Michael. Bez laptopa naprawdę nie mogę ci pomóc.

– Dacie mi przynajmniej zgodę na jedną rozmowę telefoniczną? – zapytał biznesmen.

– Chcesz zadzwonić? Dobra, zgadzam się, bo smakuje mi twoja kawa. – Earle podniósł wzrok i przemówił w kierunku ściany. – Proszę przynieść telefon stacjonarny dla mojego kolegi. – Zwracając się ponownie do Michaela, rzekł: – Komórki nie mają tu zasięgu, przykro mi.

Drzwi otworzyły się mniej więcej minutę później; wygolony strażnik wniósł do pokoju wielki, nieporęczny, czarny telefon z tonowym wybieraniem numerów i długim przewodem. Położył go na stoliku przed więźniem. Przewód biegł po podłodze celi i zniknął w korytarzu. Klawisz wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Tanner spojrzał na aparat, podniósł słuchawkę, usłyszał w niej sygnał, a potem odłożył ją

na widełki. Próba połączenia się z Jamiem Northem była bezcelowa – prawnik dał jasno do zrozumienia, że nie będzie Michaela reprezentował. W takim razie może zadzwonić do „New York Timesa”, do Associated Press i tak dalej? Istniało prawdopodobieństwo, że media zignorują tego rodzaju telefon. Miał ochotę porozmawiać z Sarah, usłyszeć jej głos, ale wiedział, że ma tylko jedną szansę na wyrwanie się stąd.

Earle obserwował, jak Tanner wpatruje się w czarny aparat.

– Jeśli potrzebujesz numeru, załatwimy ci raz-dwa. Nie brak u nas komputerów. Pamiętasz te wielkie, grube książki telefoniczne z dawnych czasów? Ich też już nie ma, stary.

– Tak, potrzebuję numeru telefonu – powiedział Michael.

– Czyjego?

– Znam jednego gościa w Waszyngtonie, który chodził do szkoły z moim kumplem. – Mówił teraz jakby głównie do siebie. – Jakże on się nazywał...? Spotkaliśmy się parę razy... Jest dzisiaj szefem personelu senator Roberts... senator Robbins, o właśnie. Szef personelu senator Robbins. Nie pamiętam jego nazwiska, ale jestem pewien, że facet mi pomoże. Połączcie mnie z biurem pani senator.

– Biuro senator Robbins, słucham.

– Poproszę z Williamem Abbottem.

– Mogę zapytać o pańską godność?

– Michael Tanner.

Will Abbott odebrał natychmiast.

– Panie Tanner...

Biznesmen nie dał mu dojść do słowa.

– Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale poznaliśmy się dzięki Sethowi w Bostonie...?

– Tanner...

– Chwileczkę. Potrzebuję twojej pomocy. Przebywam w... hm...

Michael spojrzął na Earle'a.

– Nowym federalnym ośrodkiem internowania niedaleko Waldorf – poinformował go agent.

– W nowym federalnym ośrodku internowania niedaleko Waldorf w stanie Maryland. Zostałem zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Na pewno powiesz, że powinienem z nimi współpracować. Mam jednak nadzieję, że zanim to nastąpi, przemówisz im do rozsądku. Dziękuję.

Tanner oddał słuchawkę Earle'owi.

– On chyba chce rozmawiać z tobą.

– Czy to pan wicedyrektor Lash? – zapytał Will. – Tak, mówi Will Abbott. Jestem szefem personelu senator... Zgadza się. Will Abbott. – Wstał, wyprostował skrzywiony przewód telefoniczny, a następnie ruszył do drzwi gabinetu i popchnął je, żeby się zamknęły.

– Nie bardzo wiem – ciągnął Will – co wyrabia pańska agencja, ale człowiek, którego zamknęliście, to nie jest jakiś... Abdul Mohammed. To szanowany bostoński biznesmen, prominentny członek społeczności... wspierającej moją szefową. Na temat tego faceta ukazywały się artykuły w prasie. Zgadza się. Michael Tanner. Siedzi w waszym kompleksie internowania niedaleko Waldorf.

Abbott bardzo się starał nie okazywać paniki, która go ogarniała.

NSA złapała Tannera! Czy laptopa senator też odzyskali? Tanner powiedział im, czyj komputer wziął przez przypadek? Jeśli tak, musieli już znać źródło przecieku. I karierę szefowej diabli wzięli. Jego zresztą też. Wystarczyło, że biznesmen odpowie na pierwsze pytanie agentów.

Tanner, który dzwonił z kontrolowanego telefonu i z pewnością był tego świadom, musiał to rozumieć. Zdawał sobie sprawę, że Will robi wszystko nie tylko w celu odzyskania komputera swojej szefowej, lecz także aby utrzymać w tajemnicy jej tożsamość. I że tych kompromitujących informacji będzie desperacko bronił, zwłaszcza przed NSA.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że Tanner stawiał ultimatum. Groził. *Jeśli nie wyrwiesz mnie z łap NSA, powiem im, do kogo należy ten cały laptop. A jestem pewien, że cholernie tego nie chcesz.*

To prawda, Will cholernie tego nie chciał.

– Poważne niedopatrzenie – powiedział cierpko. – Przetrzymujecie w areszcie obywatela amerykańskiego na jakiej właściwie podstawie? Uważamy sprawę za wysoce niepokojącą.

Przez chwilę słuchał odpowiedzi, a potem przerwał rozmówcy:

– A teraz wasza agencja prosi o kolejne dziesięć miliardów dolarów na operacje specjalne? No cóż, pani senator będzie się musiała nad tym głęboko zastanowić. Zwłaszcza w sytuacji, gdy długotrwale przetrzymujecie w celi więziennej obywatela amerykańskiego, któremu nie postawiono zarzutów. Czy mamy tą sprawą zainteresować całą komisję?

Znów słuchał, tym razem trochę dłużej.

– Okej – rzekł w końcu. – Cieszę się, że się zrozumieliśmy.

– Tak jest, oczywiście. Natychmiast się robi. – Earle odłożył słuchawkę.

Potem okręcił się w krześle, które wydało przeciągły jęk.

– No cóż, Michael, chyba cię nie doceniłem. Najwyraźniej masz na mieście chody. Nie wiem, kogo znasz, ale widzę, że wcisnąłeś magiczny guzik. To był sam wicedyrektor. Mój szef. Jesteś wolny, kolego.

I Earle z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Dzień dobry, panie Tanner – powiedział Abbott.

Michael Tanner wyłonił się z bocznego wejścia do federalnego zakładu internowania – ciężkiej ceglanej budowli bez okien, długiej na całą przecznicę, wzniesionej na miejscu opuszczonej galerii handlowej. Rozglądał się niepewnie. Sprawiał wrażenie znacznie bardziej zmęczonego niż wówczas, gdy Will widział go w Bostonie. Najwyraźniej sporo ostatnio przeszedł.

No cóż, podobnie jak ja, pomyślał Abbott.

Wyciągnął rękę, Tanner podał mu swoją.

– Cieszę się, że znowu pana widzę – oznajmił Will.

– A ja, że mamy wspólne interesy.

– To fakt. Mój samochód jest tam – wskazał za siebie.

Michael Tanner mógł zgodzić się na propozycję NSA i zostać przez nich podwieszony na lotnisko krajowe w Waszyngtonie, jednak zdecydował, że im mniej czasu spędzi w towarzystwie agentów, tym lepiej. Zgodził się na ofertę Willa.

Abbott otworzył drzwi wozu, a kiedy biznesmen wszedł do jego audi – właściwie był to samochód Jen, ale ona z niego nie korzystała, prawie zawsze jeździła metrem – odbił się kolanami od deski rozdzielczej. Był znacznie wyższy od Willa. Michael pociągnął za dźwignię i cofnął fotel dla pasażera. Potem zamknął drzwi.

Gdy oderwali się od krawężnika, Abbott zapytał:

– Powiedziałeś im, do kogo należy ten laptop?

– Oczywiście, że nie. Byłeś moją tajną bronią. Nie zamierzałem z niej zrezygnować.

– Tajną bronią? Jakim cudem?

– Prosta kalkulacja.

– Doprawdy?

– Taka sama, jakich ty dokonujesz. Bo wiesz, miałem dużo czasu do namysłu. I coś w końcu wymyśliłem.

– Na przykład?

– Że NSA nie ma pojęcia, czyj jest ten zaginiony laptop. A ty bardzo nie chcesz, aby to ustalili.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ wtedy dowiedzieliby się, że twoja szefowa ma na niezabezpieczonym

komputerze ściśle tajne informacje. A to już bardzo nieładnie.

– Hm – mruknął Will.

– Wiem, że jestem tylko sprzedawcą kawy, ale coś mi mówi, że nie wolno przechowywać takich danych na zwykłym starym kompie. I moim zdaniem, gdyby NSA znalazła ten sprzęt, to twoja szefowa, pani senator, znalazłaby się w głębokim szambie.

– Hm.

– Dlatego nie chcesz, aby tak się stało. A ja chętnie się go pozbędę.

– Gdzie on jest?

– W Bostonie, w bezpiecznym miejscu.

– W takim razie jedziemy do Bostonu.

– My?

– To część umowy. Zaufałem ci, że jej dotrzymasz i oddasz komputer bez dalszych gier.

Docień to.

– A jednak – powiedział Tanner – to właśnie ty próbowałeś mnie zabić.

Will zeszywniał, jego ciało napięło się: było to czysto fizyczne doznanie. Patrzył na drogę, zaciskając mocno wargi i zastanawiając się nad odpowiedzią. Zerknął w prawo i z zaskoczeniem stwierdził, że Tanner się uśmiecha.

– Najpierw myślałem, że tego faceta nasłała na mnie NSA – oznajmił biznesmen. – Ale to nie oni. Doszedłem do tego wniosku w drodze eliminacji. To byłeś ty.

Will wypuścił powietrze z płuc, pokręcił głową.

– On nie miał cię zabić ani nic w tym stylu – powiedział. – Tylko porządnie nastraszyć.

– Gość był pieprzonym płatnym zabójcą – rzucił Michael.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Uważasz mnie za potwora, ale tak naprawdę mnie nie znasz. Zrozumiałe. Dziwne jest natomiast to, że ja dobrze znam ciebie...

– Wcale nie.

– Nie mam tu na myśli dossier, które stworzyliśmy na twój temat, twojego biogramu. Patrzę na ciebie i czuję, że cię znam. Wiem, jaki jesteś. Jesteś byłą gwiazdą liceum, szkolnym sportowcem, centrum klasowego wszechświata. Takich facetów jak ty nazywaliśmy brutalami. Kastą wojowników. Dostawałeś wszystko, co chciałeś, każdą dziewczynę.

– Ta, jasne – westchnął Michael.

– Wszyscy do ciebie lgnęli, ciągle, nawet nauczyciele. Każdy pragnął stać u twego boku. Ja tak dobrze nie miałem. Byłem chłopakiem, na którego nikt nie zwracał uwagi. Mój tata umarł, kiedy skończyłem czternaście lat. Mama pracowała jako recepcjonistka w gabinecie dentystycznym, dorabiała, sprzedając na boku domy, żebyśmy mogli związać koniec z końcem. A i tak musieliśmy mocno zaciskać pasa. Może nosiłem sportowe buty niewłaściwej marki? Albo moje ciuchy nie leżały na mnie tak jak powinny? Nie, chyba tylko

szukam usprawiedliwień. Na studiach wystartowałem w wyborach na skarbnika, ale dostałem ostro po dupie. Jednak wiesz co? Po pewnym czasie znalazłem sobie miejsce na ziemi.

– To dobrze – powiedział Tanner. – Cieszę się.

Will wyglądał na speszzonego, jakby powiedział trochę za dużo. Dodał cierpko:

– Proponuję, żebyśmy do Bostonu pojechali Acelą. – Był to stosunkowo szybki pociąg kursujący między Waszyngtonem a Bostonem.

– Samolotem nie byłoby szybciej?

– Mam problem z lataniem.

– Dobra, Acela mi pasuje – zgodził się Michael.

Chwilę milczeli, kiedy Will skręcał na trasę numer trzysta jeden, prowadzącą na północ, do Dystryktu Kolumbii. Tanner wpatrywał się w prawą stronę drogi. Potem odwrócił się do Abbotta:

– Więc jak ich przekonałeś?

Will się uśmiechnął.

– Wykorzystałem autorytet wpływowej senator USA. Wtedy góra słucha. Wtedy rozumieją. Chyba właśnie po to do mnie zadzwoniłeś?

– Między innymi.

– Stawiamy sprawy jasno.

– Stawiam jasno. Oddam ci laptopa i nigdy się już nie zobaczymy – powiedział Michael. Mimo wszystko nie zabrzmiało to niezyczliwie.

– Zgodziłeś się również z nikim nie rozmawiać o tym komputerze ani o tym, co zawiera. W zamian ja będę trzymał NSA z dala od ciebie.

– Okej. Tak się umawiamy.

– Odtąd podlegasz ochronie. Ale koniec z przekazywaniem dokumentów jakimś dziennikarzom. Wracasz do swojego normalnego życia. Bez oglądania się za siebie. Bez zmieniania w słup soli.

– Jasne. Tylko dlaczego tak desperacko pragniesz odzyskać ten komputer?

– Desperacko? Wcale nie. To jest Waszyngton, człowieku. Nie mogę pozwolić, aby zrobiono ze mnie czyjąś własność.

– Zrobiono z ciebie czyjąś własność?

Lecz Will tylko pokręcił głową. *Ponieważ nie chcę, żeby NSA uczyniła z senator Robbins swoją dziwkę, oto dlaczego. Ponieważ tak tutaj prowadzi się grę. Kiedy już staniemy się ich własnością, NSA będzie mogła przeprowadzić przez Kongres każdy program, jaki jej się spodoba.* Senator Robbins była najbardziej wpływowym i szanowanym członkiem komisji. Oczywiście, że chciano mieć ją na smyczy.

Poczuł, jak coś zaczyna pulsować mu w gardle.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – odezwał się Abbott. – Czemu?

– Co czemu?

– Czemu nie powiedziałeś im, skąd się znamy?

Nastąpiła długa cisza, Will odczuwał rosnącą obawę przed tym, jak Tanner może zareagować.

– Bo sądzę, że mamy wspólne interesy. Ty nie chcesz, aby NSA przejęła laptopa, a ja wolałbym pozostać przy życiu. No i nie siedzieć w więzieniu.

Will kiwnął głową.

– Wiem, że gdybym im wszystko powiedział, nigdy bym nie wyszedł z tego cholernego pierdła.

Tanner sprawiał wrażenie, że mówi szczerze.

– Widziałeś te dokumenty? – zapytał Will.

– Tak.

– Czytałeś je?

Biznesmen milcząco potwierdził.

– Rozumiesz już, że wdepnąłeś w gniazdo os?

– Tak.

– Mam nadzieję, że rozumiesz także, że jeśli przekażesz komuś jakąkolwiek informację na temat CHRYSALIS, zostaniesz aresztowany. To nie groźba. To po prostu... Tak się po prostu stanie i powinieneś o tym wiedzieć.

– Ale czy ten cały program już nie działa? Może dopiero... toczy się nad nim dyskusja?

Will się zawahał. Już miał odpowiedzieć, lecz tylko potrząsnął głową.

– Nie wiesz czy nie chcesz mi tego zdradzić?

Abbott nie reagował.

– Jasna cholera – mruknął Tanner.

Podróż pociągiem do Bostonu trwała sześć godzin i czterdzieści minut. Mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie, dzielił ich tylko stół.

Will Abbott spędził większość pierwszej godziny w skupieniu, stukając w klawiaturę komputera i narzekając na bardzo powolne Wi-Fi. Popijał kawę oferowaną przez sieć Amtrak, zajadał miniprecle i prowadził rozmowy przez komórkę. Skontaktował się nawet z żoną i dyskutował z nią o dziecku. Wyglądało na to, że żona wpadła w złość, usłyszawszy, że Abbott nie spędzi tej nocy w domu.

Tanner, któremu bardzo brakowało iPhone'a, skorzystał z jednego ze swoich nowych aparatów jednorazowych. Najpierw zadzwonił do Sarah, sprawdzić, czy wszystko w porządku, a potem do Lucy, do biura. Kiedy skończył, oparł się wygodniej w fotelu i obserwował krajobraz za oknem. Rozmyślał.

Naprzeciwko Michaela siedział człowiek, który próbował doprowadzić do jego zabójstwa.

Sytuacja przypominała wymianę agentów na berlińskim moście Glienicke, zwanym Mostem Szpiegów. Miała podobny ciężar gatunkowy. Niosła ze sobą taką samą nieufność i ostrożność. Tanner siedział na tyle blisko Abbotta, że czuł zapach jego wody toaletowej marki Drakkar Noir. Bardzo licealny.

Will Abbott był łysiejącym mężczyzną mniej więcej w wieku Michaela, sprawiającym wrażenie, jakby całe życie spędzał zgarbiony nad klawiaturą komputera, czym nie różnił się zresztą od wielu współczesnych ludzi. Ale jednocześnie emanowało zeń coś dziwnego, jakaś desperacja, która mogła uczynić z tego człowieka groźnego przeciwnika.

Michael zastanawiał się nad słowami Abbotta.

Więc jak ich przekonałeś? – zapytał go wcześniej Michael.

Wykorzystałem autorytet wpływowej senator USA. Wtedy góra słucha.

– Naciskają na mnie, żebym cię wypuścił – powiedział Earle. – Za sprawą tego twojego kolegi z Kapitolu.

– Naciskają?

Earle się uśmiechnął. Na jego policzkach ukazały się głębokie, pionowe bruzdy.

– Ale zawrzemy układ, ty i ja.

– Jaki układ? – zapytał Tanner.

– Sądzę, że właścicielem tego laptopa, który wpadł ci przez przypadek w ręce, jest

William Abbott. Dlatego facet stanął na głowie, żeby cię wydostać, pociągnął za odpowiednie sznurki.

– Żeby była jasność: nigdy nie powiedziałem, czyj mam komputer.

– Nie, bo nie musiałeś. W porządku. Możesz iść, wypuszczam cię. Ale jeśli chcesz się na zawsze uwolnić od problemów, postąpisz, jak mówię. Oddasz laptopa prawowitemu właścicielowi. A jeżeli zdołamy go złapać z tym komputerem, to wszystko będzie między nami w porządku. *Vaya con Dios*.

To było dziwne: instynkt podpowiadał Michaelowi, że powinien zaufać swojemu rozmówcy. Mimo że został przez niego uprowadzony i że Earl mu groził – jednocześnie nigdy nie składał fałszywych obietnic ani nie deklarował łatwego wyjścia z sytuacji. W gruncie rzeczy grał uczciwie.

– Zgoda – oświadczył Tanner.

Earle wyciągnął rękę, mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

No wreszcie, pomyślał biznesmen, wreszcie jakieś wyjście.

Po godzinie jazdy pociągiem Abbott odłożył telefon. Zaczęli rozmawiać. Michael był zbyt towarzyskim człowiekiem, by cała podróż upłynęła im w milczeniu.

– Masz dziecko, jak rozumiem? Nie dało się nie usłyszeć – powiedział.

– Hm, taak. Ośmiotygodniowe.

– Ciężka sprawa: być szefem personelu senatora i jeszcze mieć na głowie niemowlę.

– To prawda.

Tanner nie przestawał analizować w głowie tajemniczych słów Abbotta.

To jest Waszyngton, człowieku. Nie mogę pozwolić, żeby zrobiono ze mnie czyjąś własność.

Nic dziwnego, że facet był w desperacji.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zapytał Michael.

Późnym popołudniem pociąg zatrzymał się na dworcu Back Bay w Bostonie. Mężczyźni wysiedli. Śmierdziało ropą naftową. Na peronie tłoczyli się ludzie wracający do miasta ze spotkań w Nowym Jorku, a może nawet w Waszyngtonie. Niczym stado bydła, szli zwartą grupą w kierunku wyjścia, potem ruchomymi schodami wjeżdżali na główny poziom dworca, by wreszcie – w nieuniknionej darwinistycznej walce o przetrwanie – na Dartmouth Street złapać taksówkę. Nie było tam żadnego postoju, taryfy po prostu kursowały w tę i z powrotem.

Tanner chciał jak najszybciej wrócić do domu, paść na łóżko i zapomnieć o szaleństwie ostatnich dwóch tygodni. Niestety, miał jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

Po pięciu minutach daremnych prób złapania taksówki zrezygnował i zwróciwszy się w stronę Willa, wskazał na ulicę prowadzącą do South Endu.

– To tylko dwie przecznice w tym kierunku, a potem w lewo.

Ruszyli pieszo ku Tremont Street, Tanner ze swoim brudnym plecakiem, Abbott z teczką. Szli w milczeniu. Tannera bolała zabandażowana rana na łądźwiach. Pewnie wdała się w nią infekcja. Będzie się musiał tym zająć, kiedy znajdzie w końcu trochę czasu.

Po około dziesięciu minutach dotarli do wielkiego drapacza chmur, całego z granitu i szkła, należącego do firmy ubezpieczeniowej. Jego północno-zachodni narożnik na poziomie ulicy zajmował SportsClub Boston, z powszechnie znanym czerwono-niebieskim logo. Po drodze Michael zerknął na stoisko z owocami, przy którym zobaczył Ganesha i przywitał się z nim.

Michael otworzył przed Willem Abbottem szklane drzwi, a następnie wkroczył tuż za nim do siłowni. Kiedy znaleźli się obok kontuaru recepcyjnego, skąd członkowie mogli przejść dalej, używając karty magnetycznej bądź klucza zbliżeniowego, Will oświadczył:

– Idę z tobą. Wprowadź mnie jako gościa.

Minęli szereg przeszklonych biur, gabinety kierowniczk siłowni, menedżera do spraw członkowskich i tak dalej, a potem salę kickboxingu, choć być może była to sala do zumbi, Tanner nie widział istotniej różnicy. Z wewnątrz dobiegała głośna muzyka, nieco stłumiona przez szklane szyby. Po schodach zeszli do męskiej szatni.

– *Buenas tardes*, panie Tanner – powiedział niski, śniady mężczyzna w czerwonej klubowej koszulce SportsClub Boston, popychając wózek pełen używanych rękawiczek.

– Cześć, Ramon – odrzekł Michael.

Od razu zobaczył swoją mosiężną kombinacyjną kłódkę w drugim rzędzie szafek.

– To tutaj – poinformował Abbotta.

Na pomysł umieszczenia laptopa właśnie w tym miejscu Tanner wpadł, kiedy przemycał go ze swojego biura. Przeszukano już wtedy jego dom, z pewnością następna miała być siedziba Tanner Roast, gdzie przeczesano by każdy centymetr, byle tylko znaleźć ten komputer. Pozostawienie go w firmowym sejfie – nawet tak dobrze zamaskowanym – nie wydawało się rozsądne.

A przecież w szafkach jakiejś siłowni nikt nie przechowuje cennych przedmiotów. Michael przyniósł komputer w torbie sportowej, a kiedy wychodził, torba ważyła o półtora kilograma mniej.

Ustawił cyfry na tarczy zamka we właściwej kombinacji i wyjął kabłąk kłódki. Potem otworzył drzwiczki.

Szafka była pusta.

Przez chwilę miał surrealistyczne wrażenie zachwiania rzeczywistości. Jakby nagle cały świat stanął do góry nogami. Poczłł zawrót głowy i tępo wpatrywał się w pustą szafkę.

Wszystko zniknęło. Nie tylko stare, zapocone ciuchy do ćwiczeń plus dezodorant. Dosłownie wszystko.

To przecież niemożliwe.

– Żart jakiś? – warknął Abbott.

Tanner nie odpowiedział. Wybiegł z szatni i z tupotem popędził w górę po schodach. Will biegł tuż za nim.

Minęli salę zumbly czy kickboxingu i zatrzymali się dopiero przed gabinetem kierowniczkli. Była nią wysoka, młoda blondynka, która mówiła z silnym polskim akcentem. Miała na imię Agnieszka.

– Mogę pomóc?

– Moja szafka... Moja szafka jest pusta.

– Słucham?

– Z mojej szafki wszystko zniknęło. – Tanner wpatrywał się w dziewczynę.

– Nie zauważył pan kartki? – odpowiedziała kierowniczka. – Umieszczam ją przy wejściu do męskiej szatni. Każdy mają opróżnić zawartość swojej szafki do wczoraj do dwunastej w południe w celu sprzątnania. Jak ktoś nie zrobi, my usuwamy za niego. Przecinamy kłódkli.

– Usunęliście moje... Dokąd? Gdzie schowaliście moją własność?

– W dziale rzeczy znalezionych. – Wskazała poza swoje biuro, gdzieś w głąb korytarza.

Dział rzeczy znalezionych był nieoznakowaną klitką, w której na półkach ze stalowego drutu piętrzyły się różne przedmioty: zapomniane kłódkli, śmierdzące buty sportowe, ubrania do ćwiczeń na siłowni. Na jednym regale widać było iPody mini oraz kilka zestawów słuchawek. Tanner od razu dostrzegł zrzuczone na kupę wszystkie swoje ciuchy i biegówki.

Ale nie widział laptopa. Niczego takiego nie było.

– Nie jest? – zdziwiła się Agnieszka.

– Tu go nie ma – powiedział Michael, z trudem przełykając ślinę. – Może ktoś położył go w inne miejsce? Bo to laptop, rzecz stosunkowo cenna, może więc...?

– Tu jest wszystko – poinformowała kierowniczka. – Cenne, niecenne, wszystko tutaj. Nie w innym miejscu.

- Ale zniknął. Nie ma go.
- Nie bierzemy odpowiedzialności za rzeczy zagubione i ukradzione. Tak pisze na znaku.
- Zgoda, wiem, ale gdzie mogli położyć mój sprzęt?

Agnieszka wzruszyła ramionami.

– To jedyne miejsce. Może ktoś zabrał? W zeszłym tygodniu straciłam dwóch pracowników. Nie mogę utrzymać sprzątaczek z jakichś powodów. Zawsze odchodzą.

Will Abbott odwrócił się na pięcie, żeby popatrzeć Tannerowi w oczy.

– Ty skurwysynu – powiedział.

Kierowniczka zamknęła drzwi biura rzeczy znalezionych.

– Przykro mi. Może ktoś kraść? – Znowu wzruszyła ramionami, jakby było jej to obojętne. Jakby to była tylko para zwędzonych brudnych skarpetek. Odchodząc, mamrotała pod nosem: – Nie dobrze jest.

William Abbott, cały czerwony na twarzy, złapał Michaela za ramię i mocno przytrzymał.

– Cholerny skurwysynu, masz w ogóle pojęcie, co ty wyrabiasz?

– Ten komp naprawdę był w mojej szafce – odparł głucho Michael.

– W co ty grasz, dlaczego ciągle oszukujesz? Powiem ci tyle: właśnie postarałeś się o bardzo niebezpiecznego wroga.

– Zabieraj te łapy – rzucił Michael. Will, choć sporo niższy, próbował go atakować.

– Już nie żyjesz, człowieku – wrzasnął Will. Widać było pulsowanie żył na jego skroniach.

– Laptop znajdował się w szafce. Kto, do cholery, chciałby okradać szatnię w klubie sportowym? – Biznesmen wyjrzał przez okno na Tremont Street. Zobaczył stoisko z owocami prowadzone przez Nepalczyka, u którego kupował zazwyczaj wodę, i od razu zrozumiał, że coś jest nie tak.

Poszukał wzrokiem Ganesha. Zamiast niego za ladą siedział młody, biały mężczyzna o ostrym wejrzeniu.

Ganesh zniknął.

A przecież nigdy nie brał wolnego. Większość zarobionych pieniędzy wysyłał siostrze i jej dzieciom w Nepalu. Tanner zawsze starał się go pozdrowić. Ganesh niezmiennie był na miejscu. Coś tu nie grało.

W samochodzie z włączonym silnikiem i otwartym oknem parkującym przy krawężniku siedział facet w bejsbolówce na głowie. Przed wejściem do siłowni stało dwóch mężczyzn po trzydziestce i rozmawiało, a przynajmniej udawało, że to robią.

Ludzie Earle’a. Czekali, aby złapać Willa, gdy wyjdzie z klubu sportowego z laptopem w ręku.

Teraz cały plan legł w gruzach.

Michael zdawał sobie sprawę, jak w tych okolicznościach wyglądałaby rozmowa z Earlem. Nikt mu nie uwierzy, że komputer naprawdę zaginął albo został skradziony. Bez sprzętu Earle nie będzie miał ochoty puścić wszystkiego w niepamięć. Abbott podejrzewał Michaela o nieczystą grę, agent NSA dojdzie zapewne do takiego samego wniosku.

Kiedy ludzie Earle’a złapią Willa i zorientują się, że nie ma przy sobie tego przeklętego laptopa, przyjdą po Michaela. Znow go wsadzą do białego więzienia, nie wiadomo na jak

długo, ale tym razem nic już nie będzie mógł zrobić.

O nie. Należało znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

– Zabierz łapy – powtórzył Michael.

– Ty gnojku, gdzie go schowałeś, do diabła? – Abbott zamachnął się pięścią, jednak Tanner zdążył się lekko uchylić. Mimo to cios trafił w górną część jego klatki piersiowej, w okolice mostka. Zabolało i to wkurzyło Michaela. Krzyknął, po czym walnął Abbotta w splot słoneczny.

Ten natychmiast zgiął się wpół i padł na podłogę.

Michael popędził przez hol, zbiegł dwa piętra w dół, na poziom obsługi. Zobaczył tam Ramona, pracownika z Gwatemali, który sortował ręczniki i układał je jeden na drugim.

– Witam, panie Tanner – powiedział Ramon zaskoczony jego widokiem.

– Ramon, musisz coś dla mnie zrobić. Coś ważnego.

Will z trudem łapał powietrze. Ledwie mógł oddychać. Brakowało mu tlenu. Tkwił na czworakach i miał wrażenie, że umiera.

Nagle stanął nad nim wielki, muskularny Murzyn w niebieskiej koszulce polo z napisem „SportsClub Boston” i „Trener”.

– Nic ci nie jest, kolego?

– Nie, w porządku – wymamrotał Will.

– Trzeba sobie wyznaczać właściwie tempo, stary. – Trener wyciągnął rękę i pomógł Willowi wstać. – Napij się wody.

Michael Tanner uderzył Willa tuż pod przeponą, dokładnie w splot słoneczny, co wywołało potworny ból. Will nie miał pojęcia, że coś może aż tak boleć. Zastanawiał się, czy nie ma uszkodzonych organów wewnętrznych i naczyń krwionośnych. Jak wyjaśni to wszystko Jen? Zachwiał się. Czarny mężczyzna złapał Abbotta za ramię, pomagając mu odzyskać równowagę.

– O rany, chłopie, musisz jednak usiąść.

Will pochylił się do przodu, z głową w dół, czując skurcze w żołądku.

– Nic mi nie jest, dzięki. – Zaczerpnął powietrza i ruchem ręki odprawił trenera.

Nie wiedział, w którą stronę pobiegł Tanner – był wtedy zbyt zajęty próbą odzyskania oddechu – założył jednak, że nie ma go już w budynku. Czy było tu więcej wyjść niż jedno? Kroczył powoli, utykając, w kierunku, z którego przyszli.

– Przepraszam pana? – zawołała niewysoka młoda kobieta z chłopięcą fryzurą, o atletycznej budowie ciała i nisko umieszczonym środkiem ciężkości. – Wszedł pan przed chwilą za pomocą karty magnetycznej? – Miała na sobie niebieską koszulkę polo z napisem „Kierownik do spraw członkowskich”.

Will się odwrócił.

– Tak. – Minął go sprzątacznik w czerwonym uniformie, pchający wózek pełen mokrych,

brudnych ręczników.

– Przykro mi, ale goście mogą poruszać się tylko w obecności osoby zapraszającej. Czy ta osoba gdzieś tu jest?

– Właśnie jej szukam.

– Niestety, obawiam się, że musi pan wyjść.

Will szedł dalej.

Była siedemnasta trzydzieści, Tremont Street roiała się od ludzi wychodzących z pracy. Tanner mógł złapać chwilę oddechu. Otaczający go tłum oznaczał utrudnione zadanie dla inwigilujących. Poza tym agenci nie szukali chyba kogoś ubranego w czerwoną koszulkę polo z logo SportsClub Boston, pchającego wózek pełen prania.

Piesi opadli go ze wszystkich stron. Michael zostawił wózek w miejscu, które uzgodnili z Ramonem, i szedł dalej ulicą niczym zwykły pracownik, który zakończył dniówkę. Zmierzał w stronę Clarendon Street, by po chwili skręcić w prawo, ku stacji Back Bay. Tam mógłby wsiąść do pomarańczowej linii metra.

Tylko dokąd pojechać?

Sam nie bardzo wiedział. Po prostu czuł, że musi się zapaść pod ziemię. Sprawdzał teraz swoją teorię na temat jednostki zadaniowej NSA – Earle określił ją mianem Theta – która podobno zawsze, w każdym momencie orientowała się, gdzie on przebywa.

Kupił bilet za dwa dolary i dwadzieścia pięć centów, przeszedł przez kołowrót i zbiegł po schodach. Zdając się na los, wybrał pociąg zmierzający w kierunku Forest Hills, gdzie nigdy nie był i nie miał pojęcia, gdzie leży. Po kilku kolejnych stopniach zszedł na peron.

Miał wrażenie, że nikt go nie śledzi.

Musiał teraz pomyśleć. Cholerny laptop zniknął, zapewne go skradziono. A przecież stanowił jego ostatnią deskę ratunku. Dzięki niemu Michael przekupił zarówno NSA, jak i Willa Abbotta. Układ zawarty z Earlem zdawał się solidny i logiczny: Tanner odda komputer Abbottowi, a NSA natychmiast faceta zgarnie. Będą mieli niezbity dowód, że źródłem przecieku był właśnie Abbott. A Tanner pójdzie w swoją stronę.

Lecz teraz bez tego cholernego sprzętu wszystko diabli wzięli. Układ został anulowany.

Czuł bolesne pulsowanie w lędźwiach.

Obok rozmawiało ze sobą dwóch mężczyzn, wyglądających na prawników albo bankowców. Mówili z miejscowym akcentem. Tanner nie mógł się powstrzymać od odruchowego podsłuchiwania.

– Powiedziałem jej, że nie ma mowy, do jasnej cholery, żeby robiła sobie dziarę nad tyłkiem – tokował jeden z facetów. – A ona na to, nie, ja chcę tylko piercing. Tunele uszne. Jakie, kurna, tunele, pytam? A widziałaś kiedy ludzi z takimi wielkimi dziurami w płatkach uszu?

– O Jezu – odrzekł drugi. – Nie pozwoliłbym, żeby ktoś ciął mi uszy brzytwą. Albo

skalpelem.

– Przecież to szaleństwo, stary, świństwo, które ludzie robią swoim ciałom. Nazywają to modyfikacją organizmu. Ohyda. Więc ona wraca z tatuażem żółwia na ramieniu, a ja jestem, kurna, wdzięczny. Ograła mnie nieźle, stary.

Mężczyźni zaśmiali się serdecznie. Pociąg właśnie wjeżdżał na stację i Michael nie usłyszał już nic więcej.

Rozmyślał teraz o brzytwach, skalpelach i modyfikacji ciała i nagle coś mu przyszło do głowy. Już wiedział, co powinien zrobić.

Odwrócił się na pięcie, po czym opuścił peron i wbiegł na górę po najbliższych schodach. Musiał się dostać do stacji Downtown Crossing, gdzie można złapać zieloną linię metra.

O ile potrafił stwierdzić, nikt go nie śledził.

Pół godziny później wychodził z naziemnej stacji metra w Allston.

Salon tatuażu znajdował się w miejscu, które Tanner zapamiętał, czyli na pierwszym piętrze rzucającego się w oczy budynku o zaokrąglonej fasadzie przy ruchliwym, nieosłoniętym od wiatru skrzyżowaniu Harvard Avenue i Cambridge Street. Jego nazwę, Mustang Creations Body Art, wymalowano czcionką kojarzącą się z cyrkiem.

Wnętrze salonu było zaskakująco duże i dobrze oświetlone. Na ścianach wisiały w ramach wzory tatuaży, a przynajmniej tak się Michaelowi wydawało. W drewnianych witrynach prezentowano „bizuterię cielesną”, a w kącie tkwił bankomat. Za kontuarem siedziała atrakcyjna kobieta koło czterdziestki, z burzą jasnych loków na głowie.

Rozmawiała właśnie z czarną dziewczyną.

– Chcę sobie założyć nowy kolczyk do nosa – powiedziała Murzynka.

– Obręcz czy tylko ćwiek?

– Ćwiek.

– Z jakimś klejnocikiem?

Gdy nadeszła kolej Tannera, zapytał:

– Zastąłem waszego fachowca od piercingu?

– Tak, Stefan jest w pracy. Powinien być dostępny za jakieś... pięć minut. Jest pan zdecydowany na konkretny rodzaj?

– Najpierw chcę o tym porozmawiać ze Stefanem.

Usiadł na niewielkiej kanapie i z roztargnieniem przeglądał katalog ze zdjęciami tatuaży. Ciekawe, czy NSA zdołała już zatrzymać Willa Abbotta? Zorientowali się, że facet nie miał przy sobie laptopa? Jak szybko przyjdą po mnie? – myślał Tanner.

W otwartych drzwiach niewielkiego biura ukazał się drobny młody mężczyzna, z najeżoną punkową fryzurą i obręczą w nosie.

– Michael?

Pokój do piercingu był nieskazitelnie czysty, przypominał salę operacyjną: szpitalne łóżko nakryte białym papierem, metalowy stolik na kółkach z zapakowanymi igłami

jednorazowymi, metalowy zlew.

Stefan przywitał się i rzucił pytająco:

– Więc jakież to otworki szczęścia chcesz sobie przedziurawić? – Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując sporą przerwę między przednimi zębami.

Tanner powiedział mu, czego potrzebuje.

– Nie wolno mi używać skalpela.

– Ale jakiś masz?

Stefan milczał.

Tanner wyciągnął z portfela pięćdziesięciodolarowy banknot.

– Możemy to potraktować jako transakcję gotówkową?

Stefan zamknął drzwi, a potem z szuflady biurka wyjął sterylnie zapakowany skalpel.

Biznesmen usiadł na szpitalnym łóżku, zdjął marynarkę, koszulę i odwrócił się plecami.

– Paskudna infekcja – oznajmił Stefan.

– To właśnie tutaj – odrzekł Tanner.

– Będzie trochę bolało. Wytrzymasz?

– Wytrzymam.

Drobny mężczyzna sprawnie naciął zakażony obszar na lędźwiach. Michael skrzywił się, intensywność bólu go zaskoczyła.

– Coś tu faktycznie jest – obwieścił Stefan.

Biznesmen czuł, jak tamten grzebie w pulsującej ranie. Po krótkiej chwili Stefan umieścił na metalowym stole mały, zakrwawiony przedmiot.

– Oto powód infekcji. Co to jest twoim zdaniem?

Lokalizator GPS. Mikronadajnik.

– Nie mam pojęcia.

Stefan zrobił wielkie oczy.

– Łał. Jak to się tam znalazło, stary?

– Nie wiem – odrzekł Tanner. Ale oczywiście wiedział. Pamiętał, że kiedy ludzie Earle'a go złapali, a on broniąc się, uszkodził jednemu z nich nos, tamci dźgnęli go czymś w plecy, chyba paralizatorem. Od razu upadł na ziemię. Zapewne właśnie wtedy wprowadzili w jego ciało chip GPS czy coś takiego.

Biznesmen wziął do ręki ten mały przedmiot. Miał kształt cylindra i długość najwyżej dwóch i pół centymetra, wykonano go z jakiegoś jasnego metalu. To by wyjaśniało, dlaczego zespół Theta zawsze wiedział, gdzie Tanner się znajduje, niekoniecznie śledząc go bezpośrednio. Michael nie miał pojęcia, na jakiej zasadzie nadajnik działał, ale musiał chyba wysyłać jakiś sygnał pozwalający namierzyć inwigilowanego.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał Stefan.

Dom wystawiono na sprzedaż prawie rok temu. Według Sarah nikomu już nie zależało na pokazywaniu go klientom. Była to brzydka, mała drewniana rudera, stojąca na działce z widokiem na ocean na północ od Bostonu. Cenę podano mocno zawyżoną, zapewne wskutek konfliktu między właścicielami, czyli bratem i siostrą, którzy wspólnie tę nieruchomość odziedziczyli. Podobno nie mogli się dogadać, czy dom sprzedać, czy nie. Właścicielka – matka rodzeństwa – zmarła przed dwoma laty, a po jej śmierci nikt tu nie mieszkał.

W środku śmierdziało padłym zwierzęciem. Pewnie gdzieś za ścianą leżała zdechła mysz. Michael pootwierał wszystkie okna, by wpuścić jak najwięcej świeżego powietrza, zwłaszcza morską bryzę.

Miał kilka godzin wolnego czasu. Zdawał sobie sprawę, że dobrze byłoby się trochę przespać, skoro istniała taka możliwość, ale był zbyt nakręcony. Powinien zająć myśli czymś innym niż bieżącą sytuacją, co wydawało się, niestety, trudne. Spróbował skupić uwagę na Blake’u Giffordzie i firmie City Roast. Po krótkim namyśle postanowił zadzwonić do swojej dyrektorki sprzedaży.

– Cześć, Karen – zagaił Tanner. – Wysłuchaj bardzo uważnie tego, co mam ci do powiedzenia. Skontaktuj się z Lockwood Hotels Group w Kalifornii i złóż im następującą ofertę.

– Przecież Lockwood nie szuka dostawcy kawy. City Roast już...

– Posłuchaj.

Słuchała.

– Ale... stracimy na tym pieniądze! – zawołała Karen, kiedy Michael skończył.

– Trudno. Rób, co powiedziałem.

– Michael, to jakieś wariactwo. Za pół roku zbankrutujemy.

– Wykonaj polecenie, a potem wyślij mi esemesa, że sprawa załatwiona.

Tanner zakończył rozmowę. Następnie zadzwonił do Sala Persica, swojego głównego specjalisty od prażenia kawy, chcąc sprawdzić, czy spełnił jego prośbę.

Wcześniej spotkali się w salonie tatuażu w Allston. Sal zawiózł lokalizator GPS do pałacyku w Chestnut Hill, tam gdzie wcześniej Michael się ukrywał.

Prawdopodobnie NSA dojdzie do wniosku, że biznesmen zatrzymał się w domu jakiegoś kolegi. O ile faktycznie Tanner znalazł i usunął jedyny nadajnik, jaki mu zainstalowano. Bo

wtedy, gdyby udało mu się nawet chwilowo zniknąć z radarów agencji, miałby więcej czasu. A czas był niezbędny, jeśli Michael miał dostarczyć im to, czego chcieli. Teraz już nikt nikomu nie ufał. Należało dysponować naprawdę solidnymi argumentami, żeby przekonać do siebie Earle'a, w przeciwnym razie z pewnością znów go zamknie. Albo zrobi mu coś gorszego.

I to niebawem.

Już miał zadzwonić do Sala, kiedy jednorazowa komórka na kartę wydała z siebie melodyjny dźwięk. Esemes. Od Karen. Zawierał tylko jedno słowo. *Załatwione*.

Tanner wybrał numer Sala i zapytał, jak poszło.

– Gotowe – odrzekł Sal.

– Dzięki. Przepraszam, że fatygowałem cię wieczorem.

– Nie ma sprawy.

Godzinę później Tanner miał już z głowy wszystkie rozmowy telefoniczne, które zaplanował. Niespodziewanie zadzwoniła Lucy Turton.

– Pewien facet, hm, desperacko chce się z tobą skontaktować.

– Jest już po godzinach pracy.

– Nie w Kalifornii.

– Kto to taki?

– Blake Gifford z City Roast.

– Ach...

– Mogę w czymś tu pomóc albo...?

– Zostawił jakiś numer?

Tanner zniknął, jednak Will miał pomysł, jak go znaleźć.

Rozmyślał o chwili, gdy NSA po raz pierwszy się z nim skontaktowała dwa dni temu. Przez cały ten czas agencja nie spuszczała oka z Michaela Tannera, który podjął próbę ucieczki, ale jedna rzecz wydawała się im zagadkowa. Otóż agenci nie potrafili dostrzec żadnego wzorca, żadnego szablonu, jeśli chodzi o miejsca ukrywania się biznesmena. Oczywiście nie przebywał w domu ani w swoim biurze, ani też u żony, byli zresztą w separacji. Nie zatrzymał się też u swoich – znanych NSA – przyjaciół, krewnych czy współpracowników. Zasadniczo trzymał się kolejnych niezamieszkanymi domów w rejonie Bostonu.

Gdy Will o tym usłyszał, uśmiechnął się tylko w duchu. Domyślił się od razu, co to oznaczało. Żona Tannera, podobnie jak matka Willa, była agentką handlu nieruchomościami. Sprzedawała domy. Tanner sądził, że dzięki pomocy żony będzie sprytniejszy od wszystkich. Pomieszkiwał w pustych domach przeznaczonych na sprzedaż. Bo gdzieżby indziej mógł spędzić noc bez korzystania z karty kredytowej?

Dwadzieścia minut później Will siedział przed swoim laptopem w Starbucksie,

przeszukując spisy nieruchomości na sprzedaż. Wcześniej zadzwonił do matki, do gabinetu dentystycznego, i poprosił ją o podanie swojego numeru identyfikacyjnego, by móc skorzystać z bazy danych MLS. Mama nadal parała się pośrednictwem w handlu nieruchomościami i chętnie udzieliła synowi wszelkich informacji. Wielokrotnie namawiała Willa na przeprowadzkę z bloku (wraz z żoną i synem) do prawdziwego domu jednorodzinnego.

Abbott zapoznał się z listą niezamieszkałych lokali w okolicach Bostonu, ale było ich zbyt wiele. Musiał zawęzić zakres poszukiwań.

Zapewne Michael Tanner robi to, co zrobiłaby na jego miejscu większość przestraszonych ssaków: zaszyje się gdzieś w lisiej norze. Tam poszuka bezpieczeństwa. Nie będzie chciał dekować się w jakimś mieszkaniu w centrum miasta ani w domu z sąsiadami za płotem. Raczej... Tak, no proszę, chociażby w czymś takim.

Dom na sprzedaż, stojący samotnie na nadmorskiej skarpie w Nahant. Na zdjęciu wydawał się całkowicie odosobniony, zupełnie sam na skraju klifu z widokiem na ocean.

Nahant było małym uzdrowiskiem na północny wschód od Bostonu, usytuowanym na wyspie i kawałku stałego lądu, który wbijał się w Atlantyk. Oddalonym o mniej więcej pół godziny jazdy.

Doskonale.

Michael zadzwonił do Blake'a Gifforda w Santa Barbara w Kalifornii.

Gifford odebrał po pierwszym sygnale. W jego głosie nie było śladu uprzejmości:

– Czołem, kolego! – warknął.

– Podobno telefonowałeś.

– Hej, stary, dobry kumplu, wydaje mi się, że chyba nie bardzo wiesz, co robisz. Zawarłeś jakąś totalnie popieprzoną umowę.

– Jaką niby umowę?

– Świetnie wiesz, o czym mówię, do cholery. Z Lockwood, koleś. Mówię ci po przyjacielsku: jeśli weźmiesz na siebie takie zobowiązanie, załatwisz swoją firmę na cacy i nawet Święty Boże nie pomoże. Nie ma mowy, żeby sprzedawać ziarna w takiej cenie i utrzymać się w siodle. To znaczy, sprawa jest totalnie...

– Totalnie kamikadze – przerwał mu Tanner. Zaoferował sieci hoteli Lockwood cenę tak niską, że tamci po prostu musieli zmienić dostawcę kawy. Czym prędzej zrezygnowali z City Roast, podpisując kontrakt z firmą Michaela. Gifford stracił swego największego klienta.

– Właśnie!

– Tak więc walnąłem swoim samolocikiem w twój statek. Mam nadzieję, że umiesz dobrze pływać, Blake.

– Tylko po to, żeby sabotować moją pierwszą ofertę publiczną?

– No, co za siara, nie? – Dzięki formularzowi S-1, który znalazła mu Karen, Tanner wiedział, że Lockwood Hotels Group przynosi City Roast piętnaście procent przychodów. A także to, że do tej pory City Roast rosła o trzydzieści procent rocznie. Jeśli nawet wstępna oferta publiczna opiewała na pięćset pięćdziesiąt milionów dolarów, dla analityków giełdowych liczyły się wyłącznie linie trendu, a ten był zły.

Bardzo zły.

Bez takiego klienta jak Lockwood Hotels oferta publiczna City Roast z pewnością okaże się niewypałem. Obroty, liczone rok do roku, znacznie się zmniejszą. Niezależnie od wysokości pierwotnych oczekiwań cenowych za jedną akcję należało się spodziewać znacznych spadków. Krótko mówiąc, nastąpi katastrofa.

Gifford zaklął soczyście.

– Pójdiesz z torbami – powiedział.

– Możliwe, ale to bez znaczenia, skoro załatwię cię, sukinsynu.

Blake zaklął ponownie.

– Poza tym – ciągnął Tanner – nie będziesz miał zbyt wiele czasu na nagrywanie tych swoich programików dla telewizji. Najbliższe dwa albo trzy lata zajmą ci procesy sądowe, które wytyczą wam inwestorzy. – Prawdopodobnie sporo osób straci pieniądze na ofercie giełdowej City Roast i nie daruje tego Giffordowi; posypią się milionowe pozwy. Podobnie postąpią wielkie, budzące grozę banki inwestycyjne w rodzaju Goldman Sachs czy JPMorgan Chase. Tanner się uśmiechnął. – Życzę powodzenia, kiedy będziesz tłumaczył swoje nowe kierunki rozwoju chłopakom z Goldman Sachs. Ale przecież to tylko biznes. Nic osobistego.

– W porządku! – ryknął Gifford. – Możesz sobie wziąć to cholerne Four Seasons.

– Zaczekam na telefon od Liama.

– Co w ciebie wstąpiło, u diabła?

– Jeśli zabijesz mi psa, ja zabiję ci kota – odrzekł Tanner, uśmiechając się. Było to dziwne powiedzenie. Zastanawiał się, czy ludzie rzeczywiście robili kiedyś takie rzeczy.

– To nie w twoim stylu, Michael!

– Teraz już tak. – Rozłączył się i wyszczerzył zęby. Potem zadzwonił do kierowniczkii administracyjnej.

– Lucy, każ Connie Hunt pakować manatki.

Tanner odnosił graniczące z pewnością wrażenie, że właśnie uratował swoją firmę.

Miał ochotę zatelefonować do Sarah i jej o tym powiedzieć, wolał jednak nie ryzykować. Wciąż mogła być na podsłuchu.

Jeszcze przez dłuższą chwilę siedział na porzewiałym leżaku ogrodowym przed domem, gapiąc się w morze i słuchając uspokajającego szumu fal. Czuł się wyczerpany.

Wszedł do środka, rozwalił się na sofie w salonie od frontu i szybko zasnął. Przyśniło mu

się, zresztą w kolorze, że ucieka pieszo przed ścigającym go samochodem. We śnie usłyszał męski głos. Jakiś facet coś do niego krzyczał, ale Tanner nie rozumiał słów.

Nagle zdał sobie sprawę, że ten mężczyzna jest jak najbardziej realny i znajduje się tuż obok. Tanner zerwał się gwałtownie.

– Obudź się.

Facet stał pośrodku pokoju w mroku. Oświetlała go jedynie poświata księżyca.

Will Abbott mnie znalazł, pomyślał Tanner.

Will celował do niego z pistoletu.

– Ruszaj się – polecił Will nieco głośniej.

Michael usiadł szybko, a potem wstał. Czyżby Abbott zamierzał się na niego rzucić? Nie. Will trzymał pistolet pewnie, na równej wysokości, szachując przeciwnika.

– Jakim cudem mnie znalazłeś? – zapytał Michael.

– Ręce wyżej.

Biznesmen posłusznie wykonał rozkaz.

– Słuchaj – powiedział. – Już ci mówiłem, że nie wiem, gdzie jest ten cholerny laptop. Po prostu zniknął!

– Nie – odparł Will. – Nie zniknął ani nie został skradziony. Nie wciskaj mi kitu. Gdzie go schowałeś?

– Odłóż tę pieprzoną broń.

– Gdzie on jest?

Tanner głośno wciągnął powietrze w płuca, a potem je wypuścił. Wyglądał na zmęczonego i pokonanego.

– No dobra – rzucił cicho. – Nie warto za to umierać. Tylko muszę mieć gwarancję, że moja żona i ja znajdziemy się pod ochroną.

Wreszcie. Will prawie się uśmiechnął.

– Przepraszam, ale kto tutaj ma pistolet?

Tanner pokręcił głową.

– Muszę mieć gwarancje.

– Jeśli zachowasz absolutne milczenie w kwestii tego, co widziałeś, i oddasz mi autentyczny laptop szefowej, będziemy kwita. Gdzie on jest?

– W moim biurze.

– Nieprawda. NSA już się włamała do twojego sejfu.

– Nie włożyłem go tam. To byłoby zbyt oczywiste. Najciemniej jest pod latarnią.

– Gdzie?

– Na biurku jednego z moich pracowników.

– Którego?

– Nazywa się Sal Persico.

– W porządku – powiedział Will. – Jedziemy do twojej firmy. Ruszaj się.

– Do czego ja ci jestem potrzebny? – zapytał Tanner. – Tu masz klucze.

Will pokręcił głową i lekko uniósł pistolet, cały czas zachowując bezpieczny dystans.
– Jedziemy.

Tanner wyglądał na silnego i sprawnego fizycznie mężczyznę, na kogoś, kto byłby skłonny zrobić coś szalonego, na przykład wyrwać broń napastnikowi.

Arthur Collins, od którego Will pożyczył pistolet, poinformował go, że jest to tania filipińska podróbka colta M1911. Bez numerów seryjnych, dlatego nie do namierzenia. Will dokupił trochę amunicji bez wiedzy Arthura, pudełko nabojów kalibru .45, wielkich jak kciuk. Gdyby zaszła potrzeba, w całej Wirginii mógł bez pozwolenia nabyć ich jeszcze więcej. Miał jednak przeczucie, że po dzisiejszym spotkaniu nie będzie to już konieczne.

Myślał o kulach kalibru .45, którymi nabity był pistolet.

Pociskach tak wielkich i potężnych, że mogą zrobić w człowieku ogromną dziurę.

Wypożyczona przez Willa toyota stała przed domem. Kiedy Tanner usiadł za kierownicą, Will obszedł wóz i zajął miejsce w fotelu dla pasażera.

– To wóz na kluczyk zbliżeniowy, który jest u mnie – powiedział Will. – Wystarczy wcisnąć guzik, żeby uruchomić silnik.

Michael zrobił, co mu kazano; samochód ożył z cichym pomrukiem. Jechali w milczeniu. Po kilku minutach zapytał:

– No więc jak mnie znalazłeś?

– Nie tylko ty znasz te sztuczki. Mówiłem ci, że moja mama pośredniczyła w sprzedaży domów.

Tanner przypomniał sobie, że Will faktycznie wspominał o tym w pociągu do Bostonu. Jego matka dorabiała w ten sposób do pensji, chcąc związać koniec z końcem.

– Ach tak.

– Załatwimy to bardzo prosto. Ty oddasz mi laptopa, ja sprawdzę, czy rzeczywiście należy do szefowej, wezmę go i zniknę. Po sprawie.

– Mam uwierzyć, że naprawdę strzelisz do mnie z tego pistoletu?

– Sprowokuj mnie, a się dowiesz.

Tanner uśmiechnął się półgębkiem. Po mniej więcej minucie, patrząc przed siebie, zapytał:

– Zabiłbyś dla tego laptopa? Naprawdę? Dla jakiegoś sprzętu?

– „Zabiłbyś dla laptopa”? – powtórzył Will. – To zupełnie błędny tok myślenia. Czy zabiłbym dla kraju? Czy zabiłbym człowieka, aby chronić przyszłość naprawdę niezwykłej kobiety mającej spore szanse na Gabinet Ovalny? Czy zabiłbym dla dobra przełomowej kariery politycznej, która ma o wiele większe znaczenie niż życie nas dwóch? A może chcesz powiedzieć, że nie istnieje nic takiego, dla czego ty byś zabił?

Tanner nie odpowiedział.

– Jeżeli nie ma niczego takiego, tej jednej rzeczy, dla której mógłbyś zabić albo dla niej umrzeć, to twoje życie jest bez sensu – stwierdził Will.

Tanner wpatrywał się w drogę i milczał.

To nie jest zabawa, myślał Will. To nie jest sport. Tylko bardzo poważna sprawa.

Will znów powrócił myślami do Petera Greena, przewodniczącego samorządu studentów

college'u w Miami w stanie Ohio; studenta, który został wybrany na tę funkcję tylko dzięki niemu. Wtedy też Will musiał odwołać się do pewnych nadzwyczajnych środków. W przeciwnym razie należałoby liczyć wyłącznie na cud – nie, powiedzmy sobie szczerze, Peter by po prostu przegrał, tak wynikało z prywatnego sondażu przeprowadzonego przez Willa. Pewne środki były niezbędne.

Jako pracownik uczelnianego biura rekrutacji Will miał dostęp do kartotek wszystkich studentów. Któregoś dnia w trakcie kampanii wyborczej wyciągnął papiery Jake'a Califana, rywala Petera Greena. Dowiedział się z nich, że Jake został zawieszony w prawach ucznia (na jeden semestr) w liceum w Groton z powodu oskarżeń o gwałt – ponieważ sprawa była wątpliwa, została zatuszowana. Will zrobił ukradkiem kopię tych akt, a następnie przekazał ją anonimowo uczelnianej gazecie „The Miami Student”. Ponieważ redakcja nie zdecydowała się na opublikowanie tych rewelacji, Will podzielił się informacją z kilkoma znajomymi. W ten sposób plotki rozniosły się szybko po całym college'u. W ciągu paru dni wiedzieli o tym już wszyscy. Will nie prosił o zgodę Petera, ponieważ – szczerze mówiąc – Peter nie traktował kampanii wyborczej tak serio jak on. Jednakże jakimś sposobem do Greena dotarła wiadomość, że Will próbował podsunąć studenckiej gazecie poufne informacje. Peter dopadł kolegę w stołówce, klepnął go w ramię i oznajmił:

– Musimy pogadać.

Zapytał, czy pogłoski o postępku Willa są prawdziwe, a Will, spodziewając się wdzięczności kolegi za doprowadzenie do jego wyborczego zwycięstwa, z zadowoleniem się do wszystkiego przyznał.

– Wrednie się zachowałeś, Pingwin.

To wspomnienie sprawiało mu ból. Ale jednocześnie stanowiło ważną przestrożę, że do polityki nie idzie się po to, by człowieka doceniano. To była brudna gra. Politycy od pewnego szczebla kariery musieli być gotowi na wiele.

Dla Susan Will zrobiłby absolutnie wszystko, co konieczne.

O wpół do trzeciej w nocy siedziba firmy Tanner Roast tonęła w ciemnościach. System alarmowy był włączony. Gdy Michael wprowadzał kod dezaktywujący, Will stał kilka metrów za nim, w bezpiecznej odległości. Biznesmen otworzył ciężkie stalowe drzwi wejściowe, a potem włączył światło. Abbott zobaczył przestronny, wysoko sklepiony magazyn oraz kilka sporych maszyn w części frontowej budynku, zapewne prażarek. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że nie pachniało tu kawą.

Poszedł za Tannerem prosto do niewielkiej strefy biurowej. Gospodarz zatrzymał się na samym środku przejścia między boksami i się odwrócił. Will uniósł broń.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział.

– Jest w boksie za tobą.

Will powoli i ostrożnie wykonał półobrót.

– Podaj go. I nie zmuszaj mnie, żebym strzelił.

Cofnął się trochę, przepuszczając Tannera, który sięgnął ręką do kącika zajmowanego przez Sala. Na pustym biurku leżał samotny macbook air. Powolnym ruchem Michael wręczył go Willowi.

Abbott chwycił laptop lewą ręką i natychmiast go odwrócił, szukając na spodniej pokrywie długiej rysy.

Była na miejscu.

No, nareszcie. Nareszcie zdobył komputer szefowej.

Mimo wszystko należało się jeszcze upewnić. Will nie mógł jednak odłożyć pistoletu, dlatego oddał urządzenie Tannerowi.

– Otwórz go i włącz – polecił.

Biznesmen zrobił, co mu kazano. Komputer uruchamiał się długo, ponad minutę.

Will poczuł coś więcej niż wściekłość, nie rozpoznawszy ekranu powitalnego. Na monitorze widniała fotografia krzewu kawowca z czerwonymi owocami. W górnej prawej części ekranu, na małym białym pasku, zobaczył napis LAPTOP SALVATORA PERSICA.

A więc to nie był komputer Susan Robbins. Owszem, miał rysę na obudowie, i to we właściwym miejscu, ale...

– Ty cholerny...

Nagle Will wyczuł za plecami jakiś ruch, odwrócił się przestraszony i pociągnął za spust. Wystrzelił prosto w ciemność.

Mężczyzna krzyknął.

Pistolet szarpnął i zatańczył w dłoni Abbotta. Eksplozja była tak głośna, że na moment go ogłuszyła. Nieprzyjemnie, piskliwie dzwoniło mu w uszach.

Znów rozległ się wrzask:

– Au! – A potem jakiś kształt upadł na podłogę. Will zobaczył, że trafił w mężczyznę, potężnego mężczyznę, który leżał teraz z rozrzuconymi rękami, częściowo w cieniu. Po raz pierwszy w życiu postrzelił człowieka i czuł przede wszystkim strach. Przerazenie, że facet może umrzeć. Przecież tylko zareagował na ruch, na potencjalne zagrożenie, zakłócenie w najbliższym otoczeniu, to wszystko. Ale już wiedział, że zranił człowieka, a być może nawet zabił. Nie potrafił stwierdzić, czy mężczyzna jeszcze żył, ale z pewnością się nie ruszał.

Właśnie wtedy Tanner rzucił się na Willa.

Plan działał idealnie do momentu, gdy się posypał.

Michael spodziewał się, że William Abbott go znajdzie. Był tego pewny. Musiał mu to tylko utrudnić w sposób wiarygodny. Zbyt łatwe namierzenie przeciwnika mogłoby wzbudzić w Abbotcie podejrzania. Czujność.

Usłyszawszy, że matka Willa sprzedawała nieruchomości, Michael doszedł do wniosku – mało prawdopodobnego, ale możliwego – że Abbott zgadnie, gdzie on się ukrył. Facet był bystry, umiał myśleć strategicznie.

I Will zaimponował Michaelowi. Rzeczywiście go znalazł. NSA to się nie udało, a Williamowi Abbottowi i owszem.

Ale gdyby tego nie zrobił, Michael zamierzał po prostu do niego zadzwonić i zaproponować spotkanie, porozumienie się, rozejm. Abbott na pewno by na to poszedł, choć prawdopodobnie z ogromną ostrożnością.

A teraz nie żył Sal Persico. Sal, który natychmiast zgodził się przynieść do biura swojego macbooka air, podobnego do laptopa swojego szefa, a nawet zrobić na obudowie długą rysę.

Zamiast zostawić ten komputer i od razu zniknąć, o co prosił go Michael, Sal Persico sam zdecydował, że zaczai się w ciemnym biurze.

A Abbott go najprawdopodobniej zabił.

Sal chciał tylko wyświadczyć Michaelowi uprzejmość. Człowiek, który tak wiele

przeszedł, człowiek obdarzony niezwykłym darem. Jeśli nawet przeżył, musiał być poważnie ranny.

Nagle – jak gdyby ktoś nacisnął w Michaelu jakiś guzik – zalał go gniew, cicha biała furia, której istnienia tylko się domyślał, ukryta w nim głęboko, coś, z czym walczył całe życie. Wydawszy z siebie gardłowy warkot, rzucił się na Abbotta, uniósł go i cisnął o betonową ścianę. Coś stuknęło w podłogę: pistolet zatrzymał się metr, może półtora od nich. Kiedy Michael oderwał twarz Willa od betonu, zobaczył krew tryskającą z jego rozciętej wargi. Raz jeszcze trzepnął nim o ścianę, po czym pozwolił mu opaść na posadzkę. Prawa ręka Abbotta wyciągnęła się w stronę broni; Tanner zauważył ten ruch o ułamek sekundy za późno. Will zerwał się na nogi, trzymając mocno pistolet w obu dłoniach. Michael chciał go dosięgnąć, lecz nagle broń wypluła pocisk, niewiarygodnie głośno. Zadzwonilo mu w uszach.

Abbott musiał przypadkowo nacisnąć spust. Na szczęście strzelił w powietrze. Pocisk trafił z brękiem w coś twardego i metalowego.

Tanner wzdrygnął się w chwili, w której Abbott przystawił mu lufę do prawej skroni.

– Nie! – krzyknął i zamarł w bezruchu.

Czuł gryzący smród strzelniczego prochu, a także zapach potu Abbotta. Twarda metalowa lufa wbijała się boleśnie w jego głowę.

Impulsywny mężczyzna, który już dwukrotnie wystrzelił, w tym raz niechcąc, trzymał teraz broń o pół centymetra od mózgu Tannera. Mógł pociągnąć za spust nawet bezwiednie. Już to przecież zrobił. Istniała możliwość powtórki.

Tanner poczuł w głowie całkowitą pustkę.

Miał za chwilę umrzeć.

Świat zniknął, Michael Tanner czuł wyłącznie bezwzględny nacisk pistoletu na skroń, widział tylko szalone oczy trzymającego broń człowieka.

Nagła wibracja pistoletu poinformowała go, że Abbottowi trzęsie się ręka. Zapewne jechał na adrenalinie. To było niebezpieczne.

– Jesteś pewny, że chcesz mnie zabić? – zapytał biznesmen.

– Gdzie jest ten cholerny laptop? – Will jeszcze mocniej docisnął lufę do skroni Michaela. Ten odniósł wrażenie, że pęka mu skóra.

– Wiem, że nie wierzysz w kradzież komputera z tego schowka w szatni, ale taka jest smutna prawda.

– W takim razie po co był ten cały cyrk?

– Przepraszam – powiedział Tanner. – Myślałem, że go po prostu weźmiesz i sobie pójdiesz.

– Pieprzysz bzdury.

– Dlaczego, u diabła, miałbym ciągle trzymać ten komputer u siebie?

– Dlaczego? Świetnie wiesz dlaczego. To twoja karta przetargowa. Może nawet planowałeś go sprzedać? Twoja firma tonie, potrzebujesz forsy.

Michael usłyszał jęk leżącego na podłodze Sala.

– Odłóż broń – poprosił. Wciąż czuł nacisk lufy na głowę i zastanawiał się, czy to ostatnia noc w jego życiu. – Jeśli ją cofniesz, wszystko może się jeszcze ułożyć.

– To, że twój kumpel podkradł się do mnie od tyłu jak skończony idiota, zmieniło całą sytuację – odparł Abbott.

– Przecież masz własne życie – nie ustępował Michael. – Jeszcze możesz je odzyskać. Rozumiesz? – Zastanawiał się, czy zdołałby wyrwać Willowi pistolet, zanim ten zdąży strzelić. Uznał, że nie.

– Zamknij mordę, do cholery – polecił Will i zwiększył jeszcze nacisk na skroń Michaela.

Serce Willa waliło jak oszalałe. Nieustannie wpatrywał się w to jedno miejsce na skroni Michaela Tannera, wgnieciony fragment skóry, z którym stykała się czarna stalowa lufa. Nie mógł spojrzeć w twarz człowiekowi, którego zamierzał zabić. Chyba miał już za sobą pierwsze morderstwo, tego faceta na podłodze, tego, który usiłował go załatwić. Tanner będzie ofiarą numer dwa.

Abbott tkwił jakby w długim tunelu, a na jego końcu widział tylko skrawek skóry i muszkę pistoletu.

Palec wskazujący dotykał zimnej stali spustu. Wystarczyło lekko pociągnąć, połaskotać go. Aby wystrzelić z tej broni, wcale nie trzeba dużo siły. Artie Collins powiedział, że nieco zmodyfikował zaczep spustowy, zdecydowanie zmniejszając wymaganą intensywność nacisku. Sprawę załatwiało delikatne pociągnięcie.

– Dość tych gierek – powiedział Abbott. – Gdzie jest laptop, do diabła?

Z jakiegoś dziwnego powodu ten cały Tanner wykazywał ogromną determinację, aby go zniszczyć. A co ważniejsze, zniszczyć też szefową.

W ostatecznym rozrachunku wszystko to było winą Willa Abbotta, ponieważ nie zaprotestował, kiedy Susan Robbins oświadczyła, że nie zamierza spędzić w SCIF-ie całego dnia na czytaniu dokumentów. *Mógłbyś mi zrobić ich kopię?* I uległ presji. A powinien był odmówić, dla jej własnego dobra.

Jednak Will tego nie zrobił. Popęłił błąd. Gdyby nie to, wszystko, co się teraz działo, nigdy by się nie wydarzyło. Sam ponosił za to odpowiedzialność i sam musi doprowadzić sprawę do porządku.

Nie może pozwolić, by Tanner zniszczył karierę Susan, storpedował jej przyszłą prezydenturę. A także jego przyszłość – jako szefa personelu Białego Domu.

Agencje wywiadowcze będą chciały zataić tę sprawę przed opinią publiczną. Śmierć biznesmena zostanie zamieciona pod dywan, nikt nigdy nie wspomni głośno o projekcie CHRYSALIS, który zniknie w czarnej dziurze niepamięci. Theta, jednostka egzekucyjna NSA, już tego dopilnuje. Tanner popełnił samobójstwo albo zginął w walce z tym facetem na podłodze. Z pewnością będą umieli to załatwić. Pistoletu nie da się namierzyć. Wszystkie scenariusze, jak ukreślić łeb sprawie, wciąż były możliwe do zrealizowania.

– Naprawdę kiedykolwiek sądziłeś, że uda ci się przeżyć? – zapytał Will. – Myślisz, że oni by ci pozwolili chodzić po tym świecie z wiedzą, którą posiadasz? Cholernie mi się nie podoba, że musi do tego dojść, ale po prostu musi.

Will pomyślał o tamtym dniu sprzed wielu lat, o wściekłym szpiegu pracującym w garażu, i już wiedział, jak dostać się do głęboko ukrytego miejsca w swoim wnętrzu. Uzmysłował sobie, że istnieje ono po to, by mógł wreszcie pociągnąć za spust.

Michael zmusił się do zaczerpnięcia tchu.

Powiedział:

– Jesteś szefem personelu ważnego polityka, de facto szarą eminencją w Waszyngtonie, prawda? A także ojcem pięknego dziecka. Nie chciałbyś żyć jak dotąd? Zadaj sobie to pytanie. Bo jeśli pociągniesz za spust, wszystko zniknie. Sprawa na pewno do ciebie wróci. Nasi znajomi z NSA ustalą, co tu zaszło. I ta świadomość zawiśnie nad tobą jak jakaś wielka czarna jaszczurka. Nigdy nie będziesz się czuł bezpieczny. Życie, jakie wiodłeś, skończy się

nieodwołalnie. Twoim najgorszym wrogiem, Will...

– Zamknij się, do cholery.

– To nie ja jestem twoim najgorszym wrogiem, Will, tylko ty sam. Szczególnie w tym momencie. Ale jeszcze możesz podjąć właściwą decyzję. Odłóż ten pistolet i ratuj swoje dotychczasowe życie.

Abbott milczał.

– Posłuchaj mnie, bo dobrze radzę. Jeszcze nie jest za późno – ciągnął Tanner. – Muszę ci o czymś powiedzieć, Will. Jesteśmy teraz nagrywani. Kamerą wideo.

Abbott milczał.

– Po to właśnie Sal tu przyszedł. Przyniósł z domu elementy systemu antywłamaniowego. Leżą na jego biurku, to te czarne przedmioty. Jest wśród nich kamera HD, która rejestruje dźwięk i obraz, a także czujnik ruchu. Wszystko, co powiedziałeś, zostało nagrane. Jesteś w programie *Mamy Cię!* Zabijesz mnie, zostanie to uwiecznione, a twoje dotychczasowe życie się skończy.

Po kilku sekundach Michael poczuł, że nacisk lufy na skroń się zmniejsza. Abbott odsunął pistolet od jego głowy. Biznesmen powoli odwrócił się w jego stronę i zobaczył, że opuszcza broń. W oczach szefa personelu zalśniły łzy.

– Podjąłeś właściwą... – zaczął Michael i wtedy coś ciepłego musnęło jego twarz. Usłyszał, jak Abbott jęczy przeciągle:

– Aaa...

Michael zamrugał gwałtownie, gdy na szyi Willa eksplodował niewielki, czerwony, owalny kształt, w ułamku sekundy zmieniając się w poszarpaną ranę, z której trysnęła karmazynowa krew. Na obliczu mężczyzny odmalowało się zaskoczenie, a potem jego twarz sflaczała, głowa opadła w dół nieomal śmiesznie, niewidzące oczy wpatrywały się w dal.

Tanner, wstrząśnięty, tylko się przyglądał. Faceci w czarnych kombinezonach bojowych, hełmach, kamizelkach kuloodpornych i nagolennikach wypełniali całą przestrzeń magazynu. Dwóch właśnie wytaczało nosze na kółkach z ciałem Willa Abbotta, dwaj inni przypinali pasami Sala Persica do drugich noszy. Opierał się, co przynajmniej świadczyło, że żyje. Dostał postrzał w ramię albo w pierś, na pewno bardzo bolesny.

Will Abbott zginął, uświadomił sobie Tanner.

Zbliżył się do niego jakiś facet, w którym rozpoznał Earle'a Laffoona, również ubranego w mundur SWAT-u.

– Przecież opuścił broń – powiedział Tanner.

Odpowiedź Earle'a była łagodna, powolna.

– Znajdowałeś się w niebezpieczeństwie, tylko tyle widziałem.

– Zabiliście człowieka – wydyszał Tanner, jeszcze pod wpływem adrenaliny.

– To był wymóg sytuacji – odrzekł Earle sucho. – Zrobiłbym to powtórnie bez zmruczenia oka.

– Jezu. – Biznesmen opanował się i przez chwilę nad czymś zastanawiał. – Co świat usłyszy o przyczynach śmierci Abbotta? Przecież ten facet miał żonę i małe dziecko.

– Mamy tu kilka możliwości. Wolę tę najprostszą. Etatowy pracownik obsługi parlamentu ginie w pospolitym napadzie z bronią w rękę, do jakiego doszło w Bostonie.

– W ten sposób będziecie mieli panią senator na swojej smyczy, nieprawdaż? – Główny występki, którego dopuścił się William Abbott, czyli skopiowanie tajnych informacji na laptopa własnej szefowej, nigdy nie wyjdzie na jaw. Ale NSA zdobędzie haka na wpływową senator Stanów Zjednoczonych. I to na wiele lat jej kadencji.

– Powiem tak: to, w jaki sposób opiszę tę sprawę w raporcie, będzie przedmiotem dyskusji między zainteresowanymi stronami. – Oczy agenta powędrowały w kierunku boksu Sala. Earle zrobił kilka kroków w tamtą stronę i wziął do ręki szeroki czarny cylinder. – Wszystko się na to nagrało? Dźwięk i obraz?

– To zupełnie nowy świat, Earle.

– Bardziej niż się wydaje.

– Boję się tylko, czy skutek tej całej strzelaniny kamera także nie oberwała.

Earle wyszczerzył zęby; jego twarz się od razu zmarszczyła.

– Och, o to bym się nie martwił, Michael. Na pewno załatwiłbym jakieś inne nagranie.

Bądź co bądź jesteśmy z NSA.

Michael długo milczał. Myśli galopowały w jego głowie. A jednocześnie zalało go poczucie ulgi, nagły spokój.

– Umowa obowiązuje?

– Jeśli chodzi o mnie, tak. Mamy porozumienie. Każdy idzie w swoją stronę. Koniec pieśni. Ty i ja jesteśmy kwita. Myślę, że w innym świecie moglibyśmy nawet zostać przyjaciółmi, Michael. Grywalibyśmy w Texas Hold'em, popijając brandy Pappy Van Winkle albo jakieś inne dobre IPA. Niestety, to się nie stanie. Takie karty rozdało nam życie.

Michael kiwnął głową. Nie chciał tego głośno przyznać, ale naprawdę polubił Earle'a. *Ten facet porwał mnie w Bostonie wprost z ulicy, potem zainstalował mi w plecach lokalizator, a jednak mam dziwne wrażenie, że jestem jego dłużnikiem.*

– Muszę powiedzieć, że w swoim życiu tropiłem już sporo ludzi, ale ty byłeś znacznie trudniejszy od większości z nich.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś nawiedzony. Nie jesteś fanatykiem ani zakręconym świrem.

Tanner wzruszył ramionami.

– Szybko zniknąłeś nam z radaru. Zrezygnowałeś z najnowszych technologii, wolałeś te starsze. A potem znalazłeś implant. Dobra robota. Nieźle nas nabrałeś tą małą gierką, którą przeprowadziłeś za pomocą lokalizatora. Przez dłuższy czas nie mogliśmy cię znaleźć. I w dodatku udało ci się nagrać Willa Abbotta, gdy się do wszystkiego przyznaje.

– Yhm.

– Jesteś byстрыm facetem, który po prostu podjął kilka złych decyzji.

– Być może. W takim razie powiedz mi coś... Jestem ciekaw, czy się nie myłę. Gdybym oddał laptopa od razu, kiedy mnie o to poprosiliście, to czy byś... mnie zniknął?

Earle posłał mu długie spojrzenie.

– Moi współpracownicy źle cię ocenili.

– I właśnie dlatego to by mnie czekało?

Agent wzruszył ramionami.

– Bez komentarza. Przecież odzyskałeś swoje cholerne życie. Nie wystarczy?

Michael tylko się uśmiechnął.

– Ty też mi coś powiedz. Co z nim zrobiłeś?

– Z czym, z laptopem?

Earle potwierdził.

– Ktoś go ukradł. Już mówiłem.

– Mało wiarygodne. A jednak coś mi każe ci wierzyć.

– Serio? A skąd wiesz, że nie mam kopii tych dokumentów, może gdzieś w chmurze, i nie planuję przekazać ich „Washington Post”?

Agent uśmiechnął się, ponownie marszcząc całą twarz.

– Odrzucam to z dwóch powodów.

– Taa?

– Po pierwsze, wiem, że jesteś inteligentnym facetem i sam najlepiej rozumiesz swoją sytuację. Masz dobre życie i chciałbyś do niego wrócić. Kontrolujemy chmurę dość szczegółowo. Jeśli znajdziemy jakiś przeciek, od razu się zorientujemy, że to ty, i twoje życie będzie skończone.

– A drugi powód?

– Skoro nie masz tego laptopa, to w epoce fałszywych informacji nikt ci nie uwierzy. Twierdzisz, że dysponujesz tajnymi dokumentami, tak? Cóż, ja mam zdjęcia dowodzące, że lądowanie na Księżycu to bujda. Mam też świadectwo urodzenia Obamy wydane przez władze kenijskie. Po prostu cię wyśmieją. Nie masz laptopa, gównu masz.

– Może.

– Jasne, zawsze znalazłoby się paru takich, co by to kupili. Pewnie powstaną jakieś teorie spiskowe. Nawet cała strona internetowa na ten temat. Ale żyjemy w epoce post-prawdy. Jedyńm, w co ludzie dziś wierzą, jest to, że nie wolno wierzyć temu, co się słyszy. Wszyscy zgorzknialiśmy, staliśmy się cyniczni. W dzisiejszych czasach prawda dewaluuje się tak jak waluta Republiki Weimarskiej.

– Hm.

– Wiem, że tego nie skomentujesz. Że nic mi nie powiesz. W każdym razie wygląda na to, że CHRYSALIS wyląduje na półce.

– Na półce?

– Zostanie skasowana. Tuż przed tym, co się wydarzyło, senacka komisja do spraw wywiadu miała podpisać stosowne zgody. Ale teraz górę wzięły chłodniejsze umysły. Program pójdzie do głębokiej zamrażarki. Będzie szloch i zgrzytanie zębów. Na szczęście moi przełożeni uświadomili sobie, jak trudno byłoby się im wytłumaczyć przed opinią publiczną. Nie zostawiono by na nich suchej nitki. Ty pomogłeś nam to zrozumieć.

– Yhym.

– Uważam, że jesteśmy ci coś winni.

– Po prostu zostawcie mnie w spokoju – powiedział Tanner. – Nic więcej nie chcę. Earle wyciągnął do niego rękę. Po krótkiej chwili Michael ją uścisnął.

– Mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy.

– Też myślę, że sprawa załatwiona – zgodził się agent.

– No dobra, okej. Teraz muszę się zająć firmą i jej ratowaniem.

Pół roku później

Facet po drugiej stronie małego głośnika był szefem firmy dostarczającej szklane butelki przedsiębiorstwu Tanner Cold Brew, które odniosło niebywały sukces – jego produkty sprzedawano obecnie na całym północnym wschodzie kraju. Liczba zamówień graniczyła z szaleństwem. Firma pracowała już nad dystrybucją ogólnokrajową. Dlatego tak nagle zgłosiła zapotrzebowanie na znaczną liczbę brązowych, okrągłych szklanych butelek.

Mężczyzna po drugiej stronie telefonu o tym wszystkim wiedział. Zapewne dlatego był tak nieprzejednany w kwestii ceny. Normalnie Tanner nie wdawałby się w negocjowanie kosztów dostaw, ponieważ jednak Ken Jones nie chciał ustąpić na krok, nowy kierownik produkcji zatelefonował do Tannera, który z kolei zadzwonił bezpośrednio do Kena Jonesa.

– Zadaję sobie pytanie – rozległ się z głośnika Jones – czy przy tych stawkach cenowych w ogóle pokryję koszty własne.

Tanner poniósł słuchawkę.

– W takim razie to niewłaściwe pytanie, Jonesie. Powinno ono raczej brzmieć: czy chciałbyś jeszcze kiedyś robić z nami interesy? W przyszłości?

Mężczyzna westchnął głośno.

– Dogadamy się.

– Dobrze – powiedział Tanner. – W takim razie współpracujemy dalej.

W tym momencie Sal Persico zapukał lewą ręką w drzwi gabinetu Tannera. Prawe ramię i bark wciąż miał usztywnione. Drętwienie dłoni najbardziej doskwierało mu rankiem. Kula przebiła mostek i górną część ramienia, o milimetry omijając płuco i tętnicę podobojczykową, w mięśniu czworobocznym pozostawiła jednak sporą wyrwę, przez którą wyleciała. Sal przestał nosić temblak zaledwie przed paroma dniami. Według lekarzy powrót do pełnej sprawności mózgu potrwać nawet rok.

– Jesteśmy gotowi.

Zaczynała się poranna degustacja kawy. Dziś była kolej na kostarykańską.

– Zaraz przyjdę – oznajmił Tanner.

Wcześniej czytał CV kandydatów do pracy, a właściwie powinien był je czytać. Materiał był obszerny, ponieważ dotyczył sześciu nowych osób, które planował zatrudnić, w tym jeszcze jednego specjalistę od prażenia kawy oraz zastępcę dyrektora handlowego.

A ponadto Michael szukał większej przestrzeni magazynowej i biurowej. Firma wyrosła już ze swojej dotychczasowej siedziby. Sprowadzała znaczne ilości kawy, a największy wolumen obrotów generował nowy, lekki rodzaj prażonki o nazwie Lanny Roast.

Biznes nabrał rozpędu po tym, jak poinformowano opinię publiczną o zawarciu umowy z holdingiem Four Seasons. Zgłosiło się całe mnóstwo naśladowców z kręgów hotelarsko-restauracyjnych, którzy pragnęli serwować tę samą kawę co przybytki sieci Four Seasons.

Jednakże zamiast zapoznawać się z CV, Tanner skupił się na artykule prasowym dotyczącym budżetu NSA, który miał zostać podwojony – do kwoty dwudziestu miliardów dolarów. Główną orędowniczką zwiększenia budżetu, według gazety, była senator Susan Robbins, przewodnicząca senackiej komisji do spraw wywiadu.

Tanner przez chwilę zastanawiał się, co się stało z jej laptopem. Może wpadł w ręce jakiegoś dilerów narkotyków albo innego podejrzanego typu i został sformatowany? Albo leży na samym spodzie sterty śmieci na jakimś wysypisku?

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

– Już idę – rzucił Tanner, lecz nagle zorientował się, że w progu stoi Sarah. Gestem zaprosił ją do środka i wstał.

Zabrzączał telefon, Michael usłyszał w nim głos Lucy.

– To znowu ten facet z działu rozwoju Starbucksa.

– Powiedz mu, że jestem na spotkaniu.

– Znowu?

– Czy on czegoś nie zrozumiał? Przecież mówiłem jego szefowi, że nie chcę sprzedawać. Muszę lecieć. – Tanner podszedł do Sarah i ją pocałował.

– Ci z Brattle Street ogłosili przetarg – powiedziała jego żona. – Myślę, że powinniśmy zaproponować coś więcej ponad cenę wyjściową.

Mówiła o dużym domu z drewnianym sidingiem przy Brattle Street w Cambridge, którym Tannerowie byli zainteresowani. Właśnie wystawiono go na sprzedaż. Od trzech miesięcy, a konkretniej od dnia upłynięcia jakiegoś rosyjskiego oligarsze dworku w Chestnut Hill, w którym ukrywał się jej mąż, Sarah miała znakomitą handlową passę. Poza tym zawsze była zdania, że dotychczasowe lokum na South Endzie zmusza ich do życia w pionie i ma zbyt wiele schodów do pokonania.

– To wielka chata – stwierdził Michael. – Sześć sypialni.

– Każde z nas będzie mogło mieć własny gabinet, poza tym urządzimy pokój gościnny i... pokój związany z powiększeniem rodziny.

Tanner uśmiechnął się na wspomnienie ich rozmowy.

– Podoba mi się pomysł z powiększeniem rodziny.

Twarz Sarah pojaśniała, zarzuciła mężowi ramiona na szyję. Potem go pocałowała. Michael zerknął na stojący na biurku laptop, wyciągnął rękę i go zamknął.

Epilog

– To chyba ten lapek – powiedział John Thomsen, wysoko unosząc ciężkie, podłużne kartonowe pudło. John był studentem drugiego roku filologii klasycznej na Princeton. Stali z Mattem, kolegą z tego samego pokoju (Matt miał wkrótce skończyć studia), przy kontuarze Centrum Przesyłek Pierwszego Kampusu, gdzie odbierało się paczki.

– Szelc, który kupiłeś na eBayu za sto dolców?

– Sto dwadzieścia pięć. Plus dostawa.

– Za macbooka air? Koleś, to musi być jakiś przekręt.

– Nie ma mowy. – Najwyraźniej Matt był zazdrosny. Zaledwie tydzień temu uskarżał się, że na nowy laptop marki Acer musiał wydać prawie sześćset zielonych!

Kiedy jednak wrócili na stację przy Prospect Avenue, John zaczął się zastanawiać, czy to faktycznie nie jest jakiś bubel.

– Hej, działa – zawołał do Matta, który siedział na kanapie z laptopem na kolanach, skupiony na meczu futbolowym. – Już się zbootował.

– Yhm – mruknął Matt bez zainteresowania.

– O rany, zostawili ekran powitalny poprzedniego właściciela. Nawet go nie sformatowali!

– Bez hasła masz przerabane – zaśmiał się Matt.

– Hasło jest tutaj. Na karteczce.

– Kurka. Nic dziwnego, że komp był taki tani. Nic z nim nie zrobili. Ilu miał właścicieli?

– Nie wiem – odparł John z roztargnieniem, wpisując cyfry i litery w pasek hasła. – Ale lapek nie ma więcej niż rok. Niemożliwe, żeby miał już kilku właścicieli.

Na ekranie ukazała się jakaś reklama i Matt zmniejszył głośność.

– Skąd twoim zdaniem ten dostawca bierze laptopy? Zwija je komuś? Byłby ubaw, co? Wpadłbyś w niezłe tarapaty, gdyby się okazało, że korzystasz z kradzionego sprzętu.

John podniósł wzrok znad komputera.

– Możliwe, że jest kradziony – przyznał.

– Jak się nazywa właściciel?

– S. Robbins. Tylko tyle widać. I jakieś dokumenty – czekaj... No, no, a to dopiero ciekawe.

– Co?

– Sam zobacz. „Ścisłe tajne”, „klasyfikowane informacje”, tak tu jest napisane. Rzuć

okiem. – John podał laptopa Mattowi.

– Stary, jesteś pewien, że masz prawo do tego zaglądać?

– Żartujesz? – zdziwił się John. – A co to komu szkodzi?

Podziękowania

Jestem wdzięczny wielu osobom, które wspaniałomyślnie pomagały mi podczas przygotowań do napisania tej książki, w tym licznym byłym i obecnym szefom personelu oraz doradcom senatorów Stanów Zjednoczonych – wszyscy oni wykazali się większym heroizmem i mocniejszym kręgosłupem moralnym niż Will Abbott. Należą do nich: Clarine Nardi Riddle (Joe Lieberman), Dan Geldon (Elizabeth Warren), Jeff Duncan (Ed Markey), Travis Johnson (David Vitter), Mark Kadash (Dianne Feinstein), Allison Herwitt (Chris Murphy), a zwłaszcza Andy Winer (Brian Schatz).

Dziękuję Jamesowi Bamfordowi, który dzierży palmę pierwszeństwa wśród ludzi piszących o NSA (niech mi wybaczy to górnolotne sformułowanie). Jeśli chodzi o Dystrykt Kolumbii, jestem również winien wdzięczność Danowi Jonesowi z Daschle Group, mojej fantastycznej researcherce, redaktorce i asystentce Clair Lamb oraz Doyle'owi Bartlettowi z Eris Group. (Notka: dla uzyskania większego dramatyzmu, pozwoliłem sobie wymyślić procedury bezpieczeństwa w Senackiej Komisji do spraw Wywiadu).

Za pomoc w kwestiach prawniczych jestem zobowiązany Charlesowi Simsowi z Proskauer Rose, J. Patrickowi Rowanowi z McGuire Woods, Stephenowi Vladeckowi z Wydziału Prawa Uniwersytetu Teksasńskiego, Alexowi Abdo z ACLU oraz Markowi Zaidowi. Moimi ekspertami od kawy byli między innymi Corby Kummer, Jaime van Schyndel, szczególnie zaś George Howell.

Dziękuję mieszkającym w Bostonie: mojemu przyjacielowi Jayowi Groobowi z American Investigative Services, Bruce'owi Irvingowi, Larry'emu Robertsowi, Ericowi Boutinowi, Chrisowi Kellerowi, Marcowi Davisowi, Seanowi Murphy'emu z „The Boston Globe”, jak również niewymienionemu w książce współczłonkowi konspiracji, Gilesowi McNamee'emu. Za pomoc udzieloną mi w zakresie problematyki medycznej wyrażam wdzięczność Markowi Morocco z oddziału ratunkowego Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles (UCLA), jeśli zaś chodzi o szczegóły dotyczące niemowląt, które zdążyłem zapomnieć – Mattowi Millerowi ze Stories Bookshop.

Jestem zobowiązany pracownikom wydawnictwa Dutton: Christine Ball, Amandzie Walker, Abigail Endler, Carrie Swetonic, Jess Renheim oraz Benowi Sevierowi. Bardzo dziękuję moim pracownikom Laurze Jaye i Marilyn Saks Goldstein. I na koniec kieruję słowa wdzięczności do mojego agenta, Dana Conawaya, a przede wszystkim brata – Henry'ego Findera.

¹ SSCI – Komisja ds. Wywiadu Senatu Stanów Zjednoczonych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² Nie ma takiej agencji (ang.).

³ American Civil Liberties Union – Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich.